

Niepokojące. Ali Land odśłania
najciemniejszą stronę ludzkiej duszy.
Najlepszy thriller tego roku!

Guardian

**JA
DOBRA
ZŁA**

ALI LAND

Prószyński i S-ka

JA
DOBRA
ZŁA
ALI LAND

Przełożyła
Magdalena Koziej

Prószyński i S-ka

Dla pielęgniarek psychiatrycznych na całym świecie.

To prawdziwe gwiazdy rocka.

Ta książka jest dla Was.

Ale serce małego dziecka to organ delikatny.

Okrutne wprowadzenie na ten świat

może je poskręcać w dziwne kształty.

Carson McCullers, 1917–19671

1 Carson McCullers, *Ballada o smutnej knajpie*, przeł. Krystyna Jurasz-Dąbska, PIW, 1970, s. 42.

Czy marzyliście kiedyś o miejscu, które jest gdzieś hen, bardzo daleko? Bo ja tak.

Pole pełne maków.

Czerwone tancereczki wirują wesoło w walcu.

Wskazują płatkami ścieżkę, która wiedzie wprost na wybrzeże. Czysta, ciągła linia horyzontu.

Leżąc na plecach, unoszę się na wodzie. Turkusowy ocean. Niebieskie niebo.

Nie ma nic. Ani nikogo.

Pragnę usłyszeć słowa: „Nigdy nie pozwolę, by coś ci się stało”. Albo: „To nie jej wina, była tylko dzieckiem”.

Takie właśnie miewam marzenia.

Nie wiem, co ze mną będzie. Jestem wystraszona.

Inna. Nie dano mi wyboru.

Przyrzekam.

Być najlepsza, jak tylko potrafię.

Obiecuję, że się postaram.

Osiem w górę.

I jeszcze kolejne cztery.

Drzwi po prawej.

Plac zabaw.

Tak nazywała to miejsce.

Gry były tam złe i zawsze tylko jeden zwycięzca.

Kiedy to nie była moja kolej, zmuszała mnie do patrzenia.

Przez wizjer.

Potem przepytowała. Co widziałaś, Annie?

Co widziałaś?

1

Wybacz mi, kiedy się dowiesz, że to ja.

To ja powiedziałam.

Policjantowi z dochodzeniówki. Miły facet, z dużym brzuchem. Z początku niedowierzanie. Potem poplamione ogrodniczki, które wyciągnęłam z torby. Maleńkie.

Miś upstrzony z przodu czerwonymi plamkami krwi. Mogłabym przynieść więcej, mam z czego wybierać, tyle tych rzeczy. Nie miała pojęcia, że je zatrzymałam.

Wtedy poruszył się na krześle. Usiadł prosto, naprężył brzuch.

Zauważyłam, że kiedy sięgał do telefonu, trochę drżała mu ręka. Przyjdź natychmiast, powiedział. Musisz to usłyszeć. Oczekiwanie w ciszy na przybycie przełożonego. Znośne dla mnie. Mniej dla niego. Bębniło mu w głowie sto pytań. Czy ona mówi prawdę? Raczej nie. Aż tyle? Nie żyje? Na pewno nie.

Znów opowiedziałam tę historię. I jeszcze raz. Tę samą historię. Inne twarze patrzyły, inne uszy słuchały. Powiedziałam im wszystko.

No dobrze.

Prawie wszystko.

Włączona kamera wideo, jej delikatny warkot to jedyny odgłos w pokoju po tym, jak skończyłam opowiadać.

Może będziesz musiała pójść na rozprawę, wiesz o tym, prawda? Jesteś jedynym świadkiem, powiedział jeden z tych z dochodzeniówki. Drugi spytał, czy myślicie, że możemy bezpiecznie odesłać ją do domu? Jeśli to, co mówi, jest prawdą? Główny inspektor nadzorujący śledztwo odparł, za kilka godzin będziemy już mieć zmontowany zespół, potem odwrócił się do mnie i powiedział, nic ci się nie stanie. Już się stało, chciałam odpowiedzieć.

Potem wszystko potoczyło się szybko, jak musiało. Podrzucono mnie pod szkolną bramę nieoznakowanym samochodem, tuż po lekcjach. W porze, kiedy mnie odbierała. Gdy podjeżdżała po mnie ze swoimi żądaniami, ostatnio bardziej nagłącymi niż zwykle. Dwa w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Dwóch małych chłopców. Odeszło.

Zachowuj się normalnie, powiedzieli. Jedź do domu. Przyjdziemy po nią. Dziś w nocy.

Miarowy zgrzyt zegara nad moją szafą. Tik-tak. Tik-tak. I tak zrobili. Przyszli. W środku nocy, wykorzystując element zaskoczenia. Prawie nieuchwytny chrzęst żwiru na zewnątrz, byłam już na dole, kiedy wyłamali drzwi i wdarli się do środka.

Wrzaski. Wysoki, chudy mężczyzna w zwykłym ubraniu, nie tak jak pozostali. Rozkazy szatkowały zakisłe powietrze w salonie. Ty, na górę. Ty, tam. Wy dwaj do piwnicy. Ty. Ty. Ty.

Strumień granatowych mundurów rozlewa się po całym domu. Pistolety w dłoniach złożonych jak do modlitwy, przyciśniętych do torsów. Dreszczyk emocji związany z poszukiwaniem i jednocześnie przerażenie wywołane prawdą wryte na ich twarzach.

A potem ty.

Wywleczona ze swojego pokoju. Z czerwonym odciskiem od pościeli na policzku, oczy zamglone, gdy przechodziłaś z fazy snu w fazę aresztowania. Nie odezwałaś się ani słowem. Nawet kiedy wcisnęli ci twarz w dywan, plecy przygwoździli kolanami i łokciami, odczytali twoje prawa. Koszula nocna podjechała ci wysoko nad uda. A ty bez majtek. Upokarzające to wszystko.

Odwróciłaś głowę w bok. By być twarzą do mnie. Nie odrywałaś ode mnie wzroku, z łatwością czytałam w twoich oczach. Im nic nie powiedziałaś, ale mnie wszystko. Skinęłam głową.

Ale dopiero wtedy, gdy nikt nie patrzył.

2

Nowe imię. Nowa rodzina.

Lśniąca.

Nowa.

Ja.

Mój przybrany tata Mike jest psychologiem, specjalistą od traum; zresztą jego córka, Phoebe, też, choć raczej od powodowania niż leczenia. Saskia, matka. Chyba stara się, bym poczuła się u nich dobrze, choć nie jestem pewna, czy tak bardzo się różni od ciebie, mamusiu. Chuda i nieobecna.

Ale masz szczęście, mówił mi personel oddziałowy, kiedy czekałam na przybycie Mike'a. Co za fantastyczna rodzina z tych Newmontów, a do tego jeszcze taka szkoła jak Wetherbridge. Ojej. OJEJ. Tak, jasne. Powinnam czuć, że mi się poszczęściło, ale tak naprawdę jestem przerażona. Przerażona, że odkryję, kim i czym mogę być.

Przerażona, że oni również to odkryją.

Minął już tydzień od czasu, gdy Mike po mnie przyjechał, pod koniec letnich wakacji. Włosy miałam starannie wyszczotkowane, ściągnięte przepaską, ćwiczyłam, jak mówić, czy powinnam siedzieć, czy stać. Z każdą mijającą minutą, kiedy zamiast jego głosu słyszałam tylko dowcipkujące pielęgniarki, utwierdzałam się w przekonaniu, że Mike i jego rodzina zmienili zdanie. Poszli po rozum do głowy. Stałam jak wmurowana, czekając, aż mi powiedzą, przykro nam, dziś nigdzie nie pojedziesz.

Ale wtedy on przyszedł. Przywitał mnie uśmiechem, mocnym uściskiem dłoni, nie oficjalnym, ale przyjemnym, miło wiedzieć, że nie boi się kontaktu. Podejmuje ryzyko zarażenia. Pamiętam, że zauważył brak rzeczy, miałam tylko jedną małą walizkę. A w niej kilka książek, kilka ciuchów, no i ukryte różne drobiazgi, pamiątki po tobie. Po nas. Resztę zabrano, jako materiał dowodowy, kiedy ogołociono nasz dom. Nie ma się czym martwić, powiedział Mike, zorganizujemy wyprawę na zakupy. Saskia i Phoebe są w domu, dodał, zjemy wspólnie kolację, to będzie prawdziwe powitanie.

Spotkaliśmy się z dyrektorem oddziału. Łagodnie, powoli, powiedział, przyjmuj każdy dzień, jak leci. Chciałam mu powiedzieć, że to nocy się boję.

Wymiana uśmiechów. Uścisków dłoni. Mike podpisał się, gdzie trzeba, spojrzał na mnie i spytał, gotowa?

Nie bardzo, nie.

Ale i tak z nim wyszłam.

Jazda do domu trwała krótko, niecałą godzinę. Wszystkie ulice i budynki były dla mnie nowe. Dotarliśmy na miejsce jeszcze za dnia, duży dom, białe filary przy wejściu. W porządku? – spytał Mike. Pokiwałam głową, choć wcale nie czułam się dobrze. Czekałam, aż otworzy drzwi; serce podeszło mi do gardła, kiedy zobaczyłam, że nie są zamknięte na klucz. Weszliśmy od razu do środka, każdy by tak mógł. Zawołał żonę, wcześniej kilka razy się z nią widziałam. Sas, powiedział, jesteście. Już idę, padło w odpowiedzi. Cześć, Milly, powiedziała, witaj. Uśmiechnęłam się, bo pomyślałam, że tak powinnam. Rosie, ich terierka, też się ze mną przywitała, skakała mi na nogi, parsknęła z radości, kiedy podrapałam ją za uszami. Gdzie Phoeb? – spytał Mike. Właśnie wraca od Clondine, odparła Saskia. Świetnie, powiedział, w takim razie kolacja mniej więcej za pół godziny. zaproponował, by Saskia zaprowadziła mnie do mojego pokoju, pamiętam, że skinął głową, jakby dla dodania otuchy. Jej, nie mnie.

Szłam za nią po schodach, starałam się nie liczyć. Nowy dom. Nowa ja.

Na trzecim piętrze będziecie same z Phoebe, wyjaśniła, my jesteśmy piętro niżej. Przydzielili ci pokój na tyłach domu, z balkonu jest ładny widok na ogród.

Na początku ujrzałam żółć słoneczników. Jaskrawa barwa. Uśmiechy w wazonie. Podziękowałam jej, powiedziałam, że to jedno z moich ulubionych kwiatów, wyglądała na zadowoloną. Rozgość się, powiedziała, w szafie jest trochę ubrań, oczywiście kupimy ci więcej, będziesz mogła wybrać. Spytała, czy czegoś potrzebuje, odpowiedziałam, że nie, i wyszła.

Postawiłam walizkę, podeszłam do drzwi balkonowych, sprawdziłam, czy są zamknięte. Zabezpieczone. Szafa po prawej, wysoka, stara, sosnowa. Nie zajrzałam do środka, nie chciałam myśleć o wkładaniu i zdejmowaniu ubrań. Kiedy się odwróciłam, zauważyłam szuflady pod łóżkiem, otworzyłam je, obmacałam z tyłu i po bokach – nic nie znalazłam. Bezpiecznie, na razie. Przyległa łazienka, wielka, lustro zajmujące całą ścianę po prawej. Odwróciłam się od swojego odbicia, nie chciałam, by mi przypominało. Upewniłam się, że zamek w drzwiach łazienki działa i że nie można otworzyć go z zewnątrz, potem usiadłam na łóżku i starałam się nie myśleć o tobie.

Wkrótce usłyszałam kroki na schodach. Próbowałam zachować spokój, przypomnieć sobie ćwiczenia oddechowe, których uczył mnie psycholog, ale miałam mętlik w głowie, więc kiedy stanęła w drzwiach, skupiłam się na jej czole, bo tylko taką bliskość kontaktu wzrokowego mogłam znieść. Kolacja gotowa, jej głos kojarzył mi się z mruzeniem, kremowym, z kapką drwiny, był taki, jak zapamiętałam ze spotkania w opiece społecznej. Nie mogłyśmy spotkać się na oddziale, nie wolno jej było poznać prawdy, nie chciano też dać jej pożywki do rozmyślań. Pamiętam, że czułam się onieśmielona. Tym, jak na mnie patrzyła ta

pewna siebie blondynka, znudzona, zmuszona do witania obcych w swoim domu. Dwukrotnie w czasie spotkania spytała, jak długo zostanę. Dwukrotnie została uciszona.

Tata poprosił, bym po ciebie przyszła, powiedziała, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Defensywna. Widziałam, jak personel szpitalny nadawał pacjentom etykiety zgodnie z tym, co wynikało z języka ich ciała. Cicho obserwowałam, sporo się nauczyłam. Minęło już trochę czasu, ale utkwilo mi w pamięci to, co powiedziała Phoebe, zanim obróciła się na pięcie jak wściekła baletnica: A, i witaj w domu wariatów.

Szłam za jej zapachem, słodkim i różowym, aż do kuchni, wyobrażając sobie, jak by to było mieć siostrę. Jakimi siostrami mogłybyśmy zostać. Ona byłaby jak Meg, a ja jak Jo z *Małych kobietek*, pomyślałam. Na oddziale mówiono mi, że nadzieja to moja najlepsza broń, że właśnie nadzieja pozwoli mi przetrwać.

A ja, głupia, w to uwierzyłam.

3

Tej pierwszej nocy spałam w ubraniu. Jedwabnej piżamy wybranej przez Saskię dotknęłam tylko po to, by usunąć ją z łóżka. Kontakt skóry ze śliskim materiałem. Teraz sypiam już lepiej, przynajmniej przez część nocy. Przeszłam długą drogę, odkąd cię opuściłam. Personel z oddziału powiedział mi, że przez pierwsze trzy dni w ogóle się nie odzywałam. Siedziałam na łóżku, oparta plecami o ścianę. Zagapiona. Milcząca. Stwierdzili, że to szok. Coś o wiele gorszego, chciałam powiedzieć. Coś, co przychodziło do mojego pokoju za każdym razem, kiedy pozwoliłam sobie zasnąć. Wpełzało pod drzwiami, syczało na mnie, tytułowało siebie mamusią. Nadal tak robi.

Kiedy nie mogę zasnąć, nie liczę owiec, tylko dni, które zostały do procesu. Ja przeciw tobie. Wszyscy przeciw tobie. Dwanaście tygodni w poniedziałek. Osiemdziesiąt osiem dni, i liczenie. Liczę od góry i od dołu. Liczę, dopóki się nie rozplączę, a potem znów, dopóki nie przestanę płakać, i wiem, że to źle, ale gdzieś pośród tych liczb zaczynam za tobą tęsknić. Będę musiała wykonać ciężką pracę pomiędzy teraz a wtedy. Są sprawy, które muszę ułożyć sobie w głowie. Sprawy, które muszę ogarnąć, skoro mam zeznawać przed sądem. Tyle można poplątać, kiedy wszystkie oczy są skierowane w tę samą stronę.

Mike ma odegrać ważną rolę przy zadaniu, które trzeba wykonać. Plan terapii ustalony pomiędzy nim a personelem szpitala zakłada w okresie poprzedzającym proces jedną sesję terapeutyczną tygodniowo. Chodzi o to, bym miała możliwość omówienia z nim wszelkich spraw, które mnie niepokoją lub martwią. Wczoraj zasugerował środy, środek każdego tygodnia. Zgodziłam się, ale nie dlatego, że chciałam. Tylko dlatego, że on tak chciał, myśli, że to mi pomoże.

Szkoła zaczyna się jutro, jesteśmy wszyscy w kuchni. Phoebe mówi, dzięki Bogu, nie mogę się doczekać, kiedy tam wrócę i wyniosę się z tego domu. Mike zbywa to śmiechem, Saskia wygląda na zasmuconą. W ostatnim tygodniu zauważyłam, że coś jest nie tak między nią a Phoebe. Istnieją prawie całkiem niezależnie od siebie, Mike to tłumacz, mediator. Czasami Phoebe mówi do niej Saskia, nie mammo. Spodziewałam się, że zostanie ukarana, kiedy za pierwszym razem usłyszałam, że tak mówi, ale nie. Przynajmniej ja nie widziałam. Nie widziałam też, by się dotykały, a myślę, że dotyk to oznaka miłości. Jednak nie ten rodzaj dotyku, jakiego ty doświadczyłaś, Milly. Jest dobry dotyk i zły dotyk, mówił personel na oddziale.

Phoebe oznajmia, że wychodzi, by spotkać się z niejaką Izzy, która właśnie wróciła z Francji. Mike sugeruje, by zabrała mnie ze sobą, zapoznała z koleżanką.

Phoebe przewraca oczami i mówi, daj spokój, nie widziałam Iz przez całe lato, ona może poznać ją jutro. Milly byłoby miło poznać jedną z dziewcząt, nalega Mike, zabierz ją w któreś z tych miejsc, gdzie spędzacie czas. Dobra, zgadza się, ale to nie mój obowiązek.

– Jednak miło z twojej strony – mówi Saskia.

Phoebe wbija spojrzenie w matkę. Mierzy się z nią wzrokiem, aż wreszcie wygrywa. Saskia odwraca oczy, różowieją jej policzki.

– Chciałam tylko powiedzieć, że miło postępujesz.

– Taa, ale przecież nikt cię nie pytał o zdanie.

Czekam na gwałtowną reakcję, rękę albo przedmiot. Ale nic. Tylko Mike:

– Proszę cię, nie odzywaj się tak do matki.

Po wyjściu z domu widzimy dziewczynę w dresie, która siedzi na murku naprzeciwko naszego podjazdu, patrzy na nas, kiedy ją mijamy. Phoebe mówi, wypierdalaj stąd, gówniario, znajdź se inny murek do siedzenia. W odpowiedzi dziewczyna wystawia palec w górę.

– Kto to był? – pytam.

– Zawszona gówniara z osiedla.

Kiwa w stronę bloków po lewej stronie drogi.

– A tak nawiasem mówiąc, to się nie przyzwyczajaj. Kiedy szkoła zacznie się na dobre, będę zajmować się swoimi sprawami.

– Dobra.

– Ta ślepa uliczka prowadzi za nasz ogród, dalej prawie nic nie ma, tylko kilka garaży i takie tam, można dojść tą drogą szybciej do szkoły.

– O której zwykle rano wychodzisz?

– To zależy. Zazwyczaj spotykam się z Iz i idziemy razem. Czasem zaglądamy na chwilę do Starbucksa, ale w tym semestrze jest sezon hokejowy, a ja jestem kapitanem, więc przeważnie będę wychodziła wcześniej, żeby poćwiczyć i tak dalej.

– Musisz być bardzo dobra, skoro jesteś kapitanem.

– Raczej tak. Więc co z tobą? Gdzie twoja rodzina?

Niewidzialna ręka sięga do dołka w brzuchu, mocno mnie tam ściska, nie odpuszcza. Czuję, że głowa znów mi się zapełnia. Spokojnie, mówię sobie, ćwiczyłam w kółko te pytania z personelem na oddziale.

– Mama odeszła, jak byłam mała, mieszkałam z tatą, ale niedawno zmarł.

– Kurwa, to do dupy.

Kiwam głową, na tym poprzestaję. Mniej znaczy więcej, mówili mi.

– Tata pewnie pokazywał ci w zeszłym tygodniu okolicę, w każdym razie na końcu naszej ulicy, o tutaj, jest skrót do szkoły.

Wskazuje w prawo.

– Przejdiesz przez ulicę, skręcisz w pierwszą w lewo, a potem w drugą

uliczkę po prawej, i stamtąd masz jakieś pięć minut do szkoły.

Już mam podziękować, gdy coś odwraca jej uwagę, wywołuje szeroki uśmiech. Podążam za jej wzrokiem i widzę blondynkę, która właśnie przechodzi przez ulicę, idzie w naszym kierunku i posyła z przesadnym zapałem całusy w powietrzu. Phoebe śmieje się i macha, mówi, to jest Iz. Dziewczyna ma na sobie wystrzępione dżinsowe szorty, jej nogi lśnią brązowo, i jest ładna, jak Phoebe. Bardzo ładna. Patrząc, w jaki sposób się witają, oplatając wokół siebie, rozmowa zaczyna się z prędkością stu kilometrów na godzinę. Przerzucają się pytaniami, wyjmują z kieszeni telefony, porównują zdjęcia. Podśmiewają się z chłopaków i dziewczyny o imieniu Jacinta, o której Izzy mówi, że w bikini wygląda jak straszdyło, przysięgam, cały pieprzony basen opustoszał, jak weszła popływać. Cała ta interakcja zajmuje kilka minut, ale ponieważ głupio jest być ignorowaną, wydaje mi się, jakby to trwało godziny. W końcu Izzy patrzy na mnie, a potem mówi do Phoebe:

– Kim więc jest obecna nowicjuszka w ośrodku ratunkowym Mike’a?

Phoebe śmieje się i odpowiada:

– Ma na imię Milly. Zostanie z nami na trochę.

– Przecież twój tata miał już nikogo nie brać.

– Niby tak. Ale wiesz, że nie potrafi się powstrzymać, jeśli chodzi o bezdomne stworzenia.

– Będziesz chodzić do Wetherbridge? – pyta Izzy.

– Tak.

– Jesteś z Londynu?

– Nie.

– Masz chłopaka?

– Nie.

– O rany, czy mówisz tylko językiem robotów? Tak. Nie. Nie.

Wymachuje rękami i wydaje z siebie mechaniczny odgłos jak Dalek z tego odcinka *Doktora Who*, który oglądałam w kółku teatralnym w swojej starej szkole. Obie wybuchają śmiechem, wracają do swoich telefonów. Chciałabym móc im powiedzieć, że mówię tak powoli i konkretnie, kiedy jestem zdenerwowana, i chcę odfiltrować szum. Biały szum, przerywany przez twój głos. Nawet teraz, zwłaszcza teraz jesteś tutaj, w mojej głowie. Normalne zachowanie kosztowało cię mało wysiłku, a mnie lawinę. Zawsze dziwiłam się, że jesteś w pracy tak uwielbiana. Żadnej przemocy ani napadów szału, ten łagodny uśmiech, ten kojący głos. Jadły ci z ręki, izolowałaś je. Wybierałaś kobiety, o których wiedziałaś, że zdołasz je przekabacić, szeptałaś im do uszu. Bezpieczne. Kochane. Sprawiałaś, że właśnie tak się czuły, i dlatego powierzały ci swoje dzieci.

– Chyba pójdę do domu, niezbyt dobrze się czuję.

– Dobra – odpowiada Phoebe. – Tylko żebym nie miała przez ciebie

problemów z tatą.

Izzy podnosi na mnie wzrok, uśmiecha się prowokacyjnie.

– Do zobaczenia w szkole – mówi, a kiedy odchodzę, słyszę, że dodaje: – Chyba będziemy mieć niezły ubaw.

Dziewczyny w dresie nie ma już na murku. Zatrzymuję się, by spojrzeć na osiedle, wędruję wzrokiem po blokach sięgających nieba, odchylam głowę do tyłu. W Devon nie było bloków, tylko domy i pola. Całe hektary prywatności.

Kiedy wracam do domu, Mike pyta, gdzie Phoebe. Wyjaśniam, że z Izzy, on na to się uśmiecha, chyba przeprasza.

– Przyjaźnią się od zawsze – mówi. – Mają do nadrobienia całe lato. Chcesz może pogadać chwilę w moim gabinecie przed pierwszym dniem w szkole?

Mówię tak – zdaje się, że często wypowiadam to słowo, jest dobre, mogę się za nim skryć. Gabinet Mike'a jest wielki, z oknami wykuszowymi wychodzącymi na ogród. Biurko o barwie mahoni, ramka ze zdjęciem i zielona staroświecka lampa do czytania, sterty papierów. Znajduje się tu domowa biblioteka, rzędy wbudowanych półek są pełne książek, pozostałe ściany pomalowano na fioletoworóżowo. Czuje się tu stabilność. Bezpieczeństwo. Mike widzi, że patrzę na półki, śmieje się. Wiem, wiem, mówi, o wiele za dużo, ale tak między nami, nie sądzę, by kiedykolwiek mogło być za dużo książek.

Kiwam głową, zgadzam się.

– Miałaś w szkole dobrą bibliotekę?

Nie podoba mi się to pytanie. Nie lubię myśleć o życiu, o tym, jakie było wcześniej. Ale odpowiadam, wykazuję dobrą wolę.

– Nie bardzo, ale w pobliskiej wsi była jedna biblioteka, czasem tam chodziłam.

– Czytanie jest bardzo terapeutyczne, mów, jak będziesz chciała coś pożyczyć. Mam tego mnóstwo, jak widzisz.

Mruga, ale nie w sposób, który wywołuje zmieszanie, wskazuje mi fotel, siadaj. Odpręż się. Siadam, widzę, że drzwi do gabinetu są zamknięte, Mike musiał je zamknąć, kiedy przyglądałam się książkom. Wskazuje na fotel, w którym siedzę.

– Wygodny, prawda?

Kiwam głową, staram się wyglądać na odprężoną, pokazać, że mi wygodnie. Chcę, by było, jak trzeba. Poza tym się rozkłada, dodaje Mike, wystarczy nacisnąć na dźwignię z boku, zrób tak, jeśli masz ochotę. Nie mam ochoty, więc tak nie robię. Myśl o tym, że mogę być z kimś w pokoju sama i leżeć na plecach na rozkładanym fotelu. Nie. Nie podoba mi się ten pomysł.

– Wiem, że rozmawialiśmy o tym na oddziale, przed twoim zwolnieniem, ale ważne, by powtórzyć jeszcze raz to, co ustaliliśmy, zanim pochłonie cię życie szkolne.

Jedna z moich stóp zaczyna podrygiwać. Mike patrzy na nią.

– Wyglądasz niepewnie.

– Trochę.

– Proszę cię tylko, byś miała otwarty umysł, Milly. Traktuj te sesje jak chwile wytchnienia, miejsce, w którym możesz się zatrzymać i wziąć oddech. Mamy niecałe trzy miesiące do rozpoczęcia procesu, więc częściowo będziemy pracować nad tym, by cię do niego przygotować, ale będziemy również kontynuować trening relaksacyjny, który rozpoczął z tobą psycholog na oddziale.

– Czy musimy nadal to robić?

– Tak, to ci pomoże na dłuższą metę.

Jak mam mu powiedzieć, że nie pomoże. Jeśli rzeczy, które mnie przerażają, znajdują ujście.

– Milly, to leży w ludzkiej naturze, że chcemy unikać rzeczy, które stwarzają poczucie zagrożenia, utraty kontroli, ale ważne, by w to wejść. Rozpocząć proces zamykania pewnych spraw. Chciałbym, byś pomyślała o jakimś miejscu, które wydaje ci się bezpieczne, poproszę, byś opowiedziała mi o nim na następnym spotkaniu. Z początku może wydać ci się to trudne, ale chcę, byś spróbowała. To może być dowolne miejsce, klasa w twojej starej szkole, autobus, którym dojeżdżałaś.

Ona wozila mnie do szkoły. Codziennie.

– Albo jakieś miejsce w sąsiedniej wsi, kawiarnia czy biblioteka, o której wspomniałaś, wszystko jedno, bylebyś miała z tym związane przyjemne odczucia. Czy to jasne?

– Spróbuję.

– Dobrze. A teraz powiedz, jak się czujesz w związku z jutrzejszym dniem? Niełatwo być „nową”.

– Cieszę się, że będę zajęta, to pomaga.

– Tylko powoli, nie przesadz z tym, w Wetherbridge mogą mieć spore wymagania, ale nie wątpię, że sobie poradzisz. Czy chciałabyś jeszcze o czymś porozmawiać albo o coś spytać, coś cię niepokoi?

Wszystko.

– Nie, dziękuję.

– W takim razie na dziś wystarczy, ale jeśli coś się pojawi przed pierwszą sesją, moje drzwi są zawsze dla ciebie otwarte.

Po powrocie do pokoju mimowolnie gryzę się tym, że Mike chce kontynuować hipnozę. Myśli, że jak nazwie to „treningiem relaksacyjnym”, nie kapnę się, o co chodzi, ale ja wiem. Podśluchałam, jak psycholog z oddziału mówił koledze, że technika hipnozy, którą stosuje, może okazać się dobrym sposobem, by mnie *otworzyć*. Lepiej zostawcie mnie zamkniętą, chciałam mu powiedzieć.

Przechodząc obok pokoju Phoebe, słyszę muzykę, więc pewnie wróciła. Zdobywam się na odwagę, by zapukać do jej drzwi, chcę zapytać, czego mam się

spodziewać jutro w szkole.

– Kto tam? – krzyczy.

– Milly.

– Jestem zajęta, szykuję się na jutro – odpowiada. – Powinnaś zrobić to samo.

Szeptem odpowiedź w drewno – *Boję się* – potem idę do swojego pokoju, rozkładam nowy mundurek. Granatowa spódnica, biała bluzka i krawat w paski, w dwóch odcieniach niebieskiego. I staram się, jak potrafię, nie myśleć o tobie, to wszystko, co mogę zrobić. Nasza codzienna jazda do i ze szkoły, pracowałeś na ranną zmianę, żebym nie musiała dojeżdżać autobusem. Okazja do napomnienia, piosenka, którą śpiewałeś, szczypiąc mnie. Z bólu ślina napływała mi do ust. Nasze tajemnice są wyjątkowe, mawiałaś, gdy dochodziłaś do refrenu, znamy je tylko ja i ty.

Tuż po dziewiątej przychodzi Saskia, by powiedzieć mi dobranoc. Postaraj się nie denerwować jutrzejszym dniem, mówi, Wetherbridge to naprawdę cudowna szkoła. Kiedy zamyka moje drzwi, słyszę ją przy drzwiach Phoebe. Puka, otwiera. Słyszę odpowiedź Phoebe, czego chcesz?

Tylko sprawdzam, czy jesteś gotowa na rano. Mniej więcej, odpowiada Phoebe, i drzwi się zamykają.

Przetrwałam pierwsze dwa dni w szkole, czwartek i piątek w zeszłym tygodniu, bez żadnych incydentów, chroniona przez program wprowadzający. Pogadanki o zasadach i oczekiwaniach, zapoznanie z panią Kemp, nauczycielką, która ma pełnić funkcję mojej opiekunki. Uczennice najstarszej klasy zwykle nie mają opiekunów, ale ponieważ jestem jedynym nowym nabytkiem w tym roku, a ona prowadzi zajęcia plastyczne, przydzielono mi ją. Dyrektorka z mojej dawnej szkoły przysłała list za pośrednictwem opieki społecznej, napisała, że jej zdaniem mam talent plastyczny. Pani Kemp wyglądała na zachwyconą, powiedziała, że nie może się doczekać, kiedy zobaczy, co potrafię. Sprawia wrażenie miłej, dobrej, chociaż nigdy nie wiadomo. Tak naprawdę. Głównie zapamiętałam jej zapach, papierosy zmieszane z czymś jeszcze, ale nie wiem z czym. To coś znajomego.

Weekend był spokojny. Mike pracuje w soboty w prywatnym gabinecie w Notting Hill Gate – skąd pochodzą właściwe zarobki. Saskia wychodziła kilka razy, na jogę i w innych sprawach. Phoebe u Izzy. Dużo czasu „dla siebie”. W niedzielę wieczorem Mike i Saskia zabrali mnie do kina Electric na Portobello Road i chociaż to się tak różniło od naszych wieczorów filmowych w domu, przez cały czas myślałam o tobie.

Kiedy wróciliśmy, Phoebe była w pokoju rekreacyjnym, wyszła z wściekłą miną. Jak milutko, powiedziała. Pytaliśmy, czy chcesz iść, odparł Mike. Wzruszyła ramionami, taa, ale nie wróciłam na czas od Izz, no nie?

Poszliśmy razem na górę. Wygląda na to, że się przyjemnie zadamawiasz, powiedziała. Ciesz się, póki możesz, nie zostaniesz tu długo, nikt nie zostaje. Poczułam to głęboko w brzuchu. Sygnał alarmowy.

Następnego ranka na śniadaniu jestem tylko ja i Mike. Wyjaśnia, że Saskia chciała sobie dłużej pospać. Nie wie, że widziałam tabletki w jej torebce.

Niestety Phoebe już wyszła, mówi. Chcesz, żebym cię odprowadził, to twój pierwszy pełny tydzień? Mówię mu, że sobie poradzę, chociaż wcale nie jestem pewna, czy to prawda. Podczas pierwszych dwóch dni wprowadzających jadłam obiad z innymi dziewczynami w stołówce. Początkowe zaciekawienie wkrótce przeszło w brak zainteresowania, kiedy się rozeszło – ona gada jak robot, gapi się na swoje stopy. Pojebus-ka. Ukrywam, że czasem ręce mi się trzęsą – trwałe uszkodzenie systemu nerwowego – wkładając je do kieszeni marynarki szkolnej albo trzymając teczkę. Widać jasno, że w tej szkole wszystko idzie szybko, w mgnieniu oka cię akceptują albo wykluczają. Nie ma co się oglądać na Phoebe, to oczywiste, że nie ma ochoty się ze mną zadawać, więc jestem ignorowana, zostaję zaklasyfikowana jako obca. TA obca.

Jednak dzisiaj, w poniedziałek, jest inaczej.

Dzisiaj, kiedy przechodzę przez dziedziniec szkolny, dziewczyny z mojego rocznika chichoczą i znacząco poszturchują się łokciami.

Zostaje zauważona.

Zaraz po wejściu do szkoły skręcam ostro w prawo, by koniecznie ominąć środkowy korytarz, uniknąć ciężkiej próby, zgromadzenia złośliwych, snobistycznych, pięknych dziewczyn. Zostawiam za sobą chichoty, piskliwe wyzwiska, którymi tak niefrasobliwie się obrzucają, nawet te, które są przyjaciółkami – zwłaszcza te – i kieruję się do szatni.

Otwieram plecami drzwi. Ręce mam zajęte, trzymam kilka teczek.

Odwracam się. Od razu je widzę.

OGROMNE. Przyklejone do drzwiczek mojej szafki. Moje szkolne zdjęcie, zrobione w zeszłym tygodniu, pierwszego dnia w szkole. Speszona i niepewna. Brzydka. Usta lekko rozchylone, wystarczająco, by wetknąć w nie zdjęcie wielkiego penisa, niby dymek z napisem:

MILLY ZROBI LODA W KAŻDEJ CHWILI

Wchodzę, puszczam drzwi. Pomieszczenie zostaje łagodnie zapieczętowane. Ciągnie mnie do plakatu. Do mnie. Nigdy siebie takiej nie widziałam, jestem zaciekawiona. Różowy, nabrzmiały i żyłasty intruz sterczy mi z ust. Przechyłam głowę, wyobrażam sobie, że zagryzam zęby. Mocno.

Kiedy drzwi się otwierają, a potem znów zamykają, z korytarza wlewa się hałas. Czyjeś ciche kroki za mną. Zrywam plakat w tej samej chwili, kiedy ręka spoczywa na moim ramieniu. Podzwanianie ciężkich bransolet, charakterystyczny zapach spowija mnie jak koc w dzień, który i tak jest za gorący. Przeklinam się za spóźniony refleks. Zobaczyła plakat, zanim go zerwałam, wiem, że tak. Idiotka ze mnie. Powinnam się lepiej starać. By twoje nauki nie poszły w las.

– Co masz w ręku, Milly?

– Nic, pani Kemp, wszystko w porządku.

Zostaw mnie

– Daj spokój, mnie możesz powiedzieć.

– Nie ma o czym.

Kilka okazałych pierścieni. Czuję je na obojczyku, kiedy obraca mnie, bym stanęła z nią twarzą w twarz. Już się zaangażowała, czuję to, a jeśli rzeczywiście – jak podsłuchałam w rozmowach dziewczyn – jest trochę głupia, czasem za bardzo się wtrąca – wiem, że nie odpuści. Mój wzrok, przyuczony do wbijania się w ziemię, przesunął się na jej stopy. Toporne hipisowskie saboty, grube drewniane podeszwy. Im dłużej się w nie wpatruję, tym bardziej przypominają dwie łodzie wyrzucone na brzeg, które utkwiliły na sekretnej mieliźnie pod jej spódnicą. *Odpuść, zostaw mnie.*

– Nie wygląda mi to na nic. Pokaż.

Mnę kartkę z tyłu, przyciskam ją do pleców. Zaklinam w duchu. Niech ja zniknę albo ona. Dobrze. Lepiej.

– Spóźnię się, muszę już iść.

– Nie pozwolę, byś odeszła w takim stanie. Pokaż, może będę mogła pomóc.

Jej głos, operowanie nim, to niemal muzyka. Czuję się lepiej, odrobinę. Mój wzrok wędruje w górę. Łydki. Jest dla mnie nowa. Bądź ostrożna, owszem, powiedział mi psycholog, ale pamiętaj, że większość ludzi nie stanowi zagrożenia. Uda. Hipisowskie, świrowskie ciuchy. Sztruksowa spódnica, bluzka w turecki wzór, niedbały, chaotyczny styl, którego nie znosisz, mamusiu. Kolory i warstwy. Warstwy i kolory. Dłonie się splatają, ogromne pierścienie pobrzękują i postukują, jak elektryczne samochodziki na autodromie. Zdenerwowanie? Nie. Coś innego. Niecierpliwe wyczekiwanie. Tak. Ta chwila między nami. Tworzy się więź, myśli. Jej zapach, teraz mniej przytłaczający. Udaje mi się dotrzeć do jej oczu. Orzechowe i błyszczące, ciemne i jasne. Wyciąga do mnie rękę.

– Pokaż.

Rozlega się dzwonek, więc podaję jej plakat, nie chcę się spóźnić na lekcję, dodatkowo zwracać na siebie uwagi. Próbuje rozprostować wymięty papier, rozpląszcza kartkę na udzie, pociera ręką jak żelazkiem. Odwracam wzrok. Słyszę, że mocniej oddycha, jakby starała się przed czymś powstrzymać. Jak tak można? – mówi. Sięga w moją stronę, dotyka rękawa marynarki, nie kładzie jej na mojej skórze. Na szczęście.

– Lepiej o tym zapomnieć, proszę pani.

– Nie, raczej nie, muszę dowiedzieć się, kto za tym stoi, zwłaszcza że jestem twoją opiekunką. Czy wiesz, kto mógł to zrobić?

Odpowiadam, że nie, choć to niezupełnie prawda. W zeszłym tygodniu, na ulicy.

Słowa Izzy: Chyba będziemy mieć niezły ubaw.

– Już ja się dowiem, Milly, nie martw się.

Chcę jej powiedzieć, by się nie przejmowała, bywało już gorzej, ale nie mogę – ona nie wie, kim jestem, skąd się tu wzięłam. Kiedy znów opuszcza wzrok na plakat, mój wzrok przyciąga jej szyja. Puls, silny i miarowy. Z każdym uderzeniem otaczająca skóra lekko drży. Gubię wątek myśli, kiedy Phoebe i Izzy wpadają do szatni i stają jak wryte, gdy widzą, że nie jestem sama. Najwyraźniej przyszły triumfować, w rękach trzymają telefony przygotowane do zrobienia zdjęcia. By uchwycić ten moment. Nerwowe spojrzenia, które wymieniają, to wystarczający dowód. Nie rozumiem, dlaczego ludzie nie potrafią lepiej ukrywać swoich uczuć, choć trzeba uczciwie przyznać, że miałam w tym większą praktykę niż ogół. Pani Kemp zauważyła, jak na siebie spojrzały, wyciąga wnioski. Właściwe. Może wcale nie jest taka głupia, jak się dziewczynom wydaje.

– Aż trudno w to uwierzyć. Phoebe, zwłaszcza ty, jak mogłaś? Co by na to powiedzieli twoi rodzice? Byliby wściekli. No nie wiem, dziewczyny, po prostu nie mam pojęcia, jak możecie się tak traktować. Muszę się nad tym zastanowić. Macie przyjść do mnie do pracowni plastycznej natychmiast po podpisaniu listy obecności.

– Ale, pani Kemp, jest spotkanie w związku z cyklem meczów hokejowych w tym semestrze, muszę na nim być, jestem kapitanem.

– Nie przerywaj mi, Phoebe, jasne? Ty i Izzy macie się zjawić w mojej pracowni najpóźniej przed ósmą pięćdziesiąt pięć, w przeciwnym razie ta sprawa sięgnie dalej, o wiele dalej. Zrozumiano?

Cisza, kilkusekundowa. Odzywa się Izzy:

– Tak, pani Kemp.

– Dobrze, idźcie zaznaczyć obecność, a potem proszę do mnie. Milly, ty lepiej też idź się podpisać i nie martw się, załatwię to.

Gdy idę do rejestracji, serce mocno mi wali przez całą drogę. Pani Kemp, zbyt zajęta „zaangażowaniem”, nie zauważyła gestu, który wykonała Phoebe, gdy wyszliśmy z szatni. Przejechała palcem po gardle. Oczy wbite we mnie. Trup. Ja. Trup.

Akurat.

Phoebe, dziecino.

Niecałe dwie godziny później, za sklepikiem szkolnym, zachodzą mnie z dwóch stron, napierają na mnie. Zabawa w sardynki, połączona z potrząsaniem lśniąco włosami.

– Jak to jest być nową małą dziwką pani Kemp? – Gorący oddech Izzy w moim lewym uchu.

Phoebe nie ma nigdzie w zasięgu wzroku. W końcu głupia nie jest. Zastąpiła ją z ochotą, by się przypodobać, jej druga przyjaciółka, Clondine, jest po mojej prawej, rękawy wysoko podwinięte. Toalety za pracownikami przyrodniczymi, rzadko używane, oznaczają kłopoty. Nakierowują mnie na drzwi. Szturchają, popychają, wtryniają do środka.

Nie tracą czasu.

– Masz się za cwaniarę? Naskarzyłaś na nas swojej pańci Kemp.

– Nic jej nie powiedziałam.

– Słyszysz, Clondine, zaprzecza.

– Tak, słyszę, tylko że jej, kurwa, nie wierzę.

Izzy podchodzi blisko z telefonem w rękę. Filmuje nas. Popycha mnie. Mocno. Czuję zapach truskawek w jej oddechu, tak kuszący, że mogłabym wpełznąć jej w usta. Guma do żucia widoczna między kłapiącymi zębami cheerleaderki, bez aparatu, jak u Clondine, która ma usta pełne metalu, upstrzonego kolorowymi gumkami. Opiera rękę na ścianie nad moją głową, chce, bym poczuła się mała. Zagrożona. Scena z jakiegoś filmu, który widziała. Wydmuchuje balon. Różowy i matowy. Balon styka się z moim nosem, flaczeje na nim. Rozlegają się chichoty. Izzy się cofa, Clondine podejmuje pałeczkę:

– Podaj mi swój numer i nie mów, że nie masz telefonu, Phoebe powiedziała, że Mike ci kupił.

Cisza.

Twój głos w mojej głowie. MOJA CÓRUCHNA, POKAŻ IM. POWINNAŚ BYĆ TERAZ WDZIĘCZNA ZA LEKCJE, KTÓRYCH CI UDZIELIŁAM, ANNIE. Twoja pochwała, tak rzadka, kiedy przychodzi, pustoszy mnie jak pożar w buszu, który połyka swą gorącą, wygłodniałą gębą domy i drzewa, i inne, mniej silne nastolatki. Spotykam ich spojrzenia, resztki gumy Izzy zwisają mi z brody. Są zaskoczone moim oporem, widzę to. Ale tylko chwilowo. Drgnienie mięśni przy ich soczystych ustach, oczy nieco szerzej otwarte. Kręcę głową, powoli i rozmyślnie. Izzy, głodniejsza z nich dwóch, chwytą przynętę.

– Daj mi swój cholerny numer, suko.

Popycha mnie, przyciska swą twarz do mojej, przyjmuję ten kontakt

z zadowoleniem. Jestem prawdziwa. Zobacz mnie, poczuj mnie, ale wiedz, że przychodzę z miejsca, gdzie coś takiego to zaledwie rozgrzewka.

Znów kręcę głową.

Piekący ból na policzku, w uchu, po drugiej stronie. Spoliczkowana. Słyszę śmiech, podziw dla występu Izzy. Mam zamknięte oczy, ale wyobrażam sobie, że właś-nie się kłania, zawsze skora do popisów. Jej głos jest słaby, zagłusza go niemal dzwonięcie w moim uchu, ale słowa nie pozostawiają wątpliwości:

– Nie. Spytam. Kolejny. Raz.

A ja nigdy nie zapominam.

Nigdy.

Kiedy dostają to, czego chcą, wychodzą. Dotykam palącego policzka, co przypomina mi o tobie. Wpadam w wir wspomnień. Jesteśmy znów w naszym domu, czuję zapach lawendy, którą tak uwielbiasz, waza w łazience. To noc twojego aresztowania, całe popołudnie spędziłam w komisariacie. Podrobiłam list od ciebie, zaniiosłam do sekretariatu w szkole, zostałam zwolniona po przerwie obiadowej, bez żadnych pytań.

Bałam się tego wieczoru patrzeć na ciebie, spojrzeć ci w oczy, jakby wstydlivy uczynek był wypisany sprayem na mojej twarzy. Zaproponowałam, że zrobię prasowanie, wszystko, byle powstrzymać drżenie dłoni, i jeszcze żebym była uzbrojona, gdyby policja zjawiała się wcześniej, a ty przyszedłabyś po mnie. Wyglądałaś inaczej, wydawałaś się mniejsza, nadal przerażająca, ale jakby mniej. Ale to nie ty się zmieniłaś, tylko ja. Kres w zasięgu wzroku. Albo początek.

Martwiłam się, że mogą nie przyjść, zmienić zdanie, uznać, że wszystko zmyśliłam. Staralam się oddychać normalnie, stać normalnie, nie żeby to miało znaczenie, bo potrafiłaś wpaść w szal zupełnie nieoczekiwanie. W jednej chwili układałaś kwiaty, a w następnej domagałaś się ode mnie jakiegoś występu. Niewiele jest codziennych zajęć, które nie przypominają mi o tobie, o tym, jak lubiłaś je wykonywać. Kiedy nadeszła noc, czekałam, aż mi powiesz, gdzie mam spać. Czasami sypiałam w twoim łóżku, innym razem otrzymywałam ulaskawienie i byłam odsyłana do własnego. Zabawne albo smutne, ale część mnie chciała spać z tobą tej nocy, bo wiedziałam, że to nasza ostatnia, a inna część mnie była zbyt przerażona, by pójść sama na górę. Osiem w górę. I jeszcze kolejne cztery. Drzwi po prawej. Naprzeciwko moich. Plac zabaw.

Bez słowa zamknęłaś drzwi swojej sypialni, to była jedna z tych nocy. Potrafiłaś całymi dniami nie odzywać się do mnie albo mnie nie zauważać, a potem mnie pochłaniałaś, moją skórę, włosy, w kilka minut, cokolwiek zdołałaś capnąć. Powiedziałam tej nocy, żegnaj, wyszeptalam to. Myślę, że mogłam też powiedzieć, kocham cię, bo tak było. Nadal kocham, choć staram się nie.

Kiedy weszłam na górę, oparłam się o ścianę w korytarzu przed pokojem, który był naprzeciwko mojego, musiałam poczuć coś solidnego za plecami, jednak

szybko stamtąd odeszłam. Usłyszałam je. Głosy maleńkich duchów krwawiące przez ścianę. Pikujące. Gwałtownie opadające. Ziemia niczyja.

Ona tam będzie, będzie czekać, dziewczyna, która pokazała Phoebe palec, wiem, że będzie. Od tego pierwszego wieczoru widziałam ją kilka razy. Skręcam za róg, wychodzę na swoją ulicę, i ona tam jest, siedzi na murku. Czuję coś w brzuchu, skurcz, nie strach. Chyba przyjemność. Podniecenie. Jest mała, samotna. Jeszcze z nią nie rozmawiałam, ale się do tego przymierzam. Kiedy podchodzę bliżej, zaczyna majtać nogami, uderza raz jedną, raz drugą piętą w murek, który otacza jej osied-le naprzeciw mego domu. Jej prawe oko jest zasiniowane i opuchnięte, półprzymknięte. Koszulka piłkarska, cała niebieska. Drugie, normalnie otwarte oko wgapia się we mnie, kiedy przechodzę. Mruga, mruga ponownie. Jednooki szyfr Morse'a. Wyciągam chipsy, paczka otwiera się z trzaskiem, wie, że ma do odegrania pewną rolę. Zerkam na nią. Jej zdrowe oko spogląda w drugą stronę, zaczyna się beztroskie pogwizdywanie. Piegowata i wyniosła. Wzruszam ramionami, przechodzę na drugą stronę ulicy. Trzy, dwa...

– Masz coś do jedzenia?

Jeden.

Odwracam się twarzą do niej.

– Możesz się poczęstować moimi chipsami.

Rozgląda się, patrzy przez ramię, jakby sprawdzała, czy jesteśmy same, a potem pyta:

– Jaki smak?

– Sól i ocet.

Podchodzę do niej, podsuwam paczkę. Jeśli chce chipsy, będzie musiała zejść z murku. Zeskakuje. Błyskawicznie chwyta paczkę, siada z powrotem. Jej zdarte adidasy rozpoczynają ponownie swój taniec: bum, bum, prawy, lewy. Pytam, jak ma na imię, ale mnie ignoruje. W kilka minut pożera chipsy. Dosłownie je pochłania. Odwraca paczkę, przykłada do ust, puka, znikają ostatnie okruszki. Pusta paczka leci na ziemię. Dziewczyna jest starsza, niż się wydaje, ma dwanaście albo trzynaście lat. Mała jak na swój wiek.

– Masz coś jeszcze?

– Nie, już nic.

Wydmuchuje balon ze śliny, co jest zarówno obrzydliwe, jak i fascynujące. Sposób, w jaki balon formuje się w jej ustach, a potem jest zasysany z powrotem. Bezczelna, jednak dziecinna, wszystko naraz. Chcę ją spytać, czemu tak często tu samotnie przesiaduje, dlaczego murek na ulicy jest lepszy niż dom, ale ona odchodzi. Przerzuca nogi przez murek, zmierza w kierunku jednego z bloków. Patrzę za nią, ona to wyczuwa. Odwraca się, posyła mi spojrzenie, które ma chyba

znaczyć, o co ci chodzi. Uśmiecham się w odpowiedzi, ona wzrusza ramionami. Próbuję jeszcze raz.

– Jak masz na imię? – wołam.

Przystaje, odwraca się do mnie, wbija czubek buta w ziemię. Raz. Drugi raz.

– Kto chce wiedzieć?

– Milly, mam na imię Milly.

Przymruża oczy, na jej twarzy pojawia się przebłysk niepewności, ale i tak odpowiada.

– Morgan.

– Ładne imię.

– Może i tak – odpowiada, zrywa się do biegu i wkrótce znika mi z oczu.

Kiedy przechodzę przez ulicę, turlam litery jej imienia po języku i ustach, a kiedy szukam w torbie kluczy, czuję mimowolne zadowolenie. Postawiłam się Clondine i Izzy i odezwałam do dziewczyny z murku. Potrafię wieść życie po tobie.

6

Na razie udaje mi się utrzymywać twoje nocne wizyty w tajemnicy.

To, że przybywasz pod postacią węża, przemykasz się pod drzwiami. Wślizgujesz do mojego łóżka. Układasz swoje łuskowate ciało obok mojego, wymierzasz mnie. Przypominasz, że nadal należę do ciebie. Nim nastanie ranek, ląduję na podłodze, zwinięta w kłębek, z kołdrą naciągniętą na głowę. Mam gorącą skórę, ale w środku jestem zimna, trudno to wytłumaczyć. Przeczytałam w którejś książce, że ludzie agresywni mają gorące głowy, a psychopaci zimne serca. Gorąco i zimno. Głowa i serce. A co, jeśli pochodzisz od osoby, która jest jednym i drugim?

Co się wtedy dzieje?

Jutro Mike i ja mamy się spotkać z oskarżycielami. Mężczyznami albo kobietami, którzy mają przymknąć cię na dobre. Wyrzucić klucz. Czy siedzisz w swojej celi i zastanawiasz się dlaczego? Dlaczego opuściłam cię właśnie wtedy, po tylu latach? Są dwa powody, ale tylko o jednym mogę mówić, i oto on.

Słodka szesnastka, moja. Przypada dopiero w grudniu, ale zaczęłaś planować ją kilka miesięcy wcześniej, lecz nie tak, jak powinna to robić matka. Urodziny, których nigdy nie zapomnisz, powiedziałaś. Albo nie przeżyję, pomyślałam. Zaczęły nadchodzić mejle od innych, których poznałaś. W ciemnych trzewiach internetu. Krótka lista kandydatów. Trzech mężczyzn i kobieta, zaprosiłaś ich do wspólnej zabawy. Mną. Na swoich urodzinach to ja miałam być prezentem. Piniatą do grzmocenia. Słodka szesnastka, powiedziałaś, i że nie możesz się doczekać. Słowa jak łakocie w twoich ustach. Dla mnie cytryny. Gorzkie i kwaśne.

Kiedy szykuję się do szkoły, czuję, że zaczyna mi się migrena, to kolejny podarunek od ciebie. Guziki bluzki opierają się palcom, jest tak, jakbym próbowała nawlec igłę chińskimi pałeczkami. Wszystko zabiera mi więcej czasu niż zwykle, a kiedy mijam pokój Phoebe, drzwi są zamknięte, więc zastanawiam się, czy już wyszła. Nie widziałam jej od wczorajszego spotkania w szatni. Mam nadzieję, że ona i inne dziewczyny miały już ze mną wystarczający „ubaw”.

Jesteśmy na trzecim piętrze, schody pokrywa gruby kremowy dywan. W przedpokoju na samym dole są już marmurowe kafle. Źle wymierzam ostatni stopień i potykam się, ląduję na zimnym marmurze. Musiałam krzyknąć, ponieważ Mike wychodzi z kuchni.

– Ostrożnie – mówi. – Pomogę ci.

Sadza mnie na najniższym stopniu, siada obok mnie.

– Ale mi głupio.

– Nie przejmuj się – odpowiada. – Każdemu się zdarza. A dom jest dla

ciebie wciąż nowy. Osłaniasz oczy przed światłem, czy to migrena?

– Chyba tak.

– Uprzedzano, że możemy się tego spodziewać. Chyba najlepiej będzie, jak nie pójdziesz do szkoły, w każdym razie rano. Spróbuj się przespać.

W pierwszym odruchu chcę odmówić, ale wtedy przypominam sobie, gdzie jestem – i gdzie ty jesteś. Czasami brałaś wolne w piątek, by mieć długi weekend. Dzwoniłaś do szkoły, mówiłaś, że jestem chora, złapałam wirus pokarmowy albo grypę. Trzy pełne dni, tylko ja i ty.

– Woda się właśnie zagotowała. Zrobię ci herbatę, a potem pójdziesz do łóżka, dobrze?

Kiwam głową, pomaga mi wstać. Pytam, gdzie są Phoebe i Saskia, już wyszły, wyjaśnia.

– A właśnie, Sas zostawiła w kuchni prezent dla ciebie.

Prezent jest mały, w kwadratowym pudełeczku. Zawinięty w niebieski papier, czerwona wstążeczka.

– Otwórz, jeśli chcesz.

Miły gest. Siadam przy stole i kiedy patrzę, jak Mike robi herbatę, delikatnie podnosząc i odkładając różne przedmioty, zalewa mnie uczucie wdzięczności. Niewielu ludzi przyjęłoby kogoś takiego jak ja do siebie, niewielu chciałoby dźwigać taką odpowiedzialność. Podjąć takie ryzyko. Walczę ze łzami, ale wygrywają. Łądują na liliowym obrusie. Mike to widzi, kiedy przynosi kubki, siada na krześle obok. Patrzy na nieotwarty prezent w moich rękach, mówi, żebym się nie martwiła. Nie spiesz się, napij się herbaty, jest w niej trochę miodu, słodkie dobrze ci zrobi.

Ma rację, i ciepło.

– Wiem, że dopiero wtorek, ale powinniśmy potem się spotkać, jeśli będziesz się lepiej czuła. Myślę, że dziś przyda ci się rozmowa, prawda?

Kiwam głową, chociaż chcę powiedzieć nie. Nie chcę, by brodził po moich myślach, tratował prag-nienia. Poczuję do mnie odrazę, kiedy się dowie, że za tobą tęsknię, nawet teraz, kiedy tu siedzę. Gdy rozsunęłam rano zasłony, zauważyłam domek dla ptaków w ogrodzie sąsiadów i przypomniało mi się, jak kiedyś taki razem budowałyśmy. Wbijalaś młotkiem gwoździe. Kiedy spytałam, czy mogę spróbować, pogłaskałaś mnie po włosach, powiedziałaś tak, ale uważaj na palce. Pielęgniarka w tobie, przynajmniej raz myśląca o tym, by zapobiec bólowi, a nie go wywołać.

– Miło widzieć, że wróciły ci rumieńce. Może pójdziesz teraz do łóżka, a ja później cię zbudzę?

Udaje mi się przespać resztę poranka. Mike tego dnia pracuje w domu, więc jemy razem lunch, zupę przygotowaną przez ich gospodynię Sevite i kanapki z szynką. Rosie siedzi, niemal dotykając nosem mojej nogi, świdruje mnie

wilgotnymi brązowymi oczami. Daję jej ukradkiem kawałek mięsa, kiedy sprzątam ze stołu.

W gabinecie Mike'a jest miłe światło, dwie lampy, nic nad głową. Wyjaśnia, że rolety są opuszczone, ale okiennice otwarte. Rolety mają wymyślne fioletowe pompony na końcach sznurków. Podąża za moim wzrokiem, uśmiecha się.

– Sas. To ona ma artystyczne zacięcie, ja nie.

Podchodzi do biurka, zamyka laptop, zdejmuje okulary. Siadaj, mówi, wskazując fotel, który zajęłam ostatnio. Sadowiąc się, liczę od dziesięciu w dół, próbuję uspokoić oddech. Bierze poduszkę z jednego z pozostałych foteli. Niebieski aksamit. Podchodzi do mnie, kładzie na podłokietniku fotela, w którym siedzę. Uśmiecha się. Siada naprzeciwko mnie, zakłada nogę na nogę, splata palce, jego łokcie spoczywają na podłokietnikach.

– Na pewno myślisz o jutrzejszym dniu, o spotkaniu z June i prawnikami. Pamiętasz June, prawda? Jest opiekunem świadka przydzielonym ci przez sąd. Miałyście krótkie spotkanie w szpitalu.

Kiwam głową.

– Będziemy rozmawiać o różnych rzeczach, ale głównie o tym, że możesz być przesłuchiwana przez obronę.

Sięgam po poduszkę, przyciskam ją do siebie.

– Wiem, że to dla ciebie trudne, Milly, i wiem, jak bolesne było składanie zeznań przeciwko matce, ale cokolwiek się stanie, przeprowadzimy cię przez to.

– O co chcą pytać? Czy będę musiała znów im to wszystko opowiadać?

– Nie mamy jeszcze stuprocentowej pewności, prokuratorzy starają się dowiedzieć, co zamierza obrona.

Chciałabym móc mu powiedzieć, że nie obroną powinni się przejmować, lecz tobą. Codziennie zamknięta w celi przez tyle godzin, będziesz potrafiła zrobić z nich użytek. Wiem, że tak. Obmyślisz plan.

– Wyglądasz na zmartwioną, Milly. O czym myślisz?

Że gdybym poszła wcześniej na policję, Daniel, ostatni chłopiec, którego zabrałaś, żyłby nadal.

– O niczym. Zastanawiałam się tylko, czy prawnicy, którzy bronią mojej mamy, dostali odpis mojego zeznania.

– Tak, dostali, i prawdopodobnie będą ci zadawać pytania z nim związane. Jesteś najważniejszym świadkiem na procesie twojej matki i obrona będzie szukała sposobów podważenia twoich zeznań, postarają się podać w wątpliwość pewne wydarzenia.

– A co będzie, jak się pomyłę albo powiem nie to, co trzeba?

– Nie chcę, byś się w tej chwili tym martwiła. Mamy dużo czasu na przygotowanie, jeśli zostaniesz wezwana. Miejmy nadzieję, że jutro dowiemy się czegoś więcej. Ale najważniejsze, byś pamiętała, że to nie ty jesteś sądzona.

Dobrze?

Kiwam głową, mówię tak. Na razie, myślę.

Kiedy Mike zaczyna, od razu widzę, że jest lepszy od psychologa z oddziału, a może po prostu czuję się z nim swobodniej. Chcę odejść od przeszłości. Naprawdę. A jednak próbuję stawiać opór relaksacji na sesji. Moje dłonie zaciskają się w pięści, mówi mi, bym je rozluźniła, skoncentrowała się na oddechu. Zamknij oczy, oprzyj głowę o zagłówek fotela. Prosi, bym opisała swoje bezpieczne miejsce, mówię. Jego głos w odpowiedzi, cichy. Opanowany. Uspokajający. Wdech, wydech. Przechodzi przez wszystkie kończyny, prosi, bym każdą z nich napinała i rozluźniała. Jeszcze raz. I znowu. Teraz ciężka, pełna. Pozwól swemu umysłowi pójść, dokąd chce, gdzie potrzebuje.

Moje bezpieczne miejsce się rozmywa. Inne rzeczy wysuwają się na pierwszy plan. Obrazy się wyostrzają. Mój umysł pedałuje, wypływa im naprzeciw, próbuje je odrzucić. Pokój. Łóżko. Ciemność, cienie drzew wytańcowują szaleńcze wzory na suficie. Poczucie, że jestem obserwowana, ciemny cień za mną. Obok mnie. Oddech na mojej szyi. Łóżko zapada się, kiedy cień kładzie się obok mnie. Zbyt blisko. Nie mówi, porusza się wokół mnie. Nade mną. Źle. Gorzej. Głos Mike'a jest teraz odległy, ledwie słyszę, co mówi. Nadal wracam do miejsca, w którym nie chcę być, do pokoju naprzeciwko, płacz dzieci. Twój śmiech.

Pyta, co jeszcze widzę albo słyszę. Parę żółtych ślepiów jarzących się w ciemności, mówię. Czarny kot, wielkości człowieka, wartownik przy moim łóżku, przysłany, by mnie pilnować, zatrzymać tam. Wysuwa i chowa pazury.

– Nie podoba mi się tam, chcę wyjść.

Głos Mike'a, teraz wyraźniejszy, mówi, bym wróciła do swojego bezpiecznego miejsca. Idź w tym kierunku, mówi. Więc tak robię. Dziupła w starym dębie za naszym domem. Właziłam tam, do serca drzewa, kiedy pracowałam w weekendy i nie zawsze zabierałam mnie ze sobą, patrzyłam, jak zmienia się światło nad polem. Szkarłatne i pomarańczowe.

Bezpieczna.

– Kiedy będziesz gotowa, otwórz oczy, Milly.

Trwam w bezruchu jeszcze minutę lub dwie. Pod brodą czuję coś mokrego. Otwieram oczy, patrzę w dół, na poduszkę splamioną łzami, cętkowany aksamit. Podnoszę wzrok na Mike'a. Oczy ma zamknięte, szczyptę nasadę nosa, lekko ją masuje. Zmienia się z psychologa w przybranego ojca. Otwiera oczy, kiedy się odzywam.

– Widzę, że płakałam.

– Niektóre wspomnienia wywołują płacz.

– Nie ma innej drogi?

Mike kręci głową, siada prosto, mówi:

– Żeby z tego wyjść, musisz przez to przejść.

Po powrocie do swojego pokoju otwieram prezent od Saskii. Pierwsze, co widzę w kwadratowym pudełeczku, to: złoto. Łańcuszek z imieniem. Moim nowym imieniem, Milly, nie Annie. Wodzę palcami po zarysach liter, ich ostrych zakończeniach, zastanawiając się, jak bardzo imię może zmienić osobę, o ile w ogóle.

Kończę wypracowanie na francuski i mam zamiar trochę porysować, kiedy słyszę, że drzwi do pokoju Phoebe się otwierają, a potem znów zamykają, słysząc kroki na schodach, jakby wrzuciła swoje rzeczy i wróciła z powrotem na dół. Idę za nią kilka minut później. Chcę sprawdzić, czy Saskia jest już w domu, żeby jej podziękować.

Zastaję ją z Phoebe w saloniku, to przytulny pokój z miękkimi kanapami, z wielkim ekranem na ścianie. Telewizor jest włączony, ale Saskia go wyłącza, kiedy wchodzi. Przyciska do torsu drinka. Podzwanianie kos-tek lodu, ciężka niska szklanka, kryształ. Plasterek limonki. Phoebe zgarbiona nad telefonem, nie odrywa od niego wzroku.

– Cześć, Milly. Lepiej się czujesz? Mike powiedział, że miałaś migrenę.

– O wiele lepiej, dziękuję. I dziękuję za prezent.

Pokazuję naszyjnik, uśmiecha się, zawiana. Lubi mocne drinki, z tabletkami, które bierze, to zabójcza mieszanka. Phoebe podnosi wzrok, dźwiga się z kanapy, podchodzi do mnie.

– Pokaż – mówi, ale nie czeka, aż to zrobię, wyrywa mi łańcuszek z ręki.

Saskia rozprostowuje nogi, odstawia szklankę na niski stolik, który ma przed sobą, zasłany czasopismami o wystroju wnętrz. Chyba ma zamiar wstać, ale zanim zdąży, Phoebe odwraca się do niej i mówi:

– No nie. Zamówiłaś dla mnie taki sam, jak zdałam w zeszłym roku egzaminy. Wyjątkowa okazja, powiedziałaś. A ona niby co takiego wyjątkowego zrobiła?

– Phoebs, przestań. To powitalny prezent, chciałam...

– Dobrze wiem, co chciałaś.

Phoebe odwraca się twarzą do mnie, mówi:

– Nie myśl, że jesteś wyjątkowa, bo nie jesteś. – Cis-ka we mnie naszyjnikiem, popycha, odchodząc.

Odwracam się do Saskii, mówię, że mi przykro, ale odpowiada, że to jej wina, a nie moja, potem podnosi szklankę, dopija drinka, zapada się w kanapę i gapi w ekran wyłączzonego telewizora.

Następnego ranka staram się ignorować swoje zdenerwowanie związane z Phoebe, z tym, że postrzega mnie jako kolejnego niemile widzianego intruza, najnowszego na długiej liście przybranych dzieci. Schodząc na dół, obiecuję sobie, że znajdę jakiś sposób, by poprawić sytuację, dogadać się z nią. Przystaję na podeście schodów na pierwszym piętrze, słucham jej rozmowy z Mikiem.

– Dlaczego ona znowu może opuścić lekcje? – pyta. – Dlaczego ja nie mogę?

Wesoły, żartobliwy ton, jakim Mike jej odpowiada, świadczy o tym, że pani Kemp nie powiedziała mu o plakacie na mojej szafce. Załatwia to widocznie po swojemu. „Na spokojnie”.

Macam przez bluzkę fałdy na żebrach. Znany deseń blizn, dobrze ukryty. Język zrozumiały tylko dla mnie. Szyfr, mapa. Alfabet Braille’a na mojej skórze. Gdzie byłam, co mi się tam przydarzyło. Nie znosiłaś, jak się cięłam, obrzydliwy, wstrętny nawyk, mawiałaś, ale chociaż starałam się, jak mogłam, nie potrafiłam przestać.

Kroki na górze przywołują mnie do rzeczywistości, opuszczam rękę. Saskia schodzi z wyższego piętra na podest, zbliża się do mnie.

– Dzień dobry, wszystko w porządku?

Zbolały głos, rozpaczliwe pragnienie zdobycia zaufania, lepszego radzenia sobie ze mną niż z Phoebe. Kiwam głową. Zatajam. Jest tak, że większość ludzi nie jest w stanie znieść prawdy, mojej prawdy. Ciche stąpanie po marmurze na dole. Rosie. Zatacza kilka kółeczek, kładzie się na kaflach, w smudze wrzeźniowego słońca. Patrzę, jak oddycha. Jej skołtuniony brzuch podnosi się i opada. Myślę o swoim psie. Bullet, jack russell, którego wzięliśmy ze schroniska, kolejna próba podtrzymania wrażenia normalności, a zarazem pozbycia się szczurów ze starego domu, w którym mieszkaliśmy. Wkrótce się wyniosły, mówiłaś do niego, dobry piesek, do czasu, gdy zainteresował się piwnicą. Drapanie, obwąchiwanie drzwi. Instynkt podpowiadał mu, co tam jest.

No i nos.

Utopiłaś go w wiadrze, kiedy byłam w szkole. Zostawiłaś jego sztywne ciało, sierść miał mokrą, gładką. Owinęłam go kocykiem z jego koszyka, pochowałam w ogrodzie. Nie mogłam się zmusić, by zanieść go do piwnicy. Nie tam.

Nie minął tydzień, jak szczury wróciły.

Saskia się uśmiecha, mówi, wiem, że dziś jest ważny dzień, chodź zjeść dobre śniadanie. Idę za nią i wonią drogiego olejku, którego używa, do kuchni.

Radio jest włączone, wiadomości.

Ty.

Główna atrakcja z niewłaściwych powodów. Słyszę to ledwie wyczuwalne zdenerwowanie w głosie prezenterki, która wyszczególnia zarzuty wniesione przeciwko tobie. Saskia i Mike wymieniają spojrzenia. Phoebe nic nie wie, ale i tak zastyga z rozbujanym toastem, którego miała właśnie włożyć do ust.

– Szurnięta suka, powinni ją powiesić – mówi.

Supel w moim brzuchu. Zgarniam z blatu pierwszą rzecz, która wpada mi w ręce. Roztrzaskuje się, kiedy uderza w łupkowe kafle, czerwona dżemowa pačka zabarwia podłogę. Klękam, dłoń natyka się na szkło. Jeszcze więcej czerwieni, tym razem z mojego palca. Rozlega się szuranie krzesel i ktoś wyłącza radio. Przepraszam, mówię. Przepraszam. Phoebe patrzy na mnie z pogardą, samym ruchem ust mówi „debilka” i wychodzi, słyszę skowyt mijanej przez nią Rosie.

Mike kuca obok mnie. Nie powinniśmy włączać wiadomości, nie chcieliśmy, żebyś to usłyszała, mówi.

Twoje imię. Oskarżenie przeciwko tobie, mamusiu.

Moja rzeczywistość przedstawiona publicznie.

Wzruszam ramionami. Widzę tylko czerwień, jestem do tego przyzwyczajona. Rozlew i wyciek, czerwień wsącza się w szpary w deskach i żadne skrobanie jej nie usunie. Pamiętam godziny spędzone na oddziale o wzmożonym nadzorze w psychiatryku, gdzie „oni”, specjaliści, próbowali przygotować mnie do życia po tobie. Jak odpowiadać na pytania typu skąd jestem, do jakiej szkoły chodziłam, dlaczego żyję w rodzinie zastępczej. Nie przygotowali mnie, nie mogli mnie przygotować na to, że jestem do ciebie tak bardzo podobna. I chociaż już pojawiaasz się w wiadomościach przez większość dni, kiedy proces rozkręci się na dob-re, będzie jeszcze gorzej. O wiele gorzej. Będiesz wszędzie.

Ja będę wszędzie.

Jesteście do siebie podobne jak dwie krople wody, mówiono w schronisku dla kobiet, w którym pracowałaś. *Tego się właśnie obawiam*, odpowiadałam w myślach.

Czyszczę podłogę. Mike stara się pomóc, ale proszę, by tego nie robił, podaje mi plaster na palec. Zjedz coś, mówi Saskia. Mam ochotę odpowiedzieć, daj mi dobry przykład, ale zamiast tego mówię:

– Chyba nie dam rady, pójde umyć zęby.

Mike mówi, że poczeka na mnie w korytarzu i żebym się pospieszyła, musimy być u prawników przed dziewiątą. Słyszę, że Phoebe rozmawia przez telefon, śmieje się, kiedy mijam jej pokój. Opowiada, jak upuściłam dżem, pewnie Izzy albo Clondine. A kiedy szcietkuję zęby, słyszę twój głos: KTO TAK ROBI? KTO WYDAJE WŁASNĄ MATKĘ? Nie odpowiadam, nie wiem, co powiedzieć ani jak się czuję, będąc tą osobą.

Kiedy wracam na dół, zatrzymuję się, by połaskotać Rosie po brzuszku, ma szorstką, rudawą sierść. Docenia gest, delikatny dotyk, jej ogon zamiata podłogę.

– Lubi cię, wiesz? – mówi Mike, podchodząc.

– Ja ją też.

– Zamiast tkwić w korkach, pojedziemy metrem, będzie szybciej.

Po dotarciu do Notting Hill Gate dołączamy do tłumów ludzi dojeżdżających do pracy, schodzimy pod ziemię i wsiadamy do metra. Wagon jest zatłoczony, pełen pracowników City w garniturach, część pozdejnowała marynarki, podwinęła rękawy, by ulżyć sobie w skwarze, jaki panuje w metrze nawet we wrześniu. Życie w Londynie jest zupełnie inne, ludzie kłębią się wokół, żyją tak blisko siebie. Nie ma tu hektarów prywatności. Mike i ja stoimy wciśnięci w tłum, wysiadamy na stacji o nazwie St Paul's i gdy tylko wynurzamy się na otwartą przestrzeń, Mike zaczyna mówić o rozprawie, o możliwościach, jakie mam, jeśli będę musiała stawić się przed sądem.

– Dużo o tym myślałem – mówi. – O specjalnym traktowaniu, któremu podlegasz, a więc możesz skorzystać z połączenia wideo na żywo, zamiast przebywać w sali rozpraw. Co o tym sądzisz?

To na nic, myślę. Czuję, jak ustawiasz w szeregu pistolety, ładujesz je. Mogłabym powiedzieć Mike'owi, że tak, zdecydowanie wolałabym składać zeznania za pośrednictwem połączenia wideo, ale on nie zna uczuć, z którymi żyję na co dzień. Nie wie, że choć nie jestem już z tobą, jakaś część mnie nadal chce cię zadowolić i ulec pragnieniu bycia znów blisko ciebie, w tym samym pomieszczeniu. Ostatnia szansa, jaką będę miała.

Słyszę, jak Mike mówi:

– Skrećmy tu w lewo, ominiemy tłumy.

Opuszczamy główną ulicę i idziemy brukowanym przejściem, kojąca zmiana tempa i odgłosów. Katedra Świętego Pawła widoczna w przerwach między budynkami. Do dziś znałam ją tylko ze zdjęć. W rzeczywistości jest o wiele piękniejsza. Nigdy nie myślałam, że chciałabym żyć w wielkim mieście, ale zwarta zabudowa, gęstwa ludzi są uspokajające. Bezpieczne.

– Milly, nie odpowiedziałas. Słyszałaś, co powiedziałem?

– Tak, słyszałam, przepraszam i rozumiem, dlaczego myślisz, że połączenie internetowe to dobry pomysł, ale co będzie, jeśli nie zechcę z niego skorzystać? Jeśli nie chcę podlegać specjalnemu traktowaniu? Kiedy June przysłała odwiedzić mnie w szpitalu, zostawiła mi broszurę. Tam jest napisane, że mi wolno.

– Możesz zrezygnować, ale nie bardzo wiem, dlaczego miałabyś to zrobić?

Nie mogę mu powiedzieć, nie jestem w stanie tego wymówić. Że osoba, od której chcę uciec, jest także osobą, do której chcę biec. Więc zamiast tego mówię mu, że tym razem chcę dokonać wyboru. Chcę wreszcie sama o sobie zdecydować.

– Szanuję twój punkt widzenia, ale nie wiem, czy mogę się z nim zgodzić, zwłaszcza po dzisiejszym poranku. Wiadomości wytrąciły cię z równowagi.

– To był głównie szok, dżem wyslizgnął mi się z ręki, zwykły wypadek.

– Wiem, ale jednak, chcemy cię chronić.

Nie może. Nikt tego nie potrafi. Trwa mecz, tajemnicza konfrontacja. Bez sędziego. Moją jedyną szansą wyrwania się na wolność jest pójście na rozprawę.

– Niedługo skończę szesnaście lat, Mike. Nie jestem już dzieckiem. Chcę mieć szansę to zrobić, poczuć się dzielna, odejść, wiedząc, że zdołałam stawić się na sali sądowej i dałam się przesłuchać, wiedząc, że ona również tam jest.

– Muszę się jeszcze nad tym zastanowić, Milly, ale przyznam, że radzisz sobie bardzo dobrze, lepiej, niż ktokolwiek się spodziewał.

– A więc rzeczywiście powinnam dać radę stawić się w sądzie.

Zatrzymujemy się na końcu przejścia, w miejscu, gdzie łączy się ponownie z główną ulicą, szum pojazdów jest znów donośny. Mike staje twarzą do mnie. Nawijuję z nim kontakt wzrokowy – potrafię, kiedy trzeba, tylko niezbyt długo wytrzymuję.

Kiwa głową, poznawcze kółka się obracają. Ćwiek w jego głowie.

– Porozmawiamy o tym dzisiaj z prawnikami. Rozumiem twój punkt widzenia, ale wszyscy muszą się z nim zgodzić, a szczerze mówiąc, wątpię, by June na to przystała. Ale jeśli to dla ciebie jakieś pocieszenie, porozmawiam z nią, przynajmniej spróbuję pomóc jej spojrzeć na to również z twojej perspektywy, i zobaczymy, co dalej. Dobrze?

– Tak. Dziękuję.

Mam go, dokładnie tak, jak chcę.

Wchodzimy do recepcji kancelarii przez wielkie obrotowe drzwi, atrium zalane jest światłem, które wpada przez kopulasty szklany dach. June już jest na miejscu, wita nas z uśmiechem. Kiedy spotkałyśmy się na oddziale, powiedziała z mocnym północnoirlandzkim akcentem, chcemy tego, co dla ciebie najlepsze. Nawet mnie nie znasz, chciałam jej odrzec.

– Witajcie, dotarliście bez trudu?

– Tak, bez kłopotów – odpowiada Mike.

– Cześć, Milly, miło cię znów widzieć, trochę czasu minęło od ostatniego spotkania. Dobrze się czujesz?

Kiwam głową. Patrzę na otaczające nas biura, piętro po piętrze, korporacyjny tort, bez wisienki na samej górze. Ludzie w garniturach, neutralny wyraz twarzy. Maski. Poczucie celowości, ruch, stukot butów na podłodze, również marmur. Strażnik nadzoruje kołowrót, kiedy karty na paskach są zdejmowane z szyj i przesuwane w czytniku. Tak wiele decyzji się tu podejmuje, życie tak wielu ludzi się zmienia. Wkrótce to będzie twoje życie. I moje.

– Milly.

– Milly. June mówi do ciebie.

– Przepraszam.

– Właśnie wyjaśniałam Mike’owi, że gmach sądu, który nazywa się Old Bailey, jest niedaleko stąd. Jeśli zostaniesz wezwana na rozprawę, masz skorzystać z podziemnego parkingu.

– Dlaczego?

– Tak na wszelki wypadek.

Patrzy na Mike’a. On na nią. Świat wprawia w ruch milion różnych spojrzeń. Również ukradkowych. Ciężko pracuję, by móc je rozszyfrować, ciężiej niż większość ludzi. Psycholog na oddziale mnie oświecił. Możesz mieć ograniczoną zdolność odczytywania uczuć, powiedział. Miał na myśli to, że mój umysł nie funkcjonuje tak jak umysł przeciętnej osoby. A więc czytam podręczniki, oglądam ludzi w telewizji i na ulicy. Ćwiczę. Zawsze można szybko dokonać ulepszeń. Nie lubię słowa „przeciętna”.

– Nie ma się czym martwić, po prostu czasem przy poważnych procesach przed sądem gromadzi się tłum. Przeważnie idioci, którzy szukają guza.

– Ludzie chcą ją zobaczyć, prawda? – pytam.

June kładzie rękę na moim przedramieniu, cofam je. Mike kiwa głową, rozumie.

– Przepraszam – mówi June. – Owszem, ludzie będą chcieli ją zobaczyć, ale to również sposób na ochronę ciebie. Chociaż prasie nie wolno wymieniać twojego imienia ani publikować żadnych zdjęć, nigdy nie wiadomo.

– Może już pójdziemy – proponuje Mike. – Dochodzi dziewiąta.

– Tak, racja, prawnicy czekają. Pewnie załapiemy się akurat na herbatę, a może nawet na coś słodkiego. Masz ochotę na ciacho, Milly?

Kiwam głową, choć większą ochotę mam wepchnąć jej „ciacho” do gardła.

Jedziemy windą na poziom -2, trzewia budynku. Cicho. Nikt nie będzie nas niepokoił. I tak jestem wystarczająco niespokojna, myślą. June wprowadza nas do pokoju, przy prostokątnym stole siedzi dwóch mężczyzn. Długa naga żarówka grozi migreną, tym bardziej że jej działanie wzmocni lekkie migotanie światła na samym końcu pomieszczenia. Kawa oraz filiżanki na środku stołu prawdziwe, porcelanowe, a nie polistyrenowe dziadostwo. Policjant w komisariacie, w którym składałam pierwsze zeznania, powiedział, że używają go ze względów bezpieczeństwa, polistyrenu nie da się stłuc, kotku.

Pamiętam, że pomyślałam, nie, ale można wykorzystać wrzącą zawartość.

Mężczyźni wstają, witają się z Mikiem uściskiem dłoni. Ich oficjalne tytuły brzmią: Oskarżyciele Królewscy. Zastanawiam się, czy zostali wybrani drogą specjalnej selekcji, czy raczej zgłosili się na ochotnika. Może był nawet tłum ochotników, wszyscy skorzy do wzięcia udziału w tak głośnym procesie. Ich zadaniem jest przekonanie ławy przysięgłych, by cię zapuszkowała. Zwykła

formalność, jak mi powiedziano. Po herbacie. Bilet do ciupy w jedną stronę. Stałaś na polu „idź do więzienia” w grze Monopoly. Masz przejebane.

Ja ci to zrobiłam.

Nie dosłyszałam ich nazwisk, wystarczy Chudy i Gruby, łatwo zapamiętać.

– Możemy zaczynać? – pyta Chudy.

June zaczyna od poinformowania, jak sobie „radzę” w domu i z przystosowaniem do nowej szkoły. Mike wtrąca to i owo, głównie miłe rzeczy. Wszyscy pod wrażeniem, że tak dobrze mi idzie.

– Nie ma zaburzeń snu? – pyta June.

– Raczej nie – odpowiadam.

Kłamstwo.

Mike zerka na mnie, podejrzewa, że jest inaczej, ale nic nie mówi. Prawo własności. Zdobędzie uznanie, jeśli będę sobie dobrze radzić, *wyglądać*, jakbym sobie dobrze radziła. Zastanawiam się, czy wzięłyby też na siebie klęskę, gdybym okazała się taka jak ty.

Gruby przechodzi do szczegółowego omówienia procesu, mówi, że w razie potrzeby zostaną przywieziona tydzień wcześniej, by obejrzeć nagrania swoich zeznań.

– Do tej pory będziemy wiedzieli, jaką strategię zamierza przyjąć obrona – i oczywiście jak ją obalić – dodaje.

Opada na oparcie krzesła. Tłuste kielbaski, które wieńczą jego dłonie, są splecione i ułożone na grubym brzuchu. Zadowolony z siebie. Protest naciągniętych guzików. Odwracam wzrok, niedobrze mi na widok tego braku dyscypliny. Ciągnie dalej.

– Ława przysięgłych pozna szczegóły dotyczące twojego dzieciństwa. Dostaną odpisy twojej dokumentacji medycznej, łącznie z wszystkimi...

Zawiesza głos, atmosfera nabrzmiewa słowami, których on nie jest w stanie wypowiedzieć. Patrzę na niego, jego kolej na zmagania z kontaktem wzrokowym. Lekko kiwa głową, idziemy dalej. Nie mam do niego pretensji, to powszechna reakcja. Pamiętam, jak pielęgniarki w szpitalu rozmawiały o moich obrażeniach. Myślały, że nie słyszę. Nigdy czegoś takiego nie widziałam, powiedziała jedna z nich, i własna matka jej to zrobiła, a do tego jest pielęgniarką, dasz wiarę? Tak, odpowiedziała ta druga, dlatego większość obrażeń nie została nigdy zgłoszona, były opatrywane w domu. Wiesz, ona już nie będzie mogła mieć dzieci. Powiedziałas mi, że powinnam być ci wdzięczna, wyświadczyłaś mi przysługę. Dzieci to same kłopoty.

– Ostatnia i chyba najważniejsza kwestia do omówienia to czy Milly ma być obecna na sali rozpraw – mówi Chudy. – A może się okazać, że nie mamy wpływu na decyzję w tej sprawie w związku z rozwojem wydarzeń w ostatnich dniach.

– Rozwojem wydarzeń? – pyta June.

– Doszły nas słuchy z obozu obrony, że chcieliby spytać Milly o pewne rzeczy.

Dudnienie w klatce piersiowej. Gołąb pocztowy, ważna wiadomość w małej beczulce na jego szyi. Klatka zamknięta, podczas gdy inne ptaki latają na wolności.

– Jakże rzeczy? – pyta June.

– To nie jest jeszcze całkiem jasne i chyba nie warto nad tym deliberować, dopóki nie dowiemy się na pewno – odpowiada Gruby.

– Szkoda, że nie zostaliśmy o tym powiadomieni przed dzisiejszym spotkaniem – mówi Mike, patrząc najpierw na mnie, a potem na prawników.

– Zastanawianie się, o co chcą spytać, to niezbyt przyjemna perspektywa dla Milly.

Przeczuwam, że wiem. To złe przeczucie.

– Zgadza się – wtóruje June.

– Jak już mówiłem, sprawy przybrały nowy obrót i w tej chwili oni trzymają jeszcze karty przy orderach – odpowiada Chudy.

– Wygląda mi to na desperacki krok, wzięwszy pod uwagę dowody.

Nie, June, to nie desperacki krok, ale pierwsza faza planu realizowanego przez ciebie, mamusiu.

– Jeśli chodzi o Milly, oznacza to, że powinniśmy przygotować ją na ewentualność, że będzie przesłuchiwana przez obronę odnośnie do swych zeznań – odpowiada Chudy.

– Mike – mówię.

Patrzy na mnie.

– W porządku, będzie dobrze.

Pusty żołądek, bez śniadania, a czuję, że mam pełno w gardle. Przełykam. Nie jestem sądzona, to ty jesteś. Tylko o tym muszę pamiętać.

– Na ile to prawdopodobne? – pyta June.

– Jesteśmy przekonani, że obrona zechce obrać tę drogę. Ostateczną decyzję podejmie sędzia, wzięwszy pod uwagę nasze zalecenia, więc jest jeszcze iskierka nadziei – wyjaśnia Chudy. – Milly ma wybór: może zeznawać za pomocą połączenia wideo na żywo – albo, jeśli uznamy, że da radę – na sali rozpraw. Zostanie tam ustawiony ekran, tak by Milly nie widziała matki. Moim zdaniem jej osobiste zeznania mogą wpłynąć korzystnie na ławę przysięgłych. Nie ma to jak dziecko w sądzie, by wzbudzić współczucie.

– Nie podoba mi się pomysł używania Milly jako przynęty – mówi Mike.

– Mnie również – przyznaje June.

– Czy się to komuś podoba, czy nie, taka jest natura sądownictwa – odpowiada Chudy. – Bądź co bądź wszyscy pragniemy tego samego.

Wszyscy siedzący przy stole kiwają głowami oprócz mnie, skupiam się na oddychaniu. Spokojnie. Nie chcę dać po sobie poznać, że słyszę w głowie twój śmiech.

– A co ty o tym sądzisz, Milly? – pyta June.

Protegowana. Uwielbiałaś wymawiać to słowo. Wystarczająco dzielna. Czy jestem? Lekcje, których mi udzieliłaś, były wystarczająco dobre. Czyżby? Chcesz, by mnie obwinili. TY TEŻ TAM BYŁAŚ, ANNIE. Staram się zagłuszyć twój głos, odpowiedzieć na pytanie June:

– Ja i Mike trochę o tym rozmawialiśmy i myślimy, że do czasu rozpoczęcia procesu wystarczająco się wzmocnię, a nawet że pójście na rozprawę może mi pomóc.

– Bardzo rozsądne podejście – mówi Chudy, skubiąc strupek po prawej stronie ust. Ten widok jest nieprzyjemny, więc odwracam wzrok w kierunku mrugającej lampy, ale wtedy zaczyna kręcić mi się w głowie i serce przyspiesza.

– Brzmi to dosyć bojowo, jeśli chcecie znać moje zdanie.

Ale my wcale nie chcemy, June.

– Wszyscy wiemy, co potrafią adwokaci, jak się rozkręcą – ciągnie.

Ściśnięte gardło, krzyczałabym, gdybym mogła. Szpileczki w stopach od mocnego wciskania ich w podłogę. Gdybym tylko mogła im powiedzieć, dlaczego to takie ważne, żebym poszła na rozprawę. Dlaczego muszę rozegrać z tobą ten mecz. Patrzę wymownie na Mike'a, prosząc, by się włączył. Tak robi.

– Milly i ja w najbliższych tygodniach będziemy opracowywać różne strategie, ale moim zdaniem wygląda na to, że podchodzi do tego rozsądnie. Może warto też postrzegać to jako możliwość domknięcia. Doświadczenie katartyczne, jeśli odpowiednio się je poprowadzi.

– A jeśli nie? Przykro mi, że wchodzę w rolę adwokata diabła, ale co będzie, jak się okaże, że w danej chwili jest to dla niej za trudne? Jeśli adwokaci ją przycisną, uda im się ją skołować, manipulacją doprowadzić do tego, że przyjmie ich wersję zdarzeń? I tak ma już poczucie winy.

– Chwileczkę, June, sądzę, że nie należy omawiać publicznie uczuć Milly.

– Przepraszam, masz rację. Ale musimy podjąć decyzję w tej sprawie i myślę, że może lepiej, jak wyjdziemy w tym celu na zewnątrz. Możemy?

Skinieniem wzywa Mike'a i prawników, opuszczają pokój, mówiąc, że to nie potrwa długo. Macam przez bluzkę fałdy blizn. Liczę je. Dwadzieścia albo więcej.

Pytam cię, co będzie, jeśli nie podejmę gry, jeśli odmówię. Twoja odpowiedź, pogardliwym tonem. ZAWSZE CHCIAŁAŚ BRAĆ UDZIAŁ W GRZE, MOJA MAŁA ANNIE, TAKĄ CIĘ STWORZYŁAM.

Wreszcie wracają. Najpierw Chudy, potem June, a za nią Mike. Gruby już sobie poszedł. Wczesny lunch. Ta świnka pewnie tak zawsze.

Słyszę jedynie słowa Chudego:

– Zgodziliśmy się co do tego, że jeśli zostaniesz wezwana na rozprawę, stawisz się osobiście.

Zamiast satysfakcji czuję, jak rozwiera się we mnie szczelina. Puste, samotne

miejsce. Teraz nikt nie może mi pomóc.

Zaczyna się rozmowa, jak ograniczyć mój dostęp do relacji prasowych w czasie poprzedzającym proces, ograniczyć czas, w którym będę oglądała wiadomości i słuchała radia. Mike ma to nadzorować. Radzą mi, bym starała się mieć dużo zajęć. Część z tego, co mówią, słyszę, a części nie.

Słucham innego głosu, tego, który mówi:

GRA SIĘ ZACZYNA, ANNIE.

Mike podrzuca mnie do Wetherbridge tuż przed długą przerwą. Mówi, że jest ze mnie dumny, dziękuję mu, żałuję, że ja nie jestem. Kiedy podpisuję się na liście obecności, uświadamiam sobie, że zapomniałam przypomnieć Mike'owi, że spotykam się po lekcjach z panią Kemp, więc wysyłam mu esemesa, ciesząc się ostatnimi minutami spokoju w szatni. Dziś nie powitał mnie żaden plakat. Ale kiedy loguję się do szkolnej skrzynki mejlowej na swoim laptopie – kolejny prezent od Mike'a i Saskii – znajduję wiadomość od pani Kemp.

Cześć, Milly, bardzo się cieszę na nasze dzisiejsze spotkanie. Może trochę sobie porysujemy? Do zobaczenia w pracowni plastycznej.

M.K.

M.K. Jeszcze nie znałam nauczyciela, który podpisywałby się inicjałami.

Przez resztę dnia nic specjalnego się nie dzieje. Matematyka, dwie godziny lekcyjne przyrody, a na koniec religioznawstwo. Po dzwonku zmierzam do pracowni plastycznej. Słyszę ich głosy, zanim jeszcze je zobaczę. Nosowe i piskliwe. To one. Wredne. Dziewczyny. Schodzą z góry, idą w moją stronę, i zastanawiam się, jaką karę, jeśli w ogóle jakąś, wyznaczyła im M.K. za plakat. Zatrzymuję się, by je przepuścić, schody są wąskie. Phoebe popycha mnie na poręcz.

– Cześć, pokrako.

Pokrako? Miałyśmy zostać siostrami. Małymi kobietkami.

– Czeka na ciebie. Słodko, że masz swoją pańnię Kemp, która będzie za ciebie walczyć.

– Jeśli chodzi o naszyjnik, Phoebe, to nie będę go nosić, przykro mi, że tak wyszło.

– O co chodzi z tym naszyjnikiem? – dopytuje się Izzy.

– O nic – odpowiada Phoebe.

– Och, daj spokój, powiedz – nalega Izzy, dźgając ją palcem w brzuch.

Jakby zeszło z niej powietrze. Jest mniej wroga, mniej odważna. Zawstydzona na oczach przyjaciółki. Powinno mi być głupio, że teraz o tym wspomniałam, w czyjejś obecności. Powinno.

– Moja durna, pieprzona matka kupiła jej złoty naszyjnik z imieniem.

– Taki sam, jaki zamówiła dla ciebie? Czy nie zrobiła też takiego dla siebie, żebyście miały takie same?

Phoebe kiwa głową. Próbuje powiedzieć, że mi przykro, ale mówi, żebym się zamknęła.

– Ojej, kochana mamusia znów ci sprawiła zawód, co?

– Odwal się, Iz.

– Uspokój się, komu potrzebna matka, skoro mamy siebie?

Śmieją się i schodzą na niższe piętro.

Nie odzywam się, ale chcę powiedzieć, że ja potrzebuję matki.

Izzy przystaje, zadziera głowę, patrzy na mnie i pyta:

– Miałaś ostatnio jakieś dziwne telefony?

Przesuwam rękę do aparatu w kieszeni marynarki.

– Sądząc po milczeniu, raczej nie. To szykuj się, na pewno wkrótce się zaczną.

Znowu chichoty i śmiech.

Sól sypana na ranę. Szczypie. Kiedy patrzę w dół na ich piękne twarze, przypominam sobie pewną historię, którą kiedyś czytałam. Indiańską opowieść, w której Czirokez mówi swojemu wnukowi, że w każdym z nas toczy się walka pomiędzy dwoma wilkami. Jeden jest zły, a drugi dobry. Chłopiec pyta, który wilk zwycięży. Czirokez odpowiada, ten, którego karmisz. Kiedy patrzę na ich twarze, zmieniają się w tarcze strzelnicze. Kusi mnie, by otworzyć usta. Ślina na ich makijażu. Lalki. Biskoptowy zapach samoopalacza wisi w powietrzu. Izzy układa palce w literę V, wystawia między nimi język. Phoebe robi to samo. Złe myśli w mojej głowie. Na korytarzu poniżej otwierają się drzwi, to je skłania do odejścia. Sprawdzam telefon, pokonując pozostałe schody dzielące mnie od pracowni M.K., żadnych telefonów.

Kiedy wchodzę, widzę dwie sztalugi ustawione naprzeciw siebie. Dwa stolki, dwa pudełka z węglem do rysowania. Wszystkiego po dwa.

– Cześć – mówi. – Witaj! Gotowa do rysowania?

Kiwam głową, odkładam marynarkę i torbę. Pyta, czy chcę szklankę wody.

– Nie, dziękuję.

– Czy pracowałaś już z węglem?

– Trochę.

– Dobrze, usiądź przy którejś ze sztalug.

Jej ręce są rozbiegane, poruszają się szybko, jakby ciężar pierścieni mógł je przytłoczyć, gdyby przez sekundę pozostały w bezruchu. Siada naprzeciwko mnie.

– Masz jakiś pomysł na to, co chcesz narysować?

Tak. Ale nie sądzę, by ludzie to zaakceptowali.

– Raczej nie, wszystko mi jedno.

– Może narysujemy tę figurkę, która stoi na stole, kopię rzeźby Giacomettiego, albo flakonik perfum, który mam w torebce, butelka ma ciekawy kształt.

Jej perfumy. To jest to. Znajome. Świeże gałązki lawendy ścięte w naszym ogrodzie, przez ciebie.

– Może być ta figurka – odpowiadam.

– Dobry wybór, przyniosę ją.

Porusza się płynnie, plemienne paciorki, które nosi, grzechoczą przy każdym kroku. Włosy zebrane w niesforny kok, spięte spinką z jakimś azjatyckim wzorem. Przypomina mi postacie z „National Geographic” – skrzyżowanie niechlujnej gejszy i plemiennej kapłanki. Zaczynamy szkicować w tej samej chwili, jesteśmy zgrane, jednocześnie sięgamy po węgiel. Pyta mnie, jak mi się układa, mówię, że dobrze.

– Naprawdę dobrze czy mogłoby być lepiej, ale nie chcesz o tym mówić?

– Jedno i drugie po trosze.

Zamaszyste ruchy. Pył. Głowa na stronie, ciekawe, czy też zaczęła od góry.

– Sztuka to doskonała terapia, wiesz?

Przechodzą mnie ciarki. Mam w sobie do połowy wzniesione mury, które natychmiast pną się na pełną wysokość, jeśli czuję, że grozi mi ujawnienie. Terapia? Dlaczego to powiedziała? Tylko osoby, które muszą wiedzieć, powiedział Mike. Pani James, dyrektorka szkoły, Sas i ja, to wszystko. Nikt więcej nie wie o twojej matce. Spoglądam na nią ponad sztalugą. Bez makijażu, naturalny rumieniec. Brzoskwinie i śmietanka. Podnosi wzrok, uśmiecha się, łagodne zmarszczki pokazują się wokół jej oczu. Założę się, że dużo się śmieje i uśmiecha.

– Jak ci idzie?

– Dobrze, dziękuję.

Głowa ma teraz też ciało, chude jak pejcz, którego użyłaś, chociaż powiedziałam nie.

– A jak ci się układa z dziewczynami?

Gorzej niż kiedykolwiek.

– Chyba całkiem nieźle.

– Chyba?

– Wydaje mi się, że się tu nie wpasuję.

– Może być ciężko, to na pewno. Dziewczyny tutaj są bystre i cwane, większość przez całe życie mieszkała w Londynie. Już wcześniej zaobserwowałam, że nowe osoby dostają w kość, i właśnie dlatego są przydzielani nauczyciele pełniący funkcję opiekunów, a mnie się poszczęściło, że mam ciebie! Możesz już mi pokazać swój rysunek?

– Chyba tak.

Wyciera ręce w wilgotną szmatkę, którą ma z boku, wstaje i podchodzi do mojej sztalugi, gwizdże z podziwem, ojej, mówi, twoja dawna dyrektorka miała rację.

– Świetnie cieniujesz, rzeźba wygląda, jakby była w ruchu, jakby schodziła z kartki. Czy mogłabym zatrzymać ten rysunek? Chciałabym pokazać go dziewczynkom z młodszej klasy, właśnie pracują nad szkicowaniem figur.

– Oczywiście, jeśli sądzi pani, że to się nadaje.

Już mam odpiąć papier, ale mnie powstrzymuje, mówi, że o czymś zapomniałam.

– A, przepraszam.

– Artysta zawsze musi podpisywać swoje prace.

Podnoszę na nią wzrok, mruga, szturcha mnie w ramię, ale nie robi mi się dziwnie ani nieprzyjemnie jak wtedy, gdy dotknęła mnie June. Składałam podpis, ale w przyszłości muszę być ostrożniejsza – niemal podpisałam się jako Annie.

Już mam wyjść, kiedy mówi:

– Nie przejmuj się dziewczynami, mam na nie oko. Kazałam im tu posprzątać i wyskrobać palety. Wyglądało na to, że jest im przykro z powodu tego, co zrobiły, więc jestem pewna, że koniec wybryków. Może weź sobie rolkę papieru przed wyjściem i pudełko węgla, to porysujesz sobie w domu?

Ciepłe uczucia, gdy wychodzę. Dobry wilk. Nakarmiony do syta.

Na korytarzach panuje spokój, nie muszę się spieszyć ani martwić, że trzeba unikać innych dziewczyn. Idę do swojej szafki, by zabrać teczkę, której zapomniałam, a kiedy jestem w połowie dziedzińca, dzwoni mój telefon. Nieznany numer.

Przypomina mi się szydercza mina Izzy, gdy spytała, czy miałam jakieś dziwne telefony.

Nie powinnam odbierać, ale zwycięża ciekawość. Ciekawość to pierwszy stopień do.

– Halo.

– Czy to Milly?

Głęboki głos. Stłumiony.

– Kto mówi? – odpowiadam.

– Dzwonię z ogłoszenia.

– Jakiego ogłoszenia?

– Z widokówki.

– Jakiej widokówki?

– Och, daj spokój, kotku, nie bądź taka nieśmiała.

– Skąd masz ten numer?

– Z ogłoszenia, mówiłem przecież. Słuchaj, żarty żartami, ale ty na poważnie czy nie?

– Może tak.

– Lubisz prowadzić grę, co?

Jego głos. Inny, bardziej nagłący. Rozpoznaję, co to oznacza.

– To zależy – odpowiadam.

– Od czego?

– Czy wygrywam.

Rozłączam się, przez kilka sekund wpatruję w telefon, opuszczam

dziedziniec. Chociaż rankiem w metrze było gorąco, wieczorny wiatr od paru tygodni jest zimniejszy, chłodzi mi dłonie. Wkładam telefon do kieszeni marynarki, mam zbyt dużo rzeczy do trzymania z teczką i rolką papieru od M.K. Czuję wibrowanie na udzie, wiadomość. Nie zatrzymuję się, by przeczytać, za kilka minut będę w domu. Kiedy dochodzę do ostatniego zakrętu ulicy, wyciągam telefon z kieszeni, znów nieznany numer.

kutas mi stoi no to kiedy sie umawiamy

Czytam jeszcze raz, nie wiedząc, co mnie bardziej oburza – treść czy brak interpunkcji. Nieokrzeseanie. Wiadomość znika z ekranu, kiedy ktoś dzwoni. Tym razem rozpoznaję numer, ten sam co wcześniej. Nie mogę się powstrzymać i odbieram. Rozbawiona, prawie.

– Tak?

– Rozłączyłaś się?

Zatrzymuję się na rogu, opieram o ścianę wraz ze szkolnym plecakiem, by uwolnić się od jego ciężaru.

– Może.

– Jesteś teraz w swoim szkolnym mundurku?

– Skąd wiesz, że chodzę do szkoły?

– Widzę na zdjęciu – nosisz spódniczkę czy taką króciutką sukienkę?

Słyszę podniecenie w jego głosie, jest dla mnie oczywiste. Zawsze się zastanawiałam, czy u mężczyzny brzmi inaczej niż u kobiety. Ale nie.

– Kiedy możemy się spotkać? Dobrze płacę.

Rozłączam się. Dwa do zera, frajerze. Napawam się władzą i tym, że jestem pożądana. Skręcam w swoją ulicę, słyszę, że ktoś gwizdże. Morgan. Gwizdże na palcach, jak budowlaniec albo właściciel przywołujący psa. Uśmiecham się, a ona kiwa na mnie, przyzywa, a potem chowa usta pod suwakiem dresu, tak że widać tylko górną część jej twarzy. Trzyma coś w jednej ręce. Podchodzę. Jej oko jest mniej zasinione niż przedtem, ale kiedy odsłania usta, zsuwając bluzę, widzę, że wargi ma spierzchnięte i zakrwawione. Żuje je, jakby były jedzeniem. Przystawką.

– Cześć.

Nie odpowiada, odwraca głowę w bok, skubie usta, odrywa kawałek skóry. Kiedy znów się do mnie odwraca, widzę świeżą krew, jakby jadła maliny, jeszcze apetyczniejszą przekąskę. Zlizuje krew, ociera usta rękawem. Widzę, że trzyma w ręku pocztówkę, ale nie wiem, co na niej jest.

– Właśnie wracam ze szkoły.

Wzrusza ramionami.

– Twoje oko wygląda lepiej.

– Taa, do następnego razu.

– Co się stało?

– Wpadłam na drzwi, w każdym razie tak zawsze mówi moja mama.

– Uśmiezek.

A jak mamusia tak mówi, to tak jest, no nie?

– Mówiłaś, że masz na imię Milly, prawda?

– Tak.

– Znalazłam chyba coś twojego, jest na tym twoje imię i zdjęcie. M-I-L-L-Y. Literuje na głos, powoli i w skupieniu wymawia spierzchniętymi ustami.

– Dlaczego tak dziwnie to literujesz?

– Odwał się, dobra? Mam dysleksję.

Wydaje się urażona, ze wstydem odwracam wzrok.

– Zresztą nie trzeba dobrze czytać, by się kapnąć, o co w tym chodzi.

Podaje mi kartkę. Profesjonalna robota, laminowanie, dobre kolory. Myślę o tym, jak ta kartka została przygotowana, pewnie krążyła po punkcie usługowym, w którym ją wydrukowano, faceci z nadwagą parskali ze śmiechu nad kubkami z herbatą, kiedy byłam podawana z rąk do rąk.

– Skąd to masz?

– Znalazłam wczoraj wieczorem w budce telefonicznej, przy przejściu obok Landbroke Grove. Mój telefon jest zepsuty, a mama wykorzystała już swój limit.

Wiem, o które miejsce jej chodzi. Wśród brudu, szczyń i gum do żucia są ogłoszenia. Ja. Nowa twarz na afiszu. Przybywajcie, smakowita młódka. Galeria cycków, otwarte usta, groteskowe miny kobiet. A teraz uczennica. Ten sam fotomontaż, co na plakacie na szafce. Nowe słowa.

UCZENNICA MILLY, CICHODAJKA

CHĘTNIE OBCIĄGAM, ZADZWOŃ POD TEN NUMER

Toalety przy pracowniach przyrodniczych. Izzy. „Daj mi swój cholerny numer, suko”. Telefon wibruje, z lewej kieszeni dobywa się bzyczenie, przez chwilę mogę poczuć, jak to przyjemnie mieć powodzenie. Głodne jagnięta przy wymionach nigdy nie mają dość.

– Bez obrazy, ale nie wyglądasz na taką.

– Bo nie jestem.

– Więc o co chodzi?

– To miał być kawał.

– Musiałaś kogoś nieźle wkurzyć, kawał jest ohydny.

– To sprawka kilku dziewczyn ze szkoły i tej, z którą mieszkam.

– Tej wrednej blondyny?

Wskazuje nasz dom, zerkam przez ramię.

– Tak.

Podjazd jest niewidoczny z większości okien, ale dwa czy trzy wychodzą na ulicę. Uderza mnie, że koniecznie chcę utrzymać Morgan w tajemnicy.

- Dzwonił ktoś? – pyta.
- Właśnie przed chwilą.
- Kurwa. Co zrobisz, żeby jej odpłacić?

Coś wymyślę.

- Nie wiem, pewnie to oleję. Jak myślisz, ile czasu wisiała ta kartka?
- Może z jeden dzień, nie wiem. Dopiero co się wprowadziłaś, prawda?

Kiwam głową.

- To moja rodzina zastępcza.

– My prawie wyładowaliśmy w ośrodku opiekuńczym, kiedy mamę wsadzili do ciupy, ale przyjechała babcia i się nami zajęła.

- To mamę już wypuścili?

– Tak, siedziała tylko kilka tygodni. Za coś głupiego, pomagała wtedy wujkowi.

Znowu skubie wargę. Z trudem powstrzymuję się, by jej nie pacnąć po dłoni, powiedzieć, by przestała. Odpycha się od ściany, staje prosto. Pytam, czy chce się kiedyś gdzieś razem ze mną wybrać. Może, odpowiada. Nieufna. Słusznie, chcę jej powiedzieć. Tak jest bezpieczniej.

– Mogłybyśmy się umówić na końcu mojego ogrodu. Prowadzi do niego niebieska furka ze ślepego zaułku, zwykle jest zamknięta, ale mogę ją otworzyć. Mój pokój to ten z balkonem.

- Dlaczego tak ci zależy, żeby gdzieś razem pójść?

– Nie wiem. Nie jest łatwo być „nową”, zwłaszcza z taką przyrodnią siostrą jak moja.

Kiwa głową. Odnoszę wrażenie, że ona też jest samotna.

- Co o tym sądzisz? Masz ochotę? – pytam znów.

– Powiedziałaś może. Chcesz się umówić ze mną w ogrodzie, żeby nikt się nie dowiedział, że się kolegujemy, prawda?

- Nie, chodzi o tę wredną blondynę, z którą mieszkam. Twoje słowa.

Uśmiechamy się do siebie.

– Coś by wymyśliła, żeby wszystko popsuć, powiedziała swojemu tacie czy coś w tym stylu – wyjaśniam.

- Założę się, że tak, wstrętna suka.

Potrzebuję czegoś na przypieczętowanie umowy. Prezenty otwierają drzwi, łatwiej potem zdobyć zaufanie, widziałam setki razy, jak to robiłaś z dziećmiakami w schronisku. MYŚL, ANNIE, MYŚL.

Twój głos w mojej głowie. Telefon myśli za mnie, znów wibruje w kieszeni. Pytam Morgan, czy zna się na telefonach, wyjmuję aparat, pokazuję jej.

- Trochę tak.

- Co mam teraz zrobić, jak do mnie dzwonią z tego ogłoszenia?

- Nie wiem, zmienić numer?

– Nie mogę, musiałabym poprosić o to przybranego ojca, domyśliłby się, że coś nie tak.

– Wywalić?

– Jest zupełnie nowy, bez sensu byłoby go wyrzucać. Mogłabym mu powiedzieć, że zgubiłam, ale pewnie się wkurzy.

– No i co z tego, pewnie mają kupę szmalu, co to dla nich jeden telefon.

– To prawda, ale i tak szkoda mi go wyrzucać. Powiedziałaś, że twój telefon jest zepsuty, może chcesz pożyczyć mój na jakiś czas, zmienić numer czy coś?

– Nie, to nie w porządku, nawet cię nie znam.

– Mogłybyśmy wtedy mieć kontakt, umówić się.

– I nie musiałabym nic za to robić?

– Nie, nic. Powiedziałam już, że byś mi w ten sposób pomogła.

Przeżuwa znowu wargę, gapi się na swoje stopy, wreszcie podnosi wzrok i mówi, dobra, umowa stoi. Bierze telefon, mówi, że znajdzie sposób, żeby mnie powiadomić, jak załatwi nowy numer, potem pyta, co zrobić z kartką.

– Czy to była jedyna?

– Jedyna, jaką widziałam.

– Zrób z tym, co chcesz, możesz nawet spalić.

Kiwa głową i odchodzi. Odprowadzam ją wzrokiem, zadowolona z siebie. Twoje lekcje, twój głos bywają pomocne. Czasami.

W domu jest cicho, kiedy otwieram drzwi, które nie były zamknięte na klucz, więc ktoś musi być w środku, pewnie Saskia, ona zawsze zapomina zamknąć za sobą. Kaloryfer obok schowka na buty szemrze, wysiłek konieczny do ogrzania przedsionka jest zbyt duży na jego stare żeberka. Widzę na podłodze parę sportowych butów, których nie poznaję, zbyt duże jak na kobietę.

Zdejmuję buty i rzucam rzeczy przy schodach. Rosie spogląda na mnie spod półprzymkniętych powiek, w koszyczku jest zbyt wygodnie, by chciało jej się z niego wygramolić i ze mną przywitać, więc tylko lekko merda ogonem. Kolacja jest wyłożona na talerze stojące na blacie kuchennym. Trzy w rzędzie. Sevita wie, że nie ma sensu zostawiać jedzenia dla „pani Sas-kii”, co oznacza, że Mike i Phoebe jeszcze nie wrócili. Wykorzystuję okazję i włączam radio, kiedy potrawka podgrzewa się w mikrofalówce, licząc na to, że coś usłyszę, ale już po wiadomościach. Jem szybko, w nadziei, że uda mi się uniknąć spotkania z Phoebe, a po włożeniu talerza do zmywarki idę do gabinetu Mike’a, pukam do drzwi, upewniam się, że go nie ma. Brak odzewu. Wyrывam samoprzylepną karteczkę z bloczka leżącego na stoliku obok wnęki, piszę: „Drogi Mike’u, bardzo mi przykro, ale zgubiłam telefon, nigdzie nie mogę go znaleźć. Co mam zrobić?”.

Przyklejam kartkę na środku drzwi gabinetu, na wysokości wzroku, żeby nie

przegapił. Neonoworóżowe przeprosiny i dyskretne wal się do Phoebe. Chcę jak najszybciej dostać nowy telefon, żebym mogła kontaktować się z Morgan. Kiedy przechodzę koło drzwi sutereny, widzę, że są otwarte. Prowadzą do pralni i sali do ćwiczeń. Zaglądam szybko, by się upewnić, że nie ma tam Sevity, potem zamykam drzwi, żałując, że nie mają zamka.

Sprawdzam z balkonu, czy słusznie mi się wydaje, że furka prowadząca do ogrodu jest niewidoczna z domu. Tak, jest. Już mam wejść do środka, kiedy słyszę gwizd, mała postać stojąca w zaułku macha do mnie. Potem coś robi z rękami. Iskra, potem kolejna, pali się zapalniczka, a potem płomień coś liże. Z tej odległości nie sposób tego dostrzec, ale wiem, że Morgan pali pocztówkę. Kiedy jest zbyt gorąca, upuszcza ją na ziemię, macha rękami, robota wykonana, biegnie z powrotem na ulicę.

Zmniejszam czujność, zbyt szybko usypiam. Przychodzisz, by mi pogratulować. Przypominasz, że gdyby nie twoje lekcje, nigdy bym nie zdobyła zaufania Morgan. Budzę się z płaczem.

Osiem w górę.

I jeszcze kolejne cztery.

Drzwi po prawej.

Włóż spodnie.

Włóż koszulę.

Rób, co mówię.

Przebierz się. Twoja ulubiona gra.

Chłopcy ubrani jak chłopcy, dziewczyny też.

Chodzące i mówiące, naturalnych rozmiarów lalki do zabawy. Wyrzuć, jak się znudzą.

Świetnie wyglądasz jako chłopiec, Annie.

Podejdź bliżej, pokaż no się mamusi.

Dziś rano Saskia proponuje, że zawiezie mnie i Phoebe do szkoły, bo zauważyła, że oprócz codziennego ładunku muszę zanieść dużą teczkę na rysunki, w której będę przechowywać prace w tym semestrze. Phoebe ubrana w strój sportowy odmawia, bo ma zamiar przebiec się przed lekcjami z dwiema dziewczynami z sąsiedztwa, przypomina rodzicom, że nocuje u Izzy. Mike krzyczy do niej, kiedy Phoebe wkłada buty na ganku, tylko zjedz coś na śniadanie. Drzwi wejściowe otwierają się i zatrząskują. Mike cmoka z niezadowoleniem, ale zaraz potem się uśmiecha.

– Widziałem liścik o zgubieniu telefonu. Normalnie powiedziałbym, żeby poczekać kilka dni, bo może się odnajdzie, ale lepiej będę się czuł, wiedząc, że w razie potrzeby mogę się z tobą skontaktować. Tym razem dam ci od razu inny, ale uważaj, proszę.

Pytam, czy mógłby zmienić numer, wtedy będę się czuła bezpieczniej. Mówi, że rozumie, do wieczora to załatwi. Zjadam miseczkę płatków, czekając, aż Saskia się ubierze, a kiedy jest gotowa, idziemy do jej samochodu, mini morrisa z odsuwającym dachem. Wkładam teczkę na rysunki do bagażnika, ledwie się mieści. W Londynie styl ma większe znaczenie niż względy praktyczne. Liczy się wygląd. Pocałunki na niby i noże wbijane w tej samej chwili w plecy. Przekręcane.

– Gotowa? – pyta Saskia, sadowiąc się za kierownicą.

Kiwam głową, wkurzona tym, że wymówiła słowo „gotowa” zbyt beztrąsko. Gdyby zeszkrobać z jej skóry doskonale nałożony podkład, wyszłaby słabość. Wycięta z kartonu matka. Zbyt mocno wciska pedał gazu, samochód protestuje szarpnięciem na żwirze. Chcę powiedzieć, uspokój się, ja nie gryzę. No dobra, gryzę, ale nie zrobię tego. Ma się przede mną na baczności. Może to kobieca intuicja. Nie może zapomnieć, kim jestem, od kogo pochodzę. Do kogo należę. Widzę, że czasem mi się przygląda, kiedy myśli, że jestem rozkojarzona, więc nic nie zauważę.

Ale ja widzę.

– Ładnie dziś – mówi, kiedy skręcamy z podjazdu na ulicę.

– Tak – odpowiadam, rozglądając się za Morgan.

– Jak ci idzie w szkole?

– Mam dużo roboty.

– Mike mówił mi, że interesujesz się sztuką

– Lubię rysować.

– Ja byłam zawsze kiepska z plastyki, zresztą jak ze wszystkiego, szczerze mówiąc. Nie to co ty, podobno jesteś bardzo bystra.

– No, nie wiem, ale dziękuję. Czy mogę cię o coś spytać?

– Jasne, wal śmiało.

– Co robisz w ciągu dnia, kiedy Mike jest w pracy, a my w szkole?

– Och, różne rzeczy.

– Co na przykład, jeśli wolno spytać?

Odwracam się, by na nią patrzeć, ona odchrząkuje, ucieka wzrokiem. Mimowolna reakcja, na złodzieju czapka gore, ma coś do ukrycia i cieszy się w duchu, że do szkoły już niedaleko.

– Zajmuję się różnymi drobiazgami. Robię zakupy internetowe dla domu.

Tak, te, które rozpakowuje potem gospodyni.

– Czasem spotykam się z innymi mamami, by porozmawiać o szkolnych sprawach, i zanim się obejrzę, dzień przeleci, a wy wszyscy wracacie do domu.

– Zapomniałaś o jodze. Uwielbiasz ją, prawda?

– Tak, jasne, głupio, że o tym zapomniałam. Bardzo ją lubię, ćwiczę prawie codziennie.

Odczekuję kilka sekund, po czym mówię:

– I swojego nauczyciela też bardzo lubisz.

Jej kremowa cera zmienia kolor. Czerwienieje. Wokół ust pojawia się napięcie. Zdejmuje lewą rękę z dźwigni zmiany biegów, pociera nos. Oszustwo. Nie tylko ja zatajam różne sprawy.

– Tak, jest świetny – odpowiada.

– Czy to przypadkiem nie on wpadł wczoraj wieczorem z wizytą?

Patrzy na mnie. Bez trudu śledzę jej proces myślowy. Na pewno nie, uspokaja siebie. Przecież dom był pusty. Odwraca się, zanim odpowie.

– A, tak, owszem. Zamówiłam nową matę i mi ją podrzucił. Akurat przejeżdżał.

Ton głosu. Podniesiony. Samochód hamuje, stanie na światłach wzmagają ból. Jej. I moją przyjemność. Potem poczucie winy. Nie wiem, czemu z niej drwię, dlaczego mnie to bawi.

Mówię Saskii, że to miło z jego strony, że przywiózł matę. Kiwa głową, ostrożnie wyczekując, co dalej nastąpi, ale ja na tym poprzestaję. Nie mówię jej, że zanim wczoraj wieczorem zamknęłam drzwi prowadzące do suterenu, usłyszałam hałas. Nie mówię jej, że zeszałam po schodach do sali do ćwiczeń i zobaczyłam, jak rżnie ją na podłodze facet o połowę od niej młodszy. Zdzira. Nie mówię jej, ponieważ tajemnice, pieczołowicie chronione, mogą okazać się użyteczne.

– Bliżej już nie mogę podjechać – mówi Saskia i podjeżdża do krawężnika przy kiosku naprzeciwko szkoły.

– Tu jest świetnie, wyjmę tylko teczkę z bagażnika.

Kiedy odwracam się, by otworzyć drzwi auta, dostrzegam cię na pierwszej stronie gazety wystawionej na zewnątrz kiosku. Saskia ponagliła mnie, mówi, że

wstrzymuje ruch. Wsiadam, zamykam drzwi, wyciągam teczkę z bagażnika, a kiedy go zamykam, Saskia trąbi i odjeżdża. Staram się jak najdłużej zbierać rzeczy z chodnika i wkładać plecak, wbijam w ciebie wzrok. Ktoś za mną mówi, już bardziej na środku nie możesz stać? Zbieram rzeczy i ruszam na pasy. Wysokie pomarańczowe lizaki, strumień uczennic w mundurkach.

Idę do świetlicy, która zazwyczaj przypomina „środkowy korytarz”, którego unikam, ale z samego rana ma się tam odbyć obowiązkowe spotkanie naszego rocznika w związku ze szkolnym przedstawieniem *Władcy much*. Otwieram drzwi. Pierwszą osobą, którą widzę, jest Phoebe, która zdążyła się już przebrać ze stroju do biegania w mundurek. Wiele innych dziewczyn pokłada się na kanapach i poduchach. Większość z nich nie podnosi wzroku, kiedy wchodzę. Głowy schylone nad telefonami, stukające palce. Przewijanie. W górę. W dół. Nie czytają o porwaniu kobiet i dzieci w Nigerii. Mają obsesję na punkcie drobiazgów, nieistotnych rzeczy. Rozstania celebrytów. Makijaż. Niemowlaki. Rozwód. Kto kogo zdradził. Zasłużyła sobie na to, głupia krowa. Przerzucanie się komentarzami. Palce bębnią coraz szybciej. Puk. Puk, puk. Znowu puk. I jeszcze raz, bo zmieniły zdanie. Bo znów coś im się odwidziało.

Zostawiam teczkę przy drzwiach i bez zastanowienia zgarniam gazetę z najbliższego stolika, siadam. Serce zaczyna mi bić mocniej, kiedy widzę, że również ta gazeta ma na okładce twoje zdjęcie. Teraz nie pora, by się tobą cieszyć, czerpać przyjemność z patrzenia na ciebie. Otwieram gazetę na chybił trafił, i tak nie mogę skoncentrować się na tym, co czytam. Chwilę później Phoebe wstaje ze swego siedziska na parapecie, podchodzi do mnie, wyrywa mi gazetę. Tarcza. Ochrona. Zniknęła. Ma ciebie, twoją twarz, w prawej ręce.

– Dzięki, pokrako, wiesz, że lubię być na bieżąco.

Wali się na krzesło naprzeciwko mnie. Jej szkolna spódniczka, która podjechała wyżej w pasie, jest krótsza, niż powinna, odsłania pozostałość letniej opalenizny na jej umięśnionych nogach. Skarpetki do kostek w następnym tygodniu zamienimy na rajstopy, założę się, że znajdzie sposób, by były ponętne. Podciąga nogi, kładzie stopy na stoliku stojącym między nami, widać jej majtki, gazetę trzyma na udach. Pod kolanem, obok blizny, ma narysowane długopisem serduszko. Blizna jest owalna. Patrząc na nią, przypominam sobie, jak lubiłaś mnie znakować. Zawłaszczona i ocechowana. Kiedy myślę o tobie, patrzę przed siebie niewidzącym wzrokiem, nie panuję nad tym. Gonitwa myśli.

Nie zdają sobie sprawy, że tak robię.

– Lubisz się gapić na dziewczęce majteczki?

Odwracam wzrok, niektóre dziewczyny się śmieją, inne są wciąż zajęte, pograżone w swych płytkich cyfrowych grobach. Phoebe wraca do lektury, kątem oka widzę, że kręci głową, a kiedy mówi, o kurwa, wiem, że czyta o tobie.

– Clonny.

– Co?

– Tu piszą o tej walniętej suce, która zabijała dzieci.

– O kurwa, naprawdę? Co piszą?

– Coś o placu zabaw. Chodź, pokażę ci.

Clondine wstaje z poduchy, podchodzi.

Moje ciało reaguje. Panika. Zimny pot. Na karku.

– Mam czytać na głos? – pyta Phoebe.

– Tak, dawaj – odpowiada Clondine.

Przełykam ślinę, to znaczy próbuję. Lepkie paluszki zatykają mi gardło. Wstrętny smak. Nie wymiotuj, nie możesz. Nie tutaj.

Zainteresowanie rośnie. Dziewczyny, jedna po drugiej, ciągną jak pszczoły do miodu. Sadowią się na krzesłach obok Phoebe, zaglądają sobie przez ramię, Phoebe umie panować nad tłumem.

„Czterdziestoosmioletnia Ruth Thompson była powszechnie lubianą pracownicą schroniska dla kobiet. Zatrudniona jako wyspecjalizowana pielęgniarka, była osobą, z którą w pierwszej kolejności stykały się liczne wystraszone kobiety i ich dzieci, ukrywające się, a często uciekające przed niebezpiecznymi i brutalnymi partnerami. Nie miały pojęcia, że ona jest równie, a nawet bardziej zła. Thompson została aresztowana w lipcu tego roku i oskarżona o zamordowanie dziewięciorga dzieci. Dokonała tego w ciągu dziesięciu lat, w okresie od 2006 do 2016. Z nowych doniesień wynika, że te morderstwa odbywały się w pokoju nazywanym przez Thompson placem zabaw, w jej domu w Devon. Po jej aresztowaniu w piwnicy domu znaleziono ciała ośmiorga dzieci, a ciało dziewiątego na tak zwanym placu zabaw. Ofiary były w wieku od trzech do sześciu lat. Thompson mieszkała w tym domu z własnym nastoletnim dzieckiem, które podobno dostarczyło przeciw niej kluczowych dowodów”.

– O ja pierdolę, to ona jest czyjaś matką? Wyobraźcie sobie, jak by to było z nią mieszkać.

– No, cały czas byś myślała, że będziesz następna.

– Plac zabaw? Ale porąbana picz. Ciekawe, co jeszcze wypłynie.

Reszta słów czytanych przez Phoebe – znęcanie się – wizjer – tajemnice – zlewa się, kiedy myślę o tym, co powiedziała Aimee – „cały czas byś myślała, że będziesz następna”.

Ja też o tym myślałam. Że będę następna. Ale nie mogłabyś, prawda? Nie dlatego, że mnie kochasz, nie dlatego, że beze mnie czułabyś się zdruzgotana, osamotniona. Zostawiłaś mnie przy życiu, ponieważ mnie potrzebowałaś. Byłam częścią twojego przebrania.

Kiedy Phoebe kończy czytać, zapada cisza. Wstrzymany oddech, wydech. Padają grube przekleństwa. Francuzka Marie rozładowuje atmosferę, mówiąc, może nasze matki wcale nie są takie złe? Kiwanie głowami. Dziewczyny się

rozchodzą, wracają na swoje poprzednie miejsca. Głowy w dół, stukanie palców. Szybko, minęło pięć minut. Trzeba nadgonić. Świat może się zmienić w mgnieniu oka social mediów. Ale Phoebe nie spuściła głowy, patrzy na mnie. Myślę tylko o tym, że ty i ja jesteśmy podobne jak dwie krople wody, a ona to zauważyła.

– Co myślisz, pokrako? Sądź, że jest winna?

Ja to wiem.

– O tym zdecyduje sąd.

– Nie wydajesz się zbyt poruszona, może sama masz chore skłonności, wszyscy wiedzą, że przybrane dzieci mają coś z głową.

Odwracam twarz, zawstydzona, że chce mi się płakać, ale to jeszcze bardziej ją nakręca. Nie znosi, jak się ją ignoruje.

– Cwaniara z ciebie, powiedziałaś tacie, że zgubiłaś telefon, co? A może ja mu powiem, jakie zajęcia pozalekcyjne sobie zaplanowałaś? Uczennica – cichodajka, tak chyba było w ogłoszeniu?

Sposób, w jaki to mówi. Cedzi, wypluwa z ust. Lśniących. Boskich. Odwracam się, by spojrzeć jej w twarz, tak jak większość dziewczyn w pokoju. Clondine chichocze, jednocześnie filmując, unosi wysoko telefon. Standard. Filmik będzie puszczone na okrągło, przemontowywany. Doda się muzykę. Wszystko, byle był wart oglądania na Facebooku, na Instagramie. Rozlega się dzwonek, pierwsza przerwa. Ktoś pyta, gdzie jest, do kurwy nędzy, ta pani Mehmet. Ostry pulsujący ból, moja ręka w kieszeni marynarki, nie muszę na nią patrzeć, by wiedzieć, że zdarłam skórę z kciuka na tyle, by krwawił. Po dzwonku wiem, która godzina, ale i tak spoglądam na zegar, byle umknąć sokolemu oku Phoebe. Poduszka, którą rzuca, trafia mnie z boku w twarz. Podskakuję, nerwy mam napięte do ostateczności po słuchaniu, jak czyta o tobie oraz o tym, że też miałaś dziecko.

Mnie.

Już mamy dać nogę ze świetlicy, kiedy wpada pani Mehmet i oznajmia, kto jaką rolę gra w sztuce, oraz prosi, by zgłosiły się ochotniczki do malowania tyłu sceny i dekoracji. Przesłuchania do sztuki były we wtorek, kiedy zostałam w domu z powodu migreny, ale pani Mehmet prosi mnie, bym została suflerką, przypomina, byśmy wykorzystywały swoje szkolne forum do wymiany pomysłów.

– Spotykajcie się, by przepowiadać razem kwestie, zanurczcie się w swoich postaciach. Jedzcie, śpijcie i pijcie z tą sztuką, spodziewam się, że dacie z siebie wszystko.

Świetlica pustoszeje. Zostaję w niej sama, wygładzam papierowe zmarszczki, które Phoebe zostawiła, czytając na głos o tobie. Kładę cię na górnej półce regału na książki, gdy przychodzi mi na myśl, że ktoś mógłby bazgrać po twojej twarzy albo postawić na niej szklanekę. To zbyt wiele. Minutę po wyjściu wracam, wyrywam stronę z twoim zdjęciem i umieszczam ją w przedniej kieszeni plecaka.

Na trzeciej przerwie loguję się na forum. Prywatne miejsce, prywatna przestrzeń, gest zaufania dyrektorki do naszego rocznika. Hasło zabezpieczone przez wyznaczoną specjalnie osobę, jest nią nie kto inny, jak królowa pszczół, Phoebe Newmont. Cytaty i wiersze. Praca domowa. I filmiki, teraz. Ostatnio załadowany *Pokraka dostaje poduchę*. W odpowiedzi głównie emotikony „popłakałam się ze śmiechu”. Komentarz Izzy: „Więcej proszę!”.

Tak bardzo się starałam nie wierzyć w rzeczy, które mówiłaś – jesteśmy tylko ja i ty, Annie, nikt inny cię nie zechce. Zgadzałam się, mówiłam tak, masz rację, oczywiście. Zaprogramowana, by słuchać. Ale późno w nocy, kiedy nie mogłam zasnąć pod groźbą odwiedzin twego cienia, odrzucałam twoje słowa w głowie. Chwytałam się myśli, że pewnego dnia mogę być lubiana i akceptowana za to, że jestem sobą. Ktokolwiek. Jakiekolwiek to może być. Ale aktualnie nie mam szans, Phoebe o to zadbała. Szybko uznała, że nie tylko jestem osobą, której nie lubi, ale też taką, której nikt nie powinien polubić. Potężna, jak ty.

Przykrość. To boli być celem Phoebe, ale na jakimś poziomie to również włączenie. Możliwość uczenia się, której tak łaknę. Teraz to ja jestem swoją nauczycielką, chociaż twoje lekcje nadal głośno dźwięczą mi w głowie. Pamiętam, jak w pewien weekend pomagałam ci w pracy. Bawiłam się z dziećmi, podczas gdy ty zajmowałaś się ich matkami. Jedna z kobiet stwierdziła, że jestem piękna. Uderzająco piękna. W samochodzie w drodze do domu powiedziałaś, że uroda daje siłę.

I kamuflaż.

Dawała mnie i będzie dawać tobie.

Spytałam, co masz na myśli. To natura, odparłaś. Uroda zaślepia, przyciąga ludzi. Jaskrawozielona rzekotka drzewna, pająk, który się uśmiecha. Piękny odcień błękitu na głowotułowiu rozprasza ofiarę. Pajęczyna, lepka. Gruba. Ofiara orientuje się zbyt późno. Orientuje się w czym, mamusi? Uśmiechnęłaś się, uszczypnęłaś mnie w udo, mocno, i powiedziałaś – że nie ma ucieczki.

Twój głos, sposób opowiadania historii. Zniewalający, choć przerażający. Pamiętam, jak pomyślałam, że nie chcę omotywać ludzi ani wciągać ich w miejsca, z których nie mogą uciec.

Nie chciałam być taka jak ty.

Kiedy zaglądam rano do internetu, newsy huczą o tobie. Strzępy informacji z przecieków pożerane przez dziennikarzy.

W jednym z artykułów piszą:

Ława przysięgłych usłyszy nie tylko zeznania matki Daniela Carringtona, ostatniego dziecka, które znaleziono martwe w domu Thompson, ale również zeznania eksperta w dziedzinie medycyny sądowej, który odpowie na pytania dotyczące jego śmierci oraz miejsca zbrodni, pokoju w koszmarnym domu Thompson, który nazywała placem zabaw. Nie wiadomo jeszcze, czy to rutynowa część procesu, czy też ekspert został wezwany na żądanie obrony. Thompson przebywa obecnie w więzieniu Low Newton, a daty procesu jeszcze nie podano do publicznej wiadomości.

Chciałabym móc to sobie racjonalnie wytłumaczyć. Że obrona chce się skupić na śmierci Daniela, bo on był ostatni i ślad jest świeży. Ale za dobrze cię znam. To ty. To ty powiedziałaś, by skupili na tym swoje wysiłki, bo wiesz, że to mnie najbardziej zrani. Znałam Daniela ze schroniska. A także jego mamę. Myślę o niej cały czas, i o innych mamach. Jak musiały się czuć, kiedy dowiedziały się, co zrobiłaś? Komu oddały swoje dzieci? Mężowie potwory, ale ty jeszcze gorsza. Ty też pewnie o tym wszystkim myślisz, ale rozpatrujesz w inny sposób. W taki, który zaspokaja twoje upodobanie do makabry, poza tym cieszy cię wrzawa, która rozpętała się wokół ciebie, sprawdzasz, jak daleko potrafią sięgnąć twoje kłamstwa. Myślę też o ławie przysięgłych, kim będą ci ludzie, jakiego typu osobami. I jak im współczuję. Te rzeczy, które usłyszą, zdjęcia, które będą zmuszeni oglądać. Miną miesiące albo nawet więcej czasu, zanim przestaną to widzieć. Wyobrażać sobie. Jeśli kiedykolwiek przestaną.

Nie mam pojęcia, skąd prasa wytrzasnęła zdjęcie, które publikuje, nigdy go nie widziałam. Ludzie będą wpatrywać się w twoją twarz, w twoje oczy i mówić, spójrzcie na nią, od razu widać, że jest zła, mam gęsią skórę, jak na nią patrzę. Nie będziesz się tym przejmować, wierzysz w swoją urodę, umiejętność wzbudzania sympatii, nawet teraz. Mężczyźni i kobiety w mundurach, którzy cię pilnują, niektórzy pewnie się zapomną, będą rozmawiać z tobą o pogodzie. Może nawet dowcipkować. Ty, taka czarująca.

Zainteresowanie specjalistów będzie wzrastać w miarę ujawniania kolejnych szczegółów. Wielu z nich będzie chciało przeprowadzić z tobą rozmowy, przeskanować twój mózg, by cię rozszyfrować. Morderczynie działające w pojedynkę (owszem, byłam tam, ale jednak) zdarzają się rzadko. Poza tym są jeszcze inni, jak ci, których zaprosiłaś na moje urodziny, czają się, skradają

w mroku. Podziw dla ciebie. Korespondencyjni przyjaciele, może nawet ktoś ci się w przyszłości oświadczy. Królowa krainy zbrodni, której istnienia nikt nie chce uznać. Zwyczajni ludzie. Niezwykłe zło wewnątrz nich. Mózg psychopaty różni się od mózgu większości ludzi, oceniłam swoje szanse. Osiemdziesiąt procent genetyka, dwadzieścia środowisko.

Ja.
Na sto procent porąbana.

Cieszę się, że jest weekend, nie muszę przejmować się szkołą. Mam za sobą cały pełny tydzień. Przetrwałam. Mike zostawił nowy telefon pod moimi drzwiami w czwartek wieczorem. Odłączam go od ładowarki. Kiedy wstaję i odsłaniam zasłony przy drzwiach balkonowych, widzę bezchmurne niebieskie niebo. W najbliższych tygodniach, gdy nastanie październik, słońce osiadzie niżej na niebie. Kiedy byłam bardzo mała, miałam ze trzy, cztery latka, lubiłam zimowe ciemności. Rozpalaliśmy w kominku w salonie, a czasem piekliśmy nad ogniem pianki cukrowe. Nie mieszkaliśmy wtedy jeszcze same, w domu byli też tata i Luke. Nie lubię myśleć o swoim bracie, o tym, że znalazł sposób, by się wyrwać, zostawił mnie. Uczucia, pogrzebane głęboko. Powinnam się tym zająć w swoim czasie, powiedział mi psycholog na oddziale, ale dopiero w ramach długoterminowej terapii, już po procesie. Pamiętam, że obserwowałam, jak odnosisz się do Luke'a, i chciałam być na jego miejscu. Życzenie, którego przyszło mi żałować.

Mój wzrok pada na kawałek papieru wetknięty pod jedną z doniczek na balkonie. Otwieram drzwi, wychodzę, wydaję liścik. Numer telefonu, pod spodem litera M. Spryciara. Chociaż to było ryzykowne, podchodzić tak blisko do domu. Wysłałam esemesa pod jej numer, by podać własny. Odpowiada od razu, pyta, czy chcę się później z nią spotkać. Tak, odpowiadam. Umawia się ze mną o trzeciej na końcu ogrodu, pisze, żebym koniecznie włożyła bluzę z kapturem. Wracam do łóżka, owijam się kołdrą, cieszę uczuciem, jakie wywołuje we mnie wiadomość od Morgan. W starej szkole nie miałam zbyt wielu znajomych, zaproszenia na nocowanki ustawały, bo nie były odwzajemniane. Nie mogły być.

Śpię spokojnie, po raz pierwszy czuję się wypoczęta i głodna. Szukam Rosie, ale jej koszyk przy kaloryferze w przedpokoju jest pusty. Przypominam sobie, że Mike czasem zabiera ją ze sobą do pracy. Dostaje tam więcej uwagi niż w domu.

Na kuchennym stole jest liścik. „Zaglądałem do ciebie – SPAŁAŚ JAK ZABITA! Wyślij, proszę, swój nowy numer do mnie i Sas. Będę cały dzień w pracy, ale Sas jest na miejscu”.

Biorę miseczkę z płatkami, zjadam je na stojąco, przy ciepłym piecyku Aga. Słyszę, że drzwi frontowe się otwierają, odzywa się zabytkowy dzwonek nad nimi, a osoba, która przyszła, od razu rusza schodami na górę.

– Dzień dobry! – wołam.

Nikt nie odpowiada, więc wychodzę do przedpokoju. Duża torba rzucona na podłogę, wszystko się z niej wysypuje. Saskia. Podchodzę, na samym wierzchu portfel, otworzył się, bo jest przepelnięty rachunkami. Saskia lubi kupować, to poprawia jej nastrój, na chwilę. Już mam odejść, kiedy widzę, że coś wystaje z jednej z kieszonek na karty. Przyglądam się, potem wracam do kuchni, by posprzątać po śniadaniu. Kiedy słyszę kroki na podeście, znów wychodzę do przedpokoju, staram się zjawić tam w tej samej chwili, co ona.

– Cześć, nie wiedziałam, że jesteś na dole. Wypałaś się? – pyta.

Mata do jogi przerzucona przez ramię, zapakowana w ręcznie szyty jedwabny worek, na pewno prezent od Mike'a, a może od Benjiego, jej nauczyciela.

– Tak, dziękuję.

– Jakie masz plany? Jeśli chcesz, możesz pójść ze mną na jogę.

Nogi cienkie jak patyczki, w błyszczących legginsach z lycry, obcisłych w kroku. Wzgórek Wenery. Podkreślony. Pewnie wygolony. Nie jest nieśmiała.

– Nie, dziękuję, mam mnóstwo lekcji, muszę nadrobić zaległości.

– Nie przejmuj się, wkrótce się uda. Czy ci nie przeszkadza, że będziesz w domu sama? Mogę zostać, jeśli chcesz?

– Nie, w porządku.

– Wrócę za jakieś półtorej godziny, jeśli byś chciała coś później robić.

– Chyba spotkam się z koleżanką.

– Z kimś ze szkoły?

– Tak.

Patrzy na zegarek na nadgarstku, który nie istnieje. Niecierpliwie przebiera nogami.

– Muszę już iść – mówi.

Gdy jest już w drzwiach, wołam za nią.

– Saskia.

– Tak?

– Głupio mi prosić, wiem, że ty i Mike już i tak jesteście dla mnie tacy dobrzy, ale czy mogłabym dostać trochę pieniędzy, gdybym chciała kupić na przykład gorącą czekoladę?

– Jasne, oczywiście, czekaj, tylko wyjmę portfel. Musimy ustalić dla ciebie kieszonkowe, Phoebe dostaje. Porozmawiam o tym z Mikiem dziś wieczorem.

Wychodzę za nią na ganek.

– Dwadzieścia wystarczy?

Kiwam głową.

– Proszę.

– Dziękuję, udanej jogi.

– O, na pewno.

– Dużej frajdy z panem.

– Słucham?

– Dużej frajdy w asanach.

– Jasne.

Wycofując samochód z podjazdu, odczuje nieprzyjemne sensacje w brzuchu. Skończ wreszcie z tą paranoją, powie sobie. Ale ma do niej prawo, bo choć staram się z całych sił, czasem nie mogę się powstrzymać.

Gdy już czas, idę na koniec ogrodu, by spotkać się z Morgan. Otworzyłam furtkę pierwszego wieczoru po tym, jak dałam jej telefon, dzięki czemu, jak sądzę, odkryła wyjście przeciwpożarowe, którym można się dostać na mój balkon. Natychmiast chce iść, zabrać mnie gdzieś.

– Włóż kaptur – mówi. – Chodź za mną.

Kiedy docieramy do końca ślepego zaułka, przechodzimy na drugą stronę ulicy i wkraczamy na osiedle, na którym mieszka Morgan. Natychmiast przytłaczają nas wielkie bloki, tu i tam kręcą się jacyś ludzie, ale nikt nie zwraca na nas uwagi. W niektórych oknach palą się światła, popołudniowe niebo nieco ciemnieje. Balkony są zastawione dziecięcymi rowerkami, pralkami do prania i innym chłamek.

– Szybciej, guzdrało – mówi.

Dochodzimy do wieżowca na krańcu osiedla, stajemy u dołu schodów na tyłach budynku.

– Dokąd idziemy? – pytam.

– Na samą górę. – Wskazuje szczyt wieżowca. – Ścigamy się.

Startuje pierwsza, ale szybko ją doganiam. Szesnaście pięter, brak światła na schodach, na samej górze drzwi, z których luszczą się kobaltowa farba, kolor wybija się na tle szarości betonowych ścian. Zatrzymujemy się, by złapać oddech, uśmiechamy się do siebie. Zdejmuje kaptur, ja robię to samo.

– Chodź – mówi.

Otwiera drzwi, a kiedy wychodzimy na zewnątrz, wiatr wita nas pożądliwie. Gna do góry, szaleje wokół, mocno liże. Morgan chwyta mnie za rękaw, ciągnie w lewo. Kiedy zbliżamy się do skraju dachu, widzę świat pod nami. Samochody i autobusy, ludzie, nie mają pojęcia, że tu jesteśmy i na nich patrzymy. Morgan wskazuje na brakującą część barierki, uważaj, mówi.

Kiwam głową. Podchodzimy do dużego otworu odpowietrzającego, wielkie śmigło tkwi w żebrowanych kwadratach.

– Tu jest mniej wietrznie – mówi Morgan.

Obok otworu widać potłuczone szkło, pustą butelkę po coli. Plastikowe skrzynki, pety wszędzie wokół. Brzydko, a jednak pięknie, miejsce, w którym jest się anonimowym.

– Kto tu przychodzi?

– Prawie nikt, zwykle tylko ja. Nie mieszkam w tym bloku, ale czasami przychodzę tutaj, jak chcę się wyrwać.

Rozumiem, co ma na myśli, potrzebę wyrwania się, która czasem się pojawia. Często.

– Jak telefon? – pytam.

– Bardzo dobry, był odblokowany, więc włożyłam tylko nową kartę SIM. Chcesz, żebym ci go oddała?

– Nie, mam nowy, możesz go zatrzymać.

– Na pewno?

– Tak. Mam coś jeszcze.

Wyjmuję z kieszeni džinsów paczuszkę, którą ukradłam z portfela Saskii, podaję jej.

– O rany, skąd to masz?

– Znalazłam w torebce mojej przybranej matki.

– Jezu.

Patrzę, jak powoli otwiera zawiniątko, rozkłada na dłoni. Kuca, osłania zawartość, mówi, że próbowała tego już kilka razy na imprezach na osiedlu. Nabiera trochę proszku na mały palec, nachyla się, zatyka jedną dziurkę, drugą wciąga narkotyk. Podaje mi zawiniątko, natychmiast się kładzie, rozgwieżdża na betonie. Kiedy zamyka oczy, udaję, że też wciągam proszek. Potem zawijam paczuszkę, kładę się obok niej.

– Kurwa, ale dobre – mówi.

– No.

– Jak ci się żyje z blondyną?

– Staram się trzymać od niej z daleka.

– Słusznie, jest okropna do szpiku kości.

– Raczej tak.

– Ale czemu grzebałaś w rzeczach przybranej matki?

– Chyba z nudów, a poza tym łatwo się z nią drażnić.

– A więc lubisz drażnić ludzi?

– Nie bardzo, nie powinnam jej tego robić. Chyba się mnie trochę boi.

– Boi? Akurat. A co w tobie niby takie straszne?

Moja przeszłość, ot co.

– Nic. Masz, weź jeszcze koki.

Pytanie Morgan wytrąca mnie z równowagi, kieruje myśli ku temu, co żyje wewnątrz mnie, zastanawiam się, czy da się od tego uciec. Cechy charakteru

głęboko zagrzebane w moim DNA mnie prześladują. Nawiedzają.

Bierze kreskę, zrywa się na równe nogi, pyta, czy chcę poczuć się, jakbym latała.

– Chodź, pokażę ci – mówi.

Zbliżamy się do skraju dachu, do wyrwy w barierce, wiatr jest silniejszy, niebo ciemniejsze. Stoi za mną, popycha mnie do przodu, blisko krawędzi. Włóż, mówi, na występ. Moje ciało sztywnieje, nogi nie słuchają. Czuję, że to gra, w której nie chcę brać udziału.

– No dalej, włóż, nie spadniesz. Robię to często. Rozłóż ręce jak orzeł.

– Nie, za mocno wieje.

Nazywa mnie mięczakiem, rusza do przodu i wchodzi na występ, łapie równowagę, a potem podnosi się z kucek, staje całkiem prosto.

Jeden błędny ruch.

I.

Coś włącza się w moim ciele.

– Widzisz – mówi, śmiejąc się. – To nie jest trudne, przynajmniej dla niektórych.

Teraz przemawia do mnie twój głos, pełen złości, rozczarowania. ONA SIĘ Z CIEBIE ŚMIEJE, ANNIE, TO NIE W PORZĄDKU, ZRÓB COŚ, NIECH ZA TO ZAPŁACI. Nie, nie chcę. Chcę odejść, ale zamiast tego zbliżam się o krok do niej. Prąd przebiega mi wzdłuż kręgosłupa, choć zdechł po tym, jak cię opuściłam, nie wiem, kim jestem. ALEŻ WIESZ, ANNIE, DOBRZE WIESZ. POKAŻ MI. Zbliżam się o kolejny krok, moje wyciągnięte ręce są tak blisko niej, stojącej na krawędzi, i może bym to zrobiła, może jestem do tego zdolna. I do czegoś gorszego. Ale ona zeskakuje, odwraca się do mnie, szczyrzy zęby w uśmiechu, ma wyszczerbioną jedynekę. Patrząc na nią, mam ogromne poczucie winy.

– Cykor – mówi. – Co chcesz teraz robić?

– Wszystko mi jedno.

– To chodźmy do wentylatora, weźmy jeszcze trochę koki.

– Dobra.

Kiedy znów leżymy, pytam Morgan, dlaczego chciała latać, czemu chciała być jak orzeł.

– Pewnie żeby uciec, być gdzieś indziej.

– Ktoś opowiadał mi kiedyś o dziewczynce, która tak się bała, że modliła się o orle skrzydła.

– Czego się bała?

Osoby, która opowiadała jej tę historię.

– Coś ją ścigało, ale choćby nie wiem jak szybko biegła ani jak daleko zaszła, było tuż za nią.

– Co to było?

– Wąż. Czekał, aż dziewczyna zmęczy się biegiem, czekał, aż zaśnie, a wtedy się pojawiał.

– Dlaczego ścigał dziewczynę?

– Tak naprawdę to nie był wąż, tylko ktoś udający węża.

– Ale kto?

– Osoba, która chciała powiedzieć dziewczynie, że jeśli kiedykolwiek spróbuje odejść, to ona pójdzie za nią. Odnajdzie ją.

– Jak ktoś może się zmienić w węża?

– Czasami ludzie nie są tacy, za jakich się podają.

– Czy dziewczynie udaje się uciec?

Nie w wersji, którą mi opowiadałaś, mamusiu.

– Nie wiem.

– Dlaczego?

– Bo dziewczyna zniknęła i nikt jej od tej pory nie widział, nie widziano też węża.

– Myślisz, że nadal ją ściga?

– Możliwe.

Prawdopodobnie.

– Cieszę się, że nie gonią mnie żadne węże.

– Tak, masz szczęście.

– Znasz dużo innych historii?

– Tak.

– Możesz mi opowiedzieć jeszcze jedną?

– Może następnym razem.

Mam to, czego chciałam, zaprzyjaźniałam się z Morgan, ale teraz się boję.

Jeden błędny ruch.

I.

Kpiłaś sobie ze mnie w mojej głowie, powiedziałaś: NIE WIDZISZ, ANNIE?

CZY NIE WIDZISZ, KIM JESTEŚ?

Kiedy przychodzę do domu, widzę płaszcz Mike'a na balustradzie w przedpokoju, widocznie wrócił wcześniej z pracy. Zabieram iPod'a ze swojego pokoju, nie chcąc zostawać tam sama, i idę do wnęki przed gabinetem Mike'a. Lubię w niej przesiadywać, bo jest tam sporo książek, a poza tym, jak się przekonałam, to dobre miejsce do podsłuchiwania jego rozmów telefonicznych. We wnęce są różne książki, ale głównie dotyczą wszystkiego, co jest „psycho”. Psychoanaliza. Psychoterapia. Psychologia. I moja ulubiona, książka w twardej czerwonej okładce, która jest studium na temat psychopatów. Taką etykietkę przykleiła ci prasa. Książka jest wielka i ciężka, ma dużo rozdziałów. Kto by pomyślał, że tyle o tobie wiesz.

Najbardziej interesuje mnie rozdział o dzieciach psychopatów. Zamęt emocjonalny, w jaki wpada dziecko, kiedy przemoc przeplata się z czułością. Odpychanie i przyciąganie. Hiperczułość, nigdy nie wiadomo, czego można się spodziewać, ale wiadomo, że czegoś na pewno. Rozpoznaję te uczucia. Przeżywałam to codziennie z tobą. Na przykład kiedy w naszym domu wysiadł prąd, gdy na zewnątrz szalała burza. A w środku jeszcze gorzej. Miałaś latarkę, powiedziałaś, żebym zeszła do piwnicy i włączyła korek automatyczny. Mówiłam, że się boję, nie chciałam iść, wiedziałam, że tam jest coś więcej niż tylko pudła i stare meble.

Trzymałaś latarkę pod brodą, powiedziałaś, że pójdziesz ze mną, oczywiście to był podstęp. Wepchnęłaś mnie do środka, zamknęłaś drzwi na zasuwę. Przywarłam do drzwi, liczyłam od stu w dół, potem straciłam przytomność, obudziłam się, gdy mnie kopałaś. Rozczarowałam cię, oto co powiedziałaś, bo byłam słaba i się bałam, ślubowałaś, że zrobisz ze mnie twardzielkę, nauczysz, jak być taką jak ty. Tej nocy fantazjowałam o odwróceniu sytuacji, zakończeniu twoich lekcji, ale wiedziałam, że nawet gdybyś była martwa, twój duch przenikałby przez ściany, aż wreszcie by mnie znalazł.

Słyszę, że dzwoni telefon w gabinecie Mike'a, od razu odbiera, jakby się go spodziewał. Zdejmuję słuchawki z uszu, nie żebym słuchała właśnie muzyki, to trik, by zawsze wyglądać na czymś pochłoniętą. Nieświadomą otoczenia. Mike ufa mi, nie ma powodu, by tego nie robić.

Jeszcze.

Chwila przerwy, a potem cześć, June, nie ma sprawy, dobrze, że mi przerywasz, miło się oderwać od dzisiejszych zapisków. Wiem, no pewnie. Tak, w porządku, dobrze sobie radzi w szkole, dużo się uczy. Staram się namówić Phoebe, by robiła to samo.

Śmiech.

Przez chwilę się nie odzywa, słuchając June, a potem mówi, o Boże, biedna dziewczyna, przez co jeszcze będzie musiała przejść. Wierzyć mi się nie chce.

Mały wybuch w mojej klatce piersiowej.

Mike cichnie, znów słucha, potem odpowiada, tak, oczywiście, powiem jej o sprawach związanych z procesem, ale nie o tym, co mówi jej mama. Dzięki, June, doceniam twoje wysiłki. Tak, my też tak uważamy, jest niezwykła.

Kliknięcie. Koniec rozmowy.

Znów nakładam słuchawki, wsuwam czerwoną książkę pod poduszkę tuż przed wyjściem Mike'a z gabinetu. Udaję, że go nie zauważyłam, bębnię palcami w takt muzyki, której niby to słucham. Macha przede mną ręką, uśmiecham się, naciskam pauzę na iPodzie, zdejmuję słuchawki

– Hej, jak ci minął dzień? – pyta.

– Dobrze, dzięki.

– Co czytasz?

Grubą czerwoną książkę o mamusi. I o mnie.

Podnoszę *Władcę much*, inną książkę, którą czytam.

– To lektura. Pani Mehmet uważa, że powinnyśmy czytać przynajmniej jedno dzieło klasyczne na miesiąc. Zresztą w tym semestrze wystawiamy sztukę na podstawie tej książki.

– Dostałaś rolę?

– Byłam nieobecna w dniu przesłuchań, ale pani Mehmet poprosiła, bym została suflerką, i mam pomagać w malowaniu dekoracji.

– Fajnie. A Phoebe dostała jakąś rolę?

Oczywiście, przecież rządzi całym naszym rocznikiem. Nie wiedziałaś?

– Jest narratorką sceniczną, ma dużo tekstu do opanowania.

– Rany, to lepiej niech się bierze do roboty. Podoba ci się? – Wskazuje głową książkę.

– Tak.

– A co konkretnie?

– Że nie ma w niej dorosłych.

– Dzięki – mówi ze śmiechem.

– Nie, nie o to chodzi...

– A o co? Podoba ci się, że te dzieci nie mają rodziców?

– Mają rodziców, tylko że nie ma ich z nimi na wyspie.

– Słusznie. Ale są tam różne przygnębiające sceny, prawda?

Kiwam głową.

– Na przykład śmierć Prosiaczka.

– Zdaje się, że ginie również chłopiec o imieniu Simon.

Zauważyłam, że o tym nie wspomniałam, psychologiczne zacięcie sprawia, że

draży przyczynę.

– Śmierć Simona jest bardzo przygnębiająca, prawda?

Waham się na tyle długo, by wydawało się, że się nad tym zastanawiam, po czym odpowiadam:

– Tak.

To, co chcę mu powiedzieć. Prawda. Jest taka, że. Dla mnie koncept, że ludzie albo dzieci ranią się i zabijają, wcale nie jest przygnębiający.

Jest znajomy. Czuję się z nim jak w domu.

Mike siada obok mnie. Rękawy koszuli ma podwinięte, ciemnawe włoski na przedramionach, zegarek, który wygląda na drogi.

Jest na tyle blisko, że może mnie dotknąć, ale tego nie robi.

– Właśnie rozmawiałem przez telefon z June, dzwoniła, by uprzedzić, że wybiera się na kilka dni wakacji.

I opowiedzieć mu, cokolwiek mówisz. Kolejny talerz na kiju, zonglerka.

– Są już jakieś wieści o rozprawie? Czy muszę na niej być?

– Nie wiadomo jeszcze nic konkretnego, ale powiedziała, że prawnicy przygotowują dla nas serię pytań, które mamy przepracować.

– Pytań?

– Dotyczą kwestii, o które mogą cię indagować.

– Więc będę przesłuchiwana przez obronę?

– Jeszcze nie wiadomo i wiem, że to okropne uczucie, ale powiem ci, jak tylko się czegoś dowiem. Obiecuję.

Wstaje, przeciąga się, proponuje, że przygotowuje mi jakąś przekąskę, stara się odwrócić moją uwagę od tematu. Powstrzymać dalsze pytania. Idę za nim do frontowej części domu.

– Aha, zapomniałem ci wczoraj powiedzieć, że dziś wieczorem mamy rodzinną kolację.

– Wszyscy?

– Tak. Ty, ja, Sas i Phoebe.

Pokrako, podaj mi, proszę, ziemniaki.

Ciekawe, jak by to zostało przyjęte przy stole.

– Zwykle jadamy około siódmej. Może być?

– Jasne.

Przez kilka kolejnych godzin rysuję i nasłuchuję przez ścianę odgłosów dobiegających z pokoju Phoebe, która wciąż wisi na telefonie. Myślę o tym, by zapukać do jej pokoju, udawać, że dopiero się poznałyśmy.

Zapomnijmy o tym, co wydarzyło się do tej pory, powiedziałabym. Zacznijmy wszystko od początku. Zaprzyjajnijmy się.

Kiedy nadchodzi pora kolacji, idę do kuchni, z piecyka Aga dolatuje zapach jakiegś pieczeni, powietrze jest nagrzone i nieprzyjemne. Mike też to czuje, otwiera

okno zaraz po moim wejściu. Phoebe stoi oparta o zlew, z głową pochyloną nad telefonem. Na blacie przy radiu stoi otwarta butelka czerwonego wina. Radio jest wyłączone, bo nikt nie chce ryzykować, że usłyszę coś o tobie.

– Ładnie pachnie – mówię.

Phoebe podnosi wzrok, parska drwiąco. Mike patrzy na nią, kręci głową. Saskia się odwraca, zajmuje mieszaniem sosu do mięsa buzującego na kuchence.

– To zapach legendarnego pieczonego kurczaka Sas-kii.

– Legendarnego, bo jest tak suchy, że będziesz go żuć do następnej niedzieli. Jeszcze nie jest za późno, by zamówić chińszczyznę.

Komentarz Phoebe zostaje zignorowany, jej głowa znów pochyła się nad telefonem. Jestem nowa w tej rodzinie, ale też to czuję. Że Saskia nie potrafi wychowywać, być silna. Patrzę na Phoebe. Smuci mnie, że nie potrafi dostrzec, iż więcej między nami podobieństw niż różnic.

– No dobra, Phoeb, czas odłożyć telefon, i bez dyskusji. Czy mogłybyście razem z Milly nakryć do stołu?

– Dobra, tylko nie oczekujcie, że będę się świetnie bawić.

– Może gdybyś się postarała, toby ci się udało – mówi Saskia, odwracając się twarzą do nas.

Jej czas minął, o wiele lat za późno na wygładzenie nastroszonych ze złości piór Phoebe. Ale dlaczego?

– Gdybym się postarała? Pochodząc od ciebie?

– Proszę, dziewczyno. Nie sądzę, aby to było konieczne przy Milly.

Chwieje się, grozi zawaleniem. Domek z kart ustawiony ostrożnie, w wielkim skupieniu. Krucha rodzina.

Nikt się nie odzywa, jedyny odgłos to chrobot pazurków Rosie na kaflach. Wchodzi do kuchni, merdając ogonkiem, z wysoko zadartym nosem. Kicha z przyjemnością, kiedy woń kurczaka wyjętego z piecyka kusi ją i przyciąga.

Mike pochyła się i drapie Rosie za uszami, tak jak suczka lubi, a potem mówi, chodź, staruszko, i wyprowadza ją, zamyka w przedsiionku. Phoebe i ja nakrywamy do stołu, podczas gdy Saskia wyklada pieczone ziemniaki i warzywa do półmisków. Kiedy wraca Mike, ostrzy długi nóż wprawnymi świszczącymi pociągnięciami. Ale nie mówi, bym rozpostarła palce dłoni na stole, by mógł dźgać pomiędzy nimi, najszybciej, jak potrafi. To nie taka gra.

Kiedy już siedzimy przy stole, kilka minut zajmuje podawanie talerzy, wymiana półmisków z przeciwnych krańców stołu, aż wreszcie wszyscy są gotowi do jedzenia. Mike nalewa wina Saskii i sobie, pół kieliszka dla Phoebe. Kiedy mnie również proponuje, odmawiam, wystarczy mi woda. Phoebe nazywa mnie sztywniarą, ale zbywamy to śmiechem. Założę się, że w myślach obdarzyła mnie gorszym wyzwiskiem.

– Na zdrowie – mówi Mike, unosząc kieliszek.

Nikt się do niego nie przyłącza.

– Milly mówiła mi, że w tym semestrze wystawiacie *Władcę much*.

Trafia na żyłę złota, wie, gdzie kopać.

– Tak, dostałam najważniejszą rolę, jestem narratorką sceniczną. Pani Mehmet mówi, że wybrała mnie z powodu dźwięcznego głosu.

– Fajnie, prawda, Sas?

Saskia przytakuje, ale nie wkłada w to serca. Pewnie fantazjuje o pieprzonym Benjim albo o tym, by wyjść stąd i nigdy nie wrócić. Oczy ma szkliste, co chwila dotyka nosa. Mike nie jest ślepy ani nie ma kłapek na oczach. Jednak postanawia to zignorować. Tolerować. Widocznie uzupełniła zapasik. Jest na haju. Nieźle nagrzana. I nieźle wygrzmocona.

– Milly. Ziemia do Milly – przywołuje mnie Mike.

Znów się zagapiłam. Tym razem na Saskię.

Phoebe rzuca komentarz, gdyby spojrzenie mogło zabić. Saskia prostuje się, próbuje kęs jedzenia.

Mike mówi, dosyć tego, wystarczy. Rozmowa toczy się dalej. Nijaka, banalna. Jemy, rozmawiając. Phoebe miała jednak rację, kurczak jest suchy.

Mike pyta, jak jej idzie nauka kwestii narratorki, sugeruje, by wzięła przykład ze mnie, czytała wciąż na nowo tekst. Czerwona płachta na byka, zapałka przyłożona do pochodni.

– To takie typowe, właśnie zakuwam ostro te pieprzone kwestie, ale zdaje się, że jesteś zbyt zajęty, by to zauważyć.

Osusza kieliszek z winem, żar alkoholu dodaje paliwa jej wściekłości.

– Jak nie przestaniesz się wyrażać, masz odejść od stołu, jasne? Zwłaszcza że mama przygotowała taką dobrą kolację.

– Musiałam chyba jeść coś innego – odpala Phoebe.

Saskia otwiera usta, już ma coś powiedzieć, ale jednak rezygnuje, nie jest nawet w połowie tak śmiała jak jej córka. Przeprasza, że musi wyjść do łazienki. Jej nos jest głodny.

– Rany, to był tylko żart.

– Ostatnie ostrzeżenie, Phoebe, mówię serio – odpowiada Mike.

Wbija widelec w kartofel, patrzy na niego, mówi:

– Dobra.

Mike przeczesuje palcami włosy, wzdycha, pyta, czy chce jeszcze trochę kurczaka.

– Nie, dziękuję, jestem najedzona.

– A mnie nie proponujesz?

– A chcesz jeszcze trochę?

– Nie, ale napiję się jeszcze wina.

– Nie, dziś już nie.

Za późno. Phoebe chwyta butelkę, wylewa trochę wina na stół, potem napełnia kieliszek. Tym razem cały. Jej usta zabarwiają się na fioletowo.

– Nie sądzę, Phoebe.

Mike wstaje, odbiera jej kieliszek, wylewa wino do zlewu.

– Nigdy nie miałeś nic przeciwko temu.

– Bo się lepiej zachowywałaś.

Phoebe gapi się na mnie i wiem, że obwinia mnie o to wszystko. Mike siada z powrotem do stołu i próbuje zastosować nowy chwyt.

– Dlaczego nie pracujecie razem nad sztuką, nie pomagacie sobie?

– Ja bym chciała – odpowiadam.

– Pracujemy nad tym z Iz.

– Może mogłybyście włączyć Milly?

– I tak się nie da.

– Nie musisz być tak nieuprzejma.

– Nie jestem nieuprzejma, dlaczego bierzesz jej stronę?

– Nie staję po niczyjej stronie.

– A właśnie że tak, równie dobrze mogłabym być niewidzialna.

Mógłby jej powiedzieć, rozbroić bombę. Wyjaśnić, dlaczego spędzamy ze sobą tyle czasu, gdzie pojechaliliśmy, kiedy opuściłam szkołę. Prawnicy. Nasze wieczorne rozmowy, o czym są. O tobie. Ale nie robi tego, mówi jej, że potrzeba czasu i uwagi z jego strony, bym mogła zaadaptować się w rodzinie. Phoebe już ma coś odpowiedzieć, kiedy wraca Saskia, trzymając w ręku szklankę z grubym dnem. Lód. Plasterki limonki. Siada, bawi się swoim naszyjnikiem, tym złotym, podobnym do mojego i Phoebe. Phoebe nie da się złapać na ten trik, przynajmniej matce.

– Widzę, że przerzuciłaś się na coś mocniejszego, więc mogę wypić twoje wino.

Sięga po kieliszek Saskii, opróżnia do dna. Lolita, nastoletnia kusicielka, wie, które guziki przyciskać. Mike kładzie ciężko dłonie na stole, pewnie nakazuje sobie zachowanie spokoju, zastosowanie praktyk używanych w pracy. Wstaje, odzywa się:

– Teraz już nie proszę cię, lecz wydaję ci polecenie. Odejdź od stołu, Phoebe. Jeśli nadal jesteś głodna, weź ze sobą, co chcesz, ale idź prosto do swojego pokoju, i wolałbym cię dziś wieczór już nie oglądać.

Phoebe robi, co jej kazano. Jest tak, jakby uszło z niej powietrze. Co się wznosi, musi opaść.

I zostało ich troje...

Mimowolnie robi mi się jej żal, też się tak czułam. Dojmująca samotność wśród ludzi albo przy osobie, która ma cię chronić. Pielęgnować. Mike przeprasza, pyta, czy się najadłam.

– Tak, dziękuję. Chyba też już pójdę na górę, jeśli można.

– Oczywiście, przykro mi, nie tak miało być.

Przystaję przed pokojem Phoebe, wyobrażam sobie, co robi. Pisze esemesy do Izzy? O tym, jak bardzo nienawidzi swojej rodziny, jak nienawidzi mnie?

Nie ma czegoś takiego jak lśniaca, nowa rodzina.

– Milly, tu Mike, słyszysz mnie?

Proszę, przestań płakać.

– Milly, do kogo mówisz?

Pomogę ci, obiecuję.

– Wszystko dobrze, Milly.

Nie, już za późno.

Ktoś kładzie mi ręce na ramionach, trzyma je tam. Naciska. Głos mówi, Milly, musisz stamtąd wyjść. Otwieram oczy i widzę przed sobą Mike'a.

– Pomogę ci wstać.

– Nie, one mnie potrzebują, Mike. Są przestraszone.

– Weź mnie za rękę, Milly. O tak, grzeczna dziewczynka.

Kiedy Mike wyprowadza mnie z piwnicy, oślepia mnie światło w korytarzu. Reflektor punktowy. Obnażona. Oto kim jestem. Zaczynam płakać, przytula mnie. Jego serce mocno bije, czuję je przez gruby materiał szlafroka. Nie powinien mnie dotykać, ale jestem zadowolona z tego, że to robi.

– Przepraszam – mówię w głębię jego klatki piersiowej.

– Nie masz powodu przeproszać, Milly.

Ależ mam.

Mam wiele powodów.

Kiedy Mike odprowadził mnie do mojego pokoju w sobotę w nocy, powiedział, że wszystko w porządku i że porozmawiamy o tym na sesji w tym tygodniu, ale skąd mogę wiedzieć, że tak myśli. I że wszystko w porządku. Kiedy nadchodzi noc, grunt pod moimi nogami zdaje się mniej pewny. To, co robię, mówię. Co wyjawiam na swój temat w takich chwilach. Moim największym lękiem byłaś dotąd ty, nadal przeważnie jesteś, ale mam też nowy lęk, że pokażą mi drzwi, bo Mike zorientuje się, że porwał się na zbyt wiele. Na więcej, niż chce.

Za jedenaście tygodni od dziś zaczyna się twój proces. Jedenaście tygodni, ten sam budynek, to samo powietrze. Chcę wiedzieć, co June powiedziała Mike'owi przez telefon. Chodzi o to, co ty powiedziałaś. I nie chcę, bym się o tym dowiedziała. Nie spiesz się i mów prawdę, tylko tym się zajmuj, powiedział mi Mike w zeszłym tygodniu. Łatwo mu mówić.

Siadam na łóżku, zdejmuję jedną z gumek z nadgarstka, zbieram włosy wysoko, w koński ogon, tak jak noszą je inne dziewczyny w szkole. Po ubraniu się zwijam w rolkę rysunki, które zrobiłam w czasie weekendu, bo chcę je pokazać M.K. Cieszę się, że znów ją zobaczę, czuję, że dobrze sobie radzę, kiedy z nią jestem. Tuż przed wyjściem z pokoju dostaję esemesa. Morgan, pisze, że dobrze się bawiła w sobotę, do zobaczenia wkrótce, a potem mnóstwo emotikonów. Gwiazda, kciuki uniesione w górę. Dwie dziewczynki tańczące razem i czerwony balon. Myślę, że ona mnie lubi. Widziała tylko moje dobre strony. Pewne rzeczy nigdy nie powinny zostać ujawnione, mawiałaś. Pokazuj się tylko od tej strony, która na pewno im się spodoba. Zaufanie.

– Dzień dobry – mówi Mike, kiedy wchodzę do kuchni.

– Dzień dobry.

Phoebe też tam jest, ręce skrzyżowane na piersi, na mój widok odwraca twarz.

– Phoebe – mówi Mike.

Podnosi na niego wzrok, robi głośny wydech i mówi, dobra, potem odwraca się do mnie.

– Przepraszam za sobotę.

Kiwam głową, odpowiadam:

– Dzięki, w porządku.

– Nie, nie było w porządku i ona o tym wie. Bardzo jasno dałem jej do zrozumienia, że jeśli coś takiego się powtórzy, nie obejdzie się bez konsekwencji. Jasne, Phoebe?

– Tak.

– Dobrze – mówi Mike. – A teraz oddzielmy to grubą kreską. Może pójdziecie razem do szkoły? Rzadko wychodzicie o tej samej porze.

– Umówiłam się z Iz, mamy coś do obgadania.

– Jak wspomniałem w trakcie sobotniej kolacji, Phoe-be, jestem przekonany, że możecie od czasu do czasu włączyć Milly. Nie?

– Nie ma sprawy, lubię chodzić sama, mam okazję przewietrzyć głowę.

Wygląda na zawiedzionego, ale odpuszcza. Kończymy śniadanie w tym samym czasie i w końcu i tak wychodzimy razem, ale kiedy skręcamy z podjazdu w główną ulicę, Phoebe mówi:

– Nie myśl sobie, że nie wiem, do czego dążysz, ale tak między nami mówiąc, rodzice nigdy nie trzymają nikogo dłużej niż kilka miesięcy. Niedługo zostaniesz odesłana z powrotem tam, skąd przyjechałaś.

Odbiega ode mnie, z podskakującym plecakiem, i dołącza do Izzy, która czeka na końcu ulicy. Odesłana z powrotem, powiedziała. Mam ochotę zawołać za nią, spytaj, dokąd jedzie ktoś, kto nie może zostać w miejscu, w którym jest, ani wrócić w miejsce, z którego przyjechał. Gdzie pójdę po zakończeniu rozprawy? Tymczasowy dom, powiedziała June, kiedy spotkała się ze mną na oddziale. Mike i Saskia postanowili, że jestem ostatnim przybranym dzieckiem, które przyjmą do czasu, aż Phoebe skończy szkołę średnią. Ona nie ma pojęcia, jaką jest szczęściarą i jak bardzo pragnę, by znalazło się tam miejsce dla nas dwóch.

Po przyjsciu do szkoły sprawdzam plan lekcji, który mam wewnątrz szafki. Na pierwszej godzinie powinna być matematyka, ale kiedy przechodziłam koło sekretariatu, widziałam przypiętą na zewnątrz kartkę z informacją, że pani Dukes, nasza nauczycielka, jest dziś nieobecna, a my mamy pracować w bibliotece. Postanawiam najpierw pójść do pracowni plastycznej, by sprawdzić, czy zastanę M.K. Kiedy przychodzę, widzę pusty pokój, przez oparcie krzesła jest przewieszony sweter z frędzlami, a podręcznik do plastyki otwarty i odwrócony grzbietem do góry leży na biurku. Mam ochotę zajrzeć, zobaczyć, na co patrzyła, ale drzwi prowadzące na korytarz się otwierają, a ona wchodzi, niosąc plik kartek ozdobionych twarzami z filmu. Na mój widok się uśmiecha.

– Co za miła niespodzianka. Jak ci minął weekend?

– Dobrze, dziękuję. A pani?

– Spokojnie. Jeśli mnie szukałaś, to w samą porę, bo mam wolne pół godziny.

– Chciałam pokazać pani rysunki, które zrobiłam w weekend.

– Wspaniale, w takim razie pokaż.

Wysuwam rolkę papieru spod klapy plecaka, podaję.

– Ojej, natrudziłaś się.

– Są tylko trzy – odpowiadam. Jej entuzjazm sprawia mi przyjemność.

– Rozłóżmy je na stole.

Używamy kubków z flamastrami do przytrzymania rogów rysunków. M.K. robi krok w tył, kiedy wszystkie trzy leżą na stole. Kiwa głową.

– Są świetne, zwłaszcza dziewczyna z orlimi skrzydłami. Zawsze lubiłaś rysować?

– Chyba tak.

– Czy któreś z twoich rodziców jest artystycznie uzdolnione?

Jak jej to powiedzieć, jak wytłumaczyć, że twoim zdaniem to, co robiłaś, było sztuką.

Ludzka skóra zamiast papieru.

– Moja mama odeszła, kiedy byłam bardzo mała, więc nie wiem.

– Przepraszam, pytanie było niedelikatne, wiem, że mieszkasz z Newmontami.

Mówię jej, że w porządku, ale nie jest. Nie chodzi mi o to, co powiedziała, lecz o to, czego ja nie mogę powiedzieć.

– Jesteś bardzo zdolna. Myślałaś o studiowaniu sztuki po ukończeniu szkoły?

– Może, ale bardzo lubię też przedmioty ścisłe.

– Na pewno są z tego lepsze pieniądze. Dziękuję, że pokazałaś mi swoje rysunki, bardzo lubię oglądać prace uczennic. Muszę teraz odpowiedzieć na parę mejli, ale jeśli chcesz, możesz zostać jeszcze ze dwadzieścia minut i porysować.

– Powinam być w bibliotece. Pani Duker dziś nie ma, więc mamy przez pierwszą godzinę tam się uczyć.

– Jeśli chcesz, zadzwonię do bibliotekarki i powiem, że jesteś u mnie.

– Nie będę pani przeszkadzać?

– Oczywiście, że nie, przecież miło jest mieć towarzystwo, prawda?

Tak.

Siadam przy sztalugach, a ona dzwoni do pani Hartley. Biorę kawałek czerwonej kredy z pudełka leżącego na stoliku obok mnie. Zamaszyście rysuję, robię zawijasy. Pracujemy w milczeniu. Leci pył, czas również. Czerwone odpryski są dobrze widoczne na tle granatowej szkolnej spódniczki. Przyciskam zbyt mocno, kreda pęka.

– Mogę zobaczyć? – pyta M.K.

– Tak.

Podchodzi, staje za mną.

– Kolor robi tu duże wrażenie.

Kiwam głową.

Plamy i przecieki.

– Możesz opisać, co narysowałaś? Czy to jakaś osoba?

Palec M.K. zastyga przy twojej twarzy, lecz jej nie dotyka. Krąży wokół niej, a potem po otaczających ją czerwonych smugach z kredy.

– To interpretacja czegoś, co widziałam.

– W telewizji?

– Coś w tym rodzaju.

– Słyszałaś o nagrodzie imienia Suli Norman?

– Czy to ta dziewczyna, która umarła?

– Tak, dwa lata temu zmarła na białaczkę. Podobno była bardzo utalentowana, ale nie miałam okazji jej poznać, jeszcze tu nie pracowałam. Kiedy odeszła, jej rodzice ufundowali nagrodę, w ramach której opłacają materiały plastyczne przez cały rok i załatwiają wystawę w galerii w Soho. Po obejrzeniu twoich prac uważam, że powinnaś wziąć udział w konkursie.

– Nie wiem, czy jestem wystarczająco dobra.

– Wierz mi, jeśli nadal będziesz wykonywała takie prace, masz wielkie szanse na wygraną. Nie powinnam tego mówić, ale to prawda.

– Dziękuję, pomyślę o tym.

Podchodzę do zlewu, skupiam się na myciu rąk, byle ukryć rumieniec rozlewający się po twarzy. Głupio tak się czerwienić, zresztą zauważyła. Wyciągam papierowy ręcznik z dozownika, wycieram ręce. Podchodzi, daje mi wilgotną ściereczkę.

– To na pył na spódniczce – mówi.

Resztę godziny lekcyjnej spędzam w bibliotece, a po dzwonku wychodzę z niej jak najszybciej, by dotrzeć na wuef przed innymi. Przebieram się w kabinie. Na osobności. Moje ciało należy teraz do mnie. Wkładam trykot, bo mamy ćwiczyć skoki. Cieszę się, że się nie pocięłam zeszłej nocy, bo pani Havel podtrzymuje moją klatkę piersiową z dwóch stron, kiedy pomaga nam robić obrót w przód nad kozłem. Wchodzi młodsza uczennica i przerywa lekcję.

– Ważny telefon, pani Havel.

– Czy to nie może poczekać?

– Nie, pani McD z sekretariatu powiedziała, że to jakaś nagła sprawa.

– Dobrze, wracam za minutkę, dziewczęta. Przerwijcie skoki i poćwiczcie na matach, tylko ostrożnie, bez wyglupów.

Natychmiast po zamknięciu drzwi wybucha wrzawa. Śmiechy i kpiny, rozmowy o chłopakach i rzeczach, które wydarzyły się w weekend. Słucham, uczę się, podpatruję, jak się dopasować. Wmieszać. Patrzę na Georgie, jedną z najmniejszych dziewczynek w klasie, która wspina się po linie przyczepionej do sufitu. Używa stóp, by się odepchnąć od wielkiego supła na dole, podciąga się rękami, nabiera wysokości. Dobrze sobie radzi, jest już niemal w połowie liny, która kołysze się lekko, kiedy dziewczyna pnie się dalej. Widzę, jak Phoebe szturcha Clondine, coś do niej szepcze, potem chichoczą i podchodzą do liny. Georgie jest teraz wysoko, na dole nie ma maty zabezpieczającej upadek, wiem, co te dwie zamierzają, widzę to. Powinnam się wtrącić, ale ten jeden raz to nie ja

jestem ośmieszana. Deprecjonowana.

Zaczynają poruszać liną, na początku delikatnie. Wkrótce inne dziewczyny zauważają, co się dzieje. Zbiera się tłumek, wysoko zebrane końskie ogony opadają, kiedy szyje patrzących w górę dziewczyn wyginają się do tyłu. Przydałyby się im telefony, ale w trykotach nie ma kieszeni. Georgie mówi im, żeby przestały, ale nie słuchają. Zejdź w dół, szybko, chcę zawołać, ale strach bierze u niej górę. Mówi jej, by wisiała, szepcze jej do ucha, wiś, bo od tego zależy twoje życie. Kuli się, zaciska mocniej dłonie na linie, gołe stopy są bezużyteczne. Ześlizguje się trochę, wdrapuje wyżej. Jedna noga się odrywa, znów przywiera. Ktoś rzuca żarcik, pyta, jaka pogoda na górze, Georgie? Śmiech. Przekleństwa. O kurwa, patrz, jak wysoko się buja. Potem ostrzeżenie od Annabel:

– Zaraz spadnie, Phoebe, przestań.

Ale ta nie słucha, ciągnie mocniej linę, uśmiech ma coraz szerszy, władza sprawia jej przyjemność. Poczucie kontroli. Georgie buja się jak mała małpka, która nie ma ogona ani pleców matki, których mogłaby się przytrzymać. Nie ma gałęzi, nie ma drzew. Niczego, co złagodziłoby upadek. Sama na wysokości. Osobno i sama. Jak my wszyscy.

– No, dalej, Clon. Twoja kolej.

Robi, jak jej kazano, ciągnie linę w lewo, obraca Georgie dookoła. Za każdym razem, gdy lina się obraca, widzę oczy Georgie mokre od łez. Jest przerażona. Jej ciało się trochę zsuwa, bardziej niż poprzednio. Jest zmęczona. Pomóż jej. Nie mogę. Możesz. Nie chcę.

Mnie nikt nie pomógł.

Lina kręci się wolniej, Clondine odchodzi, woła do Georgie.

– Dyszka za przejazdzkę.

Inne dziewczyny tracą zainteresowanie, przewidują jedynie dobre zakończenie, że lina nie będzie już bujana, że Georgie za chwilę zsunie się na dół i będzie wymawiać Phoebe i Clondine, że napędziły jej stracha. Grupa gapiów zaczyna się rozpraszać, dziewczyny odchodzą dwójkami i trójkami. Lina już niemal znieruchomiała. Na matach zaczyna się konkurs na robienie gwiazdy, dziewczyny podejmują ploteczki. Ale nie Phoebe. Cokolwiek to jest, w niej też się czai, nie może sobie odmówić jeszcze jednego szarpnięcia liny. Ogień wewnątrz niej płonie odrobinę za jasno. Georgie jest zbyt zmęczona, by się dłużej utrzymać.

Odwracam wzrok, zanim uderza w podłogę. Charakterystyczny odgłos. Jaki wydają kości. Trzask. Śmiech, do którego przyłączyłam się kilka minut temu, cichnie.

– Phoebe, jesteś pieprzoną kretynką – mówi Clondine.

Odwracam się. Georgie. Siedzi dziwnie oklapnięta, twarz ma białą, jak kość, która wystaje spod jej podbródka. Wapniowy nóż, obojczyk. Trykoty już nie śmigają przy robieniu gwiazdy, teraz tłoczą się wokół niej. Ja też się przesuwam,

od tyłu, siadam obok niej. Ma krótki oddech, lina oskarżycielsko buja się nad naszymi głowami. Wszystkie odegrałyśmy w tym pewne role. Hałas w sali gimnastycznej jest teraz inny, okrzyki bardziej piskliwe, z odcieniem paniki. Dziewczyny przywierają do siebie, trauma.

- Kurwa. Nie tylko ja, ty też, Clondine.
- Nie, ja już wtedy odeszłam i ty też powinnaś.
- O rany, chyba zwymiotuję.
- Zamknij się, Clara, pomyśl o biednej Georgie.
- Zaniesiemy cię do Jonesy, dobrze, Georgie? Wszystko będzie dobrze
- mówi Annabel. Stanowcza. Jak kapitan.

Phoebe przykuca, ma niewielkie szanse, by wszystko naprawić, i dobrze o tym wie. Natychmiast przystępuje do działania.

– Tak mi przykro, myślałam, że już schodzisz. Nigdy bym tego nie zrobiła, gdybym przypuszczała, że możesz spać.

– Chyba trochę na to za późno, nie sądzisz? – odpala Annabel.

– Kurwa, zamknij się i idź po Jonesy. Przyrowadź ją tutaj i ani mru-mru. I w ogóle niech wszyscy mnie poprą, okej? Wszystkie się śmiałyśmy, wszystkie jesteśmy winne, to był wypadek.

Dobra jest. Naprawdę dobra. Dziewczyny kiwają poważnie głowami na zgodę. Clara odwraca się, zatykając dłonią usta, jej ramiona drgają. Georgie zaczyna jęczeć. Niesamowity odgłos przechodzi w zawodzenie, kiedy patrzy w dół, widzi kość, która przebiła jej skórę. Annabel pędzi do drzwi, krzycząc, że zaraz przyprowadzi Jonesy.

– Nie patrz – mówię do Georgie.

Phoebe słyszy głośnie zawodzenie Georgie, chce, by przestała.

– Kurwa – mówi. – Uspokój się, proszę, Jonesy zaraz tu będzie. Tylko pamiętaj, masz powiedzieć, że to był wypadek.

– Dać jej wody? – pyta Marie.

– Nie – odpowiada ktoś. – Nie powinno się jej dawać nic do picia, widziałam w telewizji, trzeba zadbać, by było jej ciepło, zanim przybędzie pomoc.

– Może nakryjemy jej nogi tą bluzą z kapturem? Zimno ci, Georgie?

Czuję, jak jej ciało zaczyna się trząść. Szok. Opieram ją na swoim ramieniu.

– Może spróbujemy ją podnieść i posadzić na ławce? – sugeruje Phoebe.

– Możesz to zrobić, Georgie, dasz radę?

Kręci głową, zaczyna płakać.

– Musisz spróbować, no dalej, pomóżmy jej wstać.

Wiem, co Phoebe próbuje zrobić, chce „posprzątać” scenę, sprawić, by wyglądało to mniej strasznie. Połamane ciało dziewczyny wygląda lepiej na ławce niż wtedy, gdy leży jak zewłok pod liną, z której spadło, zostało strącone.

– Nie, przestańcie – słyszę swój głos.

Morze fioletowych i niebieskich welurów gapi się na mnie.

– Pilnuj swego nosa – odpowiada Phoebe.

– Za bardzo ją boli, nie wolno jej ruszać.

– Od kiedy to jesteś specjalistką od złamań kości?

Ruch na mojej czaszce, powolnie pełznące gorąco. Podtrzymuję ciężar Georgie, mówię, żeby przytrzymała swój łokieć, przytuliła rękę do brzucha.

– Tak, dobrze, to złagodzi ból.

Mnie wtedy pomogło.

Zjawia się Jonesy, pielęgniarka szkolna, rzuca spojrzenie na Georgie i każe Annabel iść do sekretariatu i wezwać karetkę. Przepycha się do nas, dziękuje mi za pomoc i prosi Georgie, by łagodnie się oparła. Pani Havel musiała też usłyszeć wiadomości, zjawia się wściekła.

– Co się stało? – pyta. – Mówiłam, żebyście były ostrożne.

– Byłyśmy – odpowiada Phoebe. – Tylko trochę się wygłupiałyśmy i Georgie spadła z liny.

– Nie słuchałyście mnie? Powiedziałam, że macie ćwiczyć na matach. Idźcie się przebrać, szybko.

Phoebe czeka na mnie przed kabiną, podchodzi blisko, tak blisko, że widzę maleńkie brązowe cętki na jej niebieskich tęczęwkach.

– Następnym razem się nie wtrącaj w nie swoje sprawy, dobra?

Ignoruję ją, odchodzę. Idzie za mną, popycha mnie w tył, gdy mnie mija. Łąduje twardo na ławce przebieralni.

Posiniaczona, lecz żywa.

Tak bardzo żywa, Phoebe.

Kilka dni po incydencie na sali gimnastycznej pod koniec lekcji biologii Phoebe puszcza w obieg pocztówkę.

– Niech wszyscy się podpiszą – rozkazuje. – Przekażę to pani McD, żeby wysłała Georgie do domu.

Kiedy kartka dociera do mnie, czytam różowe zawijasy Phoebe: „Przykro nam z powodu twojego wypadku, wracaj szybko do zdrowia, całusy Pxxx”.

„Wypadek” to interesujące określenie. Ładnie wygląda na piśmie, dla nauczyciela albo rodzica. Nie ma powodu, by podejrzewać wredne działania, a Georgie wie, że nie opłaca się kapować. Wszyscy to wiedzą, oprócz mnie, bo ja cię zakapowałam, prawda, mamusiu? W kółko opowiadałam tę naszą historię przy mrugającym czerwonym oku kamery.

Patrę, jak po podpisaniu kartki przez wszystkich Phoebe liże klapkę koperty, przyciska ją jedną ręką, wykonuje posuwisty ruch w kształcie litery V. Nakłada na usta różową wazelinę, całuje środek V na odwrocie koperty. Myślę o tym, jak bardzo inna jest Phoebe w szkole. Taka pewna siebie. Jak też byłam inna, bardzo dobra w udawaniu, strzeżeniu naszych sekretów. Ciekawa jestem, co pomyślałyby dziewczyny, gdyby się dowiedziały, że Phoebe krzyczy przez sen. Płacze. Słyszę to w nocy, kiedy zbyt się boję, by zasnąć, a także zostać w swoim pokoju z tymi wszystkimi cieniami i szeptami dobywającymi się z ciemnych kątów. Pochodzącymi od ciebie. Czasami wstaję, siadam w korytarzu, gdzie moszczę się przy długich aksamitnych zasłonach. Phoe-be jest niespokojna i udręczona, samotne ciche okrzyki wydawane przez sen przechodzą w płacz po przebudzeniu. Czasami zapala się lampa, w szparze pod drzwiami widać jasną smugę. Myślałam o tym, by wejść do niej, powiedzieć, że wszystko w porządku, choć raczej nie jest. Już sama nie wiem, co gorsze, taka matka jak moja, co było za dużo, czy taka jak matka Phoebe. Za mało.

Odzywa się dzwonek przed przerwą obiadową, więc idę do szkoły podstawowej. Pomagałam tam tylko dwa razy, ale wygląda na to, że dzieciaki mnie lubią, ja je też. W ich towarzystwie jakby zbliżam się do czarów. Funkcjonują na poły w naszym, na poły w swoim świecie. Smoki, które trzeba zabić, księżniczki, które trzeba uratować. Przeczytaj to jeszcze raz, Milly, bardzo nam się to podoba, pro-o-o-osimy! Jedna z dziewczynek przewróciła się w zeszłym tygodniu, roztarłam jej dłonie, otrzepałam żwir z kolan. Bądź dzielna, powiedziałam jej, to ci się kiedyś przyda.

Kiedy przychodzę na plac zabaw, biegnie ku mnie grupka uśmiechniętych dzieci z rozpostartymi ramionami.

– Hurra, Milly przyszła!

– Możemy pobawić się w konia? – pyta Evelina, drobna dziewczynka o bladej skórze, zaróżowionej wokół oczu. Pewnie mama przygotowuje jej kąpiele z płatkami owsianymi na suche placki egzemy widoczne za kolanami.

– No to włącz – mówię, schylając się, żeby mogła dosięgnąć.

Często to robię. Myślę o tym, jakich rodziców mają inne dzieci. Personel na oddziale natychmiast powiedział mi, że to, co robiłaś, było złe. Nienormalne. Tak więc próbuję nauczyć się, co jest dobre, staram się być inna niż ty.

Evelina, niby koala, obejmuje mnie mocno za szyję. Kiedy cwałujemy obok okna klasy, a za nami biegnie sznurek dzieci, które też chcą się przejechać, chwytam przelotnie swoje odbicie. Odwracam wzrok.

Kiedy pochylam się, by Evelina mogła się ześlizgnać, rozlega się chóralne „teraz ja”. Wyglupiam się, udając, że czuję się osaczona, biegam w kółko, one oczywiście za mną. Jedna z dziewczynek zostaje z tyłu, widać, że nawykowo wbija wzrok w ziemię, tylko od czasu do czasu zerka na inne dzieci, by sprawdzić, jak wchodzi w interakcję ze mną. Pamiętam, że w jej wieku robiłam to samo. Podstawiam jej plecy, by się na nie wspięła.

– Chcesz się przejechać? – pytam.

Kręci głową, bawi się guzikami sweterka, odwraca wzrok. Pulchna dziewczynka, której staram się unikać, gramoli mi się na plecy, woła: wio! Jestem zła, że ta druga dziewczynka, ta, której proponowałam, nie ufa mi na tyle, by się włączyć do zabawy. Nauczyłaś mnie, jak postępować z dziećmi, ale wygląda na to, że nadal brakuje mi mnóstwa twego czaru. Twoich umiejętności.

Ruszam galopem.

– Szybciej, szybciej! – domaga się piskliwy głosik z tyłu.

Dziewczynka zaciska nogi wokół mojej talii, przeszkadza mi to. Duszę się. To byłby upadek z wysoka, może nie aż tak jak ten Georgie, ale wystarczający, by pięcio- czy sześćioletnie dziecko zrobiło sobie krzywdę. Powinnam mocno ją trzymać.

Powinnam.

Ląduje z łomotem, zaczyna płakać.

– Zrzuciłaś mnie.

– Och, przestań, Angela, nie przesadzaj. Nawet dob-rzy jeźdźcy czasem spadają z konia. Wstawaj, otrzep się.

I spadaj stąd. Zejdź mi z oczu.

Na betonowych płytach placu zabaw są namalowane kwadraty do gry w klasy. Widzę, jak tamta mała dziewczynka udaje, że się w nie wpatruje. Nie zapraszam jej do zabawy, wiem, że nie będzie chciała, ale podchodzę do niej i daję jej cukierka wyjętego z kieszeni. Dzieci lubią słodczy i ludzi, którzy im je dają.

Natychmiast następuje twoja pochwała – MOJA CÓRUCHNA – ale zamiast

czuć się po niej zwyciężczynią, jak to było po incydencie w toalecie z Clondine i Izzy, tym razem odczuwam obrzydzenie.

– Ej, to niesprawiedliwe – mówi Angela, kiedy widzi słodycze. – To ja spadłam.

Ignoruję ją. Grubaska. Prosiaczek. Rozlega się dzwonek, obwieszczający koniec przerwy obiadowej.

– Chodźcie, zrobimy ciuchcie i podjedziemy do wejścia.

Trzy nauczycielki czekają, by sprawdzić obecność dzieci, przy każdym powrocie do budynku liczą je od nowa. Nigdy nie wiadomo, kto czai się koło placu zabaw.

Albo na nim.

– Pani Carter, Milly mnie zrzuciła

– O co chodzi, Angelo?

Odpowiadam za nią.

– Bawiłyśmy się w konia, ale wszystko w porządku.

– Ale następnym razem bądź ostrożniejsza, Milly, nie chcemy, by rodzice się skarżyli.

– Oczywiście, będę ostrożna.

– Postaraj się – odpowiada, świdrując mnie wzrokiem.

Patrzę jej w oczy, uśmiecham się. To nie ja powinnam być ostrożniejsza.

Pani Evans, inna nauczycielka, mówi dzieciom, by mi podziękowały. Odzywa się chórek, piękna ptasia piosenka. Wypełnia mnie, ogrzewa. Szukam tamtej dziewczynki. Stoi na końcu ogonka, nadal starając się być jak najmniejsza. Niewidzialna.

Mike wrócił wczoraj z pracy późno, więc starczyło nam czasu tylko na krótką sesję. Chciał porozmawiać ze mną o Danielu, o tym, jakie pytania mogą mi zadawać w sądzie, jeśli będę przesłuchiwana przez obronę, która może dawać do zrozumienia, że powinnam była zrobić więcej. Mogłam zrobić więcej. Musisz koniecznie opierać się przyswajaniu tych uczuć, powiedział, trzymać się faktu, że ty nie ponosisz za nic winy. Nikt cię o nic nie obwinia. *Nieprawda*, chciałam powiedzieć.

Ja siebie obwiniam.

Poprosił, byśmy spotkali się znów dziś wieczorem, by mógł kontynuować trening relaksacyjny, stwierdził, że to ma zasadnicze znaczenie dla uwolnienia traumy zagrzebanej w mojej podświadomości. Powiedziałam mu, że nie podoba mi się, iż nie jestem w stanie pamiętać wszystkiego, co mówię. Musisz mi zaufać, Milly, odpowiedział. Wiem, co robię, zajmuję się tym od dawna.

Przed spotkaniem z nim odpowiadam na otrzymany wcześniej esemes

Morgan. Napisała, że śledziła „wredną blondynę” i czy wiem, że ona pali. Nie wiedziałam, odpisuję. Nadchodzi odpowiedź: No pali, ciekawe, czego jeszcze się dowiem? Nie prosiłam Morgan o nic takiego, ale podoba mi się, że węszy wokół, śledzi dla mnie, wydaje mi się przez to bliższa, godna zaufania.

Kiedy przychodzę do kuchni, Phoebe opowiada właśnie Mike’owi o wypadku Georgie i o tym, jak pomagała. Potem mówi, że mnie kompletnie zamurowało i nie pomagałam w ogóle. Byłam blada jak Georgie.

– Nic nie szkodzi – mówi Mike, spoglądając na mnie. – Ale dobrze, że ty byłaś akurat na miejscu, Phoebe.

– A czy rzuciły ci się gdzieś w oczy, tato, moje ćwiczenia z chemii?

– Chyba nie, kochanie. Kiedy ostatnio je widziałas?

– Nie wiem, może wczoraj, ale trzeba je zrobić na jutro i pani Frith się wścieknie, jeśli ich nie oddam.

– W takim razie poszukaj.

Wchodzi Saskia, w stroju do jogi. Wagina jak zawsze wyeksponowana.

– Słyszałaś, Sas? Phoebe pomogła Georgie Lombard, która kilka dni temu miała wypadek na gimnastyce.

– To miło – odpowiada Saskia. – Muszę lecieć, bo spóźnię się na zajęcia.

Phoebe jest dotknięta do żywego. Tym, że matka nie dopytuje się o szczegóły. Rzuca Saskii wściekłe spojrzenie i wychodzi, trącając ją w przejściu. Saskia wykonuje pytający gest w kierunku Mike’a i mówi: co?

– Nic – odpowiada Mike. – Chodź, Milly, na nas już czas.

Na początku nikt z nas jej nie zauważa. Trzy piętra. W górze. Przycupnięta na krawędzi poręczy.

– Przyjemnej jogi, kochana mamusiu! – woła, spoglądając na nas z góry.

Drwi sobie z Saskii, odrywa ręce od poręczy, udaje, że się zachwiała, chce, by matka powiedziała, uważaj, ale zamiast niej reaguje Mike:

– Nie wygłupiaj się, złaż stamtąd, mogłabyś się zabić.

Znow zawiedziona przez mamę, Phoebe pokazuje jej środkowy palec i znika z podestu, idzie do swego pokoju. Mike sili się na uśmiech, ale Saskia mówi:

– To ty jesteś psychologiem, napraw to.

– Sas, to nasza córka, a nie przedmiot, który trzeba naprawić. Jest zła, bo...

– Z mojego powodu, to chciałaś powiedzieć, prawda? – odpowiada Saskia.

– To moja wina. Tyle lat minęło, ale to nadal moja wina, tak?

– Nie to miałem na myśli. Posłuchaj, porozmawiam z nią, tylko nie dziś wieczorem.

– Może gdybyś spędzał więcej czasu z własną córką, sprawy by się lepiej układały.

Cios poniżej pasa, od razu robi jej się przykro, że tak powiedziała, przeprasza. Patrzą na jej chude ciało, mniej więcej tego rozmiaru, co ciało Phoebe,

takie same włosy, oczy. Sama przypomina nastolatkę, czuje się zagubiona w domu z prawdziwymi nastolatkami. Lekcje w tych czasach są szybsze. Brutalniejsze.

W drodze do gabinetu Mike informuje mnie, że dzwonił dziś do niego psychiatra z oddziału, by się dowiedzieć, jakie obecnie przyjmuję leki. Dobrze pamiętam jego gabinet. Ściany obwieszane dyplomami i certyfikatami w ramkach. Pytania, co tydzień te same. Apetyt. Bóle głowy. Wspomnienia. I wreszcie sen. Jak sypiasz? Każda noc jest inna, odpowiedziałam. Tak, tego należy się spodziewać, odparł. Recepta wyrwana z bloczku, zalecony nowy koktajl pigułek. Niebieskie na rano, białe na noc. Różowe, jeśli w ogóle nie chciałam myśleć. Jedna z nastolatek na oddziale pokazała mi, jak trzymać tabletki z boku w buzi, by potem wypluć w toalecie.

Branie ich wydawało się oszustwem.

Dobroć, na którą nie zasługiwałam, nadal nie zasługuję, jak pomyślę, co pozwoliłam wyrzucić Danielowi w nocy przed tym, jak cię wydałam.

– Co sądzisz o zwiększeniu dawki na noc? – pyta Mike.

Mówię mu, że z samego rana czuję się przymulona w szkole.

– Nadal? To niedobrze, od razu zanotuję, by nie zapomnieć powiedzieć mu o tym, kiedy jutro do niego oddzwonię. Po procesie zweryfikujemy całe leczenie.

Mike, taki sumienny w dozowaniu moich lekarstw. Gorzej z upewnianiem się, czy je biorę. Skarpetka pełna tabletek w mojej górnej szufladzie.

Otwiera terminarz, robi notatkę, potem siada na krześle naprzeciwko mnie.

– Gotowa? – pyta.

– Nie bardzo.

– To ważna praca, Milly. Musimy dotrzeć do pewnych zakamarków twojego umysłu, abyś mogła pójść dalej. Na przykład ten nocny epizod, który przytrafił ci się kilka dni temu, w piwnicy, kiedy doszło do dysocjacji, jest związany z poczuciem winy i tym, co czujesz w związku z rzeczami, które robiłaś, ale nie ponosisz za nie winy.

Lęk narasta w dole brzucha, podchodzi do gardła.

– Musisz zająć się tymi uczuciami, poczuć bezpiecznie w obliczu faktu, że twoja matka nie może cię już kontrolować.

Mike powiedział mi wczoraj, że wie, co robi, że zajmuje się tym od dawna, więc dlaczego nie widzi sznurków, twoich, nadal do mnie przyczepionych? Dlaczego nie widzi, co się dzieje?

– Zróbmy teraz relaksację, a pod koniec sesji możemy jeszcze trochę porozmawiać.

Każe mi wizualizować moje bezpieczne miejsce, ale ja widzę tylko twarze duchów, tworzące się z dymu. Papierosa, którego lubiłaś potem sobie zapalić. Rój małych duchów. Nie mogą spoczywać w spokoju, nie podoba im się tam, gdzie są.

Gdzie zostały złożone.

– Opisz, co słyszysz – prosi Mike.
– Ktoś wzywa pomocy.
– Kto to jest?
– Ktoś w pokoju naprzeciwko mojego.
– Czy poszłaś sprawdzić, zobaczyć, kto to?
– Wiedziałam, kto to, poznałam jego głos, ale drzwi były zamknięte na klucz, nie mogłam się do niego dostać.
– Pomaganie mu nie było twoim zadaniem, Milly.
– Następnego ranka płakał, wołał mamusię, ale drzwi były nadal zamknięte na klucz, więc wtedy też nie mogłam mu pomóc. Potem wyszliśmy z domu i zawiozła mnie do szkoły, śpiewała tę piosenkę, co za każdym razem.

– Jaką piosenkę?

„Lawenda fioletowieje, lali lali. Chmury płyną po niebie”.

JEŚLI MNIE KOCHASZ, LALI LALI, JA BĘDĘ KOCHAĆ CIEBIE.
NADAL MNIE KOCHASZ, PRAWDA, ANNIE?

– Ja też tam byłam, Mike.

– Gdzie byłaś, Milly?

Otwieram oczy. Siedzi na krześle pochylony do przodu.

– Powiedziałaś, że też tam byłaś. O co ci chodziło?

Gryzę się w język. Gorzki i ciepły, kiedy płynie po nim krew.

– Robiłaś wszystko, co mogłaś, Milly. Wszystko, co mogłaś w tych okolicznościach. Wspominanie Daniela musi być szczególnie trudne.

– Dlaczego myślisz, że to jego wspominałam?

– Rozpoznałaś jego głos. Tylko jego dość dobrze znałaś.

– Co nie znaczy, że nie obchodziły mnie inne dzieci, które zabrała.

– Wiem i nie mówię, że cię nie obchodziły, ale musiało ci być o wiele trudniej, kiedy uświadomiłaś sobie, że został zabrany Daniel, którym zajmowałaś się w schronisku.

– Nie chcę o tym mówić.

– Ale musisz. Musisz być do tego zdolna, skoro idziesz do sądu.

– Do tej pory się przygotowuję.

– A może spróbujesz już teraz?

– Czuję, że mnie naciskasz, potrzebuję więcej czasu.

– Chcę tylko, żebyś wiedziała, że to bezpieczna przestrzeń, Milly, możesz mi powiedzieć wszystko, rozmawiać ze mną. Po to tu jestem.

Mówię mu, że wiem, ale jestem zmęczona i nie chcę już dłużej rozmawiać.

Opada na oparcie krzesła, kiwa głową, mówi, dobrze, na dzisiaj wystarczy.

Czytam do północy, wyczerpana, ale sen nie przychodzi. Marzę o tym, by ktoś mnie objął, pocieszył. Twój dotyk tak bardzo bolał, brak dotyku boli jeszcze bardziej. Wstaję z łóżka, otwieram drzwi balkonowe na całą szerokość. Pokój

zalewa zimne powietrze, dreszcze i gęsia skórka to przyjemne doznania. Moja samotna skóra.

Siadam na stołku przed sztalugą, którą kupili mi Mike i Saskia. Każdego dnia doświadczam ich dobroci. Jest już późno, po drugiej. Nocne powietrze snuje się wokół mnie, moje wystawione stopy cuchną. Podoba mi się odgłos, który wydaje węgiel. Smugi, plamy, doskonałość pozostawiona w chłodzie. Czerń na rękach przypomina mi, że coś się dzieje. Jest robione. Kiwam się na stołku w przód i w tył, kiedy rysuję. Na chwilę zamykam oczy, zaciskam mocniej palce na węglu. Wiatr wpada przez drzwi balkonowe, szczypie mnie w biust. Moje sutki, twarde i skurczone.

Kiwam się na boki.

W lewo i w prawo. W koło. Sprawia mi przyjemność dotyk drewna, które czuję przez majtki, gorąco, które się wytwarza, jaskrawo kontrastujące z resztą mojego zimnego ciała. Pocieram.

Mocniej po kartce.

Mocniej na stołku.

Węgiel pęka. Zostaję z pulsowaniem tam w dole, czarnym pyłem na kolanach.

Rankiem rysunek przypięty do sztalugi. Ty, znowu. Zdejmuję papier, zwijam w rulon, wkładam do szuflady wysuwanej spod łóżka.

Ostatnie dni nie były dobre. Powracający sen o tym, że jestem na miejscu dla świadka, otwieram oczy, ale zamiast słów wylatuje stado nietoperzy. Wywrzaskujących prawdę. Wstyd po mówieniu na głos o tym, co pozwoliłam ci sobie robić. Co pozwoliłam ci im robić. Dziś rano obudziłam się, walcząc o oddech, jak w tej twojej zabawie z poduszką.

Morgan nie odpowiadała na moje esemesy w ciągu weekendu. Czasami pomaga wujkowi, więc pewnie to jest powód, ale nieraz się zastanawiam, co by było, gdyby się dowiedziała prawdy o mnie. Czyby zrozumiała, czy nadal chciałaby być moją przyjaciółką? Myślałam o tym, by jej powiedzieć. Wydaje mi się najbliższa, a czasem brzemię, jakim jesteś, to dla mnie samej za dużo. Chcę się komuś zwierzyć, czuć się normalna. Jednak nie jestem pewna, czy zachowałaby to w tajemnicy, a martwię się, że skoro rodzice dzieci, które zabrałaś, nie mogą dorwać ciebie, mogliby ścigać mnie. Dziecko za dziecko.

Wybieram czarną bluzę z kapturem i dzinsy. Uggsy. Jedziemy dziś na wycieczkę szkolną z Brookmere College, a ja boję się jej od chwili, kiedy została zapowiedziana. Czuję, że zwracam uwagę, z niewłaściwych powodów, a inne dziewczyny są tak pewne siebie. Wiedzą, jak zachowywać się w towarzystwie chłopaków. W kuchni jest liścik od Mike'a, obok talerz z rogalikami. „Poniedziałkowy smakolyk, przyjemnej wycieczki, dziewczęta”.

Ujął mnie i Phoebe w liczbę mnogą. Zespół. Nie miałabym nic przeciwko temu, byłoby fajnie. Wchodzi Saskia, pyta, czy cieszę się z wycieczki.

– Trochę.

– Lepsze to niż lekcje, prawda?

Nieprawda, wcale nie.

– Proszę, weź ze sobą rogalik.

– Dziękuję. Czy Phoebe już wyszła?

– Jakies pięć minut temu.

– W takim razie do zobaczenia.

Wyrzucam rogalik do kosza na śmieci w drodze do szkoły, żołądek podchodzi mi do gardła. Mam nadzieję, że zobaczę M.K. po południu, kiedy wrócimy, i pokażę jej więcej swoich prac. Kiwa głową i uśmiecha się za każdym razem, kiedy widzi mnie w szkole. W ostatni piątek zatrzymała się przy moim stoliku w czasie przerwy obiadowej, życzyła miłego weekendu. Przyłapałam się na tym, że wyobrażam sobie, jakie byłoby moje życie, gdyby to ona mnie wychowywała, a nie ty. Potem miałam poczucie winy, niemal natychmiast.

Kiedy przychodzę, autobus już stoi przed szkołą, listę sprawdzają w środku.

Pospieszcie się, zaraz ruszamy, mówi pan Collier, jeden z nauczycieli klasyki. Wybieram miejsce na samym przodzie, gdzie jest najmniejsza szansa, że ktoś obok mnie usiądzie. Słuchawki na uszach, ale bez muzyki. Autobus szybko się zapełnia, w środku kipi od energii. Dziewczyny rozpromienione, wysmarowane szczodrze samoopalaczem, spryskane sówicie perfumami. Chłopcy, jak mały człekokształtne, podciągają się na półkach bagażowych. Zoo. Przytłaczające. Wszyscy policzeni, ktoś krzyczy z tyłu, nie ma Joe, ktoś inny żartuje, że pewnie poszedł się wysrać. Pan Dugan, nauczyciel chłopaków, przywołuje ich do porządku.

– Widzę go, proszę pana, już idzie.

– Pospiesz się, Joe. Nie, nie możesz, i tak za długo na ciebie czekaliśmy, proszę, byś usiadł na najbliższym wolnym miejscu.

Patrzy na tył autobusu, wzrusza ramionami, opada na miejsce obok mnie. Rozlegają się gwizdy, on pokazuje środkowy palec.

– Spokój, proszę o ciszę – mówi pan Dugan przez mikrofon. – Powinniśmy być na miejscu za jakieś czterdzieści minut, zależnie od korków. Kiedy przyjedziemy, macie nigdzie się nie rozchodzić, zrozumiano? Wsiadźcie z autobusu, wejdźcie do środka i zbierzcie się przy kasie biletowej. Proszę też, byście pamiętali o tym, że choć nie macie na sobie mundurków, reprezentujecie obie szkoły. Jakies pytania?

– Czy możemy zatrzymać się w McDonalddie?

– Jakies rozsądne pytania? Nie. Świetnie. Usiądźcie wygodnie i podziwiajcie widoki, i na litość boską, Oskarze Felthamie, zdejmij nogi z siedzenia, co za pros-tackie maniery.

Widzę, że Joe mi się przygląda, zerkając z ukosa, jakby sprawdzał, czy mam drugą głowę. Odwracam się bardziej w stronę okna, byle dalej od chłopaka, ale dociera do mnie jego zapach. Intensywnie pikantny, pewnie to jakiś dezodorant w sprayu, nie jest nieprzyjemny, ale myśl mnie zawstydzia. Pyta mnie o coś. Instynktownie go ignoruję, ale on powtarza pytanie, pochylając się na siedzeniu, by znaleźć się na linii mego wzroku. Wyjmuję z ucha jedną ze słuchawek, odwracam się twarzą do niego. Włosy, rude. Oczy, niebieskie.

– Przepraszam, o co pytałeś?

– Chcesz gumę?

– Nie, dziękuję.

– Och, weź, mentolowa, bardzo mocna.

Wyciąga do mnie paczkę. Nie, dziękuję, mówię znów, żalując, że nie potrafię się odprężyć, zachowywać normalniej, bardziej otwarcie. Potrzeba mi więcej praktyki. Cofa rękę, wzrusza ramionami, wkłada listek gumy do buzi, a chwilę później chucha przesadnie, kiedy czuje mentolowego kopa. Uśmiecha się i mówi, chyba też powinienem sobie odmówić, otwiera usta, ziaje. Nie chcę

widzieć jego języka, więc odwracam wzrok.

– Byłaś już kiedyś w Londyńskim Lochu? – pyta.

Byłam w bardzo podobnym miejscu.

– Nie.

Mówi cicho, nie chce, by siedzący z tyłu wiedzieli, że rozmawiamy.

– Ja też nie, pewnie będzie dobry ubaw.

Nie odpowiadam, mam inne zdanie.

– Chyba się na to zbytnio nie cieszysz.

– Nie bardzo.

– Dlaczego?

– Niezbyt dobrze się czuję.

– Chyba nie zamierzasz zaraz zwymiotować? – pyta z uśmiechem.

– Nie sędzę, raczej nie.

– Uff. Nie jesteś stąd, prawda? Wiem, że na jakiś czas zamieszkałaś z Phoebe i jej rodzicami.

Kiwam głową.

– A skąd jesteś?

– Często się przeprowadzałam.

– Fajnie, ja od zawsze mieszkam tutaj. A w ogóle to jestem Joe.

– Milly.

– A jak ci się układa u Newmontów?

– Dobrze.

– Phoebe nie uprzykrza ci życia?

Widzi wyraźne zaskoczenie na mojej twarzy. Mruga do mnie. O rany.

– Daj spokój, znam ją od lat, potrafi być prawdziwą suką. Gorąca laska, ale suka.

– Nie jest taka zła.

– Naprawdę? To mnie dziwi. Nie lubi rywalizacji.

– Ja z nią nie rywalizuję.

– Ona uważa, że tak, zapewniam cię, a ponieważ jesteś inna, wcale jej to nie cieszy.

Nie potrafię się zmusić, by spytać, co rozumie przez „inna”. Podejrzenie zmywy pomiędzy nim a Phoebe: telefon późno w nocy, prośba, by udawał, że mnie lubi, a potem mnie ośmieszają.

– Bycie innym jest zresztą dobre. Uwierz mi, jestem rudy.

Znów się uśmiecha, potem pyta:

– Przyjdiesz na balangę u Matty’ego w przerwie semestralnej?

Kolejny gorący temat na forum. Wolna chata, masakra. Mechanizm domyślny nastolatków. Balanga. Chyba nie mam tego genu.

– Nie zostałam zaproszona.

- Ja cię zapraszam.
- Nie przepadam za balangami.
- Wszyscy idą, będzie świetna zabawa. Ty i Phoebś powinnyście przyjść razem, dom Matty’ego jest kilka przecnic od was.
- Nie wiem, zobaczę. A teraz może posłucham przez chwilę muzyki.
- Jasne, to ja się kimnę.

Czuję ulgę, kiedy już po wszystkim. Po rozmowie. A kiedy autobus podejźdza pod Loch, wysiadamy i Joe dołącza do kumpli. Dziewczyny trzymają się blisko chłopaków, niektóre konkretnie przy tych, na których dawno zagięły parol. To, co się stanie za niecałe dwadzieścia minut, wynika z mojego błędu. Po rozmowie z Joe zmniejszam czujność. Życzliwość jest zabójcza.

Zamierzałam trzymać się przodu grupy, blisko nauczycieli i przewodnika o brązowych zębach w zakrwawionym kostiumie, ale wylądowałam na szarym końcu. Są tam Phoebe ze swoją bandą oraz Claudia, niemiecka uczennica na wymianie, bardziej zainteresowana całowaniem się z chłopakiem, z którym jest, niż eksponatami. Phoebe nazywa ją zdzirą, trąca, mijając. Oświetlenie w tunelu jest słabe, po ścianach wędrują małe i duże cienie. Co jakiś czas z ukrytych głośników wydobywa się krzyk i śmiech. Ohydny śmiech oprawcy, któremu torturowanie sprawia przyjemność. Odcinana głowa. Uczucie, że jest się śledzonym. Obserwowanym. Oczy ukryte w ciemności, skóra na mojej głowie mocno się napina. Przebłyski wspomnień z miejsca, w którym byłam, podobnego do tego, miejsca, w którym już nigdy nie chcę się znaleźć.

Staram się skupić na dźwiękach wokół mnie, nie słuchać twojego głosu. Prowokującego. TY TEŻ TAM BYŁAŚ, ANNIE. Patrzę na chłopców, którzy z przyjemnością, niby to niechący, wpadają na dziewczyny. Chwytają je. Obmacują. Dziewczyny chichoczą i ich odpychają, by chwilę później do nich wrócić. Jeszcze więcej wrzasków, nietoperze latające nad głową. Bezzębna żebraczka, obok niej martwe dziecko, któremu wrona wydziobuje oko. Znów to mówisz. TY TEŻ TAM BYŁAŚ, ANNIE.

Oczy jak sadzawki. Grozi im przelanie. Łzy. Gorące. Przepycham się, staram się przedrzeć na początek grupy, gdzie jest więcej powietrza. Światła. Nawet nie zauważam, kiedy sama zaczynam być popychana. Przez Phoebe i ręce innych osób. Wtrącają mnie do jednej z więziennych cel, barykadują drzwi, i wiem, że nie ma sensu krzyczeć.

Pomocy.

Dzięki liczbom czuję się bezpiecznie, ale nie wtedy, gdy wiem, że mniej więcej sześćdziesięcioro uczniów oddziela mnie od nauczycieli i wyjścia. Próbuję przypomnieć sobie ćwiczenia oddechowe, ataki paniki, które miałam przez pierwsze tygodnie po opuszczeniu ciebie. Wdech ustami, wydech... nie, odwrotnie, wdech nosem, wydech ustami.

Ciemno choć oko wykol.

Znów próbuję otworzyć drzwi celi, ale ktoś mocno je trzyma. Wyczuwam za sobą jakieś poruszenie. Zapalają się trzy światelka osadzone w podłodze, podświetlają cień. Z ekspozycji, nie prawdziwy.

W porządku, z tym sobie poradzę.

Postać przy ścianie, kobieta. Przyciskam wierzch dłoni do ust, nie chcę krzyżeć. Łzy napływają mi do oczu. Wspomnienia podskubują mnie i chwytają jak ryby chleb, gdy ktoś je karmi w stawie. CZEŚĆ, ANNIE. Nie, odejdz, nie jesteś prawdziwa. ODWRÓĆ SIĘ, ANNIE. Nie. Przyciskam się do drzwi, zamykam oczy, walę pięścią w metal.

– Wypuście mnie, proszę, wypuście.

Walę w drzwi. Kręci mi się w głowie. Widzę siebie, jak niosę coś w ramionach, otwieram drzwi. Ciemno, tak ciemno. Ten zapach. Zgnilizna, ale słodka. Ciche, rojne brzęczenie wykluwających się much. Chrobot szczurów.

Nie chciałam. Nie.

Ty. Mi. Kazałaś.

NIE ZAWSZE, ANNIE.

To nieprawda.

Widzę ich twarze, których tak bardzo staram się nie widzieć, wystraszone twarzyczki. Nie mogę się do nich dostać. Płaczę. Zamykam oczy. Krzyczę.

– Wypuście mnie, proszę. Niech ktoś mnie wypuści.

Proszę.

Czuję na sobie ręce.

– Nic ci nie jest, uspokój się. Otwórz oczy.

Śmiech, kiedy to robię. Siedzę skulona w kącie celi, zakrywam rękami głowę, zasłaniam uszy.

– Pospieszcie się, pan Collier nas woła – mówi dziewczęcy głos.

Joe tu jest, podaje mi rękę. Nie przyjmuję jej, nie wiem, czy w tym nie uczestniczył.

– Dobrze się czujesz? Wyglądasz na oszołomioną.

– Bo to oszołomka – mówi Phoebe.

– Zamknij się, kurwa. Nie widzisz, że jest przerażona?

– Ooo, komuś się podoba pokraka.

– Pokraka? Przeglądałaś się ostatnio w lustrze?

– Daruj sobie, Joe, bo wszyscy wiedzą, co mówiłaś na balandze u Lucille.

– Tylko że teraz nie jestem nawalony.

– Chyba jesteś, skoro próbujesz jej pomóc.

– A ty chyba jesteś zazdrosna.

– Zazdrosna? O nią? – Wskazuje na mnie, kiedy wstaje.

– Na to mi wygląda.

– Pierdol się, Joe.

Popycha go w moim kierunku, idzie w stronę przejścia do następnej ekspozycji. Słyszę, jak pan Dugan mówi, żebyśmy się pospieszyli, bo za nami idzie kolejna grupa. Czuję, że mam przepelnioną i gorącą lewą dziurkę nosa. Stres, zmartwienie, każde intensywne uczucie to uruchamia. Mówię Joe, żeby zostawił mnie samą, odwracam twarz.

– Chodźmy razem – proponuje.

– Nie, proszę, odejdz.

Waha się, ale odchodzi, tuż zanim zaczyna mi lecieć krew z nosa.

Wracamy do szkoły akurat na przerwę obiadową, a przez resztę popołudnia urządzamy aulę na wieczór tematyczny. Rodzice mogą przyjść i porozmawiać o planach zawodowych swoich córek, dowiedzieć się, jak sobie radziłyśmy w pierwszych tygodniach semestru. Mike i Saskia też idą do szkoły, a po powrocie do domu chcą porozmawiać z nami obiema. Phoebe idzie pierwsza, ja czekam w saloniku. Po jakimś czasie Phoebe wychodzi z kuchni, trzaskając drzwiami, mijając mnie, rzuca nienawistne spojrzenie.

Mike otwiera drzwi, pytam, czy z Phoebe wszystko w porządku. Wyjaśnia, że kazano jej dwa razy zostać w szkole po lekcjach za zgubienie testu z chemii. Szkoda, myślę, mogłam jej powiedzieć, gdzie on jest, w szufladzie pod moim łóżkiem. Skromna zapłata za „wypadek” Georgie.

Mówi głównie Mike. Oznajmia, że jestem w pierwszej piątce, jeśli chodzi o wyniki w nauce w moim roczniku, trochę niepewnie czuję się na gruncie towarzyskim, ale robię postępy. Saskia ściska mnie za ramię, nie jest to dla mnie przyjemne, myślę o tobie.

Wieczór dla rodziców ostatniego lata, byłam tam do pomocy. Miałaś na sobie sukienkę, w czerwone i niebieskie kwiaty. Jedna z nauczycielek powiedziała, że jestem grzeczna i dobrze wychowana, chciała się dowiedzieć, jak tego dokonałaś. Ścisnęłaś mnie za ramię, odpowiedziałas z uśmiechem, sama nie wiem, chyba miałam szczęście.

– Pani Kemp powiedziała, że namawia cię na udział w konkursie artystycznym.

– Wcale nie chciałam, ale ona uważa, że mam dużą szansę wygrać. Pracuję nad rysunkami.

– Wygląda na to, że do siebie pasujecie – stwierdza Mike.

– Bardzo ją lubię.

Kiedy mówię to głośno, uświadamiam sobie, że to prawda.

Kiedy sprawdzam później telefon, widzę odpowiedź od Morgan.

Przepraszam, że nie odpisałam durny brat schował mi telefon, w tygodniu

nie moge sie spotkac, ale zrobmy cos w weekend. Zabawimy sie

Mówiłaś tak samo, kiedy wracałyśmy samochodem ze szkoły w piątkowe popołudnia. Zabawimy się. Któregoś razu pomyślałam, żeby wyskoczyć z samochodu w trakcie jazdy, ale jakoś się tego domyśliłaś. Włączyłaś blokadę asekuracyjną dla dzieci. Duży błąd, Annie, powiedziałaś. Myślałam, że będziesz posiadać mnie w mniejszym stopniu, gdy cię wydałam, ale czasami czuję, jakbyś posiadała mnie bardziej. Coś tak niewinnego jak wycieczka szkolna staje się wędrówką po ścieżce wspomnień z tobą. Niewidzialne łańcuchy. Podzwaniają przy każdym kroku.

Osiem w górę.

I jeszcze kolejne cztery.

Drzwi po prawej.

Tym razem dziewczynka.

Nie preferowałaś ich, brałaś, tylko jak musiałaś.

Dwie na dziewięćoro.

Spytałaś, czy patrzyłam.

Patrzyłam. Najdzielniejsza. I najsmutniejsze z tego, co widziałam.

Wciąż wstawiała, po każdym ciosie.

Szlochałam przy wizjerze, postarałam się, by przestać, zanim otworzyłaś drzwi.

Zawinęłam ją, wór na węgiel, koce zakazane dla dziewczynek.

Zniosłam ją na dół, położyłam obok niej lalkę, kiedyś była moja.

Jej ciało, tak nieruchome.

Ciii, maleńka, już po wszystkim.

Kilka dni temu Mike i ja spotkaliśmy się jak zwykle na środowej sesji. Powiedziałam mu prawdę, że się boję, że słyszę cię w ciągu dnia, twój głos w swojej głowie. Chciałam mu powiedzieć również o nocach, o tobie jako o smudze lęku leżącej obok mnie w łóżku, ale się wstydziłam. Spytał, co mi mówisz. Że jestem do niczego, odpowiedziałam, że bez ciebie nie dam sobie rady w życiu, że nie przetrwam procesu. Przypomniał mi, że to nie mój proces, więc nie ja mam go przetrwać. Powiedziałam, że mnie dręczysz, a on wciąż mnie sondował, dopytywał się, w jaki sposób, o co chodzi. Ale powiedziałam mu tylko, że żałuję, że nie poszłam wcześniej na policję, wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej.

Dziś mamy cotygodniową próbę sztuki w auli. Przeczytałam *Władcę much* kilkanaście razy. Pocięsza mnie. Czytanie o innych dzieciach, które znajdują się w przerażających okolicznościach i zachowują tak, jak nigdy by się po sobie nie spodziewały.

Niosę plecak ostrożnie, w środku mam świecę w szklanym słoju. Saskia ma ich pełno w kredensie, spytałam, czy mogę wziąć jedną do swojego pokoju. Wzięłam dwie, jedną dla M.K., jako podziękowanie. Mam się z nią zobaczyć na przerwie obiadowej, wtedy jej dam.

Kiedy większość z nas zjawiała się już w auli, pani Mehmet klaszcze trzykrotnie, czeka, aż ustanie paplanina trzydziestki dziewcząt.

– Mam nadzieję, że wszystkie uczyłyście się pilnie swoich kwestii, zaczniemy od miejsca, w którym przerwałyśmy ostatnio, czyli, zobaczmy – a tak, od śmierci Prosiaczka.

– Aaaa.

– Bardzo dobrze, Lucy, ale zachowajmy efekty dramatyczne na samą scenę.

– Proszę pani?

– Tak, Phoebe?

– Czy można korzystać ze scenariusza?

Pani Mehmet wzdycha, bierze się pod boki, jej wielki biust kołysze się przez chwilę, zanim się uspokoi.

– Nie, nie można. Wszystkie powinnyście już znać swoje kwestie, a jeśli komuś coś wyleci z pamięci, mamy pod ręką Milly, która będzie sufłować.

Nie. Słowo, którego Phoebe nie cierpi. Tak samo jak słowa Milly.

– Pospieszcie się, marsz na scenę i odłóżcie te telefony. Głuptasy.

Hałas się wzmacnia, kiedy dziewczyny odsuwają krzesła, ostatnie spóźnialskie wchodzą po schodkach na scenę. Podchodzę do panny Mehmet, pytam, gdzie mam usiąść. Wyjaśnia, że w trakcie przedstawień będę siedziała na scenie, ukryta za

kurtyną, ale teraz to nie jest konieczne.

– Usiądź w pierwszym rzędzie i śledź scenariusz, linijka po linijce, dobrze?

Kiedy zadzieram głowę i patrzę na scenę, widzę po twarzy Phoebe, że się boi, nie nauczyła się swoich kwes-tii. Siedzi na krześle po lewej stronie sceny i gorączkowo wertuje scenariusz. Za późno. Czas na występ.

– Ciii, zaczynamy. Akcja.

To sygnał dla Phoebe, wstęp do sceny. Stopy ma skrzyżowane, wsunięte pod krzesło, ale nie są nieruchome, prawa rytmicznie podskakuje. Scenariusz leży na podłodze obok niej. Kusi. Widzę, jak zerka w dół, potem na mnie. Wytrzymuję przez chwilę jej spojrzenie, napawam się tym, że mnie potrzebuje, po czym recytuję pierwszą linijkę:

– Bez okularów Prosiaczka Ralf...

– Nie może rozpalić ogniska.

Przerywa, kończy zdanie, ciągnie dalej:

– Ralf zwołuje zgromadzenie, dmąc w konchę.

– Saafi – jesteś Ralfem, udawaj, że dmiesz w konchę.

Dziewczyny, które znają na pamięć swoje kwestie, czyli większość, kontynuują. Idzie całkiem dobrze do chwili, aż przychodzi znów kolej na Phoebe. Zacina się i bełkocze, wychodzi na głupią. A pewnie czuje się jeszcze gorzej.

– Nie, nie, nie! – krzyczy pani Mehmet. – Phoebe, to nie do przyjęcia, czym ty się niby zajmujesz, że nie możesz nauczyć się swoich kwestii? Obserwowałam Milly, ona prawie nie korzysta ze scenariusza, zna cały tekst na pamięć.

Auc.

– Znam swoje kwestie, tylko ciągle je zapominam.

– To kiepsko. Jak tak dalej pójdzie, będę musiała oddać twoją rolę Milly, jasne?

Kiwa głową w milczeniu, nie odważyłaby się powiedzieć nauczycielce prosto w twarz, co o tym myśli. Po zakończeniu próby wychodzimy gęsiego z auli, Phoebe idzie za mną, szepcze mi do ucha.

– A potem Prosiaczek umiera.

Dziś jem lunch z M.K. w jej gabinecie i widzę, że wybrałyśmy taką samą kanapkę, z szynką i serem. Kiedy kończymy, M.K. wstaje, przyczepia papier do jednej ze sztalug i mówi:

– Możesz zacząć rysować w każdej chwili.

Wyjmuję świecę z plecaka.

– To dla pani.

– Dla mnie? Dlaczego?

– Podziękowanie za to, że pomogła mi pani z dziewczynami.

– To bardzo miłe, Milly, ale nie wolno nam przyjmować prezentów od uczennic, chyba że z okazji Bożego Narodzenia.

– Wkrótce połowa semestru, a potem zaraz święta.

Uśmiecham się do niej, podchodzę do jej biurka, stawiam na nim świecę.

– Jest waniliowa. Próbowałam znaleźć lawendową, wiem, że by się pani spodobała.

Podnosi świecę, wacha ją, odkłada na biurko.

– Jest śliczna, ale naprawdę nie mogę...

– Nie szkodzi, głupio zrobiłam. Może ją pani wyrzucić.

Podchodzę do sztalugi, siadam.

– Nie przejmuj się, Milly, pomysł był uroczy, ale te zasady obowiązują z określonych powodów.

Odzywa się telefon na jej biurku, przenikliwy dźwięk kontrastuje z ponurą atmosferą w pokoju, jest mile widzianym intruzem. M.K. podnosi słuchawkę.

– Halo.

Pauza, a potem:

– Tak, jest tu ze mną. Teraz? Dobrze, zaraz ją przyślę – mówi i odkłada słuchawkę.

– Pani Newmont jest w recepcji.

– Co? Dlaczego?

– Nie wiem, dzwoniła pani McDowell z sekretariatu, powinnaś pójść się dowiedzieć, o co chodzi.

Złe wieści. Tak złe, że Saskia musiała przyjść do szkoły.

– Co do świecy, Milly...

– W porządku. Rozumiem.

Ja też bym nie chciała prezentu, który pochodzi ode mnie.

Saskia uśmiecha się do mnie, kiedy podchodzę do recepcji. Nie uśmiechałaby się chyba, gdyby to było coś bardzo złego? Związanego ze mną?

– Jesteś.

– Dlaczego przyszłaś?

– Dzwonił Mike, prosił, bym cię odebrała ze szkoły, on jest już w drodze do domu. June wróciła z wakacji, chyba musi z tobą o czymś porozmawiać. Wszystko wzięłaś?

Kiwam głową.

– Już cię wypisałam, chodźmy.

Idę za obcisłymi legginsami i kościstymi biodrami do samochodu. Kiedy zaparzałam dla niej herbatę w dzbanku poprzedniego wieczoru, przyszedł Mike po swoje krople do nosa. Patrzyłam, jak odchyła głowę. Naciska. Kap, kap. Mruganie. Ta sekwencja czynności przypominała mi o tobie. Uwielbiałaś uczyć mnie chemii, wyjaśniać, które reakcje są szkodliwe. Godzinami przeczesywałaś internet, uczyłaś

się. Krople do oczu stają się trujące w herbacie. Mnie też uczyłaś. Chciałaś mieć nie tylko pomocnicę, ale również kogoś, kto będzie kontynuował twoje dzieło.

Po przyjeździe do domu Saskia mówi:

– Chyba są już w gabinecie, chcesz, żebym tam z tobą poszła?

– Nie, nie trzeba, pewnie lepiej, żebym była sama z Mikiem.

– Rozumiem, będę w pobliżu, gdybyś mnie potrzebowała.

Ignoruję Rosie, która skacze mi na nogi, spragniona pieścizot i towarzystwa. Echo moich samotnych kroków na marmurze, serce mi wali. Po co June przyjechała? Drzwi do gabinetu są otwarte, wchodzi do środka. Mike wstaje, błąd, zbyt formalnie, napięcie na twarzy. Przeczesuje palcami włosy.

– Cześć, Milly – mówi June.

– Co się dzieje? – pytam.

– Usiądź, wszystko zaraz omówimy.

– Nie chcę siadać.

Mike podchodzi do mnie.

– Usiądź obok mnie na kanapie.

Nie mam wyboru, June zajęła mój fotel, aksamitna poduszka leży obok niej.

Moja.

– Mam mówić, Mike? Czy ty chcesz?

– Ty zacznij.

– Dobrze. Dziś rano zadzwonił do mnie Simon Watts, jeden z prawników.

Chudy.

– Muszę powiedzieć ci kilka rzeczy. Chciałam zrobić to osobiście i jak najszybciej, na wypadek gdyby prasa coś zwęszyła. Przede wszystkim na pewno będziesz przesłuchiwana przez obronę podczas procesu. Jak się spodziewaliśmy, obrońcy chcą się skupić na ostatnich wydarzeniach, a więc ostatnich kilku dniach, które spędziłaś w domu z matką, kiedy to umarł Daniel. Chcą wyjaśnić kilka rzeczy.

– Co wyjaśnić? – pytam.

– Niestety nie wiadomo. Simon twierdzi, że to zawracanie głowy, że obrona chce po prostu narobić szumu. To przykre, ale często stosuje się takie praktyki w czasie poprzedzającym proces.

Moja lewa powieka zaczyna drgać, ukryty mistrz marionetek pociąga za sznurki. Przypomnienie, że ty wciąż rządysz.

– Ale przed rozprawą na pewno się dowiemy, o co chodzi, prawda, June? – pyta Mike.

– Nie. O ile nie zajdzie potrzeba przedstawienia nowych dowodów, jest mało prawdopodobne, że dowiemy się, do czego dokładnie zamierza się odnieść obrona, dopóki tego nie zrobi. To może być coś tak prostego jak wyjaśnienie przez Milly, co widziała albo słyszała. Nasi prawnicy są przekonani, że na procesie nie

wypłynie nic nowego.

Ale oni cię nie znają, prawda? Nie wiedzą, jak działa twój umysł. Jak bardzo lubisz pogrywać z ludźmi.

– A więc co dokładnie będzie musiała zrobić Milly?

– Dwukrotnie stawić się na rozprawie. Raz, by przesłuchało ją oskarżenie, a drugi raz na przesłuchanie przez obronę. Pamiętajmy o tym, Milly, że w każdej chwili można przywrócić specjalne środki. Nie musisz być przesłuchiwana na sali sądowej.

– Może to niezły pomysł, zważywszy na to, że nie wiemy, o co zamierza pytać obrona. Co o tym sądzisz, Milly? – Mike odwraca się do mnie całym ciałem.

– Nie wiem. Nadal chcę to zrobić, potrzebuję tego, ale się boję.

– Czego się boisz?

– Że ona chce, by ludzie mnie obwinili.

– Nikt nie zamierza cię obwiniać, Milly.

– Skąd wiesz? Nie jesteś ławą przysięgłych.

– Nie, nie jesteśmy ławą przysięgłych – odpowiada June. – Ale sąd uzna cię za nieletnią, przebywającą z nią w domu pod przymusem, a dla ułatwienia sprawy nasi prawnicy zebrali pytania przykładowe, które możecie przejrzeć z Mikiem.

W jej ustach wszystko brzmi tak prosto. Jak nauczanie się alfabetu. Ale to, co muszą zrobić w sądzie, nie jest pod żadnym względem proste.

– A czy będzie miała szansę przejrzenia swoich zeznań?

– Ależ tak, jak najbardziej. W tygodniu poprzedzającym rozprawę poproszę cię, byś przywiózł Milly do sądu, żeby się mogła tam rozejrzeć, a także przejrzała swoje zeznania. Jeden raz to aż nadto – ponowne przechodzenie przez to może być bardzo traumatyzujące, a poza tym nieraz wywołuje u świadków wątpliwości i mętlik w głowie. Bywa, że czują presję, by „nauczylili” się swych zeznań, podczas gdy tak naprawdę zachęcamy ich, by skupili się na pytaniach, które będą im zadawane.

– To chyba ma sens – odpowiada Mike. – Możemy przejść przez to wszystko później, Milly, ale może chcesz teraz o coś spytać?

– Nie.

Jak Phoebe z panią Mehmet, nie mogę powiedzieć tego na głos.

– Czy będę mógł wejść z nią na salę rozpraw, June?

– Wątpię, raczej nie, w tak głośnej sprawie jak ta sędzia prawdopodobnie zrezygnuje z jawności rozprawy, więc na sali będzie możliwie najmniej osób. W przeszłości zdarzało się, że wyciekały do prasy informacje z sali rozpraw. Ja będę przez cały czas siedziała obok Milly. Ty i Saskia, jeśli zechce, możecie czekać w jednym z pokojów dla rodzin.

– Powiedziałaś mi, że masz do zakomunikowania dwie rzeczy. Jaka jest ta druga?

– Przesunięto termin procesu. Sprawa, która miała być rozpatrywana przed naszą, spadła z wokandy – wyjaśnia June. – W związku z tym nasz proces odbędzie się wcześniej, za trzy tygodnie, licząc od poniedziałku.

Czterdzieści pięć zmienia się w dwadzieścia cztery. Jestem dobra w liczeniu, zwłaszcza gdy chodzi o ciebie.

– Tydzień po przerwie semestralnej. – Słyszę, jak to mówię. – Nie będę gotowa.

– Dopilnujemy, byś była. June, czy jest jeszcze coś, co możemy zrobić w międzyczasie, aby Milly rzeczywiście poczuła się gotowa?

– Może dziwnie to zabrzmie, ale nic innego niż teraz. Kontynuujcie cotygodniowe sesje albo spotykajcie się częściej, jeśli któreś z was czuje, że to potrzebne, a po powrocie do biura prześlę pytania od prawników.

– Więc oprócz przerobienia pytań robimy to, co do tej pory?

– Tak jest. Ale czy będziecie tutaj w czasie przerwy semestralnej? Pewnie wtedy właśnie Milly będzie odczytywać swoje zeznania.

– Tak, będziemy. Phoebe będzie miała wolne, więc może wyskoczymy gdzieś na kilka dni, dla rozrywki, ale niedaleko, żebyśmy mogli w razie potrzeby od razu wrócić.

– To dobry pomysł, żeby sobie zrobić wolne i przez jakiś czas nie rzucać się w oczy. Informacja o przyspieszeniu terminu procesu trafi do prasy jutro. Musimy się zastanowić, jak radzić sobie z tym, że będziesz narażona na kontakt z relacjami w mediach, Milly. Czy dziewczęta w szkole poruszają ten temat?

Mogłabym powiedzieć prawdę, że ukochana córeczka Mike'a lubi czytać o tobie na głos, uważa, że powinnaś zostać spalona na stosie, a pełna uwielbienia widownia u jej stóp kiwa potakująco. Ale nie chcę, by wiedział, jak bardzo źle się układa między mną i Phoe-be. Wiem, kto zostanie wyproszony za drzwi.

Tak więc mówię, że nie, nikt o tym nie rozmawia.

– Świetnie. Wiem, że to trudne, ale gdyby rozmawiano, najlepszy sposób to odejść. Zdaję sobie sprawę, że to ogromne obciążenie, ale Mike zapewnia ci wspierającą opiekę, a jeśli po moim wyjściu przyjdzie ci do głowy coś, o co chcesz mnie spytać, poproś Mike'a, żeby zadzwonił albo wysłał mi mejla. Dobrze?

Podchodzi do mnie, już ma dotknąć mego ramienia, ale w ostatniej chwili cofa dłoń, kiedy sobie przypomina. Przyklęka przede mną, w jej oddechu czuć stęchlą kawę.

– Nie będzie tak źle, jak się spodziewasz – mówi.

Patrzę na nią z góry. Zaangażowana, owszem. Jednak nie ma o niczym pojęcia.

Nie będzie tak źle, jak się spodziewasz – nie, June, będzie gorzej.

Kiedy Mike ją odprowadził, mówię mu, że chcę być sama, potrzebuję czasu, by wszystko przetrwać.

– Oczywiście, jasne, ale będę tu, gdybyś chciała pogadać.

Stoję nad umywalką w swojej łazience. Żyłka przy mojej skórze. Naciskam mocniej niż zwykle. Jak nóż w masło. Błyskawica przebiega po żebrach. Ciepło, czerwone krople.

Ale brak ulgi.

Prawie nie spałam. Ledwie przymknęłam oczy, widziałam ciebie, w celi. Uśmiechałaś się, zadowolona z rozwoju wypadków. Z wcielania w życie twojego planu. Zaczynam odliczanie, węglem, w środku szafki łazienkowej wiszącej na ścianie. Dni pozostałe do procesu. Myślałam, że to pomoże, ale kiedy wpisuję cyfrę, zaczynają mi drżeć ręce. Prawnicy i członkowie ławy przysięgłych. Sędzia.

I ty. Tam, za ekranem.

W oczekiwaniu.

Mike przysłał mi z samego rana esemesa. Napisał, że wcześniej jedzie do pracy, przez cały dzień ma klientów, ale chciałby nadrobić zaległości jutro albo w poniedziałek. Nie ma czegoś takiego, co mógłby powiedzieć albo zrobić. Już to powiedział: „żeby z tego wyjść, musisz przez to przejść”.

Phoebe odwraca się do mnie plecami, kiedy wchodzę do kuchni, smaruje masłem dwa tosty. Saskia przy zlewie. Piąte koło u wozu.

– Dzień dobry – mówi.

– Cześć, chciałam tylko powiedzieć, że wychodzę po południu robić zdjęcia na plastykę.

– Dobrze – odpowiada. – Ja zaraz też wychodzę, ale może później obejrzymy sobie razem jakiś film? Coś dziewczyńskiego.

– Zaraz po śniadaniu idę do Clondine, więc mnie możesz wykreślić – choć pewnie i tak ci to wisi – odzywa się Phoebe, wrzucając nóż do zlewu i wychodząc z tostem w ręce.

– A ty, Milly? Masz ochotę?

– Może, ale nie wiem, kiedy wrócę.

Jem samotnie śniadanie, ciesząc się na późniejsze spotkanie z Morgan. W swoich esemesach wyznaje, że bardzo marzy o tym, by mieszkać gdzieś indziej, z dala od osiedla. Pisałam wiadomość do niej ze sto razy, każdą usuwałam, zanim zdążyłam wysłać. Myślę, że jeśli kiedykolwiek powiem jej o tobie, to osobiście.

Spotykamy się po południu tam, gdzie było umówione, na jednej z bocznych uliczek, z dala od głównej ulicy. Kiwa głową na powitanie, kiedy nadchodzę, szybki pionowy ruch, szeroki uśmiech na twarzy.

– Tęskniłaś za mną? – pyta.

Mój uśmiech bierze za odpowiedź.

– Chodź – mówi. – Idziemy.

– Dokąd?

– Na spotkanie z moimi kumplami.

– Jakimi kumplami?

- Ze znajomymi chłopakami.
- Musimy?
- O co ci chodzi?
- O nic, nieważne.

Przecinamy dwie ulice, na których nigdy wcześniej nie byłam. Cicho, nie zauważa się stąd zamętu, jaki panuje w weekendy w marketach. Domy stają się coraz mniej białe, mniej okazałe i wkrótce zbliżamy się do kolejnego osiedla. Kiedy skręcamy za róg i już mamy przejść przez ulicę, widzę sznur czarnych samochodów, zanim dostrzegam kościół. Mała grupa ludzi wychodzi gęsiego z budynku, na przodzie pastor z opuszczoną głową. Kobietę podtrzymuje dwóch mężczyzn idących po bokach.

- Czekaj, Morgan, niech wsiądą do samochodów.
- Oj tam, idziemy.

Kiedy podchodzimy bliżej, widzę przez okno karawanu trumnę, brązowe lakierowane drewno lśni w październikowym słońcu przebijającym się przez szyby. Wieńce z kwiatów. TATA. Kierowcy samochodów otwierają drzwi, elegancy w swoich uniformach, czapki trzymają przy bokach. Zatrzymuję się, zanim do nich dochodzimy. Wtargnięcie w kondukt, w ból tych ludzi, wydaje mi się niewłaściwe. Morgan idzie dalej, nie zważając na nic, kluczy między żałobnikami. Kiedy samochody są pełne i odjeżdżają, a pastor wraca do kościoła, stoję przed nim przez chwilę, myśląc o swoim tacie. Odszedł na długo przed tym, nim wydarzyły się najgorsze rzeczy, ale musiał widzieć wiadomości, na pewno wie. Uciekaj. Kryj się. Wyparł się osoby, z którą się ożenił, wyparł to, że wołał kogoś innego od niego.

Morgan gwizdże i przywołuje mnie skinieniem, wygląda na zniecierpliwioną. Kiedy do niej dołączam, pyta, dlaczego się zatrzymałam.

- Chyba dla okazania szacunku.

Spluwa na ziemię, robi minę mającą oznaczać, że nie kapuje, o co mi chodzi, albo ma to gdzieś. W moim wnętrzu wybucha gorąca flara. Trzeba jej udzielić lekcji, jestem dobrą nauczycielką.

Skręcamy za róg, gdzie zaczyna się ulica osiedlowa, po obu stronach mamy wieżowce, sklep po prawej, w oknach kraty. Wchodzimy na osiedle od lewej strony, idziemy przez nie, aż docieramy na mały plac zabaw, zaśmiecony butelkami i opakowaniami po jedzeniu na wynos. Nie ma żadnych bawiących się dzieci, tylko dwóch starszych chłopaków siedzi na karuzeli, z puszkami piwa w rękach.

- Cześć, palanty – mówi Morgan.
- Zamknij się, gówniaro – odpowiada jeden z chłopaków, w czapce na głowie i ze złotym kolczykiem w prawym uchu.

Morgan wskakuje na karuzelę, wyjmuje mu puszkę z ręki, pije, potem beka,

co obu chłopaków rozśmiesza. Ten drugi, z okropnymi krostami na szyi, z których część ma żółte czubki, pyta:

– Kto to jest?

– Milly, mieszka naprzeciwko mego osiedla.

– Niezła. Chodź, usiądź koło mnie, zapoznamy się.

– Tu mi dobrze – mówię, siadając na ławce stojącej z boku.

– Masz się za kogoś lepszego, tak?

Uśmiecham się, staram się nie wyglądać na speszoną.

– Dasz mi to piwo czy jak? – pyta Morgan.

– A co dostanę w zamian? – rzuca w odpowiedzi ten w czapce.

– Oczywiście przyjemność przebywania w moim oszałamiającym towarzystwie. – Morgan wstaje, składa teatralny ukłon.

Ten w czapce ma na imię Dean, jego kumpel tak się do niego zwraca, kiedy stwierdza:

– Założę się, że wiem, co tak naprawdę byś chciał.

– To powiedz.

Zapalają papierosy, częstują mnie.

– Nie, dziękuję.

– Ale sztywniara z ciebie.

Dean przyciąga Morgan do siebie, zaczyna ją łaskotać. Ta z początku się opiera, a potem, gdy chłopak szepcze jej coś do ucha, mówi, a zobaczysz, że tak, i odchodzi razem z nim. Znikają w drewnianym domku do zabawy, pomalowanym na kolory podstawowe, z imionami i graffiti wydrapanymi na górze. Staram się opanować lęk narastający mi w brzuchu. To, co się z nią teraz dzieje, jest brudne i złe. Chciałabym podejść do domku, pomóc jej, ale czasami, kiedy człowiek próbuje pomóc, zrobić coś dobrego, może okazać się, że robi coś złego.

Przyjaciel Deana podchodzi i siada obok mnie, ma nierówne paznokcie. Obgryzione. Kładzie rękę za mną, na oparciu ławki, dotyka dłońmi mojego ramienia.

Dotyka mnie.

Staram się ignorować odgłosy dobiegające z domku. Szamotanina ciała przyjmujących jakąś pozycję. Morgan, moja przyjaciółka, na kolanach albo na plecach. Twarz chłopaka nachyla się ku mojej szyi, odgłosy z domku zastępuje mlaskanie, kiedy zaśliniony kawałek gumy krąży w jego ustach. Wstrząsa mną dreszcz, powinnam wstać, ale nie czuję nóg. Zablokowana.

– Zimno ci? Ogrzeję cię.

Zapach alkoholu, papieros w ręce, twarz chłopaka tuż przy mojej przenoszą mnie tam.

Do ciebie.

Cień, baldachim utkany z wynaturzonej miłości i pożądania, przyduszał mnie

w łóżku każdej nocy. Ty.

Chłopak gasi papierosa na desce ławki między nami. Pstryknięciem posyła go na ziemię, na cmentarzysko petów. Powyginane w dziwne pozycje, skręcone karki, skulone ciała.

Kładzie dłoń na moim udzie, przesuwając trochę, wyżej i wyżej. Słowo „nie” więźnie mi w gardle, nie może wystrzelić. Nie potrafię go wypowiedzieć, i tak nie działa. „Nie” znaczyło „tak”, znaczyło, że zawsze dostawałaś to, co chciałaś. Brałaś sobie. Kiedy jego wargi dotykają mojej szyi, mam wrażenie, że należą do niego, wydaje mi się, że to są usta kogoś innego. Nigdy nie chciałam być dotykana w ten sposób. Nigdy nie chciałam, żebyś mnie tak dotykała.

– Spadaj, odpiardol się! – mówię i zrywam się z ławki.

– Kurwa, co z tobą?

Po każdym kolejnym kroku pojawiają się obrazy. Znowu jestem w naszym domu, w twoim pokoju. Podchodzę do domku, walę w dach.

– Morgan. Morgan, chodźmy, chcę już iść.

Chłopak z domku nazywa mnie świrówką. Fiut-blokerką. Suką. Odgłos zasuwanego zamka w spodniach.

– Uspokój się, zaraz wrócę – odpowiada Morgan.

By jak najszybciej się oddalić, ruszam z boczem ku zaparkowanym samochodom, pod jednym czarny kot. Oczy zamknięte, spokojny. Szczęście, jeśli przetnie mi drogę. Nie przecina. Jestem zła, zła na Morgan. Nikt jej nie zmuszał, weszła do domku uśmiechnięta, nadal się uśmiecha, idąc teraz ku mnie. Puszka z piwem w jednej ręce, bierze łyk, płucze gardło, wypluwa. Brudna.

– Co ci odbiło?

– Chcę wrócić do domu.

– Kurwa, jakbyś nigdy tego nie robiła.

Nie odpowiadam, nie wiem, jak jej wyjaśnić.

– Mogę pójść z tobą? Mogłabyś przemycić mnie przez balkon.

Powinam się zgodzić. Ona wymaga opieki, trzeba zadbać, by nie działa jej się krzywda. Musi się lepiej zachowywać. Mogę jej w tym pomóc.

– Więc mogę?

– Tak.

Udzielasz mi korepetycji, kiedy wracamy do domu, podsuwasz pomysły, jak uczyć Morgan, jak „pomóc” jej być czystą, ale to, co mówisz, mnie przeraża, ciężko mi tego słuchać. Nie chcę jej tego robić, ona jest wszystkim, co posiadam, jest moją jedyną przyjaciółką. Potrzebuję jej. I dlatego właśnie to robię, gdy przykłęka przy szeregu zaparkowanych samochodów, by zawiązać sznurowadło, patrzę. Zazwyczaj tego nie robię, zwykle nie chcę sobie o tym przypominać, ale tym razem patrzę w okno samochodu. Twoja twarz, podobna jak kropla wody do mojej, patrzy na mnie. ZAAKCEPTUJ TO, KIM JESTEŚ, ANNIE.

– Nie chcę – odpowiadam.

– Do kogo mówisz? – pyta Morgan, wstając.

Kręcę głową, uśmiecha się i nazywa mnie wariatką, mówi, nie przejmuj się tym, co stało się w parku, to palanty. I uświadamiam sobie, że możesz powiedzieć prawnikom o mnie, co tylko zechcesz, już to zrobiłaś, na pewno, ale Morgan jest moja. Muszę podjąć decyzję. Mówię jej, że zmieniałam zdanie, to zbyt ryzykowne, by przemycać ją do środka, gdy Saskia jest w pobliżu. Morgan jest niezadowolona, mówi, że będzie musiała wrócić do domu i użerać się z młodszym bratem i siostrą. Wielkie dzięki, Mil, mówi przed odejściem.

Mam ochotę powiedzieć jej, proszę bardzo. Ale nie zrozumiałaby.

Pytania są proste, kiedy Mike mi je zadaje. Jest psychologiem, zaprogramowanym, by mnie wspierać i podtrzymywać na duchu, nie to co prawnicy obrony.

Czyta na głos. Co dokładnie widziałaś przez wizjer tej nocy, kiedy umarł Daniel Carrington? Jak długo stałaś przy wizjerze? Czy jesteś pewna, że widziałaś, jak twoja matka to robi? Absolutnie pewna?

Co działo się potem?

Proszę to powtórzyć przed sądem. Jeszcze raz.

Kiedy kończymy, chwali, że dobrze sobie poradziłam. Odkłada kartkę z pytaniami, mówi, że mu przykro, że muszę przez to przechodzić. Że myśl o odpowiadaniu na pytania przed ławą przysięgłych i sędzią musi budzić we mnie wielkie obawy. Tak, odpowiadam, to straszne nie wiedzieć, co może się stać tego dnia. Co może zostać powiedziane? Ale poradzę sobie, myślę, że pójdzie na rozprawę, zmierzenie się z tobą, to mój sposób, by pomóc dzieciom, które skrzywdziłaś. Mój sposób przyjęcia odpowiedzialności. Mike mówi o poczuciu winy ocalańca, które może sprawić, że ktoś czuje się bardziej winny, niż jest. Czasami myślę, że ty właśnie tak się czujesz, jakbyś ponosiła winę za śmierć tych dzieci. Mam rację? – pyta. Tak do końca nie wiem, odpowiadam, czasami tak. Nie zrobiłaś nic złego, mówi, a jeśli twoja matka mówi coś przeciwnego, jest to jej próba dalszego znęcania się nad tobą.

Gładkie wyjaśnienie, kropka nad i.

Rozmawiamy o tym, jak w czasie wakacji pojechałyśmy samochodem do Manchesteru. Byłaś bardzo ostrożna i daleko rozpuszczałaś wici o tym, czym się zajmujesz. Tajna sieć zrozwadzonych kobiet, które potrafiłaś tak uspokoić, omotać, że oddawały ci dzieci. Były przygotowywane do tego zdalnie przez wiele lat. Kamuflażem znowu byłam ja, twoja własna córka. Mog-łyśmy tak ciągnąć dalej, ale potem wzięłaś Daniela, kogoś, kogo znałam. Zbyt blisko domu.

– Co byś powiedziała teraz swojemu młodszemu ja, co by cię wtedy pocieszyło?

– Nie wiem.

– Musisz spróbować. Co byś wtedy chciała usłyszeć?

Że jestem inna niż ty.

– Że pewnego dnia to się skończy.

– Ty to zakończyłaś, byłaś bardzo dzielna, że poszłaś na policję.

– Czekałam z tym zbyt długo, za wiele złych rzeczy już się wydarzyło.

– Gdyby ktoś mógł cię wcześniej usłyszeć, co byś powiedziała?

– Pomocy. Chcę zostać sama.
– Jak można by ci było pomóc, skoro chciałabyś, by zostawiono cię samą?
– Nie wiem, tak po prostu się czuję.
– Przestraszona, jak sędzę. A może by tak powiedzieć: „Pomocy, zabierzcie mnie w jakieś bezpieczne miejsce”.

Liczę książki na półkach. Liczby pomagają. Potem zaczynam płakać, zakrywam twarz poduszką. Mike siedzi cicho, pozwala mi płakać, potem mówi:

– Zaslugujesz na to, Milly. Zaslugujesz na to, by być bezpieczna i mieć nowe życie.

Odsuwam poduszkę. Mike ma taki szczerzy wyraz twarzy, patrzy na mnie. Chce, by mi się poprawiło, widzę to, ale nie rozumie.

– Nie rozumiesz, Mike. Myślisz, że mnie znasz, ale to nieprawda.
– Myślę, że coraz lepiej cię poznaję, sędzę, że znam cię lepiej, niż zna cię większość ludzi. Zgodzisz się ze mną?

Gdyby to była prawda, wiedziałby, co powiedzieć. Wiedziałyby, że najlepszym sposobem, by mi pomóc, jest oznajmienie, że mogę zostać. Że się mną zaopiekuje. Jednak zbyt się boję go o to poprosić. Wiem, że po zakończeniu procesu będę musiała odejść. Zacząć od nowa. I nic nie mogę na to poradzić.

– Możemy skończyć, Mike? To trwa już ponad godzinę. Jestem zmęczona, chcę się położyć.

Wyczuwa, że się zamykam, wie, że tego wieczoru musi już zdjąć nogę z gazu.

– Dobrze, zaraz dam ci leki na noc.

Upycham tabletki razem z innymi, otwieram laptop, by sprawdzić, czy jest coś o tobie w wiadomościach. Zostałaś umieszczona w osobnej celi, nie podają żadnych szczegółów poza tym, że współwięźniarka przypuściła na ciebie atak po ogłoszeniu przyspieszonego terminu rozprawy. Przypuszczam, że to ważne, by cię chronić. Istnieje presja społeczna, byś pozostała przy życiu.

By zmusić cię do zapłaty.

Brud na moich dłoniach, ręcznik w umywalce. Mike powinien mnie zostawić tam, gdzie mnie znalazł wczoraj po naszej sesji, późno w nocy. Ciemność piwnicy.

Kiedy wychodzę ze swojego pokoju, Phoebe stoi na podeście, balansuje na krawędzi poręczy, głowa w telefonie, jedna stopa na dywanie. Doskonale pomalowane paznokcie, na różowo. Podnosi wzrok, kiedy przechodzę, mówi, co to były za hałasy w nocy, obudziłaś mnie. Rzucam w odpowiedzi pierwsze, co mi przychodzi do głowy.

– Brzuch mnie bolał. Mike przyniósł mi tabletki.

– Aha, to następnym razem nie rób tyle hałasu.

Przechodzę dalej, na następnym podeście schodów przystaję i pytam:

– Jak ci idzie nauka tekstu do sztuki?

Pokazuje mi środkowy palec, samym ruchem ust mówi: pierdol się. Wie, że Mike i Saskia są w pobliżu, mogliby usłyszeć.

– Daj znać, jeśli mogłabym ci jakoś pomóc – odpowiadam z uśmiechem.

Odpycha się od balustrady, wpada do swojego pokoju, kopniakiem zatrzaskuje za sobą drzwi.

Saskia siedzi przy stole w kuchni, obejmując dłońmi wielki kubek, cienkie palce, zaciśnięte wokół naczynia, wystające żyły biegną od kostek do nadgarstków. Mówi mi dzień dobry, ma nieobecne spojrzenie, odzywa się raczej z uprzejmości niż szczerą chęcią nawiązania rozmowy.

– Jajka? – proponuje Mike, stojący z drewnianą łyżką w ręce.

Ma na sobie fartuch z twarzą Jamesa Bonda, pod którą widnieje podpis „Licencja na grillowanie”. Widzi, że patrzę na to, śmieje się trochę, próbuje zamaskować niepokój. Pewnie ma poczucie, że nawala. Sesja nie sesja, i tak mi odbija.

– Saskia kupiła mi go na urodziny ostatniego lata, prawda, Sas?

– Co?

– Fartuch.

– Chyba tak, kochanie.

Patrzę na Mike’a, który odwraca się do kuchenki. Wysoki. Ma silne, wysportowane ciało, rudawo-złote włosy, przetykane siwizną. Ciężar nas wszystkich na jego szerokich ramionach, ale nigdy nie słyszałam, żeby się skarżył.

– Proszę bardzo – mówi. – Jajecznicą.

Dziękuję i siadam obok Saskii.

– A ty nie jesz? – pytam.

– Nie, wolę później.

Albo wcale. Mike idzie do przedpokoju, staje na pierwszym schodku, woła Phoebe. Musi powtarzać dwa razy, żeby wyszła wreszcie z pokoju i odpowiedziała:

– Zaraz schodzę.

Mike dosiada się do nas przy stole, wcinaj, mówi. Pyta mnie, czy wiem, co chciałabym robić w trakcie przerwy semestralnej.

– Wszystko mi jedno. Z przyjemnością tu zostanę. Wiem, że oboje jesteście bardzo zajęci.

– Myślę, że June miała rację, wyjazd dobrze by nam zrobił. Znamy jedno ładne miejsce na wsi, drzewa będą piękne o tej porze roku.

– Och, co za słodki obrazek – mówi Phoebe, wchodząc do kuchni.

– Dzień dobry, nałóż sobie jajecznicę, usiądź z nami.

– Co to się działo w nocy? Obudziliście mnie.

– Mówiłam już Phoebe, że bolał mnie brzuch i przyniosłeś mi pigułki.

Mike się waha, kłamstwo jest wbrew jego naturze, ale dokonuje racjonalizacji. Ochrona. Konieczność.

– Ja nic nie słyszałam – mówi Saskia.

Nikt nie wydaje się tym zaskoczony.

– W każdym razie nie mogłam potem bardzo długo zasnąć.

– Przykro mi, Phoebie – uspokaja Mike. – Właśnie rozmawialiśmy o przerwie semestralnej, szkoda, że nie możesz z nami wyjechać.

– Łażenie po lesie na odludziu, o nie, dziękuję. Wolę pojechać z przyjaciółmi do Kornwalii.

Devon jest blisko Kornwalii. Kiedyś tam był mój dom.

– Tam też jest sporo lasów – zauważa Saskia.

Niezła odpowiedź, na granicy żartu, ale Phoebe tak nie uważa, odwraca się plecami, nalewa sobie do szklanki wody z kranu. Widzę, że Mike zdejmuje rękę ze stołu i kładzie ją na udzie Saskii. Jest kapitanem rozkołysanego statku. A w dodatku zanoszą się na bunt.

– Musisz coś zjeść, Phoebie.

– Nie, nie mam ochoty i jestem na diecie.

– Ale nie z samego rana, musisz zjeść śniadanie.

– Dlaczego? Nie widzę, by kochana mamusia coś jadła.

– Nie spędza całego dnia w szkole ani nie jest kapitanem drużyny hokejowej.

Phoebe mamrocze do brzegu szklanki, nie, bo zazwyczaj przecież nic nie robi.

– Weź przynajmniej z kredensu baton z płatkami, zjesz na przerwie.

– Dobra – rzuca. – Wszystko jedno.

Phoebe i ja wychodzimy razem, nie mamy wyboru, Mike i Saskia machają nam na pożegnanie. Rozdzielamy się przy następnym domu. Kiedy Phoebe przechodzi na drugą stronę ulicy, patrzę na jej smukłe ciało, pewny krok tak dalece

zaprzecza temu, co jest w środku. Kilka tygodni temu poszłam do pralni po czysty ręcznik, dobiegły mnie stamtąd głosy. Sevita prasowała, a Phoebe siedziała po turecku na podłodze i odrabiała lekcje. Sevita podniosła na mnie wzrok, kiedy weszłam, uśmiechnęła się, dzień dobry, panienko Milly. Na twarzy Phoebe odbiła się złość. Zazdrość. Nie chciała, bym tam była, nie chciała się dzielić. Znajduje gdzie indziej to, czego nie może dostać od Saskii, potrzebuje tego.

Przechodząc koło wieżowców, przypominam sobie, że zapomniałam powiedzieć Mike'owi i Saskii, że wrócę później ze szkoły. Wysłałam obojgu wiadomość, że będę pomagała przy szykowaniu dekoracji do sztuki, wrócę między szóstą a siódmą. Kłamstwo, małe, niewinne. Cieszę się, że znów zobaczę Morgan. Zatrzaszczyłam się o nią w weekend, odesłałam do domu. Nie mogę porzucić pomysłu, by powiedzieć jej o tobie, nie wszystko, ale wystarczająco, by móc o tobie rozmawiać, jeśli mi przyjdzie ochota. June by tego nie pochwaliła. Dostałam nową tożsamość, bym poczuła się chroniona. Niewidzialna. Nikt nie dowie się, kim jestem. Londyn to ogromne miasto, powiedziała, będziesz tylko kolejną twarzą w tłumie. Najważniejsze, powiedziała, żebyś nikomu nie mówiła, kim jesteś, nie mówiła nic o swojej mamie. Czy rozumiesz, jakie to ważne? Tak, brzmiała moja odpowiedź, nadal tak brzmi, ale nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo będę się czuła samotna.

Czas okropnie się wlecze. Niemiecki, potem muzyka. Matematyka i plastyka. M.K. nie jest moją nauczycielką. Myślę o tym, jak spędza czas z innymi dziewczynami, rozmawia z nimi. Śmieje się. Wczoraj wysłałam kolejny mejl, w którym spytałam, czy mogę się z nią zobaczyć, ale nie odpowiedziała.

Biologia, ostatnia lekcja. Dysekcja. Serce świni. Ludzkie jest takie samo, prawie. Komory. Przedsiódek, potężna żyła główna. Wiem dużo o ludzkim wnętrzu.

Piętnaście cudownie czerwonych serc leży na ławkach, po jednym dla każdej dziewczyny. Profesor West, ślepowy i starawy, mówi, byśmy postępowały zgodnie z instrukcjami wypisanymi na białej tablicy na przodzie klasy.

Skalpele w pogotowiu.

Kroimy w plastry, przecinamy, podcinamy. Dla niektórych męka, dla mnie łatwizna. Kończę pierwsza. Patrzę na serce, teraz w kawałkach, rozłożone na srebrnej tacy. Winę ponoszą dwa zakrwawione skalpele i pęseta. Słucham komentarzy wokół. Ohyda. Fuu, nienawidzę biologii, nie mogę się doczekać, kiedy ją rzucę w przyszłym roku. Pomóż mi z moim. Nie ma mowy, ledwie sama daję radę. Błeee.

Podnoszę rękę w górę. Dopiero po jakimś czasie profesor West unosi głowę, by zlustrować klasę.

– Skończyłam, proszę pana.

– W takim razie umyj ręce i zapisz swoje obserwacje.

Po umyciu rąk odchodzę od zlewu i siadam w ławce, odwracam stronę w zeszytach z ćwiczeniami, zaczynam pisać, ale nagle je słyszę. Clondine i Izzy chichoczą, dziewczyny w rzędzie przede mną zerkają przez ramię. Odwracają się, kiedy patrzę. Znow zaczynam pisać. Wtedy to się dzieje.

Serce na mojej twarzy.

Odbija się od mojego lewego policzka, ląduje na moim biuście, opada na podłogę. Zdążyłam już zdjąć fartuch laboratoryjny. Dotykam ręką twarzy. Lepka. Krew na palcach. Izzy mnie filmuje, Clondine stoi na straży, chociaż profesor nie stanowi zagrożenia. Odwracam się od nich. Moja koszula jest zaplamiona, krew z serca jest świńska, ale równie dobrze mogłaby być moja.

– Czas posprzątać – mówi profesor West.

– Jeszcze nie skończyłam, proszę pana – odzywa się głos z przodu.

– Czas nie czeka na nikogo, Elsie, trzeba było szybciej pracować.

Ruszyłamby się, gdybym mogła, ale nie czuję nóg. Nie. Mam. Czucia. Dla nich zawsze będę dziwadłem. Wiem, że profesor się zbliża, słyszę szuranie jego butów. Brązowe skórzane półbuty, założę się, że codziennie je pastuje. Zatrzymuje się przede mną.

– Na litość boską, dziecko, co z tobą? Powiedziałaś, że skończyłaś, a teraz masz krew na całej koszuli i twarzy. Umyj się i podnieś to serce z podłogi.

Słyszę zduszone parsknięcia, kiedy profesor przechodzi dalej.

Zoe, dziewczyna siedząca ze mną w ławce, cichy świadek, schyla się, używa ręcznika papierowego, by podnieść serce, podaje mi drugi do twarzy. Moczy go dla mnie. Pokazuje, gdzie mam wytrzeć.

Kiwam głową, dziękuję, żałując, że nie jestem na tyle mała, by ktoś to za mnie zrobił. Clondine i Izzy posyłają mi szydercze uśmiešky, kiedy wychodzimy gęsiego z pracowni. Na korytarzu jest dużo osób, ale rozstępują się przede mną, kiedy nadchodzę. Czy ona ma krew na koszuli? Chyba tak, łych. Wchodzę do toalety przy pracowniach przyrodniczych, by przebrać się w dżinsy i bluzę z kapturem, które schowałam wcześniej do torby. Nie ma mowy o mundurkach na osiedlu, zwłaszcza z tej szkoły. Odzywa się mój telefon. Klękam i wyciągam go z plecaka. To Morgan, sprawdza, czy przyjdę, a kiedy dostrzegam znajomą kosmetyczkę zostawioną na podłodze przy drzwiach sąsiedniej kabiny, mówię Morgan, że będę za jakieś dwadzieścia minut, bo muszę załatwić jeszcze jedną rzecz.

Kiedy zjawiam się na dachu wieżowca, Morgan pali papierosa, mówi:

– Tam jest ptak, chyba ma rozjebane skrzydło.

– Gdzie?

– O tam.

Wskazuje skrzynkę i mówi:

– Nakryłam go, bo się miotał, i dostawałam od tego świra.

Podchodzę, kucam, zaglądam przez szpary w plastiku. W kształcie plastrów wosku. Gołąb, jedno skrzydło obwisłe. Złamane. Głowa ptaka porusza się szybko, rytmicznie kiwa. Nie wiem, czemu to robię, ale potrząsam skrzynką, wewnątrz trzepot, panika, ptak zaczyna gruchać. SOS do jego przyjaciół, odleć, Peter, odleć, Paul. Dołączyłby do nich, gdyby mógł, ale nie może, został złapany. Morgan kuca obok mnie, pyta, co robię. Unoszę skrzynkę z jednej strony, wkładam rękę i chwytam ptaka. Mocno. Przyciskam go do podłoża, czuję na palcach leciutkie pikanie. Złamane skrzydło, nie serce. Jeszcze nie. Ptak zaczyna znów gruchać, woła inne. Świdrujące oczka i kiwające się główki ukryte na dachach, pisklaki też patrzą, dorośli im każą.

Robię to szybko, to dobry uczynek.

– Kurwa, ohyda, czemu to zrobiłaś? Jezu.

Odwraca wzrok.

– Gdybym tego nie zrobiła, byłoby jeszcze gorzej. Umierałby powoli w samotności.

– Mogłyśmy zabrać go do weterynarza czy coś.

– Bolało go, ale już nie cierpi. Pomogłam mu.

– Wolę, że ty, a nie ja.

Tak.

Znów przykrywam ptaka skrzynką i wracamy do wentylatora, kładziemy się jak posągi na zimnym podłożu, niebo zalane hałasem z samolotów, które z rykiem przelatują nam nad głowami w drodze na Hea-throw. Polecieć, byle gdzie. Teleportuj mnie, Scotty, gdziekolwiek. Morgan zapala kolejnego papierosa, niebieskie palce dymu kreślą zawijasy, głaszczą powietrze nad nami. Oddech czarownicy.

– Czemu jesteś taka milcząca, nie masz dziś dla mnie żadnych historyjek?

Tylko jedną, ale nie jestem pewna, czy powinnam ci ją opowiedzieć.

– Raczej nie

– Świetne z ciebie towarzystwo. Nie mogę zostać zbyt długo, mój wujek jest tutaj, to surowy facet.

Daj mi, proszę, tylko kilka minut, żebym mogła ułożyć to sobie w głowie, zanim powiem na głos. Moja matka jest. Nie. Czy widziałaś w wiadomościach tę kobietę, która... Nie. Kurwa. Co ja wyprawiam? Nie wolno mi nikomu nic mówić.

– Co się dziś z tobą dzieje? – pyta.

– Nic, czemu?

– Rozkrwawiłaś sobie palec. Zobacz.

– Przepraszam.

– Nie ma za co przeproszać, ale jak masz coś do powiedzenia, wyrzuć to

z siebie.

To jest jak jeżdżenie na łyżwach po zamrzniętym jeziorze. Wygląda bezpiecznie, na czują też, ale ktoś musi wejść pierwszy, sprawdzić, czy lód wytrzyma. Lubi mnie, jesteśmy przyjaciółkami. Mogę jej powiedzieć, nie wszystko, ale przynajmniej część. Nie mogę?

– Jak nie zamierzasz się odzywać, to ja spadam. Wolę pooglądać telewizję, niż siedzieć w milczeniu.

– Zaczekaj.

– Kurna, o co ci chodzi?

Na dachu zapadła ciemność, tylko ja i Morgan. Nikogo więcej tu nie ma, nikt więcej nie musi się dowiedzieć. Ona mnie lubi. Nie jestem taka jak ty. Ona zrozumie. Prawda?

– Jeśli ci coś powiem, czy nadal będziesz chciała być moją przyjaciółką?

– Tak, myślę, że możemy sobie wszystko powiedzieć, no nie?

Kiwam głową, bo to prawda, pisze do mnie wieczorami esemesy, pyta, czy Phoebe mi dokucza, pisze, żebym się nie martwiła, ona mi pomoże.

– Co chcesz mi powiedzieć?

– Nie jestem pewna, czy powinnam.

– Nie możesz tak zacząć i nie dokończyć.

– Przede wszystkim w ogóle nie powinnam zaczynać.

– Ale zaczęłaś i nie odejdziesz, póki mi nie powiesz.

Zasady są po to, by je łamać... Czyż nie?

– Mil, zacznasz mnie wkurzać, muszę zaraz stąd iść.

– Ale obiecaj, że nadal będziesz moją przyjaciółką.

– Dobra, jak chcesz, obiecuję. No mów.

Siadam, zaczepiam stopą ucho plecaka, by go do siebie przyciągnąć. Ona też siada. Proszę, by mi dała zapalniczkę, bez niej nic nie zobaczy. Wyciągam z przedniej kieszeni plecaka wycinek z gazety, który zabrałam kiedyś ze świetlicy, wyglądam go na dzinsach. Wiem, że noszenie tego codziennie było ryzykowne, wystarczyłoby, żeby Phoebe czy Izzy opróżniła mój plecak i wymanikiowanymi paznokietkami rozpros-towała zagięcia na twojej twarzy. Moja twarz i twoja, takie podobne.

– Co to jest? – pyta Morgan.

Rozważam jeszcze wycofanie się, spalenie zdjęcia zamiast pokazania go Morgan, ale nie wiem, czy zdołałabym przyłożyć płomień do twojej twarzy. Za pierwszym razem zapalniczka bucha ogniem i gaśnie.

– Nic nie widziałam, zapal jeszcze raz.

Za drugim razem płomień oświetla twoją twarz, twoje usta. Na zdjęciu tego nie widać, ale po prawej stronie podbródka masz pieprzyk.

Tym razem Morgan widzi, kto to jest.

– Kurwa, to ta kobieta, która była w wiadomościach, ta, co zabiła dzieciaki.

– Tak.

– Czemu mi ją pokazujesz?

Zapalniczka gaśnie. Dlaczego to robię? Odpychanie. Przyciąganie. Szkodliwe rzeczy, które robią uszkodzeni ludzie. Kiedy wychodziłam z łazienki w szkole, byłam pewna, że mogę powiedzieć Morgan. Że ona odbierze to inaczej, nie tak jak dziewczyny z mojego rocznika. Wiem, co one by powiedziały, co by czuły. Ale one nie są moimi przyjaciółkami, a ona jest, i tęsknię za tym, by usłyszeć, jak wypowiada słowa: nie jesteś taka jak twoja matka.

Pytam, co o tym myśli, co myśli o tobie.

– Jak to co myśle? Jest psycholką, to jasne. Co cię to obchodzi?

– A gdyby to był ktoś, kogo znasz?

– Akurat. To znaczy wiesz, na osiedlu dzieją się różne okropne rzeczy, ale nie aż takie.

Przrzekła, że nadal będzie moją przyjaciółką, mogę jej powiedzieć.

– A jeśli to ktoś, kogo ja znałam?

– Niezłe, ale mamy październik, a nie pierwszy kwietnia.

Ulga łapczywie się do mnie garnie, kusi mnie. Żeby tak móc zrzucić część twojego ciężaru.

– Patrz – mówię.

Przystawiam wycinek do swojej twarzy i znów pstrykam zapalniczką.

– Na co mam patrzeć?

– Spójrz na jej twarz, a potem na moją.

Zbliża się, by lepiej się przyjrzeć.

– O rany – mówi. – Jesteś do niej podobna, łych.

– To właśnie próbuję ci powiedzieć.

– Ale co?

– Jestem do niej podobna, bo... Ponieważ.

Proszę, nie odchodź, kiedy ci powiem.

– Co? Bo jest twoją dawno niewidzianą ciocią czy coś takiego?

– Nie, to nie jest moja ciocia, to moja mama.

Gaszę zapalniczkę, składam zdjęcie, chowam cię z powrotem do plecaka. Czuję, że Morgan na mnie patrzy, czeka na puentę, ale nie ma żadnej. Ona odzywa się pierwsza:

– Powiedz, że żartowałaś.

Ponieważ nie odpowiadam, wie, że nie.

– Ja pierdolę – mówi.

Nie mogę nic poradzić na to, że łzy napływają mi do oczu. Morgan wstaje, cofa się o krok.

– Nie odchodź jeszcze, proszę.

– Muszę, bo wujek się wścieknie.

Kłamie, odchodzi, bo się boi.

– Powiedziałaś, że nadal będziesz moją przyjaciółką, obiecałaś.

– Nie o to chodzi, po prostu trudno to tak po prostu przełknąć, wiesz?

Wiem. Mnie też było trudno.

– To dlatego jesteś w rodzinie zastępczej?

Kiwam głową.

– Czy oni o niej wiedzą?

– Mike i Saskia tak, Phoebe nie, wie jeszcze dyrektorka szkoły.

– Nikt więcej?

– Nie.

– Bez jaj, to czemu mi powiedziałaś?

– Chciałam to zrobić już od jakiegoś czasu, wydawało mi się, że nie powinnam tego przed tobą ukrywać.

– To naprawdę twoja mama?

– Tak.

– Jezu, powinno się ją uśpić, te wszystkie dzieci, które zabrała, były w wieku mojego młodszego rodzeństwa.

Znów kiwam głową. To, co ona mówi, jest prawdą, powinno się ciebie uśpić, ale myśl o tym, że to się stanie, jest bolesna.

– Ale chyba z nią nie mieszkałaś?

– Nie, mieszkałam z tatą, dopóki nie umarł. Nie widziałam jej od lat.

Kłamstwo łatwo mi przychodzi, a ona go nie kwestionuje. Jeśli przeczyta, że w domu mieszkało z tobą dziecko, powiem, że nie wiem, kto to był, że to musiał być ktoś, kogo kiedyś zabrałaś.

– Kurwa, co za szczęście, że tak długo jej nie widziałaś. Jak ją złapali?

– Nie wiem, chyba przez kogoś z pracy.

Nieprawda. Przez kogoś o wiele bliżej domu. Największa zdrada ze wszystkich to wydać kogoś, z kim wiążą cię więzy krwi. Rodziny powinny trzymać się razem, ciągnie swój do swego, ale ja chcę iść w innym kierunku, być w innym miejscu.

– Pewnie się tego spodziewała.

– Chyba tak.

– Muszę iść – mówi.

– Dobrze.

Idzie w stronę drzwi, wołam za nią.

– Morgan.

– Tak?

Wraca do mnie, wstaję i pytam:

– Czy teraz jestem dla ciebie kimś innym?

– Raczej nie. To nie twoja wina, Mil. Nikt nie powinien winić cię za to, co zrobiła twoja mama. Zresztą nie jesteś taka jak ona.

– Naprawdę tak myślisz?

– Tak.

Dziękuję.

W zeszłym tygodniu siedziałam we wnęce, Mike rozmawiał z June przez telefon. Tuż przed odłożeniem słuchawki powiedział, że to cisza przed burzą. Wiem, co miał na myśli, miał rację, ostatni tydzień był bardzo spokojny. Pozornie. Po wstępnym zawiadomieniu o przesunięciu terminu rozprawy prasa nie wspominała raczej o tobie. Dziennikarze odpoczywają, szykują się do rozpoczęcia procesu, od dzisiaj zostało już tylko dziesięć dni. Ty też odpoczywasz, oszczędzasz siły. Przyszedł do mnie tylko dwa razy. Za każdym razem milczałaś, tylko ułożyłaś swoje pokryte łuskami ciało w poprzek mojej szyi. Nie mogłam oddychać ani się ruszać, ciężar betonu. Ciężar naszych tajemnic.

Kiedy umówiłam się z Morgan w czasie weekendu, nie byłam pewna, jak się zachowa. Może zmieniła zdanie, uznała, że już mnie nie lubi. Ale ona była taka jak przedtem. Jednak lubi o tobie mówić, o tym, co robiłaś, a to jest trudniejsze do zniesienia, niż się spodziewałam, bo to nie jest jedynie twoja historia, ale również moja.

June przysłała w środę wieczorem, kiedy Saskia zabrała Phoebe i Izzy gdzieś na kolację. June i Mike jeszcze raz przerobili ze mną pytania prawników. June wciąż powtarzała, że świetnie sobie radzę i jakie trudne musi być ciągle przypomnianie sobie tych zdarzeń, że jak proces się skończy, będzie mi łatwiej. Mike niewiele mówił. Zwykle się odzywał, zgadzał z June, ale nie tym razem. Siedział i uważnie mi się przyglądał, od czasu do czasu kiwając głową. Nie podobały mi się wrażenia, jakie to wywoływało. Ziarenko paniki. W środku. Bezradność. Sesję zakończyliśmy grą w karty. Blackjack. To moja ulubiona gra, powiedział Mike. Nie miałam serca mu powiedzieć, że chociaż twoja wersja była inna, również najbardziej lubisz właśnie tę grę.

Jutro zaczyna się przerwa semestralna. Dziś rano mamy próbę sztuki, to wielka sprawa. Słowa pani Mehmet, nie nasze, ponieważ próbę ma oglądać dyrektorka, pani James. Po śniadaniu Mike upiera się, że odwiezie nas obie do szkoły, ponieważ jedzie w tamtą stronę

– Zrób mi przyjemność – mówi, mrugając do Phoebe.

– No dobrze, tato. Tylko muszę napisać esemesa do Iz, żeby na mnie nie czekała.

Saskia się uśmiecha, mówi, że przypomniały jej się codzienne jazdy do szkoły i ze szkoły sprzed wielu lat. Phoebe ją ignoruje, idzie do samochodu, siada z przodu obok Mike'a. On pyta o sztukę, jak idzie.

– Dobrze, tak, na dzisiejszej próbie będzie pewnie niezły ubaw – odpowiada.

– No na pewno. Nie możemy się doczekać, kiedy ją obejrzymy.

Po przyjsciu do szkoły podpisujemy się na liście i idziemy do auli. Pani Mehmet od razu po przyjsciu zaczyna się miotać, chce, żeby wszystko doskonale się udało. Wydaje polecenia obsłudze technicznej, dwóm facetom z zewnątrz, którzy będą zajmować się światłami i efektami specjalnymi. Są z nami po raz pierwszy i wszyscy się śmieją, kiedy na scenie pojawia się dym, przygotowywany do sceny polowania na świnię. Brakuje kilku dziewczyn, bo dziś rano wyjechały na wycieczkę do Paryża w ramach historii sztuki, więc pani Mehmet prosi mnie, bym zastąpiła jedną z nich w roli świni. Nie podoba mi się pomysł, że mam być obiektem polowania, ale nie mogę odmówić na oczach wszystkich.

– A ty, Phoebe, chociaż jesteś narratorką, też weź udział w tej scenie, w roli jednego z chłopców, potrzebujemy do niej więcej osób.

– Z przyjemnością – odpowiada, patrząc na mnie.

– Dla każdego powinna być włącznia po lewej stronie sceny, obok szafki z rekwizytami. Jak je weźmiecie, to proszę na scenę, a ty, Milly, weź, proszę, świńską głowę z papier mâché, która też tam powinna być.

Znam tę scenę od a do z. To sztuka, nie rzeczywistość, ale kiedy nakładam świńską głowę, zaczynam się czuć, jakby wszystko się działo naprawdę. Chociaż głowa jest lekka, jest też wielka, a kiedy się ją nałoży, słabo się w niej widzi. Żeby się nie potknąć, trzeba patrzeć pod nogi. Oddech mam krótki i urywany, gorące powietrze, które wydycham, bucha mi z powrotem w twarz. Poprzez warstwy kleju i papieru słyszę panią Mehmet.

– Milly, kiedy wchodzisz na scenę, depcze ci po piętach Jack ze swoją drużyną. Pamiętajcie, że to kluczowa scena, w której zaczynamy dostrzegać prawdziwe barbarzyństwo wychodzące z chłopców. Myślcie o krwi, dżganiu, krwawej jatce i wykorzystajcie myśliwską pieśń, by to zademonstrować. Kiedy zawołam, by zapalono światła i puszczono dym, w tym momencie się zjawiasz, Milly.

Dziewczyny łatwo wchodzą w swoje role. Ktoś po prawej uderza włącznią w podłogę, monotonne stukanie, od którego kurczy mi się podbrzusze. Jakiś głos po lewej szepcze, biegnij, mała świnko, biegnij. Nigdy nie nazywałaś mnie świnką, ale często zmuszałaś do biegu. ALE MIAŁYŚMY UBAW, CO, ANNIE?

– No dalej, rusz się – mówi ktoś za mną.

Słuchając ciebie, przegapiłam sygnał nauczycielki.

Gdy tylko wchodzę na scenę, zginam kolana, opadam nisko, by jak najbardziej upodobnić się do świni. Mój oddech jest ciężki, przytłaczasz mnie. Jesteś tu ze mną. Uderzenia włączni przechodzą jednogłośnie w głuche dudnienie. Łup. Łup. ŁUP. Czuję zapach suchego lodu, który wydobywa się z maszyny, wije wokół moich stóp, kiedy scenę rozświetlają co rusz czerwone błyski punktowane światłem stroboskopowym. Rozlega się pieśń:

– Zabić świnię! Ciach po gardle! Niech poleje się krew!

Słowa inne od twoich, ale intencja ta sama.

Ktoś wali w bęben, włócznie napierają, Jack i jego drużyna. Okrażam scenę, to ma być pogoń.

– Zabić świnię! Ciach po gardle! Niech poleje się krew!

Łup, łup. ŁUP.

Próbowałam znajdować nowe kryjówki, ale ty wiedziałaś, gdzie szukać.

– Jest tutaj! – krzyczy ktoś.

Rozlega się charakterystyczne, przerywane wycie, jakie wydaje dziecko podczas zabawy w kowbojów i Indian, to sygnał drużyny Jacka. Czas przypuścić atak. Na mnie. Przesuwam się na środek sceny, potykam niechcący na podłodze, nie jest tam bezpiecznie. Bo nie ma być bezpiecznie, świnią nie ujdzie z życiem, prawda? Pulsowanie świateł stroboskopowych się nasila, z maszyny z suchym lodem znów bucha dym.

– Zabić świnię. Ciach po gardle. Niech poleje się krew!

Otoczające mnie stopy tupią unisono z włócznie. Pierwsze dźgnięcie nadchodzi szybko, od tyłu, domyślam się, kto je zadał. Przetaczam się na plecy. Włócznia za włócznią szturcha mnie albo dźga. Bęben dudni coraz wolniej, w hipnotyzującym rytmie, pieśń staje coraz cichsza, brzmi bardziej złowieszczo.

– Ciach po gardle, niech poleje się krew.

Znów indiańskie wycie po lewej. Jedno głośnie uderzenie bębna ucisza wszystkich. Słyszę jedynie, jak zasysam i wypuszczam powietrze przez łeb z papier mâché, który przywiera mi do twarzy, ciężko dyszę. Stopy wokół mnie zaczynają poruszać się w koło, jeszcze bardziej mnie oszłamiają. Nienawidziłam maski, którą kazałaś mi nosić, mam teraz te same doznania. Nie mogę. Oddychać.

– Tym razem nie ma litości – mówi Jack, grany przez Marie.

Jej włócznia opada po mojej prawej stronie, mocno uderza w podłogę. Dla publiczności, poprzez zasłonę dymu, w stroboskopowych rozbłyskach będzie to wyglądało, jakby włócznia przeszła mi serce. Wynoszą mnie ze sceny, trzymając za nogi i ręce, ale tutaj, w nowym życiu, kiedy ty nie rządysz, zostaję postawiona na nogi i nic złego się nie dzieje. Żałuję, że nie mogę się cieszyć, śmiać i żartować z innymi za kulisami, ale zamiast tego idę do toalety w garderobie, ściągam głowę świni, spryskuję twarz zimną wodą, liczę wstecz od pięćdziesięciu. Czar liczb zaczyna powoli działać, wspomnienia zanikają i po jakimś czasie jestem w stanie wyjść.

Kiedy schodzę ze sceny na widownię, czeka tam na mnie pani James. Prosi, bym usiadła w przednim rzędzie, z dala od dziewcząt, bo chce zamienić ze mną słówko.

– Jak się bawisz na swoim pierwszym przedstawieniu w Wetherbridge?

– Dobrze, dziękuję, pani dyrektor.

– Wypadłaś bardzo przekonująco, Milly, ale trochę mnie zaniepokoiło, że to

ty grasz świnie.

– Nie, tylko zastępowałam Aimee, która pojechała na wycieczkę do Paryża.

– Jasne, rozumiem też, że niezręcznie było odmówić, ale jednak musisz zdawać sobie sprawę, że niektóre sytuacje mogą wywołać nieprzyjemne wrażenia, zważywszy na... no wiesz.

Mam ochotę włożyć z powrotem świńską głowę i się rozplakać. Nie ma ani minuty w szkole, kiedy nie czuję, że mi się o tym przypomina.

Zważywszy na... no wiesz.

– Są jeszcze inne sprawy, o których chciałabym z tobą porozmawiać, Milly. Pan Newmont powiadomił mnie drogą mejlową, że masz stawić się w sądzie, zdaje się, że za niecałe dwa tygodnie.

Kiwam głową.

– Czy nie miałaś problemów ze skupieniem na lekcjach?

– Raczej nie.

– Bystra z ciebie dziewczyna, Milly, więc jeśli wolisz przez jakiś czas nie chodzić do szkoły, możemy tak wszystko zorganizować, żeby przysyłano ci materiały do domu.

– Wolalabym jednak chodzić do szkoły, jeśli to możliwe.

– Oczywiście. Ale jeśli zmienisz zdanie, napisz mejl do mojej asystentki i poproś, żeby umówiła cię ze mną na rozmowę.

– Dziękuję.

– Kolejna sprawa, o której chciałam z tobą porozmawiać, to relacja z panią Kemp. Jak rozumiem, spędzałaś z nią trochę czasu. Problem polega na tym, że pani Kemp nie wie o...

Kiwa głową, zamiast dokończyć, czeka, aż jej przytaknę skinieniem, dam znać, że zrozumiałam, po czym ciągnie dalej:

– Tak więc trzeba uważać, sama rozumiesz. Wiem, że próbowałaś jej wręczyć prezent, to bardzo miło z twojej strony, ale nie popieramy tego – jest to wręcz wbrew zasadom szkoły. Jednak w twoim szczególnym przypadku domyślam się, skąd to nieporozumienie.

To dlatego nie odpowiadała na moje mejle.

– Pani Kemp to wspaniała nauczycielka, bardzo zaangażowana, ale należy wiedzieć, gdzie stawiać granice.

– Nie jestem pewna, czy rozumiem, co ma pani na myśli.

– Chodzi mi o to, że może będzie ci łatwiej, jeśli przydzielimy ci w funkcji opiekuna nowego nauczyciela.

– Dlaczego?

– Poprosiłam pana Newmonta, żeby to z tobą omówił w czasie ferii, więc zapewne to zrobi. Dobrze?

– Tak, pani dyrektor.

– Nie ma co się martwić, wszyscy jesteśmy po twojej stronie i jestem pewna, że wypracujemy jakieś rozwiązanie. Co powiesz na to?

Że jesteś protekcjonalna.

– Dobrze, dziękuję.

– Doskonale, pracuj nad sztuką tak świetnie jak dotąd, zapewne przedstawienie wypadnie znakomicie.

Wstaję, kiedy ona to robi, jak się tego od nas oczekuje.

Budzę się z płaczem w środku nocy. Śniło mi się, że byłam w sądzie.

Kiedy obrońca obrócił się ku mnie twarzą, skurczył się do rozmiaru chłopca, spytał mnie, dlaczego pozwoliłam ci go skrzywdzić. Łzy w jego oczach.

Przepraszam, powiedziałam.

Nie wierzymy ci, padła odpowiedź z ławy przysięgłych.

Wczoraj po szkole Mike powiedział mi, że zarezerwował dla nas dwa miejsca w hotelu, w miejscowości o nazwie Tetbury. Jedziemy w poniedziałek. Wspomniał też o tym, że chciałby pogadać ze mną o pani Kemp, ale to może poczekać do weekendu.

Phoebe i ja wychodzimy zaraz na balangę u Matty'ego, tego, o którym mówił Joe w autobusie. Mike zgodził się, by Phoebe na nią poszła, pod warunkiem że mnie zabierze, plus, dodał, jeśli pójdziecie razem, pozwolę wam wrócić samodzielnie do domu. Nie chciałabyś chyba, żebym się zjawił pod jego drzwiami, prawda? Zanim wychodzimy, przypomina nam, że nasza godzina policyjna to północ, nie później, i żadnego alkoholu, jasne?

– Tak, tato.

Phoebe dzwoni do Izzy, jak tylko wychodzimy z domu, mówi, co za kanał, że Izzy nie może iść, pyta, jak długo jeszcze spodziewa się mieć szlaban. Odpowiedź Izzy wywołuje u niej śmiech, a zanim się rozłączy, mówi, nie martw się, laska, wszystko ci jutro opowiem. Biedna Izzy, musiała być zachwycona, kiedy profesor West zwrócił jej kosmetyczkę, ale już mniej zachwycona, kiedy się zorientowała, że zobaczył papierosy, które były w środku. Nie mogła się wykręcić, jej nazwisko było wypisane tipleksem na spodzie kosmetyczki, która, lekko otwarta, została postawiona na biurku profesora Westa, kiedy jego gabinet opustoszał, a wszystkie serca zostały starannie uprzątnięte.

Stajemy przed kolejnym wielkim, białym domem, a Phoebe dzwoni do drzwi. Otwiera nam chłopak, wysoki, metr osiemdziesiąt, a może nawet więcej. Uśmiecha się, widząc, kto przyszedł, i mówi:

– Balanga się zaczyna.

Wyciąga do mnie rękę.

– Matty.

Ściskam ją i mówię, cześć, jestem Milly. Robi mi się niedobrze, kiedy otwiera drzwi na oścież, żebyśmy mogły wejść, z salonu bucha muzyka, po lewej dostrzegam stolik. Butelki z alkoholem, wielka szklana waza, chyba z czymś w rodzaju ponczu.

– Coś nie bardzo to wygląda na halloweenową imprezę, Matty.

– Wal się, Phoebe, moi starzy wyszli dopiero kilka godzin temu, i do tego jeszcze kazali Thomowi i mnie obiecać, że podczas ich nieobecności nie będziemy urządzić żadnych imprez. Zresztą jesteś wystarczająco brzydka na dziesięć Halloween, więc żadne dekoracje nie są już potrzebne.

Kończy zdanie niby to upiornym śmiechem.

– Zamknij się i daj mi drinka. Więc Thom przyjechał z uniwerku?
– Tak, miał pilnować chaty, ale jak tylko rodzice wyszli, spieprzył do swoich kumpli.

– Ale wróci tu?

– Widzę, że ktoś nadal leci na mojego braciszka.

– Raczej nie, po prostu staram się być miła. I tak podoba mi się ktoś inny.

– Kto?

– Taki jeden facet, którego poznałam latem, nie mieszka w Londynie.

– Czyli nie istnieje. Proszę, oto wódeczka.

Phoebe bierze od niego plastikowy kieliszek, siada na kanapie między dwiema dziewczynami, których nigdy wcześniej nie widziałam, zaczyna z nimi gadać.

– Chcesz drinka? – pyta gospodarz.

Mówię, że tak, poproszę, bo wszyscy trzymają kieliszki. Jednak nie zamierzam pić, muszę się mieć na baczności. Kiedy Matty daje mi drinka, sadowię się w kącie. Schodzi się coraz więcej osób. Każdy zna kogoś, kto zna kogoś, sieć bogatych dzieciaków z prywatnych szkół sięga daleko. Phoebe wciąż wisi na telefonie. Kopie chłopaka, który usiłuje przyciągnąć jej uwagę, wykonując przy jej stopach breakdance, „ruch robaka”. Przestań, komunikuje samym ruchem warg, a kiedy kończy połączenie, Robal pyta:

– Kiedy je dostaniemy?

– Jak przyjedzie, matole.

Znów wymierza mu kopniaka, ale tym razem chłopak chwytą ją za nogę, ściąga na podłogę. Siada na niej okrakiem, obejmuje dłońmi za szyję. Wszyscy się śmieją, ale dla mnie nie wygląda to ani zabawnie, ani na dobrą zabawę. Przychodzi Clondine z dwoma starszymi chłopakami. Phoebe podchodzi do nich, jeden z chłopaków obejmuje ją w pasie, przyciąga do siebie, a ona ze śmiechem go odpycha.

– Później będziesz o to błagała, zobaczysz – mówi chłopak.

Ona już ma mu coś odpowiedzieć, kiedy znów dzwoni jej telefon, rozmowa jest krótka, trwa kilka sekund. Potem Phoebe woła:

– Ludzie, robimy zrzutkę!

Banknoty są zbierane i przekazywane z rąk do rąk, aż wreszcie docierają do niej, nikt nie pyta, na co.

– Ty też, nie myśl sobie, że cię nie widzę.

Odwracam wzrok, podnoszę kieliszek do ust, udaję, że biorę łyk.

– Może wezmę cię do pomocy, to jak nas złapią, obie będziemy w dupie.

– Jasne, zrób tak – woła jedna z dziewczyn siedzących na kanapie.

Niepozorna. Twarz hieny, śmiech także.

Phoebe patrzy na mnie i mówi, no chodź, na co czekasz, nie mów, że nigdy

cię w nic nie włączam. Kiedy podchodzimy do drzwi wejściowych, zatrzymuje się przed nimi, zanim otworzy, patrzy na mnie i mówi:

– Jak powiesz o tym tacie, to cię załatwię, jasne?

Jasne.

W drzwiach stoi facet w czarnym pikowanym ubraniu, w ręku trzyma kask motocyklowy. Phoebe nie całuje go na powitanie, ale zwraca się do niego po imieniu, Tyson.

– Cholera, zaczekaj, bo ktoś idzie. Jakby co, powiedz, że rozwozisz pizzę. O, w porządku, to tylko Joe.

Kiedy ten się zbliża, mówi cześć. Phoebe go ignoruje, Joe, mijając nas, wchodzi w ganek, uśmiecha się do mnie.

– Cześć, Milly.

Pamięta moje imię.

– Cześć.

– Ile chcesz? – pyta Tyson.

– Trzydzieści, jeśli masz tyle.

– Trzydzieści? Więc wielka balanga.

– Właśnie zaczynają się ferie, wiesz, jak to jest.

Kiwa głową, ściąga jedną ze swych skórzanych rękawic, wysuwa dłoń. Phoebe wkłada w nią banknoty, zwinięte jak cygaro. Ufa jej na tyle, by nie przeliczać, może jest stałą klientką, facet idzie podjazdem do swojego motocykla zaparkowanego przy krawężniku. Rozgląda się przed otwarciem górnej części siodelka, gmera przez chwilę w schowku, a potem wraca z dużą, brązową papierową torbą.

– W środku jest trzydzieści – mówi, podchodząc do drzwi. – A tu coś ekstra ode mnie – dodaje, wręczając jej małą torebkę z tabletkami. – Nówka, gwarantuję, że będziesz po tym latać.

Phoebe się uśmiecha, posyła mu pocałunek w powietrzu, jesteś super, Tyson, po prostu super. Wygląda na zadowolonego, słyszę jego motor, zanim zamkną się drzwi, długi ryk silnika zwiększającego obroty. Wracamy do salonu, powietrze jest szare od dymu, wszyscy strzepują popiół do pustych kieliszków i butelek. Leniwe pijane ciała przewalają się po krzesłach. Obwieszczenie Phoebe wyrywa wszystkich z apatii:

– Mamy łakocie!

Jestem zaskoczona, że faktycznie na to wygląda. Phoebe wysypuje na stół torebki, w jakich dzieci dostają na imprezach słodczyce, na każdej widnieje rysunek klauna.

– Częstujcie się, ludzie!

Jak przy darmowych misach ze słodczymi, nikt się długo nie certuje, wkrótce klauny zostają rozdrapane. W mgnieniu oka. Phoebe, jak zawsze

potrafiąca przykuć uwagę otoczenia, odchrząkuje, czeka, aż wszyscy w pokoju na nią spojrzą, potrząsa torebką z tabletkami, które dał jej Tyson. Grzechotka dla maluchów, szczerzących w uśmiechu zęby, często przyozdobione metalowymi aparatami z gumkami w jaskrawych kolorach. Radosny okrzyk, potem drugi, czas się nawa-a-a-alić, woła ktoś.

– Co to jest? – pyta Clondine.

Phoebe wyciąga tabletkę z torebki, obraca ją w palcach, przygląda się.

– Jest na niej logo Supermana, Tyson powiedział, że będziemy mieć niezły odlot.

Wrzuca jedną do buzi, obchodzi pokój, rozdając resztę, dłonie wyciągają się ku niej, jakby była boginią albo królową nastolatków. Błagam, pobłogosław mnie.

Zatoczyła pełne koło, ale w torebce zostało jeszcze kilka pigułek.

– Otwórz szeroko, pokrako.

– Nie – odpowiadam. – Nie, dziękuję – poprawiam się.

– Chyba nie rozumiem tego słowa – mówi.

– Zostaw ją, Phoebe, a będzie więcej dla nas.

Joe przechodzi wolno obok, niby to niedbale. Nie znam się na chłopakach, nie wiem, jak działają, ale ta swoboda wygląda mi na niepokój, trzeba jeszcze nad nią popracować. Phoebe się odwraca, znudzona moją twarzą.

– Tak, masz rację, to byłaby strata, ona i tak jest porąbana.

Jej paznokcie przypominają szpony w kształcie migdała, wrzuca do gardła kolejną pigułkę. Buzia w ciup, usta zamykają wilgotną pieczarę. Ciemność. Phoebe nie widzi, że Joe puszcza do mnie oko, tajny bunt przeciw jej wysokości. Ściąć go!

Niewiele czasu trzeba. Eleganckie, piękne, uprzywilejowane towarzystwo zamienia się w motłoch. Bydło. Instynkt stadny. Wycie do księżyca w ogrodzie. Oczy jak spodki, drgające usta. Palenie. Pewnego dnia ci chłopcy i te dziewczęta będą rządzić światem, w międzyczasie go demolują.

Znajduję spokojne miejsce u szczytu schodów na pierwszym podejściu, po drodze natykam się na porzuconą torebkę imprezową. Zawartość jest pomysłowo i kusząco zapakowana, zawinięta w różne folie, wetknięta w plastikowe rurki. Udaję, że to Boże Narodzenie, jak na filmach, odwijam każdy pakunczek po kolei. W pierwszym biały proszek, origami, w stylu Saskii. W następnej biała pigułka, z logo gołębia, dalszy ciąg obsesji latania. Numer trzy to kapsułka z wydrukowanym M, kondom na później i zrolowany blant, gotowy do zapalenia.

Siedzę w cieniu pod ścianą, ze schodów w dole dobiegają mnie jakieś głosy. Rozpoznaję Clondine. Patrzę, jak idzie ze starszym chłopakiem, tym samym, który wcześniej chwycił Phoebe, i znika z nim w pokoju w głębi korytarza. Zostawiają otwarte drzwi, więc wszystko słychać. Pisk, śmiech. Potem cisza. Jakies pięć minut później słyszę protest. Przestań, nie, przestań, Toby, nie chcę. Trzymam się w cieniu, podkradam pod drzwi. Zamknij się, kurwa, mówi on, przestań ryczeć.

Ale ona nie przestaje, nie jest w stanie, dobrze wiem, jak to jest. Płacz go rozprasza, zbija z tropu, wkurza.

– Nie ruszaj się, do cholery.

– Proszę, Tobie, ja nie chcę.

Pchnięciem otwieram drzwi, na oścież, lampa z korytarza oświetla łóżko. Tobie na wierzchu, Clondine przyszpilona pod nim. Kolanami rozsunął jej nogi, jedną dłonią przyciska unieruchomione nad głową ręce, drugą zdążył już zsunąć jej dzinsy do połowy ud. Zamknij, kurwa, te drzwi, mówi, poduszka rzucona w moim kierunku ląduje u mych stóp. Clondine kwili jak niemowlę. Zapalam światło, Tobie odwraca się, by spojrzeć na nieproszonego widza, który psuje mu zabawę. Nieżle się bawiliśmy, powiedziała by, gdyby go przesłuchiowano, ona też tego chciała.

– Wyłącz to pieprzone światło i spadaj, ale już.

– Słyszałam, jak powiedziała nie.

– A co cię to obchodzi?

Wyłączam światło, chwila wychnienia dla niego i dla mnie. Pozycja, w jakiej leży Clondine na łóżku, coś mi przypomina. I jej kwilenie, które mówi: nie zostawiaj mnie z nim. Znam to, też tak popiskiwałam, choć u mnie nie chodziło o niego, lecz o nią. Znow zapalam światło, on trzyma dłoń na jej kroczu. Ona leży nieruchomo, jak dmuchana lalka. Pstrykam włącznikiem, robię takie niby-dyskotekowe światło.

Wyłączam.

Włączam.

Wyłączam.

Włączam.

Migu migu mig.

Działa rozpraszająco, nawet na najbardziej napalonego gwałciciela.

Skutkuje.

Chłopak złazi z jej sztywnego, oziębłego ciała. Clondine przetacza się na bok, szmaciana lalka, przewieszona przez skraj łóżka, wymiotuje. Szlocha. Znow wymiotuje. Ślina i ćpuńskie rzygowiny skapują jej z brody. Ma pięć lat, jest wymięta i wykorzystana, chce do mamusi. Ostrożnie z takimi życzeniami.

On stoi teraz przede mną, a ja oparta o drzwi, stopę trzymam tak, że nie da się ich zamknąć.

Kładzie mi dłoń na szyi, napiera na mnie całym ciałem.

– Zazdrościsz? Chciałabyś być na jej miejscu, tak?

Niezdarnie pakuje mi łapę między nogi, pociera ordynarnie w przód i w tył, tryka mnie przez dzins. Ścisza piersi, liże po twarzy. Czuję jego wzwód przez materiał swoich spodni. Wywraca oczy do góry, odlatuje po narkotykach, czyżby o tym nie wiedział? Superbohaterowie nie kradną ani nie gwałcą. Clondine znow

kwili. Dwie na jednego, ale ona jest bezużyteczna, bezradna. A może odgryzę ci nos, co powiesz na to, Toby? Śliczna buźka skasowana, na zawsze w ukryciu.

Jak ja.

Sięgam w dół, chwytam go z całej siły za kutasa. Nagły dotyk wywołuje rozkosz, która nie potrwa zbyt długo, bo wzmacniam uścisk, aktywując receptory bólu. Małeńkie, lecz potężne neurony wrzeszczą w jego głowie. Naukowe wyjaśnienie zjawiska bólu, jestem specjalistką w tej dziedzinie. Ważne, by wiedzieć, jak zachodzi ten proces, powtarzałaś często, aktywując moje receptory. Spodziewam się podbitego oka, ciosu pięścią, ale odjęło mu i mowę, i jaja. Opada na kolana. Za późno na modlitwę, Toby.

Clondine wstaje z łóżka, włosy ma potargane, błędny wzrok, podciąga dżinsy. Toby leży na plecach i jęczy. Z dołu schodów dobiega nawoływanie:

– Hej, Toby, jesteś tam? Złaź, złapiemy piwo przez lejek. Stevo wszystko wyrzygał, ale sztos. Ej, stary, jesteś tam?

Toby. Ryba wyrzucona na brzeg rzeki, co chwila zachłystująca się powietrzem. Koleś wciąż zakrywa dłonią kutasa. Spocony i nawalony, załatwiony przez dziewczynę. Kroki na schodach, Toby z trudem wstaje, duma go motywuje. Biały lepki śluz zebrał mu się w kącikach ust, nad górną wargą strużka potu. Bucha od niego woń seksu, która dobywa się z głębi gruczołów.

– Suka – rzuca pod moim adresem.

Hugo, dla kumpli Huggy, staje przy drzwiach. Idę do Clondine.

– Stary, gdzieś ty się podziewał, do kurwy nędzy, szukam cię i szukam. W kuchni jaja jak berety.

Można by rzec, że tu na górze również.

Toby ociera zaschnięte usta wierzchem dłoni, wskazuje na nas.

– Zabawiałem się trochę z miejscową fauną, wiesz, jak to jest.

– Świetna robota, stary – odpowiada Huggy. – Ale następnym razem mnie zawołaj, chętnie dołączę.

Wychodzą, obejmując się ramionami. Zadowoleni z siebie. Beztroscy. Jeden z kutasem, który potrzebuje lodu, nie współczucia. Słyszę skandowanie, zabawa z lejkiem rozkręca się na dobre. Clondine przysiada na skraju łóżka. Nogi trzęsą się jak galareta, chowa głowę w dłoniach. Płacze, mamrocze, że jej strasznie głupio.

– Nie martw się, nic nie powiem Phoebe – zapewniam.

Podnosi na mnie wzrok. Rozmazany tusz. Oczy pandy. Rzygi we włosach. Zmieszana.

– Co ma do tego Phoebe?

– Pomyślałam, że może ona na niego leci, widziałam, jak ją objął, kiedy przyszedł.

– Kiedyś tak było, ale teraz już nie, od kiedy poznała Sama. Kurwa, ale ze mnie idiotka. Od zawsze mi się podobał, myślałam, że ja jemu też.

Wręczam jej gumkę, którą miałam na przegubie.

– Powinnaś umyć twarz, możesz związać tym włosy, jeśli chcesz.

Niepewnie trzyma się na nogach, więc pomagam jej dojść do łazienki, podaję ściereczkę, którą znajduję w szafce pod umywalką. Zmyj ciepłą wodą, mówię. To pomoże.

Pytam, czy jeszcze czegoś potrzebuje.

– Zostaniesz ze mną, tak na wszelki wypadek?

Kiwam głową. Mówi trochę bełkotliwie, licho wie, co krąży jej w żyłach.

– Na pewno powie wszystkim, że jestem podpuszczalska.

– Tu masz ręcznik, wytrzyj sobie twarz.

– O rany, ale kaszana. Mam nadzieję, że nie wróci, jak myślisz? Chyba nie, co?

– Nie.

– Kurwa, jak ty możesz być taka spokojna?

Doświadczenie. Dużo trenowałam.

Wzruszam ramionami.

– Nie wiedziałam, że Phoebe ma chłopaka.

– Kurde, powiedziałam ci o tym? Tylko nie mów jej, że słyszałaś ode mnie, nie chce, żeby Mike się dowiedział.

– Znasz go?

– To jakiś facet, którego poznała latem, zdaje się, że mieszka we Włoszech, ciągle piszą do siebie mejle. O rany, nie mogę opanować drżenia rąk.

– To szok, zaraz ci przejdzie.

– Skąd ty to wszystko wiesz? Jak Georgie spadła, też wiedziałaś, co trzeba zrobić.

– Dużo czytam.

Nachyla się do lustra, rogiem ręcznika ściera rozmazany tusz wokół oczu.

– Błeh. Mam wstrętny smak w ustach.

– Przeplucz płynem do ust.

– Czemu jesteś dla mnie taka miła, dlaczego przyszłaś i mi pomogłaś? My nie byliśmy zbyt miłe dla ciebie.

– Wydawało mi się, że jesteś przerażona.

– Bo byłam. Co za idiotka. O rany, mam nadzieję, że nie rozpowie o tym wszystkim, w szkole nie miałabym życia.

– Wiem, jak to jest.

Odwraca się do mnie twarzą, źrenice ma w jednej chwili ogromne, w drugiej jak główka od szpilki, kiedy usiłuje skoncentrować wzrok.

– Słuchaj, Milly, chyba należą ci się podziękowania w związku z tym, co się stało.

– Przynajmniej pamiętasz, że moje imię nie brzmi: Pokraka.

Chociaż jest nawalona, ma na tyle przyzwoitości, by trochę się zarumienić.

– Chyba przeprosiny też ci się należą. Przepraszam, że byliśmy dla ciebie takie wredne, to miała być tylko zabawa, ale trochę wymknęła się spod kontroli.

– Dlaczego ja?

– Nie chcę powiedzieć, że to wszystko wina Phoebe, ale większość pomysłów pochodziła od niej.

– Zdaje się, że za mną nie przepada.

– Nie lubi wszystkich, których Mike umieszcza w rodzinie. Obiecał, że już długo nikogo nie weźmie, a potem ty się zjawiasz, więc nic dziwnego, że nie wita cię z otwartymi ramionami, prawda? Kurwa, chyba znowu będę rzygać.

Kłęka na podłodze, obejmuje sedes i walczy z odruchem wymiotnym. Kiedy przestaje, pytam, czy czegoś jeszcze potrzebuje.

– Nowego życia – odpowiada ze śmiechem, odwracając się twarzą do mnie.

Gdybyż to było takie proste.

– Nie mów Phoebe, że to powiedziałam, ale wiesz, że jest o ciebie zazdrosna, prawda?

– Zazdrosna? O co?

– O cały ten czas, który spędzasz z Mikiem.

– To nie tak, po prostu teraz dzieją się różne rzeczy.

Dość ważne rzeczy.

– No tak, ale ona na dobrą sprawę nie ma matki, prawda?

Nie, ale pozwól, by twoje pijane, zaćpane, nielojalne usta powiedziały mi, dlaczego tak jest. Proszę.

– Zauważyłam, że nie są ze sobą blisko.

– Jak można być blisko z kimś, kogo ledwie znasz? Boże, znowu mi się chce rzygać.

Opiera głowę o deskę klozetową. Wyjmuję szczoteczki do zębów ze szklanki nad umywalką, napełniam szklankę wodą i jej podaję.

Kiwa głową, dziękuje.

– Co masz na myśli, mówiąc, że Phoebe ledwie zna Saskię?

– Nie ma mowy, zabiłaby mnie, jakby się kapnęła, że coś wygadałam.

Postanawiam zablefować. Widziałam, jak świetnie ci to szło z kobietami, którymi się opiekowałam, myślały, że wiesz więcej, niż tak naprawdę wiedziałas. Działo za każdym razem i z Clondine też się udaje.

– Chodzi ci o ten czas, gdy Saskia źle się czuła?

Clondine unosi głowę, zerka na mnie spod przymrużonych powiek.

– Skąd o tym wiesz? – pyta. – Mike ci powiedział?

– Właściwie tak.

– Kurwa. Chociaż pewnie jak się z nimi mieszka, to od razu widać, że coś jest nie tak. Od lat nie siedziała w psychiatryku, ale chyba nadal powinna tam być,

po urodzeniu Phoebe kompletnie jej odbiło.

Kiwam głową, jakbym wiedziała, o co jej chodzi, i mówię, że dla Phoebe to musiało być bardzo trudne.

- Tak, chyba myśli, że to jej wina.
- Dlaczego?
- Nie wiem. Tak czy siak.
- Ile siedziała w psychiatryku?
- Mówiłaś chyba, że wiesz.

Odwracam jej uwagę, mówiąc, że przestały jej się trząść ręce. Spogląda na nie, mówi, całe szczęście, bo mama od razu by to zauważyła, potem oświadcza, że musi się wysikać. Podciąga się w górę, opierając o sedes, opuszcza dżinsy. Strumień moczu, pierdnięcie w trakcie. Intymność, do której przywykłam tylko z tobą. Wychodzę z łazienki, wygładzam łóżko, kładę poduszkę na miejsce, zakrywam kałużę rzygowin czasopismem z szafki nocnej. Mówi dalej, przekrzykując szum spuszczonej wody:

– Spróbuję pogadać z Phoebe, przekonać ją, że wcale nie jesteś jakąś świruską.

Wychodzi z łazienki, nieco chwiejnie, ale ogólnie rzecz biorąc, w dobrej formie. Ta ludzka umiejętność zbierania się do kupy na zewnątrz, w środku to już inna historia. O wiele większy chaos.

- Widziałaś może gdzieś mój drugi but?
- Leży koło komody.
- Dzięki. Jak wyglądam?
- Dobrze.
- Jakby nic się nie stało.
- Tak.

– A w ogóle to czy możemy nie wspominać Phoebe, że byłam z Tobym, ona potrafi być trochę zaborcza wobec chłopaków, a ja nie chcę, by się do mnie przypieprzała.

- Jasne, ale czy możesz...
- Odwalić się od ciebie w szkole? Jasne, spróbuję to załatwić.

Podchodzi do drzwi. Sprawdzam godzinę w telefonie, jest wpół do dwunastej, za pół godziny musimy być w domu. Schodzę na dół wkrótce po Clondine. Szukam Joe, ale go nigdzie nie widzę, jednak odnajduję Phoebe. Jest w kuchni, stoi otoczona przez tłumek, z urządzeniem do chłania w rękę. Lejek, rurka. Jeszcze, jeszcze, skandują, kiedy Phoebe pije. Jeszcze. Jeszcze. Jeszcze. Podchodzę do zlewu, nalewam sobie szklankę wody, ciesząc się, że przynajmniej raz ich śmiechy i gwizdy nie mnie dotyczą.

Mylę się.

- Nie tak szybko – mówi Phoebe. – Twoja kolej.

Ignoruję ją, w pomieszczeniu zapada cisza. Bloczek z nożami po mojej lewej. Łatwe. Mogłabym pomalować tę kuchnię na czerwono.

– Głucha jesteś? Powiedziałam, że teraz twoja kolej.

Odwracam się. Wygląda pięknie, chociaż jest nawalona, źrenice ma powiększone, wpatruje się we mnie intensywnie. Zaciąga się mocno marlboro lightem, układa usta w kółko i wypuszcza doskonale kółko z szarego dymu. Policzki ma zarumienione, jest pobudzona. Byłaby lepszą kandydatką do łózkowych igraszek z Tobym.

– Nie, dziękuję – odpowiadam.

Thum szemrze coraz głośniejsze, niby nie jesteśmy, ale jednak jesteśmy nadal w średniowieczu, ludzie chętnie zapłaciliby, by popatrzeć sobie na rzeź. Phoebe wypuszcza drugie kółko z dymu, tak doskonale, że mam ochotę wsunąć w nie język. Powietrze gęstnieje, nie tylko od dymu, również od emocji, jej zachwyceni fani się niecierpliwią. Och, daj spokój, zostaw ją, nie jest tego warta. Pojebuska. Świruska. Ona tak ma. Nagle Clondine, jak dotąd cicha, mówi, daj jej spokój, ona jest w porządku. Phoebe zaciąga się papierosem, bardzo długo, odwraca się do przyjaciółki, wydmuchuje jej dym prosto w twarz i gasi papierosa na odwrocie dłoni Clondine.

– Kurwa. – Dziewczyna cofa dłoń, przyciska ją do piersi. – Co to miało być?

– Przepraszam, Clonny, niechący, wzięłam cię za popielniczkę.

– Jesteś pierdolnięta, wiesz? Odwała ci. To bardzo bolało.

– Och, przestań się mazać jak dziecko. Masz tu lód, przyłóż sobie.

Wyjmuje kostkę lodu z kieliszka na stole, ciska w kierunku Clondine, trafia ją w głowę. Chichocze.

Clondine chwyta swoją torbę, mówi, mam tego dość, idę do domu. Atmosfera w kuchni się zmienia, wyjście dziewczyny niszczy całą magię. Wrota do tego tajnego sabatu odprawianego przez bogate rozpuszczone dzieciaki wyważa podmuch zimnego powietrza, które wpuszcza Clondine, wychodząc przez drzwi prowadzące na patio. Linia została narysowana, widzę to w tym pomieszczeniu. Za daleko, Phoebe, posunęłaś się za daleko. Gdyby tak umiała lepiej ukazywać swoją miękką stronę. Dziewczyny lubiącej siadywać wieczorem u stóp gospodyni, która ją wychowała. Dziewczyny, która płacze po nocach.

Mierzy mnie wzrokiem pełnym pogardy. Złości. Widziałam, jak tak samo patrzyła na Saskię.

– A ty ciągle tu jesteś, co? – rzuca.

Wytyka mnie palcem, wzrok ma zamglony, kolana trochę się jej uginają. Znów odwracam się twarzą do zlewu. Goście zaczynają się wycofywać pod różnymi pretekstami, bąkają, że trzeba zacząć sprzątać.

– Nie przejmujcie się, starych nie ma do poniedziałku. Zapłacę Ludy coś ekstra, jutro wszystko sprzątnie – mówi Matty.

– Pocziwa Ludy – rzuca ktoś żartobliwie.

W odbiciu w oknie widzę, jak Toby owija się wokół Phoebe. Powinnam spytać, jak tam twój kutas, gwałcicielu. Phoebe uwalnia się od niego, idzie do salonu. On za nią.

– Odprowadzę cię do domu.

– Wszystko mi jedno.

Powinnam ją ostrzec, że marny z niego opiekun. Założę się, że wyjmie klucz do jednego z prywatnych ogrodów po drodze albo podsadzi ją pod murek i przetrzuci na drugą stronę. Ostatni goście opuszczają kuchnię. Widzę torebkę Phoebe na blacie, słyszę, jak śmieje się z tą hienowatą dziewczyną, którą widziałam wcześniej. Mijając ją, mówię, że dochodzi północ, ale olewa mnie, więc wychodzę sama.

Mike mnie wpuszcza, musiał czekać przy oknie, zdenerwowany.

– Gdzie Phoebe? – pyta.

– Chyba już idzie, wraca z jednym z chłopaków.

– O rany, to już ta faza w życiu – mówi z uśmiechem. Pyta, czy dobrze się bawiłam.

– Nieźle, ale jestem bardzo zmęczona. Czy mogę dostać pigułkę i od razu iść do łóżka?

– Jasne.

Mijają dwie godziny, już dawno po wyznaczonej porze powrotu. Ciekawa jestem, kiedy się zorientowała, że nie ma kluczy do domu, które wsunęłam sobie do kieszeni, przechodząc koło jej torebki. Dostanie za swoje, z tymi powiększonymi źrenicami.

Wreszcie słyszę kroki na schodach, stłumione głosy, coś o tym, że jutro będzie rozmowa. Drzwi obok moich zamykają się z trzaskiem. Zасыpiam natychmiast, zadowolona z tego, czego się dowiedziałam.

Wygrałam tę rundę.

Ze snu wyrywa mnie wrażenie, że spadam. Śniło mi się, że byłam w sądzie i nie mogłam sobie przypomnieć, jak odpowiadać na pytania. Wszyscy się na mnie gapili wyczekująco. A ty byłaś za ekranem. Wstaję z łóżka, idę do łazienki, aktualizuję węglem liczbę dni, odliczanie doszło do ośmiu, opieram głowę o drzwiczki szafki i próbuję oddychać.

Bose stopy są ciche, Mike nie zauważa, że stoję w drzwiach kuchni. Czyta coś, trzyma jedną kartkę w powietrzu, patrząc na drugą pod spodem. Nie jestem całkiem pewna, ale wydaje mi się, że widzę swoje imię na górze. Coś podkreśla, czytając, robi dopiski z boku, przeciera oczy, udręczony, zmęczony. Nie mogę tego zrobić, ale mam ochotę podejść i go objąć. Podziękować, że mnie przyjął do siebie. Że się o mnie troszczy.

Podnosi wzrok, odwraca kartkę, kiedy podchodzę do stołu, wsuwa obie kartki pod swój terminarz. Notuję sobie w pamięci, że muszę ich później poszukać, może w czwartek, kiedy Saskia jest na jodze, a Mike pracuje do późna.

– Nie zauważyłem cię. Chcesz coś na śniadanie?

– Może za chwilę. Na razie zrobię sobie tylko herbatę. Ty też chcesz? Wyglądasz na zmęczonego.

– Czekałem na Phoebe. Nie dość, że się spóźniła o dwie godziny, to jeszcze zapodziała gdzieś klucze.

Ojej.

– Przykro mi, próbowałam ją namówić, by wracała ze mną.

– Nie przepraszaaj, to nie twoja wina, przynajmniej jedna z was wróciła na czas.

– Dla Saskii też zrobić?

– Miło, że pomyślałaś, ale już wyszła. Z samego rana pojechała z dziewczętami na wyprzedaż, zdaje się, jakiegoś znanego projektanta.

Kiedy woda się gotuje, Mike pyta, czy cieszę się na jutrzejszy wyjazd. Kiwam głową, mówię, że kiedy powiedział mi, że jedziemy do Tetbury, sprawdziłam w sieci, co to za miejscowość.

– Znalazłaś arboretum? Jest bardzo blisko, nazywa się Westonbirt. Myślę, że ci się spodoba, jest tam dużo ładnych tras spacerowych. Zabieraliśmy tam Phoebe, kiedy była mała.

Miał na myśli, że to on zabierał. Może Saskia też tam była, ale nie tak naprawdę. Fajnie, że nie muszę pytać, jaką pije herbatę, dzięki temu czuję się jak u siebie.

– Jak już skończysz, Milly, usiądź tu ze mną, muszę z tobą o czymś

porozmawiać.

Torebki naciągnęły już wystarczająco, woda, w której są zanurzone, zrobiła się ciemnobrązowa, ale ja je wpycham na dno, topię, odkładam moment, w którym się do niego dosięgę. Dolewam mleka do obu kubków, sobie wsypuję jedną łyżeczkę cukru, on nie słodzi, mieszam, potem zanoszę kubki do stołu, siadam naprzeciw Mike'a. Przyciągam nogi do klatki piersiowej, przytulam. Stopy precz z podłogi, potwory, które tam czyhają, mogą je złapać. Tak trzymać.

– Dziękuję – mówi Mike, przysuwając się z krzesłem bliżej stołu. – Nie chcę, byś źle to przyjęła, masz teraz tyle na głowie, ale sądzę, że koniecznie trzeba porozmawiać o mejlu, który dostałem od pani James.

Na temat M.K.

Herbata jest za gorąca, ale i tak biorę duży łyk. Język. Sparzony.

– Pani James wspomniała, że dałaś pani Kemp prezent, świecę, oraz że często się z nią widywałaś.

– Wcale nie tak często.

– Ale może częściej, niż inni uczniowie widują się ze swoimi opiekunami?

– Tylko po to, by pomogła mi w rysowaniu.

– Wiem, ale zdaje się, że poza tym wysłałaś do niej dużo mejli.

– Tylko kilka. Nie odpowiedziała, więc chciałam się upewnić, że je dostała.

– Kilka razy na tydzień to całkiem sporo, Milly. Jestem pewien, że pani Kemp bardzo cię lubi, ale poczuła się trochę osaczona. Myślę, że chciałabyś spędzać z nią więcej czasu, niż może ci poświęcić.

Czuję się upokorzona, jest mi głupio i dopada mnie pragnienie ciebie. To nie zdarzało się często, rzadko bywałaś w dobrym nastroju, ale od czasu do czasu stawałaś za mną i szcztokowałaś mi włosy. Mówiłaś mi, że jestem ładna, i taka właśnie się czułam. Zawsze czułam się ładniejsza, kiedy robiłaś miłe rzeczy.

– Wiem, jak mogło dojść do tego nieporozumienia. Spotkałem panią Kemp wiele razy, jest cudowną kobietą, bardzo miłą. Ale sądzę, że trzeba pomóc ci to nazwać i zrozumieć, o co mogło chodzić. Czy wiesz, co mam na myśli?

– Nie.

– Czy słyszałaś kiedykolwiek termin „przeniesienie”?

Znów zaprzeczam, ale to nieprawda, przeczytałam o tym w jednej z jego książek. Jednak on się myli, z M.K. wcale do tego nie doszło. Po prostu lubię jej towarzystwo.

Czyżby?

– Przeniesienie to proces, w trakcie którego ktoś nieświadomie przenosi uczucia związane z jakąś osobą z przeszłości na osobę albo sytuację w teraźniejszości.

– Ja tylko próbowałam jej podziękować.

A nie poprosić, by była moją mamą.

– To był ładny gest z twojej strony, ale wystarczyłoby, a nawet byłoby lepiej, gdybyś po prostu wyraziła to słowami.

Przygryzam język, ból oraz konieczność stłumienia reakcji wywołuje ostre ukłucie w dolnej części kręgosłupa, bo tak są połączone nerwy wewnątrz ciała.

– Nikt cię o nic nie obwinia, Milly, to zupełnie normalne emocje, które możesz odczuwać.

Oto właśnie ta różnica związana ze mną.

Normalne emocje, które ja „mogę odczuwać”.

Twarz Mike’a pływa przede mną, nieproszone łzy lądują mi na kolanach. Mike mówi, że wszystko w porządku, żebym nie karała siebie za te uczucia.

– Czy to znaczy, że nie mogę się już z nią widywać?

– Uzgodniliśmy, że możesz z nią pracować nad swoją teczką konkursową do końca semestru. A potem zobaczymy, i tak nie wiadomo, co później będzie.

Chodzi mu o to, że nie wiadomo, co będzie ze mną.

W zaciszu swojego pokoju wyjmuję rysunki. Twoje portrety. Galeria najciemniejszych zakątków mojego umysłu, w których mieszkasz. Mówię ci, że mi przykro z powodu M.K., to się już nie powtórzy. Słyszę, że przyszedł esemes, podchodzę do łóżka, czytam. To Morgan, prosi o potwierdzenie, że się spotykamy na końcu ogrodu o szóstej. Tak, odpowiadam, słysząc, jak Phoebe krzyczy na korytarzu:

– Nic mnie to nie obchodzi!

– A powinno – odpowiada Mike.

Słucham przez drzwi.

– Dlaczego mam siedzieć w domu, ciebie i tak nigdy nie ma.

– Nie w tym rzecz – rzuca Mike.

– MAM TO W DUPIE. DAJ MI SPOKÓJ.

Opieram się o drzwi. Dziecko i rodzic, nie ma bardziej skomplikowanej relacji. Drzwi sypialni Phoebe zamykają się z trzaskiem, odchodzę od swoich, wkładam rysunki z powrotem do szuflady pod łóżkiem i siadam przy biurku, próbuję odrabiać lekcje, co mi się zresztą udaje, ale jestem wciąż zła i zawstydzona, że tak zawałam sprawę z M.K. Ty nigdy nie zawałałaś, wiedziałaś, jak z każdym postępować. Kiedy przychodziłaś do pracy, twarze kobiet się rozjaśniały, dzieci również. Lubiłam cię obserwować, z nadzieją, że pewnego dnia będę umiała być tą wersją ciebie.

Kiedy nadchodzi pora spotkania z Morgan, nie mam pewności, czy powinnam na nie iść, rozpoznaję uczucia wewnątrz. Ciemny kolor. Niedobry. Nie poszłabym, gdyby nie zadzwoniła, by powiedzieć, że już jest na miejscu. Czeka. Pospiesz się, powiedziała, strasznie zimno. Wkładam sweter i wychodzę z pokoju schodami przeciwpożarowymi przyczepionymi do mojego balkonu, trzymam się blisko muru otaczającego ogród, bo światła ochrony zapalają się tylko wtedy, gdy

wejdzie się na trawę albo żwir. Wiem, bo sprawdziłam. Morgan stoi na końcu ogrodu, obok furki wychodzącej na ślepą uliczkę. Teraz, o szóstej jest już ciemno, a kiedy moje oczy przywykają do mroku, widzę szczegóły jej twarzy oraz to, że je kanapkę.

– Jest z czipsami – mówi. – Pamiętasz, jak dałaś mi paczkę czipsów, kiedy się poznałyśmy?

Kiwam głową.

– Co u ciebie?

– Nic specjalnego, tylko jedna sprawa w szkole.

– Jaka?

– Z kimś z nauczycieli.

– Łuu, jakiś oblech?

Okazuje się, że to ja budzę niesmak.

– Nie, zwykle nieporozumienie.

– Próbował cię macać czy coś?

– To kobieta.

– Jeszcze gorzej.

Tak, to samo ludzie sądzą o tobie. Kobieta, która zabija dzieci. Gazety rozpostarte na stołach przy śniadaniu, na całym świecie mleko w pasiastych dzbanuszkach skisło, kiedy ogłoszono tę wieść. Gwałtownie wypluwano chrupki. Kopię murek. Moje wnętrze krwawi gorącą płynną lawą.

– Co z tobą, ja tylko żartowałam.

Mówię jej, że nic złego się nie dzieje, ale powinnam powiedzieć: trzymaj się ode mnie z daleka, nie czuję się sobą. A może jednak to jestem ja, może właśnie jestem tym kimś, kto stoi przed przyjaciółką i walczy z chęcią zrobienia czegoś, wywołania bólu, by móc się nim podzielić, by nie znosić go samotnie.

Żre głośno. Chrzęst czipsów kazi ciszę, której potrzebuję. Zazwyczaj jej towarzystwo mi pomaga, ale nie dzisiaj. Wciąż myślę o prawnikach, ich pytaniach. Co widziałaś tej nocy, kiedy umarł Daniel? Co się wydarzyło? Widziałam swoją matkę. Co wtedy robiła?

– Czy chodzi o twoją mamę? To dlatego jesteś zdenerwowana? A wiesz, widziałam wiadomości, mówili, że była pielęgniarką. Kurwa, co za masakra, wyobraź sobie, że taka się tobą opiekuje.

– Nie chcę o tym mówić, Morgan. Przestań.

– Może by ci pomogło, gdybyś o tym porozmawiała, nie twoja wina, że jest walnięta. Mówili też, że miała dziecko, które z nią mieszkało – jeśli to nie byłaś ty, to kto? Nie wiedziałam, że masz rodzeństwo.

– Nie mam.

A przynajmniej nie takie, o którym chcę mówić.

– To jak myślisz, kto z nią mieszkał?

Wzruszam ramionami.

– Prosiłam cię już, Morgan. Przestań.

Milczenie jest lepsze, w ogóle nic nie mów. Proszę. Za dużo pytań. Zbyt wiele głosów w mojej głowie. NIEPRAWDA, ANNIE, JEST TYLKO MÓJ. Lawa płynąca wewnątrz mnie wypala po drodze wszystko, co dobre i łagodne. Patrzę, jak Morgan porusza ustami, jak oblizuje wargi. Zjedz je, zjedz całe. Chcę, żeby przestała mówić o tobie.

– U mnie w domu mówią, że ją skazą na dożywocie, już nigdy jej nie zobaczysz, więc chyba dobrze.

– Zamknij się, Morgan, mówię poważnie. I po raz ostatni.

– Jezu, ale jesteś przeczulona, ona jest pieprzonym potworem, powinnaś się cieszyć, że jej nienawidzę.

Żre jak zwierzę, upačkana na całej twarzy. Jej zęby i język. No i ciągle mówi o tobie, prawda? OWSZEM, MÓWI. CO Z TYM ZROBISZ? Dobry wilk. Zły wilk. Chrząst. Chrup. Język. Usta. Ruszam się, by rozproszyć zło, mówię jej, że mi zimno, idę do domu.

– Czemu jesteś taka wściekła? Przecież ona cię nie obchodzi, prawda?

Humpty Dumpty na murze siadł, Humpty Dumpty z wysoka spadł. I wszyscy konni i wszyscy dworzanie złożyć do kupy nie byli go w stanie.

Najpierw leci wytracona z ręki kanapka, potem chwytam Morgan za ramię. Przyszpiliłam ją do ściany, miejsce naszych spotkań już nie wydaje się bezpieczne. Wykorzystuję przewagę wzrostu, wpijam palce w jej rękę, myślę o tym, jaki kształt i kolor przybierze siniec.

– Puszczaj – stęka. – Przestań.

To ja zwykle tak mówiłam, teraz sytuacja się odwróciła, jestem w innej roli. Przyjemnie być złą. Przykro mi, nie mogę się powstrzymać, ale ona już nie gada o tobie, więc może bycie złą czasami działa. Mogłabym zrobić coś gorszego, ale kiedy ona mówi, może jesteś bardziej podobna do swojej matki, niż myślisz, gorąca lawa się cofa, fioletowieje. Stygnie. Mdłości. W środku. Puszczam jej rękę, robię krok w tył, pochylam się. Z rękami na udach. Nie mogę. Być taka jak ty. Nie chcę.

Żadna z nas się nie odzywa, przetrawiamy to po swojemu. Odwracam się do niej twarzą, rozciera ramię.

– Morgan, przepraszam, nie wiem, co się stało.

– Ta, jasne, ale więcej się nie stanie.

– Co masz na myśli?

– Spierdalaj, to mam na myśli.

Próbuję ją objąć, ale zasłania się obiema rękami, odpycha mnie i odchodzi. Przez chwilę siedzę na ziemi, patrzę na zimowe niebo, tylko jedna gwiazda. Odwracam wzrok, a kiedy znów patrzę w to samo miejsce, gwiazdy już nie ma.

Nie chciała, bym ją widziała.

Śpiewam, kiedy ich szukam.

Osiem zielonych butelek wisi na ścianie... Nie. To nie butelki, coś innego, i wcale nie na ścianie. Jeszcze raz zaczynam dziecięcą wyliczankę o butelkach spadających ze ściany, tym razem z twoimi słowami.

Jest osiem maluszków ukrytych w piwnicy, myślałam, że dziewięć, ale dziewiąty tam nie dotarł. Pamiętasz?

Tak.

Gdybym mogła otworzyć drzwi, mogłabym sprawdzić, czy u maluszków wszystko w porządku.

Nie mogę otworzyć. Drzwi.

– Milly, to ja, Saskia. Drzwi są zamknięte na klucz, Mike je zamknął, co ty śpiewasz?

A jeśli jeden maluszek przypadkiem spadnie...

Nie mogę otworzyć. Drzwi.

– Idę po Mike'a.

Słyszycie mnie, maluszki? Przyszłam, by was wypuścić. Ale one nie odpowiadają, już za późno. Spóźniłam się.

Wszystkie już pospadały.

Co oznacza, że muszą tam zostać.

Budzą mnie hałasy, które towarzyszą wyjazdowi Phoebe na turniej hokejowy do Kornwalii, głosy na korytarzu, trzaskanie drzwiami. Poniedziałek. Powinnam wstać, wyjeżdżamy, ale czuję się ociężała, obciążona wstydem za to, co zrobiłam Morgan.

Przygnieciona siłą twojego głosu.

Kiedy Saskia puka, pyta, czy może wejść, mówię, że tak, i siadam w łóżku.

Białe dzinsy, obcisłe. Bluzka w niebiesko-białe paseczki włożona do środka, włosy znad czoła zebrane na górze brązową klamrą, reszta opada na ramiona.

– Mam nadzieję, że cię nie obudziłam, daliśmy ci dłużej pospać.

Po ostatniej nocy.

– Wkrótce wyjeżdżamy. Jedzie się tylko półtorej godziny, przed lunchem będziemy na miejscu.

Nie mówi nic o ostatniej nocy. Mike pewnie jej zabronił, wyjaśnił, że tego można się spodziewać tuż przed procesem.

– Milly.

– Przepraszam, ja...

– Byłaś milion kilometrów stąd?

Dalej.

– Tak jakby.

Bawi się naszyjnikami, wyjmuje go spod bluzki, przyciska do ust wystające części liter. Ciało w dotykanym miejscu bieleje, znów wraca do różowej barwy. Pyta, czy potrzebuję pomocy przy pakowaniu.

– Nie, dziękuję, zaraz zejść.

Kiedy zamyka drzwi, sięgam po telefon, żeby zobaczyć, czy Morgan odpowiedziała, ale nie. Walczę z niepokojem, kiedy myję twarz, ubieram się i pakuję małą torbę. To, co zrobiłam Morgan, było złe, i nie chcę stracić przyjaciółki, ale również martwię się, że może powiedzieć o mnie ludziom. O tym, kim jestem.

Kiedy schodzę na dół, Rosie kręci się w korytarzu w pobliżu toreb podręcznych Mike'a i Saskii. Na mój widok macha ogonem. Odstawiam swoją torbę, drapię ją między uszami.

– Chyba z nami nie jedziesz – mówię. – Zostajesz z Sevitą. Może następnym razem się uda.

Zadiera głowę, liże mnie po rękę i wpada tuż za mną do kuchni.

– Jest świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy, chcesz trochę? – pyta Saskia.

– Nie, dziękuję, zrobię sobie tosta.

Mike rozmawia przez komórkę, odwrócony od nas, pochylony nad zlewem.

– Oczywiście, przywiozę ją w środę, zaraz po powrocie, czy to ci odpowiada? Dobrze, jasne. Dzięki, June, do zobaczenia.

Rozłącza się, odwraca do nas.

– To była June, umówiliśmy się, że w środę przyjedziesz obejrzeć wideo z nagraniem swoich zeznań. Zawiozę cię.

Kiwam głową, przeszła mi ochota na tosta.

Przy wyjeździe z Londynu są korki, ale potem już biegnie w dal autostrada, po której bokach, w miarę oddalania się od miasta, robi się coraz bardziej zielono. Mike pyta, jak mi idzie z rysunkami na konkurs. Dobrze, odpowiadam. Saskia odwraca się i mówi, że bardzo chciałaby je obejrzeć. Uśmiechają się do siebie z Mikiem, a ona na chwilę kładzie mu rękę na karku. Po raz pierwszy widzę, jak go dotyka.

Po mniej więcej godzinie skręcamy na długi zwirowy podjazd, na którego końcu znajduje się fontanna. Ktoś z personelu wyjaśnia Mike'owi, że parking jest przepełniony w związku z przerwą semestralną i tak dalej.

– Proszę zostawić kluczyk w stacyjce, odstawimy samochód na dodatkowy parking na tamtym polu. Proszę zatrzymać ten bilet, a kiedy będziecie państwo potrzebowali samochodu, proszę pokazać bilet w recepcji, a oni od razu załatwią przyrowadzenie auta.

Mike nas melduje i zostajemy zaprowadzeni do swoich pokoi, rodzinnego apartamentu, z oddzielnymi sypialniami, które oddzielają drzwi. Kiedy schodzimy na lunch, zaskakuje mnie, że w restauracji jest tak dużo dzieci. Pełzają, biegają, płaczą, rozlewają. Wszędzie. A oprócz dzieci jesteś również ty. Twoja twarz, na pierwszej stronie gazety, tytuł *Już za tydzień*. Mężczyzna przy stoliku obok okna, to on cię trzyma. Czyta. Składa cię. Umieszcza w wewnętrznej kieszeni płaszcza podanego przez jedną z kelnerek. Wstaje i wkłada płaszcza. Jak blis-ko jego serca znajduje się teraz twoja twarz. Ale prawdę powiedziawszy, ty kochasz inaczej niż większość ludzi. Twoja miłość nie jest tak łagodna i dobrotliwa, byś miała składać pocałunek na czyimś sercu. Wcale taka nie jest.

Mike pyta, czy dobrze się czuję. Potwierdzam. Nie chcę psuć wycieczki informacją, że ty też przyjechałaś.

Po lunchu wybieramy się na spacer, kilka razy przystajemy, by porozmawiać z innymi rodzinami. Mike wpada na znajomego z pracy. Ten całuje Saskię, a kiedy zostaję przedstawiona, mówi:

– A więc to jest Milly.

Mike kiwa głową z uśmiechem. Tak, to ona. Mężczyzna wyjaśnia, że Cassie, jego żona, też tu jest, ale poszła przewinąć dziecko.

– Te dwa brudasy też są moje.

Dwaj mali chłopcy, najwyżej sześciolatek, ganiają się przy jego nogach. Fajnie się bawią, chętnie bym się przyłączyła. Prosta zabawa. Nikomu nie dzieje się krzywda. Później, po południu na trawniku przed budynkiem są organizowane zajęcia dla dzieci, przypomina to trochę dzień sportu w szkole. Saskia i ja siedzimy w fotelach przy oknie, obserwujemy dzieci. Kółko graniaste, jajko i łyżka, nawet wyścig dla tatusiów, ale już nie dla mam. Gdyby był dla mam, a ty zjawiałabyś się we własnej osobie, przyłączyłabyś się do zabawy i pewnie byś wygrała. Przychodzi Mike, ziewa, proponuje, byśmy wszyscy wcześniej poszli spać. Wyjaśnił mi w trakcie popołudniowego spaceru, że w zeszłym tygodniu zamknął drzwi do piwnicy, bo nie chciał, żebym zrobiła sobie krzywdę. Dziękuję mu, żałuję, że nie mogę powiedzieć, że bardziej boli mnie to, że nie mogę sprawdzić, co tam jest.

Po kolacji rozchodzimy się do osobnych pokojów. Jest odpowiedź od Morgan, tylko dwa słowa.

Pierdol się.

Rano przy śniadaniu postanawiamy wybrać się samochodem do arboretum. Niebo jest zachmurzone, zanoszą się na deszcz. Mike mówi, że nie ma co się przejmować, w samochodzie są kalosze i sztormiak Phoebe, przywieźliśmy je dla ciebie.

– Nie będzie zła? – pytam.

– Nie powiemy jej, jeśli ty nie powiesz – odpowiada Saskia z niespotykanym u niej figlarnym wyrazem twarzy. Cała nasza trójka się uśmiecha.

Rozchodzimy się do siebie, by umyć zęby, umawiając się w recepcji dziesięć minut później. Mężczyzna, z którym rozmawialiśmy wczoraj, John, też tam jest, kiedy przychodzę, stoi przy kontuarze z kobietą, która, jak sędzę, jest jego żoną Cassie, oraz z dwoma chłopcami i niemowlęciem, trzymanym na rękach. Cassie i Saskia się nie znają, wymieniają uprzejme komentarze na temat pogody, tak chłodno, świetny dzień do siedzenia przy ogniu.

– We frontowym salonie jest chyba kominek – mówi Saskia.

Cassie proponuje, byśmy przed wyjściem napili się tam kawy. Kiedy siadamy, Mike i John zaczynają rozmowę o odnowieniu gabinetu. John narzeka, że w poczekalni brakuje prywatności, ludzie są widziani z ulicy.

– Tak, to nie jest dobre, może powinniśmy rozejrzeć się za roletami albo pomyśleć o jakimś ekranie.

To słowo: ekran. Jak ten, który w przyszłym tygodniu będzie nas oddzielał w sądzie.

Dwoje starszych dzieci siada na podłodze przy oknie balkonowym, po prawej stronie kominka. Koszyk z zabawkami, który zdołali już wywrócić, okrzyki

typu brum brum, kiedy bawią się samochodzikami, naśladowanie odgłosu wystrzału, kiedy jeden z nich znajduje plastikowy pistolet na wodę. Plasterk zimowego słońca, przedarłszy się przez warstwę chmur, wkrada się do środka, pada akurat tam, gdzie siedzą chłopcy. Złoto ich włosów, błękit oczu. Aniołki. Znowu mnie ciągnie, by do nich się przyłączyć, albo się rozpłakać, tacy są piękni. W końcu nic nie robię, nie ruszam się z miejsca, wątpię, by płacz albo włączenie się do zabawy zostały dobrze przyjęte, uznane za normalne. Kiedy się odwracam, widzę, że Mike mnie obserwuje z dziwnym wyrazem twarzy, próbuje się uśmiechnąć, kiedy orientuje się, że to zauważyłam. Cassie zaczyna z Saskią rozmowę na temat Wetherbridge.

– Oczywiście, to będzie dopiero za wiele lat – mówi, spoglądając na maleńką dziewczynkę trzymaną na rękach. – Ale zawsze dobrze usłyszeć opinię kogoś z wewnątrz.

Saskia jest jak sparaliżowana w obecności niemowlaka, odrywa od niego wzrok, ale zaraz znowu na niego patrzy. Cassie to zauważa, pyta, czy Saskia chce go potrzymać.

– Nie, dziękuję. Niezbyt dobrze radzę sobie z niemowlętami.

– A ty? Chcesz? – zwraca się do mnie.

– Tak, chętnie.

Słowa same wylatują z moich ust, kobieta wstaje, przekłada dzidzię w moje ramiona. Zarumieniona buźka, zamknięte oczy, słodka zasłona rzęs jest tak długa, że prawie dotyka górnej części policzków. Nie ma niczego w buzi, ani smoczka, ani butelki, ale wykonuje ciągły ssący ruch ślicznie wykrojonymi usteczkami. Maleńki pączek.

Piękne, czyste rzeczy sprawiają, że czuję się brzydka. Zszargana. Pamiętam, jak w wieku trzech, może czterech lat spytałam cię, skąd się wzięłam. Czekalam, aż mnie weźmiesz w ramiona, potrzęs swoim nosem o mój w eskimoskim pocałunku i odpowiesz, wyszłaś ze mnie, należysz do mnie, kocham cię. Tak jak zrobiła na moich oczach mamusia innej małej dziewczynki w przedszkolu, kiedy usłyszała to samo pytanie, ale ty nie odpowiedziałaś, tylko wyszłaś z kuchni, zostawiłaś mnie samą.

Cassie mówi do Mike'a, twoja córka jest urodzoną mamusią, a ja przez chwilę, ułamek sekundy czuję, jak to jest zostać wziętą za ich dziecko.

– Właściwie to Milly jest naszą przybraną córką, Phoebe pojechała na zawody hokejowe – odpowiada Mike.

– Mówiłem ci to wczoraj wieczorem, Cassie – dodaje John.

– Przepraszam, jestem odmóżdżona przez dziecko. To wspaniale, podziwiam was, że przyjęliście...

Kogoś takiego jak ja.

Nie udaje jej się dokończyć zdania, bo dziecko wyje głośno i ze złością.

Oczy otwarte, patrzy na mnie. Przerażone. Wyczuła. To, co jest we mnie. Czuła, że trzymam ją trochę zbyt kurczowo. A jak Mike powiedział, że nie jestem ich dzieckiem, ścisnęłam jeszcze mocniej. Oddaję niemowlę matce, w bezpieczne ręce. Miejmy nadzieję.

Jedziemy do arboretum, na miejscu okazuje się, że są tam tłumy. Pary, rodziny, czasem trafiają się pojedyncze osoby. Egzotyczne krzewy i skrupulatnie wypielęgnowane alejki, wzdłuż których rosną drzewa, jesienne barwy, zgaszone oranże i żółcie, mocne szkarłatne echo czerwonych liści na gałęziach. Spacerujemy przeważnie w milczeniu. Uznaję, że świadczy to o swobodzie, miła myśl. Radosna. Mike zauważa, że jest niewiele dzieci w moim wieku.

– Zdaje się, że to trochę obciach spędzać ferie z rodzicami.

– Nieważne – odpowiadam. – Cieszę się, że jesteśmy tylko we trójkę.

Mike uśmiecha się, rozluźniony. I chociaż nigdy by tego głośno nie przyznał, wiem, że się ze mną zgadza, czuje ulgę, bo nie musi pełnić funkcji pośrednika między Saskią a Phoebe. I ogólnie jest milej.

Wieczorem po kolacji kupuję dla Morgan śnieżną szklaną kulę w hotelowym sklepie z pamiątkami. Świerki, dwoje dzieci trzymających się za ręce, obok nich bałwanek. Znów wysyłam do niej esemesa, piszę, że kupiłam jej prezent. Nie odpowiada.

Na początku myślę, że tylko mi się wydaje albo że zza ściany dobiegają mnie dźwięki z telewizji, ale kiedy podchodzę do łącznikowych drzwi i przykładam do nich ucho, słyszę, że się kłóca. Saskia była pijana przy kolacji, w ogóle się nie odzywała, tylko po deserze, na który oczywiście nie miała już miejsca, dostała czkawki. Mike mówi, że ma się wziąć w garść, zwłaszcza że za tydzień zaczyna się proces. Staram się, odpowiada. To postaraj się bardziej. Coś zostaje rzucone, może szklanka, uderza w ścianę. Ich głosy cichną, Saskia zaczyna płakać. Wyobrażam sobie, jak Mike ją obejmuje, mówi jej, że już dobrze. Po jakimś czasie rozmowę zastępują inne odgłosy. Dziwnie się czuję, słysząc jęki Saskii. Włączona. Kiedy odgłosy ustają, zdejmuję ubranie, sunę palcami w górę i w dół po białych drabinkach blizn z obu stron żeber, potem wchodzę pod prysznic.

Szoruję skórę do bólu.

Zostało jeszcze pięć dni.

Podchodzę do drzwi balkonowych, rozsuwam zasłony, na balustradzie siedzi rudzik. Z czerwoną piersią. Napuszony z powodu chłodu. Na mój widok odlatuje. Już nie czuje się bezpieczny. Nie winię go.

Kiedy wróciliśmy z Cotswolds w środę, pojechałam z Mikiem do sądu, by sprawdzić zeznania wideo. Oglądanie tego nie było łatwe. Dziewczyna na ekranie opowiadała o swojej matce. Ja byłam tą dziewczyną.

Żałowałam, że nie mogę wycofać zeznań, móc powiedzieć:

To się nie wydarzyło.

Ale się wydarzyło.

Kiedy tam byłam, prawnicy przeprowadzili przesłuchanie na niby.

Znałaś Daniela Carringtona?

Tak.

Skąd?

Był jednym z dzieci z miejsca pracy mamy.

Czy byłaś w domu, kiedy go przyprowadziła?

Tak.

Prawnicy ostrzegli mnie, że obrona zrobi wszystko, by zbić mnie z tropu, podważyć moją wiarygodność. Czy nie budzi to twoich obaw? – spytał Gruby. Powiedziałam, że nie.

Skłamałam.

June pokazała mi salę rozpraw, miejsce dla świadka, na którym będę siedziała, i to, w którym zostanie ustawiony ekran osłaniający mnie przed tobą. Realna sytuacja, w której będę znów blisko ciebie, wywołała u mnie odruch Pawłowa, nadmiar śliny w ustach, tak duży, że o mało nie zwymiotowałam. Rozprawa rozpoczyna się w poniedziałek, ale powiedziano mi, że ja będę zeznawać w czwartek i piątek. Musiałam zmienić cyfrę w szafce łazienkowej – odliczanie nie dotyczyło samego procesu, ale chwili, gdy będę z tobą.

Dziś jest Noc Guya Fawkesa. Mike powiedział, że jeśli będę patrzeć ze swojego balkonu, zobaczę pokaz fajerwerków, który co roku urządza w ogrodzie rodzina mieszkająca kilka przecznic dalej. Zwykle zaczynają koło siódmej, dodał. Morgan nadal się nie odzywa, więc znów wysłałam do niej esemesa, napisałam jej o tym, zaprosiłam ją. Mogę cię przemycić, napisałam.

Mike i ja spotkaliśmy się wczoraj, by przećwiczyć oddychanie. Co robić, jeśli dostanę napadu paniki na miejscu dla świadka. Spytał, czy jest coś, czego nie jestem pewna, coś, co chcę jeszcze raz omówić, zanim stanę przed obrońcami

w przyszłym tygodniu. Nie, raczej nie, powiedziałam, mam w głowie jasny obraz wydarzeń. Poprosił, bym pomyślała o słowie, które sprawia, że dobrze się czuję. Zajęło mi to chwilę, ale w końcu wybrałam słowo wolność. Powiedziałam, zazdroszczę ci, że żyjesz na otwartej przestrzeni, podczas gdy ja żyję w ciemności, ukryta przed wszystkimi poza kilkoma osobami. Wszystko mi odebrano, nawet imię. Powiedział, żebym traktowała ciemność jako miejsce wypoczynku, w przyszłości stanie się światłem. A co, jeśli jestem taka jak ona, spytałam, jeśli to odziedziczyłam? Monoaminooksydaza-A. Enzym okrucieństwa. Skoro jest w niej, to prawdopodobnie we mnie również, ale powiedział mi, że wcale nie jestem taka jak ty, wie to na pewno. Nie jestem pewna, czy mam mu wierzyć ani czy on sam w to wierzy.

Nie zapomniałam tego poranka w kuchni, kiedy zobaczyłam, jak chowa przede mną jakieś notatki, więc kiedy on i Saskia byli w czwartek poza domem, poszłam do jego gabinetu. Znalazienie zapisków nie zajęło mi wiele czasu, były w dolnej lewej szufladzie, pod podręcznikiem.

Tytuł na pierwszej stronie: MILLY (pomysł do książki).

Ledwie zdążyłam skserować połowę, kiedy usłyszałam odgłos otwierania i zamykania drzwi frontowych. Przyszła Sevita. Uśmiechnęła się, widząc mnie w przedpokoju, oryginały były już tam, gdzie je znalazłam, kopie zatknięte gładko za pasek moich dzinsów. Okazuje się więc, że Mike pisze o mnie książkę, o tym, jak daję sobie radę, z nim u boku. Wrócił do snu, który mu opowiedziałam. Ty, w płonącym pokoju, jak w potrzasku. Kiedy spytał, co stało się we śnie, powiedziałam mu prawdę. Uratowałam cię. Za każdym razem cię ratowałam. Poniżej dopisek czerwonym długopisem: „nadal okazuje wielką lojalność wobec mamy, dyskutuje winę”.

W innych dopiskach mowa o moim samoobwinianiu się, o tym, że ofiara przemocy traci neutralną perspektywę – wszyscy są za albo przeciw niej. Czerwona strzałka, potem słowa DOBRA JA KONTRA ZŁA JA, podkreślone i okółkowane.

Zastanawiałam się, co właściwie czuję w związku z tym, że Mike pisze o mnie książkę. Nie poprosił mnie o pozwolenie, nie udzieliłam pisemnej zgody. Czy jestem jego projektem? Przepustką do sławy zawodowej? Historią sukcesu. Tak myśli. Ma nadzieję. Jeśli to ma oznaczać, że dłużej tu zostanę, nie mam nic przeciwko temu. Dostęp do mojego umysłu jest walutą, którą chętnie zapłacę.

Widzę się z Saskią w czasie lunchu, pytam, czy tęs-k-ni za Phoebe, która wciąż jest na wyjeździe sportowym. Saskia uśmiecha się, mówi, oczywiście, tęsknię za obojgiem, za nią i Mikiem, kiedy ich nie ma, miło mieć ciebie w domu. Język jej ciała, sposób, w jaki przestępuje z nogi na nogę, bawi się włosami, mówi mi co innego. Mówi mi, że kiedy jesteśmy same, nadal czuje się nieswojo. Jest spięta.

Przez resztę dnia czytam o tobie. Na stronach z wiadomościami jesteś

gwiazdą. Reporter stojący przed sądem zapowiada rozpoczęcie rozprawy. Recytuje twoje zbrodnie, trzykrotnie pada liczba dziewięć. Dziewięcioro dzieci. Dziewięć ciał. Dziewięć aktów oskarżenia o morderstwo.

Kiedy już przeczytałam wszystko, co udało mi się znaleźć, zdążył zapaść zmrok, niedługo zaczną się pokazy fajerwerków. Idę do łazienki, a kiedy wychodzę, widzę jakieś poruszenie na balkonie. Rudzik nie wrócił, ale Morgan tak.

Zamykam laptop, otwieram drzwi. Ogarnia mnie wzruszenie. Kaptur ma naciągnięty, zakrywa większą część twarzy.

– Przepraszam cię, Morgan. Naprawdę bardzo mi przykro.

Wzrusza ramionami, wbija wzrok w stopy. Chwytam ją za rękę, wciągam do środka, pokazuję śnieżną kulę.

– Potrząśnij.

A kiedy to robi, wiem, że między nami wszystko się da naprawić.

Ona potrafi wybaczać, no i jest samotna. Człowiek może wiele wybaczyć, jeśli potrzebuje towarzystwa.

Kiedy zaczyna się pokaz fajerwerków, wychodzimy na balkon. Jaskrawe, kolorowe rakiety i wybuchy malują niebo.

– Nigdy więcej tak nie rób – mówi Morgan po zakończeniu pokazu.
– Sprawiałaś mi ból.

– Wiem, to się już nie powtórzy. Powiedziałaś komuś o tym?

Kręci głową, wydaje się rozczarowana tym, że o to spytałam, potem idzie, zabierając ze sobą kulę.

Słyszę, jak suniesz ku mnie, wijąc się po grubym dywanie w moim pokoju.

Masz dla mnie wiadomość, chcesz coś powiedzieć.

DO ZOBACZENIA W SĄDZIE, ANNIE.

Osiem w górę.

I jeszcze kolejne cztery.

Drzwi po prawej.

Chciałaś obciąć mi włosy, opadające aż na plecy, krótko, „na chłopaka”.

Ale nie zrobiłaś tego, zwracałabym na siebie uwagę w szkole.

Ale i tak się zabawiałaś.

Przebrałaś mnie, wypchałaś mi majtki skarpetkami.

Ale ja ci nie wystarczałam.

*Pokój w naszym domu, który od miesiący stał pusty. Pokój naprzeciwko
mojego.*

Oznajmiłaś mi to pewnego razu przy kolacji.

Plac zabaw, tak go nazwę, powiedziałaś.

Nienasycona.

*Wiedziałaś, że nigdy nie będziesz mieć dość, więc skorzystałam z szansy, by
też cię opuścić.*

Pierwszy dzień twojego procesu. Odmawiam, kiedy Mike sugeruje, żebym przez tydzień nie chodziła do szkoły. Stara się mnie chronić. Prasa. Trysnęła. Każde doniesienie prasowe i tytuł, który czytam w sieci przed śniadaniem, aż się od ciebie przelewa. Na stronie BBC można zobaczyć tłum zbierający się przed budynkiem sądu. Tłuszcza. Rozwścieczona. Gdyby mogli, waliliby w karetkę więzienną podczas twego przejazdu. Pluli na nią. Rzucali bomby z farbą w kolorze czerwonym. Morderczyni. Morderczyni.

Cisza w domu jest ogłuszająca, radio w kuchni odłączone od prądu. Mike proponuje żartobliwie, że może na tydzień albo dwa zrezygnujemy z telewizji. Phoebe mówi, że jej wszystko jedno, i tak będzie oglądać Netflix na swoim laptopie. Tego ranka, zanim wyjdę z domu, Mike odciąga mnie na bok, mówi, żebym od razu wracała do domu, jeśli będzie mi trudno wytrzymać w szkole. A co mam zrobić, jeśli w ogóle będzie mi trudno to wszystko wytrzymać, miałam ochotę spytać.

Gdybym to sobie przemyślała, mądrze do tego podeszła, zostałabym w domu, opuściła poranne zajęcia na pływalni. Głupia. Otumaniona. Przebieram się w kabinie, wdzięczna, że kostium zakrywa blizny i nacięcia na moich żebrach. Powiedziałabym im, gdybym mogła, że otwieram swoją skórę, żeby wykrwawić zło, wpuścić dobro do środka. Ale oni by tego nie zrozumieli, spytaliby, o czym ty mówisz, jakie zło?

Wita nas rzędek kajaków, trening ratunkowy jest podstawą szkolenia księcia Edynburga. Zostajemy podzielone na czteroosobowe grupy, tak jak stoimy. Powinnam być uważniejsza.

– Ruszcie się, dziewczęta – ponagla nas pani Havel. – Czy każda ma przydzieloną grupę do ćwiczeń? Świetnie. Ustawcie się rzędem nad brzegiem basenu.

Clondine stara się być miła.

– Och, przestań, Phoeb, nie jest taka zła.

Publicznie rzucone wyzwanie przez kogoś z jej paczki. Mówi do Clondine:

– Zamknij się, nawet jej nie znasz.

Ma rację.

– Nie, ale znam ciebie – odpala Clondine, pokazując gojące się oparzenie po papierosie na dłoni.

Stoimy po przeciwnej stronie basenu niż instruktor. Ściszone, lecz wyraźne szepty dochodzą mnie z tyłu i z przodu. Phoebe i Izzy komentują to, jak leży na mnie kostium, jakie ciemne włosy mam na rękach. Budzi ich zainteresowanie stara

blizna, fioletowa i duża, na prawym przedramieniu.

– Założę się, że sama to sobie zrobiła.

– Jasne, chyba ma skłonności sado-maso.

Wybuch chichotów.

– Dziewczyny na końcu, uspokójcie się.

Fioletowy krater na mojej ręce. Nie. Nie zrobiłam sobie tego sama, to stało się inaczej. Robiąc to, mamusi, powiedziałaś: po to, byś nigdy nie zapomniała. Piętnowanie. Przytrzymałaś moją rękę przy nagrzanym wieszaku do ręczników w łazience. Zawsze będziesz moja, powiedziałaś. Tatuż twojej miłości wypalony na mojej ręce.

Instruktor wchodzi do basenu, pokazuje, jak wykonać obrót, siedząc w kajaku. Różnica między życiem a śmiercią, mówi po wynurzeniu się z błękitu. Odprężcie się. Zaufajcie wodzie i swojej partnerce. Cokolwiek się stanie, nie wpadajcie w panikę.

Patrzę na niego, jego usta się poruszają, ale dźwięki są zniekształcone. Zwolnione tempo. Dopiero po chwili orientuję się, że spadam. Zostałam wepchnięta do basenu. Najpierw szepty, coś jak, no zrób to, pchnij ją, no dalej. Łąduję w wodzie z całą siłą, boleśnie uderzam stopami o kafelki na dnie. Odbijam się od nich, by wypłynąć i nabrać powietrza. Kiedy się wynurzam, widzę rząd głów. Gapią się na mnie żołnierki w czarnej lycrze, ale rąk nie trzymają wzdłuż boków, tylko skrzyżowane na rozwijających się biustach. Śmiech i oklaski.

Podpływam do krawędzi basenu, instruktor rzuca żarcik o nadgorliwcach. Phoebe podaje mi rękę, kiedy zbliżam się do pobocza basenu. Wiem, co zamierza, widzę, co jej chodzi po głowie, mnie chodzi mniej więcej to samo. Przyjmuję jej rękę, stawiam jedną stopę na krawędzi basenu, wynurzam się do połowy, a wtedy ona mnie puszcza. Tym razem łąduję płasko na plecach, uderzenie wody wywołuje szczypanie na skórze. Kolejne okrzyki i śmiech.

– Och, na litość boską, Phoebe, dorośnij, to było głupie i niebezpieczne, nie wspominając już o tym, że tracimy przez ciebie czas. Proponuję, byście razem z Milly przeciwiczyły obrót kajaka, zobaczymy, czy umiecie się rozsądnie zachowywać. A ty, Milly, może byś się pospieszyła? Czy może mam wziąć wędkę i cię wyłowić?

– Nie, pani Havel.

Podpływam do schodków, zadowolona z wyrazu twarzy Phoebe. Teraz z ciebie sobie zażartowano, partnerko kajakowa.

– Właściwie, pani Havel, przyda mi się ochotniczka, a skoro ty już jesteś w wodzie... – Instruktor wskazuje mnie.

– Świetny pomysł, podpłyn tutaj, Milly.

Kiedy docieram do niego, prosi, bym weszła do kajaka, podczas gdy on go unieruchomi. Tu chodzi o komunikację i zaufanie, mówi.

– Gotowa?

Kiwam głową, trzymając się mocno boków.

– Obracam na trzy, dobrze? Jeden, dwa, trzy i pod wodę.

Zamazany błękit, wynurzenie w blask.

– Jak było?

– W porządku.

– Widzicie, dziewczęta, łatwizna. Teraz, jak rozdzielicie się na pary, te, dla których zabraknie kajaków, proszę o przećwiczenie pływania ratowniczego. Jedna z partnerek niech się położy na plecach, udając nieprzytomną. Druga ma ją doholować do boku basenu, pilnując, by do nosa i ust nie nalało się wody.

– Pani Havel, czy mogę ćwiczyć z Izzy albo Clondine?

– Nie, ty i Milly macie ćwiczyć razem. Gdybyś się tak wcześniej nie wygłupiała, miałabyś luksus wyboru, ale teraz już nie. Teraz twoja kolej na obrót.

Hałas na basenie, pluski i krzyki, nerwowa atmosfera, nikomu nie podoba się pomysł obracania pod wodą. Marie narzeka na chlor, że zniszczy jej włosy. Podpływam do Phoebe, unieruchamiam kajak. Jej kolej na obrót. Może ona również wie, co mi chodzi po głowie, ponieważ mówi:

– Tylko bez numerów, dobra?

Moje milczenie wytrąca ją z równowagi, to działa za każdym razem.

– Mówię poważnie, bo inaczej zapłacisz mi za to.

Kiwam głową, a za plecami krzyżuję palce.

Kiedy gramoli się do kajaka, kusi mnie, by spytać ją o Sama. Zostawiła na ferie laptop w swoim pokoju. Byłam zaskoczona, choć zadowolona, kiedy odkryłam, że nie jest zabezpieczony hasłem. Ja zrobiłam to od razu, jak tylko dostałam swój. Nie ma potrzeby, pomyślała. Mike to taki rodzic, który by nigdy nie zajrzał bez pytania. Bardzo wierzy w potrzebę respektowania prywatności, uważa, że trzeba nam pozwolić być nastolatkami.

Sprawdzam, co dzieje się za mną. Instruktor jest zajęty. Pani Havel na drugim końcu basenu. Dziewczyny, jak to dziewczyny, zajęte sobą. Mówię Phoebe, że policzę do trzech, a potem ją obrócę.

– Tylko szybko, kurwa.

No więc tak robię. Jeden, dwa, trzy i obrót, dookoła.

Niezupełnie.

Zatrzymuję w połowie. Jeden słoń. Drugi słoń.

Trzeci.

Przy trzecim już wie, co jest grane. Odrywa skrzyżowane ręce od torsu, wali w boki kajaka. Czuję, jak jej ciało się porusza, miota na boki.

Szósty słoń.

Siódmy.

Dźwięki odbijają się od kafelków, śmiechy, wykrztuszanie wody. Nikt nie

patrzy, nikt nic nie zauważył. Jak długo przeciętna osoba potrafi wstrzymać oddech pod wodą? Trzydzieści sekund? Sześćdziesiąt?

Dziewiąty słoń.

Dziesiąty.

Jej paznokcie wbijają się w moją dłoń, wirek rózu w wodzie. Ranki w kształcie półksiężyców, wyrzeźbione przez pięknie opiłowane paznokcie, jej dumę i radość. Instruktor się zbliża, pani Havel również. Obracam kajak, głowa Phoebe wynurza się z wody. Emocje. Tęcza barw na jej twarzy. Panika. Potem lęk. Ulga, że żyje, i wreszcie na końcu pojawia się wściekłość. Napawam się tymi wszystkimi odcieniami. Patrzy na mnie, zachłystując się powietrzem, jej klatka piersiowa podnosi się i opada.

– Ty suko – mówi. – Pani Havel. Proszę pani!

Instruktor gwizdże, krzyczy, byśmy się zamieniły, te, które skończyły obracanie kajaka, teraz mają ćwiczyć pływanie ratownicze i vice versa.

– Pani Havel!

– Na litość boską, Phoebe, czy to nie może poczekać?

Clondine i Izzy podpływają do nas na widok twarzy Phoebe. Błada. Spanikowana. Skołowana. Ma wrażenie, że zaraz rozsadzi jej płuca.

– Co ci jest? – pyta Izzy.

– Kurwa, o mało co się nie utopiłam! – odpowiada, gapiąc się na mnie. Białka oczu ma lekko zaczerwienione od chloru.

– Histeryczka – rzuca drwiąco Izzy.

– Odpierdol się, Iz, wszystkie się odpierdolcie.

Wyłazi z kajaka, podpływa do schodków, które są najbliżej pani Havel, i wychodzi z wody. Na jej ciele widać gęsią skórę. Dostaje się jej z zimna, ale również z innych powodów. Sięga ręką do gardła, upewnia się, że może oddychać. Nie wiem, co mówi pani Havel, ale cokolwiek to jest, wolno jej opuścić basen i już nie wraca na ostatnią część zajęć.

W swoich mejlach do Sama wspominała o mnie – jest coś, czego w niej nie lubię, napisała. Ale o co chodzi, spytał. Nie wiem, jest jakaś dziwna czy coś.

Czy coś, Phoebe.

Pod koniec lekcji, kiedy płynę kajakiem na płyciznę, szczypie mnie prawa ręka. Cztery wgłębienia, kształt jej lęku. W zaciszu kabiny w przebieralni fotografuję sobie tę rękę telefonem. Na pamiątkę.

Następnego dnia w szkole wciąż mam się na baczności, wiedząc, że Phoebe nie będzie zwlekać z odpłatą. Wet za wet. Zabawa w kotka i myszkę. Kwestia czasu.

Nie powinnam tego robić, ale postanowiłam zobaczyć się z M.K., a kiedy weszłam do jej pokoju, uświadomiłam sobie, jakie mam oczy. Suche. Klikają, kiedy mrugam, za mało snu, ta myśl wytrąca mnie z równowagi, bo wiem, że za dwa dni mam zeznawać w sądzie. Nie wiem, co się tam dzieje, Mike powiedział, że są w stałym kontakcie z June, ale powinnam się skupić na sobie, na tym, by jak najwięcej spać przed czwartkiem. Bardzo bym chciała, ale za każdym razem, kiedy zamykam oczy, widzę dziewięćcioro maluchów, płaczących, wskazujących na mnie, proszących o pomoc.

Powiedziałam M.K., co ustaliliśmy z Mikiem, że nie będzie mnie w szkole w czwartek i piątek, mam mały zabieg.

– Mam nadzieję, że to nic poważnego? – spytała.

Nie, tylko przecięcie pępownicy.

Powinna zostać usunięta wiele lat temu. Jest toksyczna.

Kiedy rozbieram się, by wziąć prysznic, wciąż słyszę twój głos, wyobrażam sobie, jak stoisz, czekasz na mnie przed salą rozpraw, rzucając monetą. Orzeł czy reszka. Ta wydłużona, którą zrobiłaś, kiedy odwiedziłyśmy nadmorskie miasto w Walii w zeszłym roku, nie w ramach wakacji, powiedziałaś, że chcesz zbadać nowe terytorium. Miałaś na myśli nowy teren łowiecki. Kiedy poszłam do toalety, poprosiłaś mężczyznę na straganie, żeby wybił po obu stronach monety to samo. Orzeł – bawimy się, reszka – nie, powiedziałaś, kiedy wróciłyśmy do domu. Dopiero po kilku miesiącach odkryłam, że po obu stronach był orzeł. Wygrywałaś za każdym razem. Ale już nie jesteś sędzią, teraz jest nim mężczyzna w peruce. I dwanaście innych osób. Tym razem decyzja nie należy do ciebie. Należy do nich.

Nie usłyszałam nawet, kiedy otworzyła drzwi do łazienki, byłam zbyt zajęta nakładaniem szamponu na włosy, próbowałam uciszyć twój głos. Szarpnięciem odsuwa zasłonę prysznicową na bok. Starcza mi czasu na zakrycie żeber rękami, ukrycie blizn, ale nie biustu i krocza. Błysk telefonu, ma to, co chciała.

– To cię oduczy podtapiania mnie, suko.

Owijam się zasłoną prysznicową, boję się, że ją zedrze, ale tego nie robi. Pyta, czy byłam ostatnio w jakimś ciekawym miejscu. Kiedy nie odpowiadam, mówi:

– Nie myśl, że nie wiem o twojej małej przyjaciółce z osiedla.

Ukryć. Nie dać po sobie poznać. Z powodu pary ciężko się oddycha. Gorąco.

– Mam rację, prawda? Izzy powiedziała, że widziała cię z tą gówniarą, która przesiaduje przed naszym domem. Co z tobą, nie możesz znaleźć sobie przyjaciół w swoim wieku? Może powiem o tym tacie, a on spyta cię o to w waszym „prywatnym” czasie. Ciekawe, co by sobie pomyślał, gdyby się dowiedział, że włączysz się z jednym z tych szczurów osiedlowych, zwłaszcza młodszym od ciebie.

Ma dwanaście lat, prawie trzynaście. Jest mała jak na swój wiek. I wiem, co twój tata by pomyślał. Zmartwiłby się.

– Żałosna. Jesteś żałosna. Założę się, że podobało ci się w Cotswolds bez mnie, jak odgrywaliście szczęśliwą rodzinę z moimi rodzicami.

Owszem.

– Zresztą mam to gdzieś, i tak wkrótce znikniesz, pewnie nawet nie zostaniesz na Boże Narodzenie.

Patrzę na jej wściekłą twarz. Powinnam wyciągnąć do niej rękę i powiedzieć, uściśnijmy sobie dłonie. Zawrzyjmy rozejm. Pomyśl, jak dobrze mogłybyśmy się razem bawić. Wyglupiać. Jednak pokusa, by odepchnąć, walczyć, jest o wiele silniejsza. Jej wina, to ona ciągle karmi złego wilka, pozwala mu rządzić. Więc zamiast starać się zawrzeć pokój, mówię do niej:

– Czasami słyszę cię w nocy.

– Co? Co ty wygadujesz?

– Słyszę cię.

Strzał w dziesiątkę na tarczy jej ciała, cios pros-to w klatkę piersiową, zbija ją z tropu. Wie, co mam na myśli. Że słyszę jej płacz. Wprawdzie ja jestem naga, ale ona została właśnie obnażona.

Zaledwie kilka minut po jej wyjściu słyszę wibrację telefonu, pewnie spisała mój numer z tablicy, która wisi przy wejściu. Mike nalegał, by były tam numery wszystkich domowników. Odwijam z siebie zasłonę prysznicową, okrywam się ręcznikiem, podchodzę do biurka i biorę telefon. Wiadomość obrazkowa. Włosy w pianie szamponu, błyszcząca skóra, ręce wokół żeber. Twarde sutki, poniżej ciemne włosy łonowe.

Widzę, że wysłała zdjęcie do wielu osób. Dziewczyn i chłopaków, może do Joe również. Wracam do łazienki, zrzucam ręcznik. Tnę się. Raz. Dwa. Czerwono. To byłoby ciekawsze zdjęcie, gdyby tylko poprosiła.

Przed moim wyjściem do szkoły dziś rano Saskia dała mi mały aksamitny woreczek. To prezent, powiedziała, ze sklepu z minerałami na Portobello Road. Kiedy wyjęłam kamień, przetoczyłam go we wnętrzu dłoni, czując jego ostre krawędzie po bokach oraz czarną gładź na dole i na górze, powiedziała mi, że to czarny turmalin. Talizman ochronny. Pomyślałam, że możesz trzymać go w kieszeni, że może ci pomóc, powiedziała. Podziękowałam jej, ale ten gest, chociaż miły, sprawił, że poczułam się jeszcze gorzej, przypomniał, że potrzebuję ochrony.

Nie czuję się gotowa na jutrzejszy dzień, ciemny siniec. Barwy bakłażana. Indygo. Głęboko w środku. Pulsuje. W drodze do szkoły przelatuję w głowie pytania prawników – powiedz sądowi, co zrobiła twoja mama, powiedz sądowi, co widziałaś – ale nie pamiętam odpowiedzi.

Po prostu powiedz prawdę, mówi Mike.

Łatwiej powiedzieć...

Spotykamy się w auli na powtórkę sztuki. Słowa, ich znaczenia, tak dobrze mi znane. Czaszki połyskują bielą, koniec niewinności, dziewczyny poprzebierane za chłopaków. Phoebe miała szczęście ostatnim razem, nie była narratorką, kiedy pani James oglądała próbę, ale dziś duka swoje kwestie, co chwila trzeba jej podpowiadać. Pani Mehmet traci cierpliwość, mówi, dość tego, Phoebe, wylatujesz. Milly przejmuje rolę narratorki. Wyraz twarzy Phoebe – a przecież rachunki wcale nie są wyrównane – ona jest daleko w przedzie po tym zdjęciu z zeszłej nocy – ale ja już depczę jej po piętach.

Kara za kradzież roli nadchodzi szybko. Umieszcza moje zdjęcie na forum naszego rocznika z tu i ówdzie wprowadzonymi zmianami, włosy na piersiach i udach. Narzeczona Frankensteina. Zmienia hasło forum na „pojebuska”, taktyka służąca niedopuszczeniu wścibskich nauczycieli. Rozsyła mejl informujący o zmianie hasła. Ach, te elitarne szkoły, rasa bystrych, przebiegłych nastolatków. Podpuchy i trollowanie.

LadyLucie2000 proponuje w swoim komentarzu, żeby założyć na Facebooku stronę pod nazwą Milly Pojebuska. Phoebe dopisuje pod spodem: „Świetny pomysł!!! Przekazałam zdjęcie Tommy’emu z Bentleys, on je rozpowszechni we wszystkich męskich szkołach poza Londynem”.

Podczas lunchu, kiedy przechodzę obok stolików do lady, przy której wydają posiłki, czuję na sobie spojrzenia dziewczyn. Większość spuszcza wzrok, kiedy wracam ze swoją tacą, włącznie z Clondine, ale nie Phoebe z Izzy. Telefony wyciągnięte, złośliwe uśmieszki. Niedługo też będzie mi wolno założyć stronę na

Face-booku. Kiedy skończy się proces, powiedziała June. Mam do nadgonienia dużo normalnych rzeczy. Żeby wygrać, trzeba grać. Zajmuję miejsce przy stoliku, który jest najdalej od nich, a kiedy wychodzą ze stołówki, podchodzi do mnie dziewczyna, która ma na imię Harriet. Pyta, czy dobrze się czuję, mówi, nie wszystkie jesteśmy takie jak Phoebe, staraj się ją ignorować, w końcu da ci spokój. Współczucie. Ważne narzędzie w mojej zbroi. Mój własny kamuflaż.

To boli, nie zrozumcie mnie źle, nie jestem ze stali, ale podpis pod moim zdjęciem – **Milly POJEBUSKA, umie uciekać, ale nie umie się schować** – poprawia mi nastrój. Phoebe nadal nie rozumie.

Moja chęć ucieczki jest żadna.

Chowanie się.

Tak.

Uciekanie.

Nie.

– Chcę, byś wyobraziła sobie, że siedzisz na miejscu dla świadka, jesteś bezpieczna, ekran chroni cię, nie stanie ci się krzywda. Ludzie, którzy mogą cię widzieć, przysięgli, prawnicy oraz sędzia, nie są tam po to, by ci wyrządzić coś złego, tylko by wysłuchać. Wybierz jakiś przedmiot w sali sądowej, coś, co cię uspokaja. Chcę, żebyś patrzyła na ten przedmiot, jeśli jakieś pytanie za bardzo cię zdenerwuje.

– A jeśli nie będę wiedziała, co odpowiedzieć?

– Powiedz prawnikom, że nie rozumiesz, wtedy inaczej sformułują pytanie, będą pytali w inny sposób, aż zrozumiesz.

Mike kończy sesję, dając mi instrukcje dotyczące poranka, mówi, żebym została w swoim pokoju, dopóki Phoebe nie wyjdzie do szkoły. Powiedział jej o moim małym „zabiegu”, z powodu którego nie będę chodziła do szkoły do końca tygodnia. Dziękuję mu, szczerze.

Mój pokój wydaje się bardziej duszny niż zwykle, ogrzewanie w domu jest włączone na cały regulator. Ciężko oddychać. Pośrodku czoła kładzie mi się ciężko migrena, utrudnia widzenie. Koncentruję się na przygotowaniu ubrania, które włożę jutro. Dopiero kiedy wisi na oparciu krzesła, widzę, co wybrałam. Ubranie, które ma zrobić na tobie wrażenie. Spodnie, nie spódnice, prostą białą koszulę, którą włożę do środka jak chłopak. Nie będziesz mogła mnie widzieć, ale wiem, że byś zaaprobowwała ten strój. Nie powinnam tego robić. Nadal próbować cię zadowolić.

Nie dam rady jutro, jeśli dziś w nocy cię zobaczę, jeśli przyjdiesz do mojego pokoju, więc siedzę z zapalonym światłem, czytam *Piotrusia Pana*, a godziny wloką się powoli. To moja ulubiona książka, od samego dzieciństwa.

Pomysł, że lampki nocne są oczami matek strzegących swoich dzieci. Modliłam się o taką lampkę, wtedy jeszcze wierzyłam w Boga, ale zamiast tego dostałam ciebie.

W któryś weekend w schronisku oglądałam film z dziećmi. Kiedy Piotruś mówi do Wendy: „Chodź ze mną, gdzie nigdy, przenigdy nie będziesz musiała się martwić o dorosłe sprawy”, pamiętam, że pomyślałam: chciałabym tam pojechać.

Proszę.

Nie śpię przez całą noc, a kiedy nadchodzi rano, otwieram drzwiczki szafki w łazience i ścieram cyfrę. Jeden staje się czasem. Już czas.

Po ubraniu się staję przed lustrem pokazującym całą sylwetkę, z zamkniętymi oczami. Otwieram je tylko po to, by spojrzeć na swój strój, nie podnoszę wzroku na twarz. Z zewnątrz wyglądam na pozbieraną, w koszuli i spodniach wyprasowanych przez Sevite, w czarnych butach, płaskich balerinkach. Ale za to w środku. Wyprzedaż organów. Do góry nogami, tył na przód, za dużo serca w klatce piersiowej. Niewystarczająco.

Wyjmuję z aksamitnego woreczka kamień, który mi dała Saskia, trzymam go w dłoni. Sprzeczne wrażenia, jakie wywołuje dotyk ostrych i gładkich powierzchni, działają uspokajająco. Nie bardzo wierzę w jego moc, ale i tak wkładam go do kieszeni spodni.

I czekam.

Mike przychodzi jakieś dwadzieścia minut później, puka do drzwi, mówi, jesteśmy gotowi, Phoebe już wyszła.

– Powinnaś coś zjeść.

– Nie mogę.

– Musisz, to będzie długi rano, zjedz chociaż kawałek jakiegoś owocu albo batonik z płatkami.

– Może potem.

– Wezmę coś z kredensu, możesz zjeść w samochodzie, jak zmienisz zdanie.

Saskia czeka w przedpokoju, a kiedy się do niej zbliżam, zaczyna bawić się suwakiem kurtki, odpinając go i zapinając. W górę i w dół. Gorączkowy, maniackalny odgłos. Przestaje, kiedy się na nią gapię, usiłuje się uśmiechnąć. Mike wychodzi z kuchni z plastikową torbą pełną jedzenia, którego nie będę w stanie przełknąć. Wsiadamy do jego range rovera z przyciemnianymi szybami, założę się, że kiedy zmienił je po zakupie, do głowy mu nie przyszło, że przydadzą się w takim celu jak dziś. By zasłonić mnie od wścibskich spojrzeń ludzi, którzy spodziewają się mojego przyjazdu.

Podróż do ciebie jest piekłem, prywatnym. Nikt nic nie mówi, wszyscy patrzemy przed siebie, światła syg-nalizacyjne i autobusy, śmieciarka na drodze. Wszechświat mówi mi, nie jedź, trzymaj się z daleka. Mike włącza płytę CD, radio jest zbyt ryzykowne. W nocy dokonano na mnie operacji. W głębi mojego brzucha umieszczono tę chińską czerwoną rybkę używaną do wróżenia. Porusza się w takt muzyki, wywołuje u mnie mdłości przez całą pięćdziesięciminutową jazdę. Nie chcę słyszeć słów Mike'a, kiedy mówi: jesteśmy na miejscu.

Saskia rozgląda się, częstuje mnie miętówką. Odwracam się, patrzę przez przyciemnianą szybę. Wjeżdżamy do środka, zgodnie z poleceniem June. Zamykam oczy, kiedy mijamy fasadę budynku, otwieram je dopiero, kiedy znajdujemy się głęboko pod ziemią. Wiem, jak wygląda tłum, widziałam w wiadomościach. Mike nie pomyślał o odebraniu mi laptopa czy telefonu. Kobiety, od których zabierałaś, które żyły w ukryciu, teraz stoją w świetle dnia zjednoczone w nienawiści. Zaufały ci. Transparent trzymany w tłumie, oko za oko. Prasa i fotografowie są również, ale nie wolno im wejść do środka, przydzielono tylko jednego oficjalnego reportera sądowego. Przywilej. Albo brzemię.

June czeka na nas przy windzie na parkingu, zapewnia mnie, że cię nie zobaczę, jesteś trzymana w celi po drugiej stronie budynku. Fioletowa blizna na mojej ręce pulsuje, kiedy wjeżdżamy windą na górę, sekretne cześć, twój sposób powiadomienia mnie, że jesteś w pobliżu. Wchodzimy do pomieszczenia, które wygląda na świeżo malowane. Na kremowo. Co zrobią z naszym domem, mamusiu, tam nie wystarczy odrobina farby. Saskia pyta, gdzie jest łazienka, my z Mikiem siadamy. Cztery krzesła w pomieszczeniu, miękki materiał, ciemny odcień zieleni. Przysiadam na samym brzeżku, nie chcę czuć, jak coś na mnie napiera. Z tyłu. W środku dziwna sensacja, tak jakby po wejściu do budynku zwiększono napięcie prądu elektrycznego. We mnie.

June proponuje, żebym napiła się wody, sugeruje, żebym skorzystała z toalety, póki można, ale nie jestem pewna, czy mogę zaufać swoim nogom. Oddychaj, po prostu oddychaj. Jakaś pani, której nigdy wcześniej nie widziałam, wtyka głowę zza drzwi.

– Pięć minut, czekamy tylko na sędziego.

Wycieram wnętrza dłoni o spodnie, wyczuwam twardość kamienia od Saskii na swoim udzie. Żałuję, że nie jestem sama, mogłabym policzyć swoje blizny. Mike mówi, że dam radę, wszystko będzie dobrze. Chciałabym mu wierzyć, ale czerwona rybka w moim brzuchu znów robi obrót, przepowiada coś innego. Staram się udać w myślach do swego bezpiecznego miejsca w dziupli drzewa, ale kiedy tam docieram, drzewa nie ma. Zostało ścięte, wzięte jako dowód. Wraca Sas-kia, również kobieta, która pokazała się wcześniej.

– June, sędzia jest gotów.

– Świetnie. Dobrze, Milly, już czas.

Mike wstaje, ja też, chociaż nie jestem gotowa. Wydawałoby się, że powinnam, odliczałam dni, ale coś, może ty, musiało wejść do tego pomieszczenia, przywiązać worki z piaskiem do moich kostek. A MYŚLAŁAŚ, ŻE ZAMIERZAM CI TO UŁATWIĆ, ANNIE? Nie słucham cię, nie mogę. Muszę tylko odpowiadać na pytania. Odpowiadać na nie. Ruszam za June do drzwi. Saskia i Mike ściskają mnie za ramiona, kiedy ich mijam, każde po jednej stronie. Zatrzymuję się, wydaję kamień z kieszeni, pokazuję im. Saskia odwraca się, ze łzami w oczach.

Mike mówi:

– Będziemy tutaj, jak to się skończy, Milly.

Przejdźcie z pokoju rodzinnego na salę rozpraw jest krótkie. Świszczy mi w prawej dziurce nosa, krew jest w drodze. Powinam poprosić o chusteczki, jeszcze mam czas, ale nie jestem w stanie wydobyć głosu. Oszczędzam go na rozprawę. Zatrzymujemy się przed wielkimi drewnianymi drzwiami.

– Otworzą, kiedy będą gotowi – mówi June.

Wkładam kamień do kieszeni, June próbuje wciągnąć mnie w rozmowę.

– Za kilka tygodni masz urodziny, prawda?

Słodka szesnastka. Ale nie chcę o tym myśleć, więc ignoruję June, zamykam oczy, otwieram je dopiero, gdy słyszę poruszenie za drzwiami. Wchodzi woźny sądowy, kiwa na nas.

– Świetnie dasz sobie radę, Milly. Weź głęboki oddech. Gotowa? Chodźmy.

Szmer rozmów na sali sądowej nie tłumi naszych kroków. Oczywiście. Jawnych. June prowadzi mnie na miejsce odwrócone w prawo od wielkiego białego ekranu. Krzesło stoi przodem do sędziego i ławy przysięgłych, kata nie widać. Kiedy siadam, June odchodzi, zajmuje miejsce w pobliżu drzwi, którymi weszliśmy. Świst w moim nosie ustaje, teraz włącza się łomot serca. Wznieca gorączkę, sieje spustoszenie w mojej klatce piersiowej. Widzę sędziego, ma na głowie kremową perukę, siedzi po mojej prawej stronie na podium i jest pogrążony w rozmowie z człowiekiem w todze, prawdopodobnie to jeden z obrońców. Mężczyzna szepcze, sędzia słucha i kiwa głową. Bezpośrednio przede mną znajduje się ława przysięgłych, liczę, że jest siedmiu mężczyzn i pięć kobiet. Dwanaście par oczu spoczywa na mnie, szmer rozmów jest teraz cichszy. Wolno ci patrzeć, powiedział Chudy, ale się nie uśmiechaj, mogłabyś zostać oskarżona o próbę wywierania na nich wpływu. Wywieranie wpływu? Jestem tu tylko po to, by odpowiedzieć na pytania prawników, nic więcej.

Każdy członek ławy przysięgłych ma na drewnianym pulpicie przed sobą plik kartek i długopis. Jedna z kobiet siedząca pośrodku tylnego rzędu coś bazgrze, może też pisze o mnie książkę albo gra w wisielca. Czyja głowa jest w pętli?

Patrzę w lewo, widzę oskarżycieli, są zwrócenii ku sobie, rozmawiają. Na lewo od nich, przy następnym długim stole, siedzi kolejny mężczyzna w todze, krzesło obok jest puste, a on wpatruje się w tego, który rozmawia z sędzią. Spodziewałam się, że zobaczę stenografistkę, szybkie palce nad klawiszami chwytające każde wypowiedziane słowo, ale June powiedziała mi, że wycofano je kilka lat temu, zastąpiono sprzętem nagrywającym obsługiwany przez reportera sądowego.

Jedyną pozostałą jeszcze osobą jesteś ty.

Z planu sali sądowej, który mi pokazano, mniej więcej wiem, gdzie jesteś, za obrońcami, daleko po lewej. Nie zamykam oczu, dziwnie by to wyglądało, ale

nasłuchuję, nastawiam się na odgłosy, które mogą pochodzić od ciebie. Usiłuję wychwycić twój oddech, dobrze go znam. Papierosy, które palisz, mentolowe, wywołują delikatne chrypienie w gardle. Ale nie, nie słyszę cię. Ciągły szelest papieru i szuranie stóp cię zagłuszają. Jestem tak blisko ciebie.

Mężczyzna schodzi z podium, zajmuje miejsce obok drugiego obrońcy. Sędzia patrzy na papiery, które ma przed sobą, spogląda na mnie, podnosi rękę, mówi głośno i władczo:

– Sąd rozpoczyna rozprawę.

Szelesty i szuranie ustają, ale i tak nie mogę cię dosłyszeć. Słyszę tylko własny oddech. Urywany. Zbyt szybki.

– Świadek, proszę wstać.

Moje zeznanie wideo zostało przedstawione, zanim weszłam. Ciekawe, czy jestem taka, jak się spodziewali, czy wyglądam inaczej na żywo. Podchodzi do mnie woźny sądowy, by mnie zaprzysiąc. Wybieram przyrzeczenie zamiast przysięgi, nie wierzę w siłę wyższą.

– Przyrzekam uroczyście, że będę mówić szczerą prawdę...

Pamiętaj o oddychaniu.

– ...niczego nie ukrywając z tego, co jest mi wiadome.

CZEŚĆ, ANNIE.

Nie mogę oddychać.

Staram się zignorować rękę, która chwyta mnie za gardło, i skupiam się na Chudym. Kiedy się podnosi z miejsca i staje twarzą do ławy przysięgłych, wiem, czego się spodziewać. Zostałam przeszkolona, jak mam odpowiadać na zadawane mi pytania. Raz-dwa i będzie po wszystkim, powiedział, kiedy ostatnio się widzieliśmy.

– Panie i panowie przysięgli, obejrzelśmy nagranie wideo z zeznaniami świadka. Chciałbym teraz spytać o coś osobiście.

Odwraca się do mnie.

– Opowiedz własnymi słowami, jak to było mieszkać pod jednym dachem z twoją matką.

Pytanie otwarte. Prawnicy wyjaśnili mi, że będą zadawać pytania, które wymagają w odpowiedzi całego zdania albo jeszcze lepiej całej „opowieści”. Im więcej szczegółów, tym lepiej, powiedział Gruby, wszystkie chwytły dozwolone. Więc zrobiłam, jak mi przykazano, i przećwiczyłam opowieść dla sądu. Jest ona prawdziwa.

– Mieszkanie z moją matką było straszne. W jednej chwili była normalna, na przykład gotowała obiad, a w następnej...

Muszę zaczerpnąć powietrza, zanim to wypowiem. Pierwszy raz usłyszysz, jak mówię o tobie. Zalewa mnie wstyd.

– Spokojnie – mówi Chudy. – Nie musisz się spieszyć.

Próbuję jeszcze raz.

– W jednej chwili była normalna, a w następnej mnie atakowała. Raniła mnie, bardzo.

Pierwsza odpowiedź będzie najgorsza, powiedział Gruby. Jak już zaczniesz, pójdzie dobrze. Znajdę obiekt do patrzenia, skupiam się na nim. Tabliczka na ścianie nad ławą przysięgłych. Chudy prosi, bym opisała pierwszy raz, kiedy zobaczyłam, jak krzywdzisz dziecko.

Mówię, że widziałam, jak bijesz pierwszego chłopca, którego zabrałaś. Nie mówię przysięgłym tego, co powiedziałaś, kiedy nazwałam cię okrutną po uderzeniu tego drobnego ciała. Powiedziałaś, to nie okrucieństwo, to miłość. Zła miłość, odpowiedziałam. Potem mnie za to ukarałaś.

Nie ma.

Smgnięcie.

Czegoś takiego.

Smgnięcie.

Jak zła miłość.

Plwocina twoja, krew moja, połączone.

Nie mówię przysięgłym, że powiedziałaś, że to była miłość, bo moi prawnicy mi zakazali. Dlatego że wtedy, zgodnie ze swoim życzeniem, zostałabyś skazana z uwzględnieniem zmniejszonej poczytalności. Bo tylko osoba, która jest szalona, obłąkana, mogłaby wierzyć, że to, co robiłaś, jest miłością.

Następnie Chudy pyta mnie, czy chciałam pomagać dzieciom, które krzywdziłaś. Milczę przez chwilę, znów skupiam się na tabliczce, wspomnienia jak pociski przelatują mi przez głowę.

Jayden. Ben. Olivia. Stuart. Kian. Alex. Sarah. Max. Daniel.

Jayden. Ben. Olivia. Stuart. Kian. Alex. Sarah. Max. Daniel.

Nie lubiłaś używać ich imion, każdemu nadawałaś numer. Nie mogę się doczekać dziesiątki, powiedziałaś, kiedy odwoziłaś mnie do szkoły rankiem po śmierci Daniela. Ale ja nigdy nie zapomniałam ich imion. Ani tego, jak stałam przy wizjerze, z ręką na gałce u drzwi, starając się do nich dostać, powstrzymać cię.

Twój głośny śmiech. Dziecko, które było z tobą, krzychało głośniej.

– Czy świadek potrzebuje przerwy? – pyta sędzia.

TAK PRĘDKO, JEJKU, JEJKU. MYŚLAŁAM, ŻE LEPIEJ CIĘ PRZYUCZYŁAM, ANNIE.

Owszem.

Odpowiadam:

– Nie, dziękuję.

– Powtórzę pytanie. Czy chciałaś pomagać dzieciom, które krzywdziła twoja matka?

Dwanaście par oczu wgapionych we mnie. Wyczekująco.

– Tak, bardzo.

– Ale nie mogłaś, prawda? – ciągnie Chudy. – Ponieważ nie dość, że sama byłaś ofiarą, to jeszcze pokój używany przez oskarżoną do znęcania się nad dziećmi i mordowania ich pozostawał zamknięty. Czy tak było?

– Tak.

– Powiedz, proszę, sądowi, kto miał klucz.

– Moja matka.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie, mamy dowody, które wskazują na to, że świadek również miała dostęp do pokoju.

– Jakie to dowody? – pyta sędziego.

Jeden z obrońców wstaje, mówi:

– Proszę sędziów przysięgłych o otwarcie na stronie piątej raportu, w którym wymienia się szczegółowo dowody zabrane z domu zajmowanego zarówno przez moją klientkę, jak i przez świadka. Wymienia się tam kilka dziecięcych zabawek znalezionych w tak zwanym zamkniętym pokoju. Zabawek należących do świadka. Jest to pluszowy miś z imieniem świadka przyszytym do ucha oraz lalki z zestawu, którego resztę znaleziono w pokoju świadka. Twierdzimy, że to świadek osobiście umieściła te zabawki w tak zwanym zamkniętym pokoju.

– Wysoki Sądzie, chciałbym spytać, jaki dowód ma obrona na poparcie tej tezy – ripostuje Chudy. – Matka mogła umieścić tam te przedmioty bez wiedzy świadka.

– Proszę obronę o odpowiedź.

Wstrzymuję oddech, kiedy obrońca zaczyna mówić. Kamienieję ze strachu na myśl o tym, co mogę usłyszeć. Pewnie ma różne asy ukryte w rękawie tej swojej togi.

– Wydaje mi się wysoce nieprawdopodobne, że oskarżenie oczekuje, iż sąd uwierzy, że to nie świadek umieściła te zabawki w pokoju. Oskarżenie prosi sąd, by uwierzył, że moja klientka, jak dotąd przedstawiana jako zła i nieczuła, umieściła przedmioty mające nieść pocieszenie dzieciom w zamkniętym pokoju, niby dlaczego? Z dobroci serca? Bardzo w to wątpię. Dlatego stawiam na świadka. Pod wpływem troski umieściła tam zabawki, udowadniając, że ona również miała dostęp do pokoju.

Robię wydech. Odpowiedział tak, jak się tego spodziewaliśmy, tak jak przewidzieli moi prawnicy. Wiem, o co Chudy mnie teraz zapyta.

I wiem, jak odpowiedzieć.

MĄDRA Z CIEBIE DZIEWCZYNIKA, ANNIE. MAM NADZIEJĘ, ŻE TAK CI ZOSTANIE.

– Proszę pozwolić, że spełnię oczekiwania obrony, skoro muszę – ciągnie Chudy.

Odwraca się twarzą do mnie.

– Czy to ty umieściłaś wymienione w raporcie zabawki w pokoju? Czy rzeczywiście miałaś do niego dostęp?

– Kładłam tam zabawki, ale tylko wtedy, gdy pokój był pusty i niezamknięty na klucz. Myślałam, że może to pomóc komuś, kogo matka przyprowadzi tam następnym razem. Kiedy ktoś przebywał w pokoju, nie miałam do niego dostępu, był tylko jeden klucz. Matka trzymała go w tym samym pęku kluczy, co kluczyki do samochodu, codziennie zabierała je do pracy.

Obrońca, który jeszcze będzie mówił, pisze coś na kartce, podkreśla. Drugi prawnik patrzy na to, kiwa głową. Podnosi kartkę, przechyla się w prawo, a moje lewo, aż prawie znajduje się poza swoim siedzeniem. Jego prawa, moja lewa. Ty. Czeka parę sekund, kiwa, patrząc w twoim kierunku, wsuwa się z powrotem na swoje miejsce, nie ma już w rękach kartki. Cokolwiek napisał, zostawił to u ciebie. Nie czuję się już dobrze, nie chciałam tego widzieć, transakcji pomiędzy nim a tobą, nie na tuż przedtem, kiedy przechodzimy do następnej kwestii. Tej, która najbardziej mnie niepokoi.

– Czy znałaś chłopca, który nazywał się Daniel Carrington? – pyta Chudy.

– Tak, ze schroniska, w którym pracowała moja matka.

Patrzę na ławę przysięgłych, nienaumyślnie. Cała dwunastka trzyma w rękach długopisy w gotowości.

– Opowiedz sądowi o tej nocy, kiedy twoja matka przywiozła go do domu, to była środowa noc.

Wiem, pamiętam.

– Przywiozła go, kiedy spałam, zazwyczaj tak właśnie robiła, przywoziła je w nocy, żeby nikt nie widział. Czasami je odurzała, żeby były cicho.

– A więc nie widziałaś Daniela tej właśnie nocy?

– Widziałam. Obudziła mnie.

– Wyjaśnij, proszę, sądowi, co się stało, kiedy cię obudziła.

– Kazała mi podejść do wizjera, żebym zobaczyła, kto to jest.

– Chciała cię zaszokować, ponieważ znałaś Daniela, poznałaś go wcześniej w schronisku?

– Tak.

– Co stało się potem?

– Weszła do pokoju, zamknęła drzwi za sobą i kazała patrzeć.

– Patrzeć na co?

– Kiedy robiła mu różne rzeczy. Złe rzeczy.

– A więc powtórzę: matka obudziła cię i kazała patrzeć, jak krzywdzi małego chłopca, którego przywiozła do domu. Tym chłopcem był Daniel Carrington.

– Tak.

– Co jeszcze wydarzyło się tej nocy? – pyta Chudy.

WCIAŻ TU JESTEM, ANNIE. SŁUCHAM. WSZYSCY SŁUCHAJĄ.

Wszyscy sędziowie przysięgli poruszają teraz długopisami. Nie patrz na nich. Patrz w bezpieczne miejsce.

– Rozzłościła się na Daniela, zaczęła go bić.

– Musiało być ci trudno na to patrzeć. Znałaś Daniela, lubiłaś go.

– Nie patrzyłam, zamknęłam oczy.

– Co stało się później?

– Wyszła z pokoju, zamknęła drzwi na klucz i poszła spać.

– A więc twoja matka zostawiła Daniela w pokoju zamkniętym na klucz?

– Tak.

– Powiedz, proszę, sądowi, jak się dowiadywałaś, że jakieś dziecko zostało przywiezione do domu i umieszczone w pokoju naprzeciw twojej sypialni.

– Drzwi były zamknięte. Były zamknięte na klucz tylko wtedy, gdy ktoś przebywał w środku.

– I pewnie następnego dnia poszłaś do szkoły?

– Tak, matka zawiozła mnie jak zawsze.

Jeden z obrońców patrzy w swoje prawo, lekkie skinienie głową w twoim kierunku. Potwierdzenie czegoś. Ale czego?

– Kiedy więc zobaczyłaś Daniela następnym razem?

– W czwartek wieczorem.

– Widziałaś go przez wizjer, prawda?

– Tak.

– Czy w jakimś momencie miałaś kontakt fizyczny z Danielem, gdy przebywał w pokoju zamkniętym na klucz? Czy miałaś możliwość pocieszenia go albo przytulenia?

– Nie, drzwi były zamknięte przez cały czas. Ale miałabym z nim kontakt fizyczny, gdybym nie poszła na policję w piątek, dzień po tym, jak moja matka go zabiła.

Jeden z obrońców wstaje i mówi:

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie, mamy zamiar dowieść, że nasza klientka powinna być zwolniona z tego zarzutu. Z sekcji zwłok wynika jasno, że przyczyną śmierci Daniela było uduszenie. Gdy go znaleziono, leżał twarzą w dół na materacu. Podczas jutrzejszego przesłuchania świadka rozważymy inną możliwość przyczyny jego śmierci.

– Odrzucony, świadek jedynie odnosi się do swych pierwotnych zeznań, zgodnie z oczekiwaniami sądu.

Inna możliwość. Co to znaczy? Przeglądziłaś swoich prawników, prawda? Gdybyś ty grała w wisielca, to moja głowa znalazłaby się w pętli.

– Dlaczego miałybyś kontakt fizyczny z Danielem, gdybyś nie poszła na policję? – pyta Chudy.

– Bo moim obowiązkiem było...

Przerywam, tak jak mi polecił na naszej próbnej sesji. Pozwól ławie przysięgłych dojść do siebie, powiedział Chudy.

– Nie spiesz się, napij się wody, jeśli potrzebujesz – sugeruje.

Tak robię. Chudy prosi, bym powiedziała sądowi, co było moim obowiązkiem.

– Sprzątanie po.

– Po czym?

– Po tym, jak je zabiła.

Dziewięć z dwunastu osób w ławie przysięgłych, wszystkie kobiety i czterech mężczyzn, zmienia pozycję na swoich miejscach. Pocieranie czoła, odchrząkiwanie. Dźgnięcie w samo oko, oślepiające. Jeszcze długo po zakończeniu procesu nie będą mogli spokojnie spać. Zmienieni na zawsze, przez ciebie. Wszyscy będziemy.

NA RAZIE DOBRZE SOBIE RADZISZ, ANNIE, ZAWOJOWAŁAŚ PUBLICZNOŚĆ, ALE CO Z MOIMI PRAWNIKAMI, CZY WIESZ, JAK ICH ZAWOJOWAĆ? CO BĘDZIE JUTRO?

Biorę kolejny łyk wody, staram się skupić wzrok na tabliczce nad ławą przysięgłych, ale ona wciąż się porusza. Staje się zamazana, a po chwili znów wyraźna. Nie uspokaja tak jak przedtem.

– W trakcie składania zeznań nagranych na wideo powiedziałaś, że twoja matka zabiła Daniela. Skąd mogłaś to wiedzieć, skoro nie miałaś dostępu do pokoju? – ciągnie Chudy.

– Widziałam przez wizjer, jak to zrobiła.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie.

– Odrzucony, niech świadek kontynuuje.

– Co dokładnie widziałaś? – pyta Chudy.

– W czwartek wieczorem, dzień po przywiezieniu Daniela do domu, poszła na górę do pokoju.

– Pokoju, który nazywała placem zabaw?

– Tak. Nie kazała mi iść ze sobą i patrzeć, jak zazwyczaj robiła, więc po jakimś czasie poszłam na górę.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Martwiłam się o Daniela, chciałam mu pomóc, więc poszłam na górę i spojrzałam przez wizjer.

– Powiedz, proszę, sądowi, co zobaczyłaś.

Nie mogę wydobyć słów.

Pokój zaczyna trochę pływać mi przed oczami, tak samo jak kontury twarzy, które mam przed sobą. Dłonie trzymające długopisy. Lakier do paznokci. Chcę, żeby przestali pisać. O czym oni piszą? O mnie? To nie o mnie powinni pisać.

– Czy mam powtórzyć pytanie? – pyta Chudy.

– Tak, poproszę.

– Kiedy spojrzełaś przez wizjer w czwartkową noc, kolejną noc po przywiezieniu do domu Daniela, to co zobaczyłaś? Co robiła twoja matka?

– Zobaczyłam, jak moja matka przyciska mu poduszkę do twarzy. Próbowałam dostać się do pokoju, ale zamknęła go od środka.

Czuję, jak łzy napływają mi do oczu, widzę go. Daniela. Wzywającego swoją mamusię. Był taki maleńki, na łóżku.

– Widać, że świadek jest rozstrojona, może dobrze byłoby zrobić przerwę? – pyta sędzia.

– Chcę to już mieć za sobą.

– Zapewne, ale czy jesteś w stanie mówić dalej? – pyta, pochylając głowę i patrząc na mnie ponad okularami.

Odpowiadam, że tak, ponieważ jestem to winna Danielowi i pozostałym.

– Powiedz, proszę, sądowi, jak długo twoja matka przyciskała poduszkę do twarzy Daniela.

– Długo. Wystarczająco długo, by go zabić.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie, świadek nie jest ekspertem medycznym, więc nie może ocenić, ile czasu może zająć komuś umieranie.

– Podtrzymany, proszę ławę przysięgłych o zignorowanie ostatniego komentarza świadka.

– Czy możesz powiedzieć sądowi o tym, jak ostatni raz widziałaś Daniela w czwartkową noc? Gdzie był i co robił? – pyta Chudy.

– Leżał na łóżku, bez ruchu. Mama zeszła do salonu. Próbowałam wołać do niego przez wizjer, ale nie odpowiadał, nie poruszał się, więc wiedziałam, że już nie żyje.

– I następnego dnia poszłaś na policję i doniosłaś na swoją matkę.

– Tak, Daniel to było zbyt wiele. Chciałam, żeby to się wreszcie skończyło.

Słyszę, jak ktoś po lewej głośno wydycha powietrze. Ty. Może próbujesz wytrącić mnie z równowagi, kolejna figura przesunięta na szachownicy. Laufer albo król.

Chudy kontynuuje, pyta o to, jak mnie kontrolowałaś, zastraszałaś. Latarka, którą świeciłaś mi w twarz, szepcząc groźby, pozbawianie snu, psychologiczne tortury w różnych grach, które prowadziłaś, ataki fizyczne. Także nocne epizody. Członkowie ławy przysięgłych wzdrygają się i mrugają, słuchając tego wszystkiego. Wiedziałaś, że Chudy będzie to robił, powiedział mi, że to konieczne, by dać w sądzie obraz sytuacji, pokazać, że byłaś poczytalna, zdolna do stosowania tych metod przez wiele lat, cały czas utrzymywałaś szanowaną społecznie pracę. Kiedy mówię sądowi, gdzie kazałaś mi umieszczać ciała, w piwnicy, tym razem cała dwunastka z ławy przysięgłych się wierci. Zatrważające. Zatrwożeni.

Wiem, że dobrze mi idzie, ponieważ zmierzamy do ostatnich kilku pytań, a jak dotąd się nie potknęłam. Twój głos jest teraz cichy. Wytrzymuję.

Chudy odwraca się twarzą do ławy przysięgłych i mówi:

– Nie zapominajmy, że świadek, którego mamy przed sobą, jest dzieckiem. Dziecko to było przyuczane i seksualizowane od bardzo wczesnego wieku, w domu, z którego jedno dziecko, syn, zostało wcześniej zabrane i umieszczone w ośrodku opiekuńczym.

ZOSTAŁ ZABRANY.

Bo chciał, żeby go zabrano.

NIGDY WIĘCEJ TAK NIE MÓW, ANNIE. NIE WAŻ SIĘ.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie, do czego to ma prowadzić?
– Tak, zgadzam się, proszę, by oskarżenie nie oddalało się od tematu.
– Czy świadek może przypomnieć sądowi, ile ma lat? – pyta Chudy.
– Piętnaście.
– Piętnaście, panie i panowie. A czy możesz powiedzieć, ile miałaś lat, kiedy matka zaczęła molestować cię seksualnie?

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie.

– Podtrzymany, to nie ma związku ze sprawą.

Miałam pięć lat. To stało się wieczorem po moim przyjęciu urodzinowym.

– Nie mam dalszych pytań, Wysoki Sądzie.

– Wobec tego świadek może odejść.

June mówi Mike'owi i Saskii, że byłam „świetna”, bardzo dobrze sobie poradziłam. Wyglądają, jakby im ulżyło, i ustalają, że jutro przywiozą mnie do sądu o dziewiątej. Kiedy wyjeżdżamy, znów zamykam oczy, otwieram je kilka ulic dalej. Po przyjeździe do domu jemy lunch, potem mówię im, że idę się położyć, kiwają głowami. Śpij, jak długo ci trzeba, obudzimy cię, jeśli nie zejdziesz na kolację, mówi Mike. Kiedy sprawdziłam telefon w samochodzie, była tam wiadomość od Morgan, że poszła na wagary, czy może przyjść się ze mną zobaczyć wieczorem. Odpowiedziałam, że może przyjść wcześniej, zadzwonię i powiem kiedy. Dzwonię do niej zaraz po wejściu do swojego pokoju, wiedząc, że Mike i Saskia są we frontowej części domu. Mówię, żeby się pospieszyła. Po kilku minutach zjawia się na balkonie, bez tchu, żartuje, że ma taką słabą kondycję jak jej babcia. Leżymy na waleta na moim łóżku, ona bez przerwy się wierci, pakuje mi stopy na twarz. Łaskoczę je, grożę, że odgryzę jej palce, jak nie przestanie. Śmieje się, mówi, chciałabym zobaczyć, jak próbujesz.

Ja bym nie chciała, odpowiadam w myślach, siadając.

– Jak to się stało, że też nie poszłaś do szkoły? – pyta.
– Musiałam pojechać do sądu, odpowiedzieć na różne pytania dotyczące mamy.

– Dlaczego? Myślałam, że od lat jej nie widziałaś.

Kolejne kłamstwo. Próby zapamiętania, kto co wie, są bardzo męczące.

– Chcieli spytać, jak się zachowywała, kiedy byłam mała.

– A jaka była?

– Nie chcę o tym mówić.

– Jak to możliwe, że nikt nie wiedział, co robiła?

– Była sprytna. Robiła wrażenie.

– Jakie?

– Ludzie ją lubili, ufali jej. Wiedziała, jak ich oszukać.

– Pamiętasz to wszystko z dzieciństwa?

– Tak, chyba, i czytałam o tym w wiadomościach.

– Kiedy twój tata umarł, musiałaś się czuć samotna bez braci i sióstr.

Kiwam głową, to prawda. Czułam się samotna, kiedy Luke odszedł. Cieszę się, że nie będą pytać mnie o niego w sądzie, członkowie ławy przysięgłych zastanawialiby się, dlaczego on znalazł wcześniej sposób, by uciec, a ja nie. Te wszystkie bójki, które wywoływał, kradzieże. Robił wszystko, co mógł, byleby go zabrali, ukarali w miejscu lepszym od domu. Wszystko, byle tylko nie wyjawić prawdy o tobie, wstyd, który odczuwał z powodu tego, co mu robiłaś latami.

– Jak było tam, gdzie mieszkałaś? – pyta Morgan.

– Czemu pytasz?

– Było zupełnie inaczej niż tutaj?

– To było na wsi, wokół rosło dużo drzew. I wszędzie roiło się od ptaków, obserwowałam je godzinami.

– A jakie to były ptaki?

– Szpaki.

Szemranie szpaków.

– Latały chmarą, poruszały się w doskonałej jedności, nurkując w powietrzu i wznosząc się, jakby były jedną istotą. Tajemny język, przechył skrzydeł, trzepot piór. Leciały w górę, w dół, latały wokół, nigdy się nie zatrzymywały.

– Tajemny język? Jak gdakanie albo krakanie?

– Nie, coś o wiele piękniejszego, bardziej subtelnego.

– Dlaczego tak ciągle latały, w górę i w dół?

– Żeby większe ptaki nie mogły ich złapać.

– Czy myślisz, że twoja mama została złapana, bo za mało się przemieszczała?

– Może.

– Czy czasem źle się z tym czujesz, znaczy wiem, że to wszystko nie była twoja wina, ale to jednak twoja mama, prawda?

– Przychodzą do mnie w nocy.

– Kto?

– Proszą, bym im pomogła, ale ja nie potrafię.

– O kim mówisz? Zachowujesz się dziwnie, nie podoba mi się to. Przerażasz mnie.

Ja tylko jestem sobą.

– Pomówmy o czymś innym, Mil. Opowiedz mi inną historię, o innych ptakach, które były tam, gdzie mieszkałaś.

Twarz Morgan działa na mnie kojąco, jej piegi, blade, nie brązowe, czuję spokój, kiedy na nią patrzę. Przesuwam się do zagłówek, tak że teraz leżymy obok siebie.

– Gotowa? – pytam.

– Tak.

– Było późno w nocy. Myłam ręce w umywalce w moim pokoju. Usłyszałam coś za plecami, drapało w okno.

– Przestraszyłaś się?

– Nie, odwróciłam się, a to tam było.

– Ale co?

– Gapilo się na mnie, wielkimi ślepiami, które były jak spodki otoczone bielą.

– Co to było?

– Sowa za oknem. Obróciła głowę dookoła szyi, by dać mi znak.

– Dać znak, że co?

– Że widziała, co robiłam.

– Co to znaczy? Co robiłaś?

– To, co mi kazano.

– Ale kto ci kazał?

– Nieważne.

– Co było potem?

– Sowa odleciała. To, co widziała, rzeczy, które robiłam, były zbyt straszne, by mogła zostać.

Wybuchła śmiechem, mówi, że jestem straszną zgrywuską, powinnam zostać aktorką.

– To jeszcze nie koniec historii.

– Co, teraz może powiesz, że sowa wróciła?

– Nie, nigdy nie wróciła, ale często o niej myślę, o kształcie jej oblicza, sercowatym. Spojrzała w moje okno i odleciała.

To, co ujrzała, było zbyt brzydkie, by zasługiwało na miłość.

Niewiele pamiętam z tego, jak dotarłam dziś do sądu, samą jazdę. Pokój pomalowany na kremowo. Znow jestem na miejscu dla świadka, jeden z obrońców stoi przede mną. Belzebub. Patrzę uważniej, ale nie ma na co, widzę tylko poważną twarz, togę, pod nią garnitur, palec serdeczny jest nagi, bez obrączki. Singiel? Rozwiedziony? Wątpię, by miał dziecko, które leży teraz w domu, w ciepłym łóżeczku. Jak mógłby mieć, skoro broni ciebie?

Działa subtelnie, powoli, jest lepszy, niż sądzili moi prawnicy, o wiele lepszy. Zorientowałam się, dokąd zmierza, dopiero gdy już tam był.

Przy samym gardle.

Moim.

– Lubisz dzieci, lubisz się z nimi bawić?

– Tak.

– Tak właśnie poznałaś Daniela Carringtona, prawda?

– Nie bardzo rozumiem.

– Bawiłaś się z nim w miejscu pracy twojej matki, prawda?

– Tak, raz czy dwa.

– Raz czy dwa? Mam tu oświadczenia, jedno matki Daniela, a drugie kobiety, która mieszkała w sąsiednim pokoju w schronisku. Twierdzą zgodnie, że bawiłaś się z Danielem wiele razy w ciągu kilku tygodni, że wspaniale się nim opiekowałaś, przynosiłaś mu łakocie. Czy to prawda?

To nie mój proces, w każdym razie nie publiczny, ale słyszę, jak w mojej głowie odzywa się chór.

Koniec z tobą.

Jego pytania brzmią znajomo, przeciwczyłam je, ale dziś, po nieprzespanej nocy, bo znow się przed tobą chowałam, nie pamiętam, jak mam odpowiadać.

– Proszę świadka o odpowiedź. Czy bawiłaś się z Danielem wiele razy w ciągu kilku tygodni? Wystarczy tak lub nie

– Tak.

A więc okazuje się, że skłamałam, członkowie ławy przysięgłych skrobią coś na swoich kartkach.

Szew wewnątrz mnie się rozluźnia, pruje. Wychodzi trochę wypełniacza. I o wiele więcej, kiedy obrońca zmienia kierunek pytań. Oczywiście jest to gwałtowna zmiana kierunku. Taktyka brudnych chwytów.

– Kiedy twój starszy brat został zabrany do ośrodka opiekuńczo-wychowawczego, dlaczego nie powiedziałaś pracownikowi socjalnemu, który z tobą rozmawiał, że był molestowany seksualnie przez waszą

matkę? Dlaczego skłamałaś?

Chudy natychmiast skacze na równe nogi, by zaproponować.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie, co za skandaliczne roszczenie, podczas tamtej rozmowy świadek miała cztery lata.

– Podtrzymany. To nie ma związku ze sprawą i pora przypomnieć obrońce, że przesłuchuje osobę nieletnią.

Przez wiele tygodni jeździłyśmy do ośrodka, żeby cię zobaczyć, Luke, ale ty kopałeś, nie chciałeś wychodzić z pokoju, nie pozwalałeś nam obu się do siebie zbliżyć. Byłeś odważniejszy ode mnie. Przepraszam, że im nie powiedziałam, ale ty też tego nie zrobiłeś. Bałam się, zapewniała mnie, że tylko się z tobą bawiła, że lubiłaś te fajne zabawy.

Zdiagnozowano u ciebie zaburzenia zachowania, starała się namówić specjalistów, by pozwolili ci wrócić do domu, tłumaczyła, że to nie twoja wina, że to pewnie spóźniona reakcja na odejście ojca. Zdemolowałaś świetlicę w nocy po naszej wizycie i specjaliści orzekli, że bezpieczniej dla wszystkich będzie, jak zostaniesz w ośrodku. Żałuję, że im nie powiedziałam, żałuję, że nie wiedziałam, jak to zrobić, bo w domu zrobiło się potem o wiele straszniej. Zostałam małą pomocnicą mamusi, ale ja jej nie wystarczałam. Nie byłam chłopcem.

Obrońca patrzy na sędziego i mówi:

– Chciałbym zadać świadkowi pytanie w związku z jej twierdzeniem, że widziała, jak matka zabiła Daniela Carringtona.

Sędzia patrzy na mnie, pyta, czy jestem gotowa. Trzeba powiedzieć, że tak. Żeby z tego wyjść, muszę przez to przejść. Słowa Mike'a dźwięczą mi w głowie.

– Tak, jestem gotowa – odpowiadam sędziemu.

Kiwa głową i mówi obrońcy, by kontynuował.

– Powiedziałaś, że widziałaś, jak matka zabiła Daniela Carringtona.

– Tak, widziałam, tak mi się wydaje. Nie ruszał się po tym, jak wyszła z pokoju.

– Tak ci się „wydaje”. W trakcie zeznań nagranych na wideo powiedziałaś, że widziałaś, jak twoja matka zabiła dziewięcioro dzieci. Czy chcesz teraz powiedzieć, że nie masz pewności, czy zabiła Daniela Carringtona?

– Jestem pewna, tylko że trudno to wyjaśnić.

NO WŁAŚNIE, ANNIE, TRUDNO, PRAWDA?

Do tej pory, kiedy była mowa o Luke'u, siedziałaś cicho, ale teraz już nie. Wychyłasz się wyczekująco ze swojego miejsca.

– Co trudno wyjaśnić? – pyta obrońca.

Kolejny szew pęka, jeszcze więcej wypełniacza wyłazi ze środka. Moje usta. Suche. Sięgam po szklankę z wodą, która stoi na stoliku po prawej, rozlewam trochę, ręce mi się trzęsą. Na krawędzi. Ja. Jestem.

– Nie ruszał się, więc musiała go zabić – odpowiadam.

– Ale nie możesz mieć co do tego pewności, prawda? Stwierdzono, że śmierć Daniela nastąpiła przez uduszenie. Może doszło do niej samoistnie, kiedy pozostawiono go na materacu z obrażeniami uniemożliwiającymi poruszenie się? A więc nie poniósł śmierci bezpośrednio z rąk mojej klientki.

– Nie, nie sędzę. Nie jestem pewna.

– Wygląda na to, że dziś wielu rzeczy nie jesteś pewna. Ciekaw jestem, co byś powiedziała, gdybym spytał cię o zapasowy klucz do pokoju, w którym przetrzymywane były dzieci, klucz, do którego według mojej klientki miałaś dostęp.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie. To nie świadek jest tu sądzona – przerywa Gruby.

– Podtrzymany, proszę, by obrona skupiła się na przesłuchiowaniu świadka, zamiast głośno dywagować i przedstawiać sądowi swoje komentarze.

Prawnik kiwa głową, podchodzi do mnie.

– Gdzie był Daniel, kiedy widziałaś go po raz ostatni?

– Na łóżku w pokoju, który nazywała pokojem zabaw.

– Czy możesz opisać, w jakiej leżał pozycji?

– Na plecach, to znaczy plecami do góry. Leżał twarzą w dół na materacu.

Członkowie ławy przysięgłych świdrują mnie wzrokiem. Ciągłe coś skrobą. Kłamczucha, kłamczucha, myślą. Z nosa ci się kurzy.

– To w końcu jak on leżał? Na plecach czy plecami do góry?

Trzymam kamień, który mi dała Saskia, trzaskają mi kostki, kiedy zaciskam wokół niego pięść. Myślę tylko o tym, że June miała rację, występując jako adwokat diabła: co będzie, jeśli ona nie da rady? Jeśli osobisty udział, odpowiadanie z miejsca dla świadka okaże się dla niej zbyt trudne?

Znów odzywa się sędzia, pyta tak jak wczoraj, czy świadek potrzebuje przerwy?

Jeśli to przyniesie szczęście, to tak, poproszę.

– Nie, dziękuję.

Prawnik ciągnie dalej.

– A więc by ostatecznie sprawę wyjaśnić: w jakiej pozycji leżał Daniel?

Jest osiem maluszków ukrytych w piwnicy, a jeśli-li dziewiąty maluszek także umrze... czyja to będzie wina?

– Twarzą w dół – odpowiadam.

– I tym razem jesteś tego pewna?

Kiwam głową.

– Proszę świadka o wyraźną odpowiedź.

– Tak, jestem pewna.

Tak samo jak moje milczenie wytrąca z równowagi Phoebe, twoje denerwuje mnie. Pewna siebie. Tak się czujesz. Oczekujesz, że się popłaczę, ale skrycie chyba

jednak pragniesz, by było inaczej. Świadczenie tego, jak dobrze mnie wyuczyłaś, że potrafię trzymać się swego, chociaż wytrawni prawnicy usiłują mnie zbić z pantafelku. Zmusić, bym rozluźniła koniuszki palców wczepionych w krawędź budynku. Długi upadek.

– Moja klientka twierdzi, że dzień po przywiezieniu Daniela do domu, w czwartek, poszła do pracy i niespodziewanie została tam do późna. – Odwraca się do mnie. – Pojechałaś do domu autobusem szkolnym, potwierdził to kierowca, zapamiętał to, bo, jak powiedziałaś wczoraj, twoja matka zazwyczaj cię odwoziła, co oznacza, że byłaś w domu sama przez ponad dwie godziny, zanim wróciła do domu. Zgadza się?

Jego skinienie w twoją stronę wczoraj, kiedy powiedziałam, że zwykle mnie odwoziłaś. Podkreślenie ogrzewanie. Nie mogę oddychać. Bardzo dobrze. Ty. Ja. Obie jesteśmy świadkami, byliśmy tam. Widziałam cię. Czuję, jak zaciska mi się klatka piersiowa. W głowie zamęt.

Proszę o powtórzenie pytania.

Pani siedząca w drugim rzędzie ławy przysięgłych zakreśla coś kółkiem na kartce przed sobą, podnosi na mnie oczy, wpatruje się we mnie. Odwracam wzrok, staram się skoncentrować na tym, o co może spytać zaraz obrońca, ale to nie ma sensu, nie przygotowaliśmy się na te pytania. Nie powiedziałam swoim prawnikom, że byłam sama w domu, oni nigdy mnie o to nie pytali, to nie ja jestem oskarżona, to nie mój proces, nie było potrzeby sprawdzać, czy odwoziła mnie do domu tego dnia, czy wróciłam autobusem. Twarze moich prawników są jak skamieniałe, nielekko im. Dziś nie radzę sobie dobrze i z przykrością muszę stwierdzić, że sprawy mogą przybrać gorszy obrót, o wiele gorszy, jeśli powiem prawdę. Uwolnię gołębia pocztowego uwięzionego w klatce piersiowej, pozwolę mu wykonać zadanie. Dostarczyć wiadomość.

Obrońca pyta mnie znowu, czy byłam w domu sama z Danielem w czwartkowe popołudnie, kiedy jeszcze żył i przebywał w pokoju.

– Tak – odpowiadam.

Chudy i Gruby wymieniają spojrzenia, wiem, co sobie myślą, co za nowina, bardzo, kurwa, zła nowina, to nie jest odpowiednia pora, żeby się dowiadywać nowych rzeczy. Obrońca wyczuwa moją chęć, potrzebę ujawnienia. Już to widział, masuje plecy, podczas gdy nadal zmierza do gardła. Ścisza głos, łagodni ton, dodaje mi otuchy, usiłuje mnie wciągnąć.

– Czy próbowałaś otworzyć drzwi do pokoju, w którym był Daniel?

Już mam powiedzieć tak, tak, próbowałam, ale ktoś kaszle. Ty. Wiem, że to ty, znam wszystkie odgłosy, jakie wydajesz. Ale dlaczego zakasłałaś? Czyżbyś niepokoili się, jak odpowiem, martwiła, że gra się skończy w kilka minut, jeśli już dłużej nie wytrzymam, pęknię pod naciskiem. Byłabyś taka zawiedziona. Rozczarowanie. I jak by to świadczyło o tobie, mojej nauczycielce. Nie martw się.

Nie zrobię tego, chociaż skłamałabym, mówiąc, że o tym nie myślałam. Pokusa powiedzenia prawdy, jak by to mogło smakować. Jak bym się z tym czuła? I czy byłoby warto, czy nadal musiałabym żyć z wężem i duchami dziewięciu maluszków bawiących się u mych stóp? Mimo wszystko.

– Świadek sprawia wrażenie nieobecnej. Powtórzę pytanie. Czy próbowałaś otworzyć drzwi?

– Tak, próbowałam, ale były zamknięte na klucz.

– A więc w żadnym momencie nie weszłaś do pokoju, w którym był Daniel?

– Nie.

– Nigdy nie weszłaś do pokoju, nie dotknęłaś Daniela, nie próbowałaś go pocieszyć?

– Zrobiłam to.

– Co zrobiłaś? Weszłaś do pokoju czy próbowałaś go pocieszyć?

– Próbowałam go pocieszyć.

– W jaki sposób?

CZEŚĆ, ANNIE.

Kamień wypada mi z ręki, łąduje pod stołem, na którym stoi szklanka z wodą, dźwięk rozbrzmiewa głośno, odbity od drewnianego stanowiska dla świadka. Zbyt wiele par oczu do policzenia, wszystkie skupione na mnie. Spoglądam na June, daje mi sygnał, żebym zostawiła kamień, ale ja chcę się schylić, by go podnieść, tak żebym mogła się schować i nigdy już nie pokazać.

– W jaki sposób pocieszyłaś Daniela?

Ten prawnik jest jak pitbul. Zęby wbite w ciało. W cokolwiek się da.

– Mówiłam do niego przez wizjer.

– W takim razie wtedy jeszcze żył, kiedy mówiłaś do niego przez wizjer?

– Tak.

– Co mu powiedziałaś?

– Że jest mi przykro, że wkrótce to się skończy, że wszystko będzie dobrze.

Prawda.

– Co się skończy? Skąd mogłaś to wiedzieć, nie jesteś przecież swoją matką, prawda? Nie miałaś pojęcia, jak długo chłopiec będzie przetrzymywany.

– Chciałam, żeby się lepiej poczuł.

Prawda.

– Co wtedy robił Daniel?

– Płakał, wołał swoją mamusię.

Prawda.

– I w żadnej chwili, kiedy Daniel był w domu, go nie dotknęłaś?

– Nie.

– A jeśli ci powiem, że ekspert medycyny sądowej, z którym się konsultowaliśmy, znalazł ślady twojego DNA na ubraniu Daniela? Co ty na to?

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie, świadek miała wcześniej kontakt z ofiarą w schronisku. W takim razie DNA z łatwością mogło zostać przeniesione na ubranie.

– Zgadza się, podtrzymany.

Bez uprzedniego świszczenia ani nagłego uczucia ciepła mój nos zaczyna krwawić. Czerwona kropla toczy się po moich ustach, brodzie, skapuje na drewno pulpitu. Wszyscy się gapią, patrzcie, oto ona, córka morderczyni splamiona krwią. Zabrać ją, wyprowadzić, mogliby rzec. Słyszę, jak Gruby prosi o przerwę.

– Czy świadek tego wymaga? – pyta sędzia.

Zakrywam nos, woźny daje mi pudełko z chusteczkami, kręci mi się w głowie. Nie pamiętam, co mówiłam. Prawdę. Nie. Tak. Chcę powiedzieć prawdę.

– Wysoki Sądzie, czy sąd nie widzi zdenerwowania świadka? – pyta Gruby po podniesieniu się z miejsca.

– Tak, ale jestem również świadom, że te pytania muszą paść, a im prędzej je zadamy, tym prędzej świadek będzie mogła zostać zwolniona i pójść do domu – odpowiada sędzia.

Chcę iść do domu teraz.

ANNIE, TY JUŻ NIE MASZ DOMU, SAMA SIĘ TAK URZĄDZIŁAŚ.

Przyciskam zwitek chusteczek do nosa, biorę głęboki oddech i czekam na następne pytanie.

– A więc Daniel jest w pokoju, płacze, woła mamusię. Co stało się potem?

– Usłyszałam, że samochód matki podjeżdża pod dom, więc zeszłam na dół.

– Rozmawiałyście z matką?

– Nie. Kiedy zjawiała się w domu, minęła mnie, weszła na górę, a potem do pokoju, w którym był Daniel.

– Czy otworzyła najpierw zamek kluczem, czy był już otwarty?

– Tak. Znaczący był zamknięty. Otworzyła go. Miała klucze w ręku, kiedy mnie mijała.

– A co zrobiłaś potem?

– Po chwili poszłam na górę.

– I twierdzisz, że widziałaś przez wizjer, jak moja klientka trzymała poduszkę na twarzy Daniela, zgadza się?

– Tak, potem się już nie ruszał.

– Jak długo stałaś przy wizjerze?

– Nie wiem dokładnie.

– Mniej więcej. Kilka minut? Kilka godzin? Całą noc?

– Nie, pewnie tylko kilka minut. Kiedy wyszła z pokoju, zeszliśmy na kolację.

Prawda.

– A ty potem wróciłaś, prawda?

– Tak, poszłam go pocieszyć.

Prawda.

– Ale przecież on już nie żył, powiedziałaś, że widziałaś, jak matka go zabijała. Po co miałabyś wracać, skoro był już martwy?

– Nie wiem.

– Nie byłaś pewna, czy jest martwy, to chcesz powiedzieć, prawda?

– Nie. Był martwy, nie ruszał się.

Widzę, jak drugi obrońca bierze kartkę podaną z lewej strony. Od ciebie. Moje wnętrze zrywa się z uwięzi, balon z gorącym powietrzem szarpie cumy. Obrońca czyta, co jest napisane na kartce, potem pyta, czy może ją przekazać koledze. Jeśli to ma związek z zadawanymi pytaniami, to tak, odpowiada sędzia. Prawnik stojący przede mną odchodzi, odbiera kartkę, czyta ją, kiwa głową. Patrzę na ławę przysięgłych, obok niej stoi duch Daniela. Kręci głową, zwiesza ją i zaczyna płakać. Jesteśmy do siebie podobne jak dwie krop-*le* wody, powiedziałaś pewnej nocy, mamusiu. Takie podobne. Kije i kamienie kości mi połamią, ale twoje słowa nigdy mnie nie zranią.

Falsz.

Prawnik wraca do mnie, kartka podsunięta przez ciebie tkwi teraz w jego rękach.

– Ekspert medycyny sądowej stwierdził, że śmierć Daniela mogła nastąpić w czasie, kiedy przebywałaś z nim sama w domu, a niekoniecznie dopiero po powrocie mojej klientki, jak sądzono wcześniej. Co powiesz na to?

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie.

– Odrzucony, niech świadek odpowie.

Krew przestała mi ciec z nosa, ale jedna kropla musiała skapnąć, zanim dostałam chusteczki. Czerwona plama z przodu bluzki, jak atrament na bibule chromatograficznej. Jedna z kobiet na ławie przysięgłych wygląda, jakby miała się zaraz rozplakać. Założę się, że jest matką. Przykro mi, naprawdę.

– Nie wiem. Nie jestem pewna.

Prawnik milczy przez chwilę, patrzy na notatkę trzymaną w rękach. Podnosi wzrok na mnie, każe mi czekać. Zacznie, kiedy będzie gotów, najlepiej działają tortury zadawane powoli. Idzie ku mnie, brązowe buty, jak u profesora Westa, granatowy garnitur w prążki widoczny pod togą. Kiwa głową, nadchodząc, przystaje dokładnie przede mną, potem mówi:

– Domyślałam się, dlaczego możesz nie być pewna. To trudne, prawda? Jest kwestia zapasowego klucza, do którego według matki miałaś dostęp, twoje DNA znalezione na ubraniu Daniela, a teraz jeszcze pora jego śmierci, potencjalnie przypadająca na czas, kiedy byłaś z nim sama w domu. Wziąwszy pod uwagę fakty, które właśnie wymieniłem, myślę, że mam prawo, a nawet obowiązek,

spytać cię...

Chudy przerywa okrzykiem:

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie, obrona stosuje presję.

– Odrzucony. Ale zalecam obronie większą delikatność.

Prawnik kiwa głową, ale coś w sposobie, w jaki stoi, z szeroko rozstawionymi nogami, ramionami cofniętymi do tyłu, wskazuje, że delikatność nie jest metodą, jaką zamierza zastosować. Łaknie chwały. Chce mnie dopaść. Przymruża oczy, patrząc na mnie, nabiera powietrza, pełne płuca. Jego chwila Ulissesa. Potem zadaje to pytanie, pytanie, do którego tak długo się przymierzał.

– To nie moja klientka zabiła Daniela, prawda? Powiedz sądowi, co naprawdę stało się w noc jego śmierci, powiedz prawdę.

Nikt nie słyszy mojej odpowiedzi, zagłuszonej wybuchem „sprzeciwów” Chudego i Grubego. Okrzyki „sprzeciw, Wysoki Sądzie, to zastraszanie świadka”. Obaj skoczyli na równe nogi, obaj mówią, ona jest nieletnia, to nie ona jest sądzona. Członkowie ławy przysięgłych wyglądają na skołowanych, długopisy już nie wiszą nad kartkami, lecz są żute, mężczyźni siedzący w pierwszym rzędzie rozkłada ręce w geście „któż to wie”. June też wstała, nie wygląda ani w połowie tak „świetnie” jak zazwyczaj. Tylko ciebie nie widzę. Ale założę się, że się uśmiechasz, cieszy cię chaos, który udało ci się wywołać, zaaranżować.

Skłamałam.

Taka była moja odpowiedź.

Powtarzam ją jeszcze raz:

– Skłamałam.

Dopiero gdy powtarzam jeszcze dwa razy, skłamałam, skłamałam, sędzia podnosi rękę, ucisza wszystkich.

– Proszę pozwolić świadkowi mówić.

To ta chwila, na którą czekałaś, mamusi, chwila mojego załamania. Kiedy ty wygrywasz.

– Skłamałam.

Nikt poza obrońcą się nie porusza. Nikt nie szura stopami, nie zakłada nogi na nogę, nie gryzmoli notatek. Prawnik znów do mnie podchodzi, opiera dłonie na drewnianym pulpicie przede mną, przyjazny gest, ale on nie jest przyjacielem, jest głodny. Chce, by go nakarmić. Alfabetowym spaghetti serwowanym w kształcie kłamstw, które powoli wyciska ze mnie, najważniejszego świadka. Pamiętam tę noc tak wyraźnie, byłam tam. Wiem, co zaszło.

– Kiedy skłamałaś? – pyta.

Kiwam głową, mogę mu powiedzieć, to jest w porządku. Próbowałam pomóc Danielowi, starałam się, jak mogłam. Chciałam, żeby był bezpieczny, lali, lali, żeby nikt go nie krzywdził. Prawda. Mówię im, że mi przykro. Ogromnie przykro. Prawda. Twarze członków ławy przysięgłych zastygły w bezruchu. June.

Moi prawnicy. Sędzia.

– Kiedy skłamałaś? – pyta znów obrońca.

– Okłamałam Daniela, kiedy powiedziałam mu przez wizjer, że wszystko będzie dobrze, wiedziałam, że wcale nie, ale i tak mu to powiedziałam. Zawiodłam go. Tak właśnie skłamałam.

Zaczynam płakać, słone łzy zabarwione na czerwono, kiedy znów zaczyna mi lecieć krew z nosa. Widzę zawód obrońcy, twarz mu się trochę marszczy. Jeszcze nie czas na kolację, wiesz?

A teraz spierdalaj.

Cofa rękę, wciąż na mnie patrzy. Może sobie patrzeć do woli, ale nic nie może udowodnić i jego czas upłynął, zostanie oskarżony o dręczenie nieletniej, jeśli posunie się dalej, i dobrze o tym wie. Odchodzi, siada i wypowiada słowa, na które tak czekałam:

– Nie mam dalszych pytań, Wysoki Sądzie.

– W takim razie świadek jest wolny, może wyjść.

Skinienie. Surowe. Kiedy zostaję zwolniona, zalewa mnie smutek. Nie ruszam się, patrzę na ekran. Chcę pobiec do ciebie, wpełznąć z powrotem do twojej macicy. Napisać od nowa historię, gdzie tym razem kochałabyś mnie normalnie. Lśniaca nowa opowieść. Sędzia znów się odzywa, June wzywa mnie gestem.

– Możesz odejść, Milly – mówi.

Też jest zmęczony. Jego peruka, z końskich włosów, jest ciężka. Gorąco mu w niej. Wypowiada moje imię, moje nowe imię, na głos.

Wbrew zasadom. Ona rzuca się na to jak pies gończy na lisa.

– Ma na imię Annie.

Wszystkie głowy obracają się w twoją stronę. Nie brzmisz jak obłąkana, jak potwór, którego się spodziewają. Brzmisz jak matka, troskliwa matka. Muszę wykrzesać całą swą determinację, a nawet coś więcej, by nie pobiec do ciebie. Sala sądowa z trudem przyjmuje błąd sędziego, szmer narasta, słychać głosy.

– Proszę o ciszę – mówi sędzia.

Tym razem potrzeba więcej czasu, by sala się uspokoiła, bo jego władza, wiarygodność osłabły. Ale nie twoje, wystarczyły te cztery słowa. Twój głos, chmura deszczowa wisząca nisko, grożąca gradem. Burzą.

June ujmuje mnie pod rękę, przystaję, by podnieść kamień, potem wyprowadza mnie z sali sądowej. Już nie słyszę w głowie chóru ani piosenki, zamiast tego twój głos wypowiadający moje imię. ANNIE.

Znów jestem w kremowym pokoju, wchodzisz tam za mną. Mike i Saskia widzą moją twarz i koszulę.

– To tylko krwotok z nosa – mówię. – Pójdę do łazienki się umyć.

– Pójść z tobą? – proponuje Saskia.

– Nie, nie trzeba, dziękuję.

– Zaczekamy na ciebie tutaj – dodaje Mike.

Kiwam głową.

Drzwi do toalety zamykają się na zamek, zasuwkę trzeba przesunąć w prawo. Sięgam do kieszeni, czarny turmalin. Nie mogę po żebrach, koszula, biała. Spodnie w dół. Zamiast żeber uda. Muszę naciskać mocno, użyć ostrej krawędzi, nie gładkiej, wydrapać to na skórze. Ryję literę A. Jak kop po narkotyku, smagnięcie pejczem. Ból mnie tam zabiera, zabiera do ciebie.

A JAK ANNIE.

Tak, zawsze będę Annie dla ciebie, ale dla innych jestem Milly. Syjamskie bliźniaczki wewnątrz mnie, wojują.

Dobra ja.

Zła ja.

Jesteś ze mnie dumna, prawda? Zagrałam w tę grę, może nawet wygrałam, mamusiu.

Kiedy wracam do pokoju rodzinnego, June mówi, że zgłosi do sądu skargę na sposób, w jaki zostałam potraktowana przez obronę. Mike nazywa ich draniami, praca nie praca, mówi. W porządku, mówię, już po wszystkim. Saskia wygląda, jakby jej ulżyło. June odprowadza nas na parking i mówi, że teraz pewnie sprawy potoczą się szybko, werdykt może zapaść już w przyszłym tygodniu.

Czekajcie cierpliwie.

Później w domu idę do gabinetu Mike'a, chce ze mną porozmawiać, zanim zacznie się weekend, sprawdzić, czy dobrze się czuję po rozprawie. Phoebe jest u niego, kiedy się zjawiam, ciągle ma szlaban za to, że za późno wróciła z imprezy, kara została przełożona aż do powrotu z turnieju hokejowego. Pertraktuje z Mikiem, stara się przekonać go, by pozwolił jej wyjść.

– Daj spokój, jest piątek – mówi. – Wszyscy idą do kina.

– Nie – odpowiada Mike. – Masz szlaban do poniedziałku.

– Jesteś taki głupi, tato.

– Sądzę, że to ty zrobiłaś coś głupiego.

– A ty nigdy nie popełniłaś żadnego błędu?

– Nie mam zamiaru powtarzać w kółko tego samego, Phoebe. Szlaban do poniedziałku i koniec dyskusji. A teraz przepraszam cię, kochanie, ale muszę coś omówić z Milly.

– Tak, świetnie. Bardzo miło, tato. Dziękuję.

Kolejne mordercze spojrzenie, kiedy mnie mija.

Mike zamyka drzwi, mówi, obawiam się, że nie jestem aktualnie zbyt lubiany, potem się uśmiecha, prosi, bym usiadła.

– Nie będę cię długo zatrzymywał, masz za sobą ciężki dzień i wyglądasz na

wykończoną. Jak się czujesz, kiedy już jest po wszystkim?

– Sama nie wiem, jeszcze nie wydaje mi się to realne.

– To zrozumiałe. Chciałem powiedzieć, że jestem z ciebie bardzo dumny i bardzo mi przykro, że obrona tak strasznie cię potraktowała. Szczerze mówiąc, czuję się za to po części odpowiedzialny.

– Dlaczego? To nie była twoja wina.

– Nie, ale pewnie mogliśmy cię lepiej przygotować. Chyba należało ci o czymś powiedzieć.

– O czym?

– June zadzwoniła do mnie w któryś weekend, by powiedzieć, że twoja matka mówiła różne rzeczy o tej nocy, kiedy Daniel został zabity.

Ta rozmowa, którą podsłuchałam, siedząc we wnęce.

– Uznaliśmy, że nie należy ci o tym mówić, obrońcy nie mieli prawa maglować cię tak, jak to robili.

– Co ona mówiła?

– Kompletne bzdury, sędzia od razu odrzucił jej twierdzenia. Po prostu żałuję, że musiałaś dziś przejść przez coś takiego.

– Nic mi nie jest, naprawdę. Bardzo mi pomogłeś, Mike.

– Mam nadzieję i przynajmniej teraz możemy się skupić na tobie, na pracy, którą trzeba wykonać, by pomóc ci ozdrowieć.

– Zrobisz to ze mną?

– Tyle, ile zdołam, tak.

– Ile zdołasz?

– Nie przejmuj się tym dzisiaj, Milly. Teraz masz tylko porządnie się wyspać, zasłużyłaś na to.

Czyżby?

Zasypiam szybko, po dwóch bezsennych nocach oczy same się zamykają, sen zabiera tam, dokąd wcale nie chce się iść. Mały chłopiec w nogach mego łóżka, oczy szeroko otwarte, przerażone. Nie mogę oddychać, mówi, nie mogę oddychać.

Osiem w górę.

I jeszcze kolejne cztery.

Drzwi po prawej.

Przyrzekam uroczyście, że będę mówić szczerą prawdę, niczego nie ukrywając z tego, co jest mi wiadome.

To, razem z planami urodzinowymi, jakie miałaś wobec mnie,

stanowi kolejny powód, dla którego opuściłam cię wtedy, kiedy opuściłam.

Zostałaś w pracy, a ja byłam sama w domu, nie tylko przy wizjerze, ale również w pokoju.

Zapasowy klucz, wiem, gdzie go chowałaś. Jego drobne ciałko skulone w rogu łóżka.

Poruszył się, kiedy weszłam, zamknęłam za sobą drzwi.

Błada skóra, brak świeżego powietrza. Czarne sińce pod oczami,

wołał mamusię. Tak. Niedługo ją zobaczysz, powiedziałam.

Jego brązowe oczy, mokre od ulgi.

Przytuliłam go mocno, ogrzałam jego krew.

Twój głos w mojej głowie, rzeczy, które powiedziałaś jego mamusi,

żeby ci go oddała.

A co będzie, jak mąż cię dopadnie, Susie? Jeśli skrzywdzi twego syna? Albo nawet gorzej. Mam w Ameryce kogoś, kto załatwia adopcje.

Czeka tam kochająca rodzina, lepsze życie dla Daniela.

Nikommu nie mów.

Dałam mu misia do potrzymania, własnego, z moim imieniem naszytym na uchu.

Zamknij oczy, powiedziałam, pomyśl życzenie. Trzymałam go mocno w trakcie najgorszego, kiedy powietrze opuszczało jego płuca.

Kiedy go dusiłam.

Stałaś przed pokojem, kiedy otworzyłam drzwi, wróciłaś wcześniej, niż się spodziewałam, twoja kolej, by patrzeć przez wizjer.

Spojrzałaś na mnie w sposób, jakiego wcześniej nie widziałam.

Moja córuchna, powiedziałaś. Dumna.

Nigdy ci nie mówiłam, mamusiu, że zrobiłam to, by go uratować.

Nie żeby cię zadowolić.

Kiedy mówiłam, że powiedziałam policji wszystko, prawie wszystko.

To miałam na myśli.

Chodzi o sposób, w jaki to wczoraj powiedziała, kiedy skończyliśmy niedzielny brunch z Mikiem i Saskią i obie szłyśmy na górę, do swoich pokojów. A jak tam twój mały zabieg, spytała, co to właściwie było? Dzięki, dobrze, ale wolałabym o tym nie mówić. Uśmiechnęła się, pokiwała głową, powiedziała, to musi być dla ciebie trudne, nie móc mówić o różnych rzeczach, wielu rzeczach. Nacisk na „wielu”. Nieprzyjemne uczucie, ziarno zasiane w moim brzuchu. Trącanie puszek Pandory, by ją otworzyć. Ona wie. Co wie? Jak to możliwe? Mike i ja byliśmy tacy ostrożni, prawda?

Dziś jest ostatni dzień składania teczek z pracami konkursowymi, zwyciężczyni ma być ogłoszona w przyszłym tygodniu. Pierwszą rzeczą, jaką robię, kiedy przychodzę rano do szkoły, jest wysłanie mejla do M.K. Umawiamy się po lekcjach, a kiedy przychodzę, mówi mi, że jestem trochę spóźniona.

– Pozostali uczestnicy skończyli w zeszłym tygodniu, kiedy byłaś... na wyjeździe.

Nie chcę wpadać w paranoję, ale zrobiła pauzę, zanim dokończyła zdanie, jakby żywiła wątpliwości co do tego, gdzie byłam, co robiłam. Tylko mi się wydaje, na pewno, tak samo jak z Phoebe. Na pewno.

– Może wyłożysz wszystkie rysunki w takiej kolejności, jak je wykonywałaś, a potem wybierzemy spośród nich te pięć, których potrzebujesz.

Kiedy rozkładałam szkice, na których jesteś, myślę o procesie, który nadal trwa. Siedzisz na krześle, w kajdankach, czeka cię życie w więzieniu, brak kontaktów ze mną. Kiepsko radzisz sobie ze stratą. Utrata Luke’a wszystko zmieniła, twoje pragnienia stały się mroczniejsze, fatalne w skutkach. Znudziło ci się, że byliśmy tylko we dwie, wzięłaś Jaydena, pierwszego chłopca, niecały rok po odejściu Luke’a. Miłość jest środkiem nawilżającym i, chociaż wypaczoną, dostawałaś ją od nas. Od kogo dostaniesz ją teraz? Może sprawisz, że kobieta w celi obok połknie swój język. Zawsze są możliwości, mówiłaś, okazja do psot.

Głos M.K. przerywa moje myśli.

– Ojej, kiedy są tak wyłożone wszystkie naraz, to naprawdę widać.

– Co widać? – pytam.

– Podróż, jakby każdy szkic był elementem układanki.

Potem zadaje mi dziwne pytanie:

– Czy czujesz się teraz bardziej bezpieczna, kiedy mieszkasz z Newmontami?

Twarz na rysunkach jest mocno zmieniona, zamazana, oczy w innym kolorze niż twoje. Nie sposób cię rozpoznać, jestem pewna.

– Nie bardzo rozumiem, co ma pani na myśli.

Kręci głową i mówi:

– Nieważne. Na pewno wzięłabym te dwa i ten z końca, a ty wybierz jeszcze dwa, może coś, co pokazuje umiejętne cieniowanie.

Ktoś mówi do widzenia, mijając drzwi. M.K. woła, zaczekaj, Janet, czy to ty? Ale drzwi na korytarz się otwierają i zamykają, widocznie ta osoba nie słyszała pytania.

– Zaczekaj chwilę – mówi M.K. – Muszę ją złapać, mam do niej sprawę.

Po jej wyjściu pokój wydaje się pusty, mniej interesujący. Wybieram ostatnie dwa szkice, a potem bezwiednie podchodzę do jej biurka, otwieram jej kalendarz. Samoprzylepna karteczka – *zamówić więcej gliny*. Same zawijasy, jej charakter pisma jest cudowny. Czuły. Litera y w słowie „gliny” jest długa, owija się wokół innych liter, atramentowy uścisk. Z tyłu kalendarza jest wetknięty kartonik, którego spory kawałek wystaje. Kremowy. Złote litery z przodu. Wysuwam go. Zaproszenie ślubne, nieznane mi nazwiska, ale to nie one mnie interesują, lecz coś innego, koperta za zaproszeniem. Odwracam ją, adres, adres M.K. Wiem, gdzie jest ta jej ulica, chodziłam po niej z Morgan. Odkładam na miejsce kopertę i zaproszenie, słyszę, że drzwi na końcu korytarza się otwierają, i wracam do swoich szkiców.

– Przepraszam cię. Czy już podjęłaś decyzję?

– Tak, te pięć.

– Świetny wybór, trudno będzie je przebić, jestem pewna. Janet właśnie mi przypomniała, że w galerii Muse przy Portobello Road jest fantastyczna wystawa szkiców węglem. Szkoda, że dziś jest ostatni dzień, myślę, że by ci się spodobały.

– Ale chyba jeszcze możemy pójść je obejrzeć? Dziś wieczór? Muszę spytać Mike’a, ale nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli to ma związek ze szkołą.

– Właściwie to miałam na myśli ciebie, że ty powinnaś pójść. Nie chodziło mi o to, byśmy poszły razem.

– Och, jasne, przepraszam, to brzmi bardzo zachęcająco, ale nie sądzę, aby Mike pozwolił mi pójść samej.

Pełen niepokoju, trochę nadopiekuńczy od czasu procesu, chce, żebym siedziała codziennie wieczorem w domu, dopóki nie zostanie ogłoszony werdykt.

– Bardzo bym chciała pójść na tę wystawę, pani Kemp, zwłaszcza po tym zabiegu, który miałam w zeszłym tygodniu.

– Tak, a jak poszło?

– Dobrze, już po wszystkim.

– Na pewno jest to powód do zadowolenia. Niczego nie obiecuję, mam plany na ten wieczór, ale może spróbuję wpaść do galerii około siódmej. Sama chętnie bym zerknęła na te szkice. Może pójdziesz z Mikiem, a jak się tam spotkamy, to fajnie.

- Dobrze, jasne, poproszę go. Będzie pani o siódmej?
- Postaram się.

Mike proponuje, że mnie odprowadzi do galerii, ale mówię, że nie trzeba, to blisko, krótki spacer. Nie wspomniałam o spotkaniu z M.K., powiedziałam, że na wystawę wybierają się wszyscy uczestnicy konkursu. Z początku się wahał, ale przekonałam go, jestem w tym dobra. Po tym wszystkim, co się działo, mówię. Kiwa głową. Rozumie.

Przed moim wyjściem sprawdza, czy mam przy sobie telefon, mówi, że wyglądam ślicznie, a nawet dorośle. Mam nadzieję, że nie przesadziłam i wybrałam odpowiednią sukienkę. Czekam na nią przed galerią, miło będzie wejść razem, myślę sobie. Kilka osób weszło i wyszło, zjawiłam się trochę wcześniej, więc jak jest dziesięć po siódmej, sterczę na dworze już od dwudziestu minut, prawie nie czuję stóp, ciasno owijam się szkolnym płaszczem. Sprawdzam telefon, co jest bez sensu, bo ani ona nie ma mojego numeru, ani ja jej.

Kiedy dochodzi dwadzieścia po siódmej, staram się zachować spokój, zapewniam siebie, że tylko trochę się spóźnia, a jak przyjdzie, wciągnie mnie w artystyczny wir i od razu poczuje się lepiej. Punktualność i dyscyplina to klucze do sukcesu, mawiałaś, ale nie chcę myśleć o tobie.

- M.K. jest zupełnie inna niż ty.
- Słucham? – odpowiada ktoś.

Uświadamiam sobie, że wypowiedziałam to zdanie głośno, akurat wtedy, gdy trzy kobiety wyszły z galerii i mnie mijały. Mamrocze przeprosiny, mówię coś o ćwiczeniu kwestii do przedstawienia. Uśmiechają się na wspomnienie swoich dawno minionych szkolnych czasów, szczęśliwych czasów, sądząc po ich uśmiechach. A może na myśl o tym, że czas usuwa złe wspomnienia, tak jak, mam nadzieję, usunie moje.

Patrzę na swój telefon, za dwadzieścia pięć ósma. Ona nie przyjdzie, teraz to już wiem. Po powrocie do domu idę prosto do swojego pokoju, przytulam poduszkę do piersi. Tęsknię za jedną z tych z gabinetu Mike'a, niebieską, bardzo miękką.

Szepczesz mi do ucha, przypominasz, że jesteś moją mamusią, a to, co zrobiła M.K., jest złe. Naciągam kołdrę na głowę, ale twoje słowa i tak do mnie docierają i po jakimś czasie zaczynam słuchać tego, co mówisz, zaczynam się z tym zgadzać. Masz rację, wiem, że tak, to, co zrobiła M.K., nie było miłe.

Kiedy odpowiadasz, słyszę to charakterystyczne podniecenie w twoim głosie.

MOJA CÓRUCHNA, ANNIE. CO TERAZ ZROBISZ?
POWIEDZ MI, CO ZROBISZ?

Werdykt zapada w środę, niecały tydzień po tym, jak byłam w sądzie. Jak zawsze sprawdzam telefon w drodze powrotnej ze szkoły, trzy nieodebrane telefony od Mike'a w ciągu ostatniej półgodziny. Loguję się na stronę z wiadomościami BBC, twoje zdjęcie. Słowo: skazana.

Winna.

Winna.

Winna dwanaście razy.

Sędzia natychmiast wydał wyrok, zostałam skazana za wszystkie dziewięć morderstw. Dożywocie, bez szansy na zwolnienie warunkowe. Mike czeka na mnie przy drzwiach wejściowych, otwiera je, gdy przychodzę. Kiwam głową, by dać mu znać, że widziałam wiadomości. Mówi, chodź tutaj, ciii, już dobrze.

Myślałam, że będę szczęśliwa, że mi ulży. Że kiedy proces się skończy, będę w stanie zostawić za sobą to, co zrobiłam Danielowi. Zrobiłam to, co zrobiłam, żeby być dobra, by go uratować, jednak i tak czyni mnie to złą. Taką samą jak ty.

Saskia wchodzi do przedpokoju, masuje miejsce między moimi łopatkami.

– Przykro mi, Milly. Ale przynajmniej jest już po wszystkim, możemy zacząć planować twoje urodziny – mówi.

Kiedy podnoszę wzrok, widzę, że Mike daje oczami sygnał, że nie. Chodzi mu o to, że za wcześnie. Saskia dostrzega sygnał, zdaje się zawiedziona, że znowu coś źle wykombinowała.

– Urządzimy je, kiedy będziesz gotowa, Milly – stwierdza, odchodząc.

Mike pyta, czy chciałabym porozmawiać, pali się do tego, założę się, że korci go, by napisać kolejny rozdział książki. Dzień, w którym zapadł werdykt. Mówię, że nie, chcę być sama.

Siadam na podłodze, oparta plecami o listwę w nogach łóżka. Siedzę i myślę o tobie. Jak nam się żyło. Na przykład kiedy siedziałas na krześle, oczywiście bez żadnej bielizny. Program o mordercach, moja brać, powiedziałaś, chociaż ja jestem lepsza od nich, nie dam się złapać. Bo niby jak mnie złapią? Gromiłaś ich niedostatki, ich wady. Dlatego że to mężczyźni, powiedziałaś, bycie kobietą mnie chroni, a ty również, mała pomocnica mamusi.

Prasa, przydomek, którym cię obdarzyła, usłyszysz go i zobaczysz swoją twarz na pierwszych stronach gazet. Twój przydomek wzięty z mojej ulubionej książki, wypisany wielkimi literami.

ZABÓJCZYNI PIOTRUŚ PAN

Chyba ci się spodoba, trafnie rzecz uchwycili. Zresztą i tak nie masz na to wpływu, bo siedzisz w ciupie. Dodatkowe szczegóły, które dostarczyłam policji,

musiały wyciec do prasy. Słowa, które szeptałaś do każdego zwiotczącego ciała, które leżało w pokoju, otulone do snu. Wiecznego. To kara za opuszczenie mamy, twój głos, przez zaciśnięte zęby, kiedy syczałaś im do uszu, chociaż nie mogły już słyszeć. Próbowałam ci mówić, że to nie był ich wybór, mamy je oddały. Nie, nie, nie, wrzeszczałaś na mnie, ja nie oddałam swojego syna, zabrano mi go. Oni to nie Luke, powiedziałam, nie możesz go zastąpić. Stłukłaś mnie na kwaśne jabłko za to, że wymieniłam jego imię.

Zbiłaś mnie.

Bardziej zatrwazająca od ran jest miłość, ta zła.

Kołysałaś je w ramionach, kładłaś, jakby mogły się połamać, jeszcze bardziej albo znów. Sześciu chłopców. Daniel był siódmym, ale nie był twój. Sześciu małych niby-książąt, zawiniętych w koce, za każdym razem nowa piżama. Dwie małe dziewczynki. Dziewczynki cię nie obchodziły. Nie przeszkadzaj mi, póki nie skończę, mawiałaś. Co skończysz?

Pożegnanie.

Za każdym razem o to chodziło. Rytuały, ubieranie chłopców w piżamy. Właśnie w piżamę był ubrany Luke tego wieczoru, kiedy go zabrano, bo odkryto, że to on wymknął się pewnej nocy i podłożył ogień pod budynek poczty w naszej wsi, mieszkanie nad urzędem na szczęście było wtedy puste. Miał jedenaście lat.

Powitania są ważne, od tego się zaczyna, ale żeby ukraść pożegnanie, nie dać ci szansy przytulenia Luke'a po raz ostatni, zanim został zabrany. Dla ciebie to był największy grzech.

Rozmyślania przerywa mi Phoebe, która otwiera drzwi i wchodzi do mojej sypialni. Nic nie mówi, tylko stoi i gapi się na mnie.

– Na co tak patrzysz? – pytam.

Nie odpowiada. Małe piranie szarpią moje wnętrze.

Humpty Dumpty z wysoka spadł. I wszyscy konni i wszyscy dworzanie złożyć do kupy nie byli go w stanie.

Przygląda mi się jeszcze przez chwilę, po czym powoli wychodzi tyłem z pokoju, nie racząc nawet zamknąć za sobą drzwi.

Spotykam się z Mikiem po kolacji, pyta, jak się czuję w związku z werdyktem. Źle, mówię, nie tak, jak się spodziewałam. Rozmawiał z June, chciał się dowiedzieć dokładnie, co się wydarzyło w sądzie, pyta mnie, dlaczego nigdy nikomu nie powiedziałam, że byłam w domu sama z Danielem. Bałam się, odpowiadam, wiedziałam, że mama może próbować mnie oskarżyć. A co z tobą, czy nadal siebie obwiniasz, pyta. Tak, mówię, zawsze będę. Dlaczego, nalega. A dlaczego miałabym tego nie robić, odpowiadam. Patrzy na mnie dziwnie, tak jakby badawczo, ale daje z tym spokój.

Później wyjmuję pozostałe rysunki z tobą, te, których nie zgłosiłam na konkurs. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego patrzeć na ciebie podnosi mnie na duchu. Ale tak jest. Natomiast nieprzyjemnie było czuć na sobie wzrok Phoebe. Weszła do mojego pokoju, gapiała się na mnie.

Jest to dla mnie bolesne, ale drę szkice, na których jesteś, aż wreszcie stajesz się tylko stertą oczu, ust i uszu. Chcę pójść dalej, chcę mieć normalny dom wypełniony normalnymi rzeczami. Mike spytał mnie raz, czego pragnę od życia. Akceptacji. Tak odpowiedziałam. Zaakceptować to, skąd przychodzę i kim jestem, być w stanie uwierzyć i udowodnić, że moje serce, które poskręcałaś w dziwne kształty, może się odkształcić. Tak będzie, Milly, odparł, po prostu czekaj, a sama zobaczysz. On jednak nie wie, jak dziwnie jest ono poskręcane. Zbieram strzępy rysunków, wrzucam do kosza na śmieci w łazience. Godzinę później wyjmuję je, znów sklejam w całość.

Esemes od Morgan przychodzi po północy, nie śpisz, pyta, muszę się z tobą zobaczyć. Odpowiadam, żeby przyszła na balkon, a kiedy to robi, wygląda na mniejszą niż wcześniej, jakby się skurczyła o jeden czy dwa rozmiary. Otwieram drzwi balkonowe. Chłodny podmuch wiatru wpada do środka, zimowy błazen obiega wszystkie kąty, płąsa po pokoju. Szydź. Jej usta są zakrwawione i napuchnięte, skóra po lewej stronie czoła obtarta, wygląda, jakby ją przeciągnięto po dywanie. Ujmuję ją za rękę, wprowadzam do środka, zamykam drzwi na zamek. Sprawdzam dwa razy.

– Co się stało?

Kręci głową, małe sztywne ruchy, oczy wbite w podłogę.

– Nie miałam dokąd pójść – odpowiada.

Przebiera palcami przed sobą, jakby zawiązywała i rozwiązywała niewidzialne węzły. Podchodzę do lampki nocnej, włączam. Jej dzinsy są zaplamione, emanuje od niej słono-kwaśna woń, w oddechu czuć nutę alkoholu.

– Masz jeszcze jakieś obrażenia?

Ociera rękawem nos, z którego od razu zaczyna cieć do ust przezroczysty strumyczek. Broda zaczyna jej drżeć. Nie ma łez. Powstrzymuje je szok wywołany tym, co się stało. Biorę pudełko chusteczek, które stoi na podłodze przy łóżku.

– Masz.

Podnoszę rękę, by rzucić jej pudełko, na co ona się wzdryga, trochę kuli. Opuszczam rękę, chcę powiedzieć, to ja, nie bój się, ale wtedy sobie przypominam, że wcześniej już ją skrzywdziłam.

– Możesz zostać na noc.

Kręci głową.

– Pomogę ci, poczujesz się lepiej.

– A jak ktoś wejdzie?

– Nie, wszyscy już śpią.

Wyjmuję z szuflady piżamę, z miękkiej bawełny. Ukaralabyś mnie za to, że się o nią troszczę, nie jest chłopcem, powiedziałaabyś, że z dziewczynkami nie ma co się cackać. Nie, odpowiedziałabym, ona nie jest chłopcem, ale jest dla mnie ważna.

Lampka daje słabe światło, ale kiedy pomagam Morgan zdjąć bluzę, widzę, że zaczynają się tworzyć sińce. Odcisk w kształcie podeszwy z boku, na żebrach. Opieram jej ręce na swoich ramionach, kiedy się schylam, podnoszę po kolei jedną, a potem drugą nogę, wyjmuję je z nogawek džinsów i wkładam w spodnie od piżamy. Prostuję się, jej ręce zostają na moich ramionach. Stoimy tak przez chwilę, twarzą w twarz. Wreszcie się ruszam, zbieram jej ubrania na kupkę, kładę na krześle stojącym przy drzwiach balkonowych.

– Usiądź na łóżku, przyniosę ściereczkę, żeby ci otrzeć twarz.

Krzywi się, kiedy ocieram krew z opuchlizny wokół ust.

– Kto to zrobił?

– Chciałabym, żeby umarł – odpowiada

– Kto?

– Mój wujek.

Wybuch płaczem, trzymam ją, kołyszymy się tam i z powrotem, zaczynam nucić. „Lawenda fioletowieje, lali lali...”. Jej oddech się uspokaja, płacz ustaje

– Uwielbiam tę piosenkę – mówi.

– Wiem. Połóż się, musisz wypocząć.

Kładzie się bez sprzeciwu, odwraca w moją stronę, podciąga kolana do klatki piersiowej. Przykrywam ją kołdrą, dodatkowym kocem. Zamyka oczy. Spycha jedną z poduszek spod głowy na podłogę.

– W domu mam tylko jedną – mówi.

Siadam obok niej na łóżku, patrzę, jak krzywi, a potem rozluźnia twarz, kiedy próbuje zapomnieć o tym, co się stało. Będiesz bezpieczna, lali, lali, krzywda cię nie dosięgnie, Morgan. Nic nie poradzę na jej wujka, ale ona to co innego. Krzywda jej nie dosięgnie, mogę to sprawić. Podnoszę poduszkę, myślę o tym, jak bardzo spodobałaby jej się Nibylandia, miejsce, w którym rodzą się marzenia, a czasu nigdy się nie planuje, ale ona się porusza, przeciera oczy zwiniętymi piąstkami, jak małe dzieci, kiedy są zmęczone. Otwiera oczy, podnosi na mnie wzrok, patrzy na poduszkę, którą trzymam w ręce, pyta, co robię.

– Nic, odkładam ją na łóżko.

– Jestem tu bezpieczna, prawda, Mil?

– Tak.

– To dobrze – odpowiada cichutko.

Kiedy budzę się rano, już jej nie ma. Piżama w nogach łóżka, mały stosik.

Tego ranka nie widziałam Phoebe w domu, ale ona i Izzy są pierwszymi osobami, które dostrzegam, kiedy wchodzę na czwartkowy apel. Siadam w rzędzie za nimi, o kilka miejsc dalej w lewo. Nadstawiam ucha na rozmowy toczące się wokół, czy są jakieś wskazówki, że ludzie mogą coś wiedzieć, ale jest tylko to co zawsze. Fryzury i chłopcy, plany na Boże Narodzenie, kto jeszcze potrzebuje biletów na przedstawienie. Rozlegają się organy, wstajemy, kiedy nauczyciele wchodzą rządkiem na scenę. Młodsza uczennica, chyba czternastoletnia, ma prezentację na temat „Podaj dalej”, o dobrych rzeczach, które możemy zrobić w okresie świątecznym, by pomóc ludziom, którym się gorzej powodzi. Dostaje duże brawa. Pani James wstaje, by wygłosić cotygodniowe obwieszczenia. Mówi o propozycji odnowienia świetlicy dla starszych roczników, jeśli ktoś jest zainteresowany zbiórką funduszy, proszę się zgłosić do pani McDowell z sekretariatu. Kolejna sprawa to nasze przedstawienie, które trzeba wpasować w grafik innych występów, a ostatnie obwieszczenie brzmi:

– Laureatką tegorocznego konkursu artystycznego imienia Suli Norman zostaje Milly Barnes.

Niemrawe oklaski, ale lepsze to niż nic. Pani James mówi dalej, że moje imię zostanie wypisane złotą farbą na tablicy nagród, która wisi na klatce schodowej prowadzącej do auli, i że mam spotkać się z panią Kemp w sprawie innych szczegółów. Czuję się nieswojo, nie z powodu publicznej pochwały, lecz dlatego, że nie widziałam M.K. od dnia, kiedy miała się spotkać ze mną w galerii. I ponieważ czuję na sobie wzrok Phoebe. Kiedy patrzę na nią, natychmiast go odwraca.

Podczas przerwy na lunch M.K. odnajduje mnie w bibliotece, gdzie próbuję się przygotować do referatu na historię, ale czytam w kółko to samo zdanie. Podchodzi do mnie z uśmiechem.

– Gratulacje, miałam przecucie, że wygrasz. Rodzice Suli i właścicielka galerii byli zachwyceni twoimi pracami, to była jednomyślna decyzja.

– Dziękuję.

– Powinnaś być bardzo dumna, zwłaszcza kiedy to wszystko...

Przerywa, ale jest już za późno, zdradza ją zakłopotanie na twarzy, nerwowe przesuwanie sznurów koralu na szyi, a potem pierścieni.

– Jakie wszystko?

Siada obok mnie. Miałam rację, coś podejrzewając, kiedy widziałam ją w poniedziałek.

– To dlatego pani nie przyszła.

– Gdzie?

– Do galerii. Powiedziała pani, że spotkamy się tam o siódmej, czekałam ponad pół godziny.

– Chodzi ci o poniedziałek? Och, Milly, powiedziałam, że spróbuję, ale nie mogę obiecać na pewno.

– Jasne, rozumiem.

– To nie tak, przyjaciółka wpadła wcześniej, niż się spodziewałam, wyszłyśmy na miasto. Zapomniałam, przykro mi.

Wciąga mocno powietrze przez nos, wypuszcza je wolno, nadymając policzki. Nachyla się ku mnie, zapach lawendy.

– Miałam przecucie, że coś się dzieje, Milly. Rysunki, mejle, prezent, który próbowałaś mi wręczyć, twoja nieobecność w szkole. Znów rozmawiałam z panią James i w końcu powiedziała mi o, no wiesz, skąd jesteś.

Liczę książki na półce nad jej głową. Dochodzę do jedenastu, kiedy dodaje:

– Wiem o twojej mamie, Milly.

– To dlatego nie chce już pani być moją opiekunką.

– Wcale nie z tego powodu, ale może łatwiej byłoby mi pełnić tę funkcję, gdybym wcześniej wiedziała.

– Podpisywała pani swoje mejle M.K.

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

– Myślałam, że pani zależy.

– Oczywiście, że tak, ale ja podpisuję tak wszystkie mejle, od wielu lat. Przykro mi, jeśli poczułaś się przeze mnie zmylona. Gdybym wiedziała wcześniej, byłabym ostrożniejsza.

W prawym górnym rogu ekranu mojego laptopa wyskakuje powiadomienie o nowym mejlu: na forum naszego rocznika dodano nowy post. Klikam na link, długo się otwiera, ładuje się jakieś zdjęcie.

Ty na nim jesteś. Tytuł: *Ding dong! Zła Czarownica, którą POWINNO się zabić.*

Pod spodem dwie ikonki z kciukami. Jeden do góry, jeden w dół. Zagłosuj, czy się z tym zgadzasz. Jak na razie siedemnaście głosów za. Jeden kciuk niewykorzystany.

Zatrząskuję laptop, zrywam się z miejsca, przewracając krzesło na podłogę. Ruszaj. Nie mogę. Iść. Nie mogę.

M.K. wstaje.

– Milly, o co chodzi? – pyta.

Zła Czarownica. POWINNO się ją zabić. Ding dong! Ty. Powinno się ciebie zabić, za tym głosują, a ja wiem, kto będzie następny.

Podchodzi bibliotekarka i pyta, czy wszystko w porządku.

– Nie wiem. Milly? Wszystko dobrze?

- Muszę iść.
- Dokąd? Co się stało?
- Nie mogę o tym mówić, przepraszam – rzucam, zbierając swoje rzeczy i odchodząc.
- Za co przepraszasz? Dokąd idziesz? Nie powiedziałam ci jeszcze wszystkiego o nagrodzie.

Idę od razu do izby chorych, ukryta maszyna do pisania w mojej głowie wystukuje słowa w rytm moich kroków: Phoebe wie, Phoebe wie.

I wkrótce wszyscy będą wiedzieć, o ile jeszcze nie wiedzą.

– Źle się czuję, pani Jones, czy mogę iść do domu?

– Rzeczywiście mizernie wyglądasz. Wiesz, co to może być?

– Chyba migrena.

– Tak, pamiętam, że w twojej dokumentacji medycznej była wzmianka, że na nie cierpisz. Muszę zatelefonować do Newmontów, to oni są twoimi opiekunami, prawda?

– Tak.

Zegar na ścianie łagodnie tyka, transowy rytm przypomina ten w moim pokoju, tamtej nocy, kiedy przyszła policja. Doznaję tego, co wtedy. Wyczekiwanie, pragnienie, żeby już było po wszystkim. Tylko że tym razem nie wiem, co to jest „to”.

– W porządku, rozmawiałam z panem Newmontem. Albo on, albo jego żona będą w domu za godzinę, dwie, a teraz jest tam gospodyni. Dasz radę dojść sama?

Kiwam głową.

– Dobrze, to idź, odpocznij sobie, dużo pij.

Sevita czeka na mnie, kiedy docieram do domu.

– Dzień dobry, panienko Milly, chce panienka coś zjeść?

– Nie, dziękuję, idę od razu się położyć, źle się czuję.

– Dobrze, będę w pralni.

Widzę, jak na odchodnym Sevita kreśli krzyżyk na piersi. Zdrowaś Maryjo. Modlitwa za mnie albo za nią. Sama w domu. Ze mną.

Chodzę po swoim pokoju, muszę pomyśleć. Czy Phoebe wie? Czy post na forum był skierowany przeciwko mnie, czy to tylko chora gra w odpowiedzi na werdykt sądu? Osaczona. Ja. Nie ma wyjścia. Walcz, uciekaj. Gdzie miałabym pójść, gdybym uciekła? Ktoś taki jak ja nie ma dokąd. Muszę się dowiedzieć, czy Phoebe wie i czy wie ktoś inny. Komu by powiedziała? Clondine? Izzy? Może wszystkim dziewczynom z naszego rocznika, ale spotkałam niektóre, wychodząc ze szkoły, i nic nie zaszło. A coś by pewnie powiedziały, gdyby wiedziały. Siadam na łóżku, próbuję uspokoić umysł, jednocześnie czując, jak przesypuje się piasek

w klepsydrze. Wstaję, znów chodzę po pokoju. Myśl, cholera, myśl. Cenne wspomnienie powraca, kiedy moje spojrzenie pada na róg laptopa wystającego ze szkolnej torby.

Nie powinnam otwierać tych drzwi, nie są moje. Jedna z zasad panujących w tym domu, sypialnia jest miejscem prywatnym, bez pozwolenia właściciela nie wolno do niej wchodzić. Mike. Jego wyobrażenie domowej utopii, ale nie ma tu nikogo, kogo mogłabym spytać, więc udzielam sobie pozwolenia. Jej pokój jest banalny, byłam już w nim w czasie przerwy semestralnej. Plakaty i róż, słodki zapach w powietrzu. Wata cukrowa. Karmel. Milutko. Polaroidowe zdjęcia jej samej i przyjaciół przyklejone do ściany nad biurkiem. W nogach łóżka kolorowe światełka w kształcie serduszek. Pieczara. Sanie księżniczki, królowej z lodu. Lepkie tubki błyszczaków są porozstawiane na szafce nocnej niczym kamienie w Stonehenge. Nigdy nie wiadomo, kogo spotkasz w snach. Ja wiem.

Znajduję to, czego szukam, w środkowej szufladzie biurka. Mam szczęście, mogła go zabrać do szkoły, ale wiem, że rzadko to robi, woli telefon, nim załatwia większość rzeczy. Wyjmuję laptop z szuflady, włączam go, jej poczta jest otwarta na ekranie, jedna nowa wiadomość. Nie mogę ryzykować czytania – wiedziałaby, że otworzyłam mejl – ale czytam jej ostatnią korespondencję z Samem, w której pisze mu, że jest samotna, nienawidzi swojego życia, chciałaby mieszkać z nim we Włoszech. Ostatni wysłany mejl jest z ostatniej nocy, jest w nim mowa o jakichś notatkach na mój temat, które widziała w gabinecie Mike'a. Dalej pisze, że jej zdaniem mogę mieć coś wspólnego z Zabójczynią Piotruś Pan, że to koszmarnie, bo wyglądałam jak ona.

Nieprzeczytana wiadomość to jego odpowiedź. Co napisał? Co ona robi?

Odkładam laptop na miejsce, wychodzę i zamykam za sobą drzwi, idę korytarzem do swojego pokoju. Kładę się na łóżku i leżę aż do czasu, gdy na zewnątrz robi się ciemno. Aż do czasu, kiedy ustępuje migrena i przestaje naciskać mi na kark, szczytać szczyt mojego kręgosłupa. Odwracam się na bok, otwieram oczy, głowa boli mniej, ale kiedy rozglądam się po pokoju, serce boli mnie bardziej. Co robi Phoebe? Co się ze mną stanie? Gdzie pójdę?

Nie mogę już tak dłużej leżeć, więc idę na dół. Sas-kia i Mike rozmawiają z Phoebe w saloniku. Szukam tropów świadczących o tym, że powiedziała im o swoich domysłach, ale nic na to nie wskazuje.

– Widzisz, Mike, wszystko z nią w porządku, nie ma powodu stresować się wyjściem – mówi Saskia.

Phoebe nie nawiązuje ze mną kontaktu wzrokowego, wychodzi z saloniku zaraz po moim przyjściu.

– Gdzie się wybieracie? – pytam.

– Sas i ja zostaliśmy na dziś zaproszeni na kolację u Bowenów, ale w związku z tym, że źle się czujesz, uznałem, że powinniśmy zostać w domu.

– Odpoczęłam i już czuję się lepiej.

Może jak wyjdą, będę mogła porozmawiać z Phoe-be, przekonać ją, że jestem inna niż ty.

– Nie wiem, czy powinniśmy wychodzić, tyle ostatnio przeszłaś – mówi Mike.

– Nic mi nie jest, naprawdę, zamierzam nadrobić trochę szkolnych zaległości.

– Mam nadzieję, że gdyby coś ci dolegało, tobyś nam powiedziała, Milly, po to tu jesteśmy.

– Mike, powiedziała przecież, że nic jej nie jest. Ostatnim razem odwołaliśmy, naprawdę powinniśmy teraz pójść.

Mike kiwa głową, mówi, chyba zostałem przegłosowany. Kiedy są już w płaszczach, ociąga się z wyjściem, stosując różne sztuczki, przegląda reklamy, które przysły pocztą, leżące na półeczce przy drzwiach, wyrównuje stopą rzędek butów na podłodze. Mówi, że na ganku przydałyby się nowe kafelki.

– Może szybko go zmierzę? – proponuje.

– Nie, już jesteśmy spóźnieni, chodźmy – ponagla Saskia.

To nie instynkt macierzyński, ale Mike wyczuwa panujące w domu napięcie. Podejmuje ostateczną próbę.

– A co z Rosie, trzeba ją wyprowadzić.

– Jedna z dziewcząt może to zrobić – odpowiada Saskia.

– Na pewno ci nie przeszkadza, że wychodzimy, Milly?

– Ależ skąd.

– Numer Bowenów jest na czarnej tablicy, dzwoń do nas, jeśli czegoś będziesz potrzebować, czegokolwiek – mówi na odchodnym.

Nie wiem, co robić. Może powinnam pójść na górę, zapukać do drzwi pokoju Phoebe. Spytać, czy mogę z nią o czymś porozmawiać, ale nie bardzo wiem, co powiedzieć. Siadam na kanapie w dużym salonie, żeby pomyśleć, Rosie mości się u mych stóp. Jej czujne uszka pierwsze wychwytyują odgłosy poruszenia dobiegające z góry. Siada, przechyla główkę, nasłuchuje kroków Phoebe na schodach. Phoebe woła Rosie, ale pies się nie rusza z miejsca. Znów woła, tym razem bardziej niecierpliwie. Z mocą.

– Jest tutaj, ze mną – odpowiadam.

Nie reaguje od razu, musiała myśleć, że jestem gdzieś indziej. Potem, nie wchodząc do pokoju, mówi:

– Musi wyjść na spacer, mama przysłała mi esemesa.

Na dźwięk słowa „spacer” Rosie wstaje, wypada na korytarz do Phoebe.

– Kurwa, w takim razie ja to zrobię.

Kiedy wchodzi do salonu, ignoruje mnie, zbliża się do drzwi prowadzących na patio i je otwiera. Rosie idzie za nią, ale na zewnątrz się nie wybiera, siada

w otwartych drzwiach.

– Wyjdź, ale już.

Pies ani drgnie, więc Phoebe chwytą go za obrożę, wywleka na patio. Zapala się światło kontrolne ochrony. Phoebe stoi z psem na zewnątrz, chociaż nie ma na sobie płaszcz, a sądząc po powietrzu, które wpada do pokoju, jest bardzo zimno. Kiedy Rosie kończy swoje sprawy, Phoebe wprowadza ją do środka, zamyka drzwi, wyćwiczone oczy wbija w telefon. Ja patrzę na nią. Teraz albo nigdy.

– Mogę z tobą o czymś porozmawiać, Phoebe?

Odrywa oczy od telefonu, ale nie może się zdobyć, by patrzeć wprost na mnie, błądzi wzrokiem po pokoju.

– Zależy.

– Wiem, że między nami nie układało się zbyt dobrze, ale chciałabym to zmienić.

– Nie ma sensu.

– Dlaczego?

– Bo długo już tu nie zabawisz.

– Chciałabym zostać możliwie najdłużej.

– Ale to nie zależy od ciebie.

Wstaję, patrzy na mnie, pyta:

– Co robisz? Jeden z moich przyjaciół ma mnie odwiedzić, będzie za minutę.

Boi się. Nie chcę, żeby tak było. Chcę jej powiedzieć, że razem mogłybyśmy zawojować świat, zabójczy duet, za przeproszeniem. Mija mnie, podchodzi do drzwi i tuż przed opuszczeniem pokoju mówi:

– Ani się obejrzysz, a tata umieści w twoim pokoju jakąś inną pojebuskę. Będzie tak, jakbyś nigdy nie istniała.

Kiedy następnego dnia opuszczam podwórze szkolne, są na nim Phoebe z Clondine i Izzy. Clondine się uśmiecha, ale pozostałe dwie się odwracają. Ile czasu trzeba, zanim uśmiechy i ignorowanie zmienią się w gapienie i wytykanie palcami? To ona, dasz wiarę, córka Zabójczyni Piotruś Pan.

Kiedy przychodzę do domu, są tam Mike i Saskia, oboje. Dobrze, że już jesteś, mówi Mike, bo chcielibyśmy porozmawiać o czymś przed rozpoczęciem weekendu. Saskia unika mego wzroku, kiedy siadamy, Mike proponuje, że nastawi czajnik, żadna z nas nie odpowiada.

– Chcielibyśmy, Sas i ja, powiedzieć ci, że jesteśmy z ciebie bardzo dumni w związku z tym, co ci się udało zrobić. Niewielu nastolatków poradziłoby sobie z taką presją, i w dodatku w tak dojrzały sposób. Jednak teraz, kiedy jest już po procesie, musimy się zastanowić nad twoją przyszłością.

Dwa dni, tylko tyle minęło od werdyktu. Nie mogą się doczekać. Kiedy się mnie pozbędą.

– June i zespół z opieki społecznej szukali dla ciebie stałego domu. Wydaje im się, że chyba znaleźli odpowiednią rodzinę, która mieszka na wsi w pobliżu Oksfordu, jest tam dużo przestrzeni, pola, zdaje się, że dwa psy. To jeszcze niepotwierdzone, oczywiście będziesz musiała się z nimi spotkać i zobaczyć, jak się dogadujecie, ale zapowiadają się bardzo obiecująco. Co sądzisz o tym pomysle?

– Z tego, co słyszę, raczej nie mam wyboru.

– Nie chcemy, żebyś miała takie poczucie, po prostu staramy się wypracować dla ciebie najlepsze rozwiązanie.

– Kiedy odchodzę?

– Milly, proszę, nie zachowuj się tak – mówi Mike.

Krzyżuję ręce na piersi, macam blizny. Odwracam twarz od Mike’a i Saskii.

– Chcielibyśmy wyprawić ci urodziny i żebyś skończyła semestr w tej szkole, musimy coś wymyślić w związku z wystawą konkursową.

Za późno, do tego czasu wszyscy będą wiedzieli. Ktoś. Puści. Farbę.

– Tak głupio się czuję.

– Co masz na myśli? – pyta Mike.

– Myślałam, że mnie lubicie.

– Bo lubimy – odpowiada Saskia. – Bardzo lubimy.

– Sas ma rację – wtrąca Mike. – Ale twój pobyt u nas nigdy nie był przewidziany na stałe, rozmawialiśmy o tym w szpitalu, pamiętasz?

Nigdy nie miałam być na stałe z powodu Phoebe.

– Jak mówiliśmy, nic nie jest jeszcze ustalone na pewno, ale postaramy się

zorganizować wstępną wizytę u rodziny z Oksfordu, może nawet w następnym weekend.

Im szybciej, tym lepiej, myślą wszyscy.

Jest wcześnie nad ranem i tym razem mam jasny umysł. Nie toczę zażartej walki wewnętrznej, nie miotam się w różne strony. Chyba już od jakiegoś czasu wiem, że nie ma tu dla mnie miejsca. Nie pasuję. Wiem również od jakiegoś czasu, że może w ogóle nigdzie nie ma miejsca dla kogoś takiego jak ja. Gdybym wiedziała to, zanim cię opuściłam, może bym została, wtulona w piersi, które niekoniecznie dają miłość, ale przynajmniej są oswojonym miejscem. Ciągnie swój do swego.

Wyjmuję z szuflady z bielizną skarpetkę, wysypuję na ręce pigułki, które ukrywałam, miesiącami oszukując Mike'a. Idę do łazienki, kładę je na podłodze, przynoszę też swój laptop, zamykam drzwi na zasuwkę, nie mogą zostać otwarte z zewnątrz. Patrzę na pigułki, jestem pewna, że tyle wystarczy. Siadam, z laptopem na kolanach, sekretny folder ukryty wśród dokumentów z nazwą:

Ty.

Sięgam po garstkę pigułek, popijam wodą z do połowy opróżnionej butelki, którą zostawiłam przy zlewie. Oglądam filmiki wideo, w których przyjeżdżasz furgonem więziennym. Okna zaciemnione jak w samochodzie Mike'a, kiedy ja też jechałam do sądu. Następny filmik jest z ostatniego dnia procesu. Werdykt. Winna razy dwanaście. Tłum napierał, kiedy przewożący cię furgon odjeżdżał spod budynku sądu, reporterzy trzymali wysoko aparaty. Nabieram pełne usta tabletek, mieszanka białych i niebieskich, a także kilka różowych. Naciskam pauzę, kiedy na ekranie ukazuje się twoje zdjęcie. Po jakiejś godzinie pomieszczenie staje się puszyste, moje ciało pełne piachu, nieco zsuwa się po ścianie. Zbiera mi się na chichot, jestem na haju, ale nie pamiętam, jak to się robi ani kiedy ostatni raz to robiłam.

Biorę resztę pigułek, dużą garść. Głównie różowe, nie po to, by chłopcom zawrócić w głowie, lecz żeby nie musieć już myśleć, w ogóle. Zapijam wodą, mam sucho w ustach, kredowy ślimak pełźnie wężykiem w dół gardła. Zamykam laptop, podciągam się, chwytając za bok umywalki. Tym razem chcę spojrzeć w lustro, chcę cię zobaczyć, zanim odejdę, ale moje ręce ześlizgują się z krawędzi umywalki, lustro się roztapia. Jasne rozbłyski światła w oczach. Spadające gwiazdy. Pomyśl życzenie, nie ma sensu. Jestem zmęczona, taka zmęczona.

Wspinam się na łóżko, nie, to chyba wanna. Zasłona prysznicowa porusza się w moim ręku, muszę się szybko zasłonić, telefon w pogotowiu, robi mi zdjęcie, pamiętaj. Czternaście kafelków u podnóża wanny, policzyłam je w nocy przed rozpoczęciem twojego procesu, kiedy nie mogłam spać. Głowa opada mi na piersi,

miejsce spoczynku, brzuch pełen piguł.
Jestem ciągnięta. Za nogi.
Pochwycona od dołu.

Osiem w górę.

I jeszcze kolejne cztery.

Drzwi po prawej.

Po mojej śmierci znajdą te rzeczy, które ukrywam.

Posklejane z powrotem rysunki, na których jesteś.

Chora, powiedzą. Córka swojej matki.

Są jeszcze inne rzeczy.

Pierwsza wpadła mi w ręce przypadkowo, kiedy sprzątałam na kolanach pokój.

Kostka cukru na podłodze. Nie. Ząb mleczny chłopca.

Włożony do mojej kieszeni.

Potem wypatrywałam, szukałam. Drobiazgi, ubrania, po jednej rzeczy

od całej dziewiątki, moja obsesja przemyciona w torbie

w nocy, kiedy cię aresztowano.

Dlaczego zachowałam te rzeczy?

Nie skarb dla wrózek, nie pod moją poduszką.

Odpowiedź, to był mój wyraz troski.

Jayden. Ben. Olivia. Stuart. Kian. Alex. Sarah. Max. Daniel.

Dziewięć maluszków, którym chciałam pomóc.

Nie wiedziałaś, że to przechowuję.

Nikt nie wiedział.

Rurki.

We mnie.

Światła.

Nade mną.

Suche gardło, dławienie się. Igła wbita w wierzch mojej dłoni, kształt motylka. Mokra na twarzy, mały strumyczek. Łzy. Nie chcę płakać, nie ma sensu. Czuć. Strach. Nie ma się czego bać. Nie bać się niczego. Bać się wszystkiego.

Czy ktoś tu jest?

Zimne ręce zderzają się z moją skórą. Trącają. Obracają. Jakieś palce siłą otwierają mi oczy. Błysk światła, latarka wielkości długopisu przypuszcza atak na każdą źrenicę. Głos z obcym akcentem opowiada o przedawkowaniu przez nastolatkę, płukaniu żołądka. Próba samobójcza. Mnóstwo pigułek. Szczęściara.

Czy to się tak nazywa?

Język cyfr i liter, krwi i rzeczy. Rzeczy i krwi. Przedyskutowane. Białe fartuch, podkładka na papiery w rękach, patrzy na kartę. Milczy.

Zwiększyć dawkę środków uspokajających, mówi biały fartuch.

Znów wciągnięta pod.

Kiedy odzyskuję przytomność następnym razem, jest przy mnie Mike. Powietrze z mego serca wycieka, balon flaczaje. Mike jest zdruzgotany, schyla się nad łóżkiem. Nie mogę mówić, straciłam głos, straciłam coś więcej. Ściskam go za rękę, podnosi wzrok.

– Milly, obudziłaś się. Dzięki Bogu, obudziłaś się.

Próbuję odpowiedzieć, przeprosić, że nie mogłam naprawić, nienawidzę siebie, jestem zła w środku.

– Nie próbuj nic mówić, musisz odpocząć.

Sięga nad moją głowę, naciska guzik. Moje źrenice błyskają znakami zapytania, on je odczytuje, opowiada mi historię. Moją historię.

– Nałykałaś się pigułek, nie zeszłaś na śniadanie, więc poszedłem sprawdzić, co się dzieje, drzwi do łazienki były zamknięte na zamek, musieliśmy je wyważyć. Miałaś płukanie żołądka, a teraz jesteś pod działaniem silnych leków uspokajających, wszystko będzie przez jakiś czas zamazane, ale wyjdiesz z tego.

Drzwi się otwierają, usiłuję się skoncentrować, ale zdradzają ją w końcu blond włosy.

– Jest przytomna.

– Tak, otumaniona lekami, ale przytomna.

Saskia nie podchodzi do łóżka, trzyma się z dala, ale mówi, dobrze, cieszę

się, czy trzeba kogoś zawołać?

– Już to zrobiłem, za chwilę powinna zjawić się pielęgniarka. Dobrze, Milly?

Kiwam głową, ale nie jestem pewna, czy dotrzymam. Powieki, ciężkie. Mike, plamka. Zamazana. Pokój jest łodzią. Choroba morska. Cień, lśniący i ogromny, wieloryb przepływa pod, wynurza się obok mnie, otwiera szeroko paszczę. Zaglądam w nią. Błąd. Tyle ich popełniłam. Patrzą na mnie, ich twarze przerażone, ręce wyciągają się do mnie. Wychylam się ze swojej łodzi najbardziej, jak się da, chcę je ocalić. Jakiś głos mówi: „Nie”. Nigdy nie słyszałam, jak on mówi, ale myślę, że to Bóg, ten, w którego nie wierzę. Śmieje się. Gromko i niepohamowanie. Morze szaleje, teraz już nie mogę się do nich dostać. Dziewięcioro, jeśli policzę. Zwieszają głowy, wiedzą, co je czeka, wieloryb zamyka paszczę, daje nura, znikając mi z oczu. Zostaję wciągnięta z powrotem w biel, do pokoju, zbyt jasno.

Pielęgniarka rozmawia z Mikiem i Saskią, proszę za mną, przyszła June. Kiedy znów otwieram oczy, widzę Phoebe. Czy ona tu jest? Uśmiechnij się do aparatu, pokrako. Nie, proszę, nie rób tego, mój głos to szept, brzmi obco. Za późno. Błysk prosto w twarz. Wykapana matka. Zamykam oczy i natychmiast znów je otwieram, ale jej już nie ma i nigdy nie było, umysł płata mi figle.

Na wysięgniku umocowanym do ściany stoi telewizor, włączony, ale bez głosu, napisy przesuwają się w dole ekranu. Tytuły mówią o zatonięciu promu i przez sekundę wydaje mi się, że widzę twoją twarz. Maszyna po mojej lewej stronie, wcześniej miarowo i sennie bijąca, teraz robi to głośniejsze; przyczepiona do mojego serca, rejestruje reakcję na ciebie. Staram się zwolnić oddech, ale popiskiwanie staje się coraz szybsze, zamykam oczy, wciągnij mnie znów pod spód, proszę. Jeszcze raz patrzę na ekran telewizora, wiadomości się skończyły, jeśli w ogóle kiedyś były włączone, zamiast tego jakiś konkurs, uczestnicy wymyślają słowa.

Próbuję usiąść, brak siły w rękach. Rozmowa pomiędzy June, Saskią i Mikiem. Gdzie ja pójdę? Nowa rodzina mnie teraz nie zechce. Nie wiemy, czy możemy trzymać taką osobę w domu, powiedzą, czy dla niej nie byłoby lepiej, gdyby została tam, gdzie jest? Tak, lepiej, teraz to sobie uświadamiam. Chcę zostać. Dość miejsca dla nas obu, dla Phoebe i dla mnie. Proszę.

Wracam do telewizji, twoja twarz wypełnia cały ekran. Pod spodem jedno słowo, błyskające. Ogromne.

UCIEKŁA

Kiwasz głową, uśmiechasz się, mówisz, że idziesz po mnie. Słyszę, że ktoś wrzeszczy, i uświadamiam sobie, że to ja. Rzucam się na łóżku, motyl siedzący na wierzchu mojej dłoni odlatuje, rurki i przewody odpadają. Maszyna monitorująca moje serce wysyła sygnał alarmowy, posępny ciągły sygnał, przewód odpadł, nie może namierzyć bicia serca. Bez serca. Nie. Może. Znaleźć. Mojego. Serca. Wpada

lekarz, uspokój się, uspokój, mówi, chwytając mnie za ramiona i popychając na łóżko. Mike i Saskia wchodzi po nim do pokoju. Lekarz krzyczy, żeby ktoś przyniósł olanzapinę, pięć miligramów, domięśniowo.

– Ona idzie po mnie. – Słyszę własny głos.

– Nikt po ciebie nie idzie, Milly, jesteś bezpieczna.

Dziewięcioro maluszków przygląda się z kąta pokoju, głowy spuszczone, oczy mokre, usta w podkówkę.

Biały fartuch.

Igła.

Sen.

Zostaję przeniesiona z oddziału szpitalnego na oddział psychiatryczny dla nastolatków. Nie na długo, zapewniał mnie Mike, ma to służyć jedynie ustaleniu na nowo kuracji lekami. Najwyżej tydzień. Nie potrafił spojrzeć mi w oczy, kiedy powiedział „kuracja lekami”, jakby to była jego wina. Zbyt niefrasobliwie mi je wydawał, myśli.

Pielęgniarka kontroluje każdy mój ruch, to się nazywa, że jestem pod stałą obserwacją. Jedna na jedną. Na ścianie przed wejściem do mojego pokoju wisi podkładka do pisania, co godzinę, o godzinie, ptaszek na kartce.

Toaleta. Ptaszek. Lunch. Ptaszek. Żyje. Ptaszek.

Czy mogę zostać sama? Nie.

Czy mogę wejść do internetu? Nie.

Mogę wyjść?

Powolny przeczący ruch głowy.

Tym razem gram zgodnie z zasadami, nawet biorę pigułki, które mi dają, może to mi pomaga, bo śpię godzinami i ani razu cię nie widziałam. June była u mnie kilka razy, powiedziała, że mój pobyt u Newmontów został przedłużony, spędzę tam czas do Bożego Narodzenia, ale potem zostanę przeniesiona do nowej rodziny. Pytam ją, czy Phoebe wie, co zaszło. Nie. Myśli, że miałas zapalenie wyrostka robaczkowego, Mike powiedział jej, że były jakieś komplikacje, ale niedługo wrócisz do domu.

Zastanawiam się, jak to zrobi. Jak obwieści wszystkim, kim jestem?

Odwiedza mnie też dziewczynka z pokoju obok. Tuli pluszowego królika. Prozac, poznaj Milly. Milly, poznaj Prozaca. Dlaczego on nazywa się Prozac, spytałam. Roześmiała się, odparła śpiewnym głosem, mój psychiatra też mnie o to pyta. Wczoraj dziewczynka przyszła do mojego pokoju, stała obok łóżka, głaszcząc różowe wnętrza uszu królika, i powiedziała, mówię mojemu psychiatrze, że nazywam króliczka Prozac, bo sprawia, że lepiej się czuję.

Josie, wyjdź, proszę, z pokoju Milly, mówi jedna z pielęgniarek.

Szybko, powiedziała dziewczynka, daj mi rękę. Wetknęła mój palec do dziurki w futerku królika, kolejny brzuszek pełen pigulek. Ale to dlatego, że króliczek też lubi prozac, powiedziała, mrugnęła, zakręciła się na pięcie i wyszła.

Małe niebieskie pigułki, prezenty od bogów albo psychiatrów, którzy je przepisują, którzy myślą, że są bogami. Chcę jej powiedzieć, by brała te pigułki, rób, jak mówią, ale kiedyś byłam jak ona, chomikowałam je. Bierz je, nie bierz ich, placebo czytane od końca to obecalp. 10 mg obecalpu dla dziewczynki w pokoju numer pięć proszę. Uczyłam się szybko na pierwszym oddziale, na którym

przebywałam, rozpracowałam język, którego używali, by nas nabrać. Patrząc wstecz, myślę, że może sama siebie nabrałam, ponieważ prawie po tygodniowym pobycie tutaj, braniu pigułek i rozmowach z pielęgniarkami czuję się lepiej.

Prawie dobrze.

Dziś odbyło się spotkanie w sprawie mojego zwolnienia ze szpitala. Mike i Saskia oraz June też przyszli. Taka rozmowa na oddziale psychiatrycznym odbywa się przy okrągłym stole, więc czujesz, że w niej uczestniczysz, a nie że cię przepytują. Nikt nie nosi uniformów. Równość. Kto decyduje o tym, kto jest szalony, twoje słowa, ale nie chciałam ich słyszeć, więc skupiłam się na tym, by powiedzieć personelowi, że czuję się bezpieczna. Kiedy spytali, w skali jeden do dziesięciu jak bezpieczna się czujesz? Dziewięć na dziesięć, odpowiedziałam, pracuję nad tym ostatnim. Uśmiechy wokół stołu, moja próba żartowania została doceniona.

Przedawkowanie leków przypisano opóźnionej reakcji na stres, jaki towarzyszył procesowi, i brakowi snu. Nie ma potrzeby skupiania się na tym, idźmy do przodu, powiedziała Mike'owi jedna z pielęgniarek oddziałowych, to nie była niczyja wina. Zwolnienie zapewnione, mogę iść do domu, w piątek dwudziestego piątego listopada, tydzień przed dniem moich szesnastych urodzin. Idę do pokoju i pakuję swoje rzeczy, nie ma pielęgniarki przy drzwiach, przeżyłam, nie trzeba już stawiać ptaszków. Jakiś chłopak, którego słabo kojarzę z widzenia, wchodzi do mojego pokoju, rzuca się na mnie, przypiera do ściany. Usta ma lepkie od śliny, efekt uboczny leków, nieprzyjemne uczucie, kiedy próbuje wyzdrowieć. Mówi, że oni mnie też chcą dopaść, ci mężczyźni, którzy przychodzą w nocy do jego pokoju. Szepcze, ogląda się za siebie, nie wpuszczaj ich, mówi. Mimo ohydy jego ust, szaleństwa w oczach myślę o tym, by go pocałować, a potem powiedzieć, że jestem umierająca. Na co, spytałby, czy coś ci zrobili? Nie wiem, odpowiedziałabym, to chyba stało się dawno temu. Chcę mu powiedzieć, że w nocy nie przyjdą po mnie mężczyźni.

To będziesz ty.

Jak bezpieczna się czujesz w tej chwili? Jeden na dziesięć, może dwa.

Mike odwołał swoich sobotnich klientów i wziął wczoraj dzień wolny. Zrobił nam na śniadanie naleśniki z bekonem i syropem klonowym. Siedzieliśmy wszyscy razem przy stole, było wszystko w porządku. Phoebe sprawiała wrażenie zadowolonej, uśmiechała się. Pojawiła się we mnie iskierka nadziei, może Phoebe odpuściła sobie pomysł, że mam z tobą coś wspólnego, a może wie, ale jest jej mnie żal, chce, byśmy się jakoś dogadały. Phoebe i Saskia wybrały się na cały ranek na zakupy, Mike wydawał się bardzo zadowolony. Proste rzeczy.

Teraz bardzo pilnuje, żebym przyjmowała lekarstwa. Personel z oddziału poradził mi, żeby dawał mi tabletki z ciepłym płynem i kazał zostawać ze sobą w pomieszczeniu, czekając, aż leki dostaną się do mojego krwiobiegu. Tak robi, i to jest w porządku. Chcę, by wiedział, że może mi zaufać. Chcę zostać.

Po wyjściu Saskii i Phoebe spotkaliśmy się z Mikiem, by odbyć sesję. Spytał, o czym chcę porozmawiać. Chciałam mu powiedzieć, że przez większość tygodniowego pobytu na oddziale zastanawiałam się, co Phoebe wie i co zamierza w związku z tym zrobić, ale zamiast tego powiedziałam o pokoju szpitalnym, w którym moje łóżko było łodzią, a pod nią przepływał wieloryb. Powiedziałam mu, że wyobraziłam sobie ciebie w telewizji, słowo „uciekła” pojawiło się na ekranie. Wyjaśnił, że był to wynik działania środków uspokajających, które mogą wywoływać halucynacje. Powiedział, że chce, abym do niego przychodziła, jeśli tylko będę miała poczucie zagrożenia. Że muszę przestać dusić w sobie różne rzeczy. Nie chcemy, żebyś znowu wylądowała w szpitalu. Dobrze?

Pod koniec sesji wręczył mi kopertę. Otworzyłam ją, była to kartka od pani James z życzeniami powrotu do zdrowia. Mike wyjaśnił, że powiedział wszystkim, nie tylko Phoebe, że miałam zapalenie wyrostka robaczkowego. Uznał, że nie trzeba informować szkoły o tym, co się stało, zważywszy na to, że zbliża się koniec semestru. Spytał, czy moim zdaniem będę gotowa pójść na lekcje już w poniedziałek. Tak, odparłam, naprawdę lubię Wetherbridge, to najlepsza szkoła, w jakiej byłam. Poza tym okazuje się, że pani Kemp wie, powiedział, pani James napisała do mnie mejla, ale nie musisz się martwić, ona nikomu nie powie. Nie, pomyślałam, ale twoja córka może to zrobić.

Dziś Mike i ja postanawiamy przejść się na targ. Po drodze mówi mi, że rozesłał mejle w związku z moimi urodzinami, zorganizuje podwieczorek w domu w następną niedzielę, wpadnie kilka osób. Dziękuję mu, ale od razu pogrążam się w myślach o tym, jakie byłyby moje szesnaste urodziny, gdybym była z tobą.

Kupujemy gorącą czekoladę w jednym z kramów, a pani, która nas obsługuje, pyta mnie, czy cieszę się, że zbliżają się święta. Tak, odpowiadam, ale

wcześniej będą jeszcze moje urodziny. Patrzy na Mike'a, próbuje odgadnąć mój wiek. Patrząc na twego tatę, powiedziałabym, że masz siedemnaście. Uśmiecham się, prawie pani trafiła, skończę szesnaście. Nie obchodzi mnie, że źle oceniła mój wiek, bo kiedy powiedziała: „patrz na twego tatę”, Mike jej nie poprawił. Odwracam się do niego z uśmiechem, ale on patrzy w drugą stronę, nie słyszał tego, co powiedziała ta kobieta.

Po przyjściu do domu wysyłam esemesa do Morgan, by sprawdzić, czy później do mnie wpadnie. Nie wolno mi było używać telefonu w szpitalu, więc zanim mnie zwolnili, nabrało się wiele esemesów od niej. Ona też myśli, że chodziło o wyrostek, i mam nadzieję, że nie będzie chciała obejrzyć blizny. Naprawdę się cieszę, że ją zobaczę, sprawdzę, czy wszystko z nią w porządku. Przez resztę popołudnia dom jest pogrążony w ciszy. Phoebe wyszła, pewnie do Izzy, a Saskia wypoczywa. Mike jest w swoim gabinecie, powiedział, że nadrabia zaległości w pracy. Może pisze o mnie.

Próbuję rysować, ale nie mogę się skupić. Mimowolnie wciąż myślę o Phoebe. To nie leży w jej naturze, by odpuścić ani by starać się zrozumieć. Szkoda, że nie mogę wejść do jej pokoju, przeczytać jej mejli, ale to zbyt ryzykowne, gdy Mike jest w pobliżu. Wczoraj wydawała się szczęśliwa przy śniadaniu, uśmiechała się. Nie dlatego, że wróciłam, oczywiście, że nie, tylko dlatego, że ma obmyślony plan.

Jestem przerażona. Tęsknię za pielęgniarką, która stawiała ptaszki na formularzu przyczepionym do podkładki, za Josie kręcącą się po pokoju. Nie chcę być sama. Grunt. Niepewny. Chcę powiedzieć Mike'owi, że martwię się, że Phoebe się dowiedziała, ale nie wiem, jak to zrobić. Nie chcę, by się dowiedział, że złamałam domową zasadę, wchodząc do jej pokoju.

Nie wiem, co mu powiem, ale i tak idę do jego gabinetu, powiedział, że bym przychodziła, kiedy tego potrzebuję. Już mam zapukać do drzwi, ale zastygam z uniesioną ręką, bo słyszę, że rozmawia przez telefon. Opuszczam rękę, odwracam głowę, żeby przytknąć ucho do drzwi, słucham niezobowiązującej rozmowy. Plany na święta i sylwestra, a potem słyszę, że mówi o mnie:

– Sądzę, że masz rację, June, już czas, by Phoebe znalazła się na pierwszym miejscu, to oczywiste. Przykro mi, że zmieniliśmy zdanie, ale teraz, kiedy Milly wróciła, widzę wyraźnie, że nie mogą być tu razem, to nas przerasta. Poza tym, szczerze mówiąc, wspieranie jej w trakcie procesu i to, co się potem stało, wykończyło mnie. Nas wszystkich. Przydałoby mi się znów trochę normalności.

Milknie, gdy June mu odpowiada.

– Tak, zgoda, za wcześnie, by jej o tym teraz mówić, za mało czasu upłynęło od przedawkowania, ale jestem pewien, że nic jej nie będzie, kiedy potem to zrobię. Będę delikatny.

Odsuwam się od drzwi. Już nie mam ochoty mówić mu, że się boję.

Powiedział, żebym nic w sobie nie dusiła, ale jak mogę rozmawiać z kimś, kto, jak się dowiedziałam, wcale mnie tu nie chce.

Kiedy Morgan zjawia się na moim balkonie, jej widok mnie wzrusza. Czy dom to miejsce, czy osoba? Siadamy na łóżku, pyta mnie, jak się czuję, ale nie prosi o pokazanie blizny. Ja też pytam, jak ona się czuje, kiedy widziałyśmy się ostatnio, była poraniona, opuchlizna wokół ust zesza, zadrapanie na czole się zagoiło.

– Mówiłaś, Mil, że twoja ulubiona książka to *Piotruś Pan*, prawda?

– Tak, a co?

– To też ulubiony film mojej siostry. W zeszłym tygodniu oglądałyśmy go na DVD i pamiętasz pewnie, jak Piotruś Pan daje coś Wendy, żeby jej podziękować? No więc ja też mam coś dla ciebie.

Wyjmuje to z kieszeni, wręcza mi. To mały złoty medalion podobny do tych, które widziałam w kramach ze starociami. Otwieram go, w środku nie ma zdjęcia.

– Pomyślałam, że może kiedyś mogłabyś wsadzić moje zdjęcie po jednej stronie, a swoje po drugiej.

Uśmiechamy się do siebie, a ja uświadamiam sobie, ile Morgan dla mnie znaczy i że nie muszę jej krzywdzić, by zapewnić jej bezpieczeństwo. Dobrze sobie radzi. Kładzie się na łóżku, pytam, czy mogę ją narysować. Chcę zacząć nową serię portretów, taką, w której nie będę musiała zamazywać twarzy.

Pierwsze dni w szkole były dla mnie trudne, hałas w stołówce zdawał się większy, konflikty na korytarzach poważniejsze. I do tego ciągły lęk związany z tym, że Phoebe wszystko rozgada. Staralam się, jak mogłam, schodzić jej z oczu, mając nadzieję, że jak za sprawą czarów zapomni, kim jestem. Za kogo mnie uważa. Czekanie jest gorsze – nie wiedzieć, dlaczego jeszcze nikomu nie powiedziała.

Dziś po lekcjach idę do szatni po swoje rzeczy i ona tam jest razem z Marie, która proponuje, by poszły do Starbucksa. Phoebe odmawia, ma coś do zrobienia w domu.

– Ale pójdę z tobą, jeśli dasz mi minutkę, muszę tylko przeczytać tego mejla. Uśmiecha się, patrząc na ekran w telefonie.

– Od kogo to? – pyta Marie.

– Od nikogo – odpowiada Phoebe, zerkając na mnie. – To dotyczy pewnych moich planów na jutro.

I wszyscy konni i wszyscy dworzanie złożyć do kupy nie byli go w stanie.

Idąc na górę, do auli, wysyłam esemesa do Mike'a, przypominam mu, że do siódmej będę pracowała nad dekoracjami do sztuki. Pisze w odpowiedzi, że nic nie szkodzi, oboje z Saskią będą w jego gabinecie, gdzie świętują zakończenie remontu, wrócą mniej więcej o tej samej porze, co ja. Zaangażowanie się w jakieś zajęcie dobrze mi robi, skupiam się na malowaniu i konstruowaniu, a w połowie wieczoru proponuję, że wyskoczę do kiosku obok szkoły i kupię dla wszystkich jakieś słodczyce, potrzebujemy energetycznego kopa. Kiedy kończymy, tuż po siódmej, a spora część dekoracji już stoi, uświadamiam sobie, że sprawiało mi to przyjemność, dobrze było czymś się zająć.

Wychodzę razem z M.K., mówię jej, że zaczęłam nową serię portretów. Jest zadowolona, czas ruszyć do przodu, mówi. Tak, przyznaję. Już czas.

– Dotrzesz sama do domu? – pyta.

– Tak, dziękuję, mieszkam bardzo blisko.

– Fajnie, to do jutra, Milly.

– Do widzenia.

Jestem w połowie drogi do domu, kiedy dzwoni mój telefon. Imię Mike'a błyszczy na ekranie, a kiedy odbieram, mówi:

– Gdzie jesteś, do cholery?

– Właśnie wracam ze szkoły. Przygotowywałam...

– Masz nie przychodzić do domu, słyszysz?

Głos ma zdławiony, napięty. Tak różny od normalnego.

- Idź do sąsiadki, Valerie, i zostań tam, dopóki się nie odezwę.
- Mike, przerażasz mnie. Co się stało?
- Rób, co mówię. Nie przychodź do domu, słyszysz?
- Tak.

Kiedy zbliżam się do domu, wygląda zwyczajnie. Nie chcę iść do Valerie, ale czeka na mnie na ulicy, pospiesznie zagania do siebie.

– Co się dzieje? – pytam. – Mike mnie wystraszył.

– Jeszcze nie bardzo wiemy, ale wszystko będzie dobrze. Chodź do środka, bo zmarzniesz.

Za każdym razem, gdy słyszałam te słowa – że wszystko będzie dobrze – nigdy tak nie było.

Wkrótce słyszę syreny, które z rykiem zatrzymują się przed naszym domem. Valerie zabiera mnie do salonu, z którego okna wychodzą na ogród, nie na ulicę, pyta, czy chcę się czegoś napić albo coś zjeść.

– Chcę pójść do domu, chcę się dowiedzieć, co się stało.

– Nie teraz, kochanie.

Nie wolno mi iść do domu przez prawie dwie godziny. Valerie włącza telewizję, stara się, jak może, wyglądać normalnie. Na zrelaksowaną. Ale kiedy David, jej mąż, wraca do domu, domyślam się z ich wymiany spojrzeń. Wieści są złe. Złe wieści. Odzywa się dzwonek u drzwi, David otwiera, słyszę, że rozmawia z Mikiem, wprowadza go do pokoju. Na jego widok wybucham płaczem, bo cały przód jego koszuli jest poplamiony, a ja wiem, co plami na taki kolor. Spogląda w dół i mówi drewnianym głosem:

– Powinienem się przebrać, nie pomyślałem.

Mówi powoli, twarz ma przerażoną. Postarzałą. Teraz też będzie widział czerwień, witaj w klubie.

– Valerie, może zostawimy ich na chwilę samych – sugeruje David.

– Oczywiście, nie spieszcie się.

Wychodzą i zamykają za sobą drzwi, atmosfera w pokoju jest poważna. Naładowana. Mike siada obok mnie. Widzę, że ręce mu się trzęsą. Normalność, na to miał nadzieję, jak wynika z rozmowy z June.

– Boję się, Mike, o co chodzi? Powiedz mi, proszę.

Nie jest w stanie wydobyć słów, zaczyna mówić i od razu milknie. Usta. Zmagają się z koszmarem, który muszą ogłosić. Wreszcie Mike mówi:

– Wypadek, straszny wypadek.

Zakrywa twarz dłońmi, też poplamionymi, na palcach. Mam ochotę wyciągnąć rękę i go dotknąć, ale nie chcę mieć tego czegoś na swojej skórze.

– Co to znaczy?

Na początku nie odpowiada, kręci głową, spuszcza wzrok na dywan, który ma pod stopami. Niedowierzenie. Widziałam je już wcześniej u detektywa, przed

którym składałam pierwsze zeznanie. Mike odejmuje ręce od twarzy, ale natychmiast podnosi jedną z nich i zakrywa usta po wypowiedzeniu jej imienia. Zachłystuje się powietrzem. Łatwo mu uspokajać innych ludzi, na tym polega jego praca, ale gdy chodzi o niego samego, jest bezradny.

– Jaki wypadek? Czy wszystko z nią w porządku?

Z trudem oddycha, sięga ręką do krawata, który ma na sobie. Próbuje go rozluźnić. To nie pomoże, chcę mu powiedzieć, nic nie pomoże.

– Nie, nie jest w porządku – odpowiada.

Ale nie mówi, że nie żyje, jednak na jego koszuli jest tyle czerwieni. Tyle czerwieni.

– Co to znaczy nie w porządku? Mogę ją zobaczyć? Chcę sprawdzić, czy dobrze się czuje.

Mierzwi sobie włosy, szarpie koszulę, nie potrafi utrzymać rąk bez ruchu, wciąż czuje na nich kształt jej ciała. Zaczyna się bujać, mamrocze do siebie.

– Mike, proszę, rozmawiaj ze mną.

– Odeszła, już ją zabrali, w domu jest policja.

– Gdzie odeszła?

Odwraca się, by na mnie spojrzeć, chwytą za kolana. Ręce jak szpony. Zasada „nie dotykać Milly” już nie obowiązuje. Chcę się odsunąć, zamknąć oczy. Nie chcę widzieć jego spojrzenia, kiedy powie to, czego się teraz spodziewam.

– Nie żyje, Milly, moja Phoebe nie żyje.

Potem zaczyna płakać, zabiera ręce z moich nóg, obejmuje się. Ręce skrzyżowane na piersi, znów zaczyna się kołysać.

– Nie rozumiem, widziałam ją w szkole zaraz po dzwonku.

Nagle wstaje. Chwila na rozproszenie złych uczuć w środku, mnie też to pomaga. Czasami. Podchodzi do kominka, wraca. Cały czas coś mamrocze. Chodzi, zdawałoby się, bez końca, potem się zatrzymuje, patrzy na mnie, jakby sobie nagle przypomniał, że ktoś jeszcze jest z nim w pokoju. Podchodzi, klęka na podłodze przede mną, znów wszedł w buty psychologa. Solidny grunt pod stopami. Umie odgrywać tę rolę, jest łatwiej, wygodniej, niż być po niewłaściwej stronie żalu.

– Przepraszam, Milly – mówi. – Przepraszam.

– Dlaczego przepraszasz?

– Już tyle musiałaś znieść.

Potem się załamuje, wydaje z siebie gwałtowny, przejmujący szloch, każdy oddech jest wysiłony. Ja też zaczynam płakać, jego ból zalewa przestrzeń wokół mnie. Staram się mu powiedzieć, że będzie dobrze, jakoś się ułoży. Wyciągam rękę, kładę ją na jego głowie. Myślę, że to pomogło, bo przestaje tak silnie łkać, przysiadła na piętach i zaczyna masować sobie skronie, przeczesuje palcami włosy, dwa, trzy razy. Bierze teraz głębokie oddechy, przez nos, wypuszcza powietrze

ustami.

- Co się stało? – pytam
- Myślmy, że spadła, policja to teraz bada.
- Spadła?
- Nie mogę rozmawiać o szczegółach, Milly. Proszę. Nie teraz.
- Gdzie jest Saskia?

W piekle, myślę, tak by pewnie odpowiedział, gdyby potrafił wypowiedzieć to na głos, gdyby był w stanie się do tego zmusić. Kiedy mówi, czuję w jego oddechu whisky. Powiedział, że nie może omawiać szczegółów, ale nic nie poradzi na to, że wciąż przewijają mu się w myślach, zdarta płyta w jego głowie. Telefon leżał obok niej na podłodze, powtarza wciąż. Mówiłem jej, żeby tam nie siadywała, bo pewnego dnia spadnie. Ale ona nigdy mnie nie słuchała, prawda? Nigdy, cholera jasna, nie słuchała. Znowu zaczyna płakać, zakrywa twarz.

- To nie twoja wina, Mike.

Słyszę dzwonek przy drzwiach, znowu głosy. Delikatne pukanie do drzwi. Valerie wchodzi do pokoju, mówi, przepraszam, ale policja chce z tobą porozmawiać, mówią, że możesz wrócić do domu, jeśli chcesz. Mike kiwa głową, używa obu rąk, aby dźwignąć się z kanapy, nie ufa swoim nogom. Valerie wychodzi, mówi, że zaczeka w korytarzu.

- Powinniśmy już iść – mówi.
- Boję się, co zobaczę.
- Nic nie zobaczysz. Plandeka leży w miejscu, w którym...

Podchodzi do okna, opiera dłoń na szybie, patrzy na ogród, próbuje nad sobą zapanować.

Odwraca się do mnie, powtarza, musimy iść. Kiedy wychodzimy z pokoju, Valerie i David czekają na zewnątrz, oboje mówią, że bardzo współczują i jeżeli tylko będą mogli coś zrobić, niech Mike śmiało dzwoni, o dowolnej porze. Mike kiwa głową.

Pierwszą rzeczą, którą widzę na podjeździe, są dwa samochody policyjne, nie ma ambulansu, Mike mówi, że już odjechał. Kiedy podchodzimy do drzwi wejściowych, nie chcę wejść do środka.

- Chyba nie mogę, Mike.
- Musimy. Cały czas będę z tobą.

Kilku policjantów w mundurach stoi w przedpokoju. Mike przedstawia mnie jako swoją przybraną córkę. Jeden z policjantów kiwa głową i mówi, że Steve czeka w kuchni. Ta podłoga, trzeba będzie wymienić kafle. Trzymam się Mike'a, kiedy przechodzimy obok.

– Śmiało – mówi, trzymając mi rękę na plecach. Znowu pytam, gdzie jest Saskia.

- Ratownicy medyczni dali jej zastrzyk, coś na uspokojenie, jest w naszej

sypialni.

Jeszcze inny policjant siedzi przy kuchennym stole, wstaje, kiedy wchodzimy.

– Ty pewnie jesteś Milly. Czy mogę zadać ci kilka pytań? Rozumiem, że to musi być dla ciebie straszny szok.

– Czy mogę z nią zostać? – pyta Mike.

– Oczywiście, to nie potrwa długo, zwykła procedura. Usiądź, proszę.

Otwiera notes, który ma przed sobą, zdejmując skuwkę z długopisu.

– Czy możesz mi powiedzieć, kiedy widziałas Phoe-be po raz ostatni?

– W szkole, po lekcjach, to musiało być około czwartej.

– Jak się zachowywała?

– Zwyczajnie. Czytała wiadomość w telefonie.

– Wiesz od kogo?

– Nie, ale to był mejl. Wydawała się z czegoś zadowolona.

Zapisuje coś w notesie.

– Czy powiedziała ci, z czego się cieszy?

– Nie.

– I mówiła, że idzie prosto do domu?

– Chyba tak, mówiła, że ma coś do zrobienia.

– Czy jeszcze o czymś rozmawialiście?

– Właściwie nie, musiałam iść na spotkanie. Pomagam w przygotowaniu dekoracji do naszego przedstawienia.

– I tym właśnie się zajmowałaś po południu? – pyta.

– Tak, w grupie jest nas około piętnaścioro i jedna nauczycielka, pani Kemp.

Kolejny zapis.

– O której wyszłaś ze szkoły?

– Wyszłam ze swoją nauczycielką, tuż po siódmej, zaraz potem zadzwonił do mnie Mike.

Policjant patrzy na Mike'a, ten kiwa, by potwierdzić moje słowa, jego twarz z każdą minutą wydaje się starsza. Wiem, że już po wszystkim, kiedy policjant zamyka notes, zakłada skuwkę na długopis. Szczegóły.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia. Myślę, że już skończyliśmy – mówi.

Milknie na kilka sekund, uprzejma reakcja na to, co widzi, uważał na szkoleniu. Kiedy wstaje, nogi krzesła szurają po kafelkach. Mike się wzdryga, odbiera teraz silniej każdy dźwięk i inne wrażenia.

– Zostaną tu państwo na noc? – pyta.

– Możliwe, zależy, jak będzie się czuła żona. Dostała zastrzyk.

– Czy chciałby pan, bym zorganizował zespół do sprzątnięcia? O tej porze nie będzie to pewnie usługą najwyższej jakości, ale przynajmniej jakieś tymczasowe

rozwiązanie.

– Jeśli można, bardzo proszę – mówi Mike.

Zasłaniam oczy, kiedy mijam plandekę. Mike mówi, żebym została w swoim pokoju, dopóki mnie nie powiadomi, że mogę wyjść.

– Jeśli Saskia się obudzi, od razu przeniesiemy się do hotelu, a jeśli nie, to z samego rana.

Trzy wiadomości w telefonie od Morgan, która pyta, czy u mnie wszystko w porządku i dlaczego są przed domem samochody policyjne. Piszę jej, że ze mną wszystko w porządku, ale z Phoebe nie, nie żyje, spadła z poręczy. O kurwa, odpowiada od razu, była wredna, ale nie życzyłabym czegoś takiego nikomu, wypadki są najgorsze.

Tak, odpowiadam. Najgorsze.

Przez ostatni tydzień mieszkaliśmy w hotelu, a Rosie w hotelu dla psów. W domu nie czuliśmy się jak w domu, trzeba było coś zrobić z marmurem w przedpokoju. Wymienić go. A całość pomieszczenia jeszcze raz porządnie wyczyścić. Mimowolnie wyobrażam sobie, jak zareagowali Mike i Saskia, kiedy znaleźli ciało Phoebe. Saskia. Założę się, że opadła na kolana i wrzeszczała, Mike przy jej boku. Kroki. Pospieszne. Podbiegł pewnie do ciała Phoebe, sprawdził puls, dlatego jego ręce i koszula były uwalane krwią. Opadł na podłogę, chwycił jej ciało w ramiona. Saskia straciła mowę z powodu szoku.

Martwię się o nich, reflektor punktowy jest skierowany na ich ból przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Mike, zachowując pozory, porusza się wolniej niż zazwyczaj, każdy krok przypomina mu o tym, co widział. Jest strażnikiem pigulek, zarówno Saskia, jeśli uda jej się wstać z łóżka, jak i ja ustawiamy się po nie z samego rana. Saskia bierze wszystko, co Mike jej daje, wyciąga rękę po więcej. Spała przez cały dzień, powiedział, kiedy wróciłam ze szkoły pierwszego dnia po, przymuszona do normalności, wypełniania obowiązków. Myślałam, że będę zadowolona, że mogę uciec, ale chcę tylko być z nimi. Mike też tak czuje, mówi, że to pomaga, kiedy codziennie wracam.

Ich pokój w hotelu jest obok mojego, więc w nocy słyszę przez ścianę, jak Saskia szlocha, smutny, nieprzerwany płacz, podobny do dziecięcego. Tak czyni żal, postarza przez swoją grozę, a jednocześnie osłabia, cofa do stanu, w którym chcemy być hołubieni, chronieni przed światem. Wczoraj otrzymaliśmy zielone światło na powrót do domu. Jeszcze nie tak dawno poszłabym prosto do swojego pokoju, wyjęła rysunek, na którym jesteś, wodziłabym palcem po zarysie twojej twarzy, ale teraz tak nie robię. Staram się spędzać jak najwięcej czasu z Mikiem, zapewniam ciepłe napoje, przekąski, zajmuję się Rosie. Próbuję być użyteczna. Sevita dostała wolne, na jak długo potrzebuje. Mike powiedział, że była załamana, kiedy zadzwonił do niej dzień po tym, co się stało. Były z Phoebe tak blisko, powiedział.

Wczoraj słyszałam, jak płakał, rozmawiając przez telefon, rozmawiał ze swoim tatą mieszkającym w Afryce Południowej, który jest za stary na podróże, nie da rady przybyć na uroczystość żałobną, która odbędzie się dziś w auli szkolnej. Saskia z nikim się nie widziała, do nikogo nie dzwoni, jej rodzice zmarli, kiedy miała dwadzieścia kilka lat, nie ma rodzeństwa. Mike od lat ratuje dziewczęta.

Wczoraj do domu napływał stale strumień ludzi. Ściszone głosy, kartki z kondolencjami, kwiaty. Przyjaciele. Wrogowie. Przyjaciele. W szkole zaszła

zauważalna zmiana stosunku do mnie, jakby śmierć Phoebe unicestwiła siłowe pole izolacji, które wytworzyła wokół mnie. Przy pierwszym spotkaniu Clondine objęła mnie, płakała wtulona w moją szyję, poszłam potem do łazienki, by zmyć jej łzy ze skóry.

Dziś, kiedy zjawiliśmy się w auli, powitało nas morze różu, ulubionego koloru Phoebe. Czapki, spódnice, boa z piór, różowe żeńskie zgromadzenie. Setki oczu wlepione w nas, kiedy szliśmy do pierwszego rzędu. Dawałam radę w sądzie, ale ten tłum wydaje się gorszy, z jakichś powodów.

Pani James mówi o osiągnięciach Phoebe i jej obiecującej przyszłości. Odnosiła sukcesy we wszystkim, czego się tknęła. Fala szlochów i odgłosów towarzyszących wydmuchiowaniu nosa przechodzi przez aulę.

Dziewczęta pochylają się ku sobie, niektóre naprawdę smutne, inne pławią się w dramacie, jak to nastolatki. Potem Clondine dedykuje wiersz Mary Elizabeth Frye dla Phoebe. Ostatnie dwie linijki, nie płacz nad moim grobem z kamienia, nie umarłam, mnie tutaj nie ma.

Mike wychodzi na scenę, dziękuje szkole za wsparcie. Wsuwam się na jego krzesło, by usiąść przy Saskii. Oczy. Szklane jak u lalki. Oddalona. W innym świecie. Do którego zabierają ją piguły. Na zakończenie uroczystości Izzy gra na gitarze i śpiewa *Somewhere Over the Rainbow*. Później w bibliotece są serwowane napoje. Podchodzi pani Kemp, składa kondolencje, skóra na jej rękach nadal jest sucha. Ludzie krążą wciąż wokół naszej trójki, czyjeś ręce dotykają moich pleców, ramion, rąk. Staram się, jak mogę, nie wzdrygać. Taki straszny wypadek, mówią, tak, odpowiadam. Straszny.

Tuż przed wyjściem podchodzi do nas mama Izzy, drobna i francuska. Toksyčna. Teraz już wiem, skąd jej córka to ma.

– Cóż dobrego może z tego wyniknąć? – mówi. – Bezmyślna tragedia.

Mike kiwa głową, ona odwraca się, by na mnie spojrzeć.

– Podobało ci się w Wetherbridge?

Podobało. Czas przeszły.

– Słyszałam, że wkrótce masz się przenieść w jakieś nowe miejsce. Sas mówiła mi, zanim to się stało.

Saskia nie reaguje, mowę jej odebrało może przez te prochy, które codziennie łyka.

– W każdym razie *quelle bonne nouvelle*. Wspaniała wiadomość.

Całuje Mike'a i Saskię, mnie ignoruje. Kiedy odchodzi, Mike przeprasza. Kiwam głową, staram się dzielnie trzymać, ale wokół mnie maleńkie aniołki dmą w trąbki na cześć Phoebe, nie moją.

Po uroczystości żałobnej Mike i Saskia poszli na pogrzeb Phoebe. Skromne

nabożeństwo, rodzina i przyjaciele. Mike zostawił mnie u Valerie, powiedział, że lepiej, bym nie szła, on i Saskia potrzebują czasu dla siebie, by się pożegnać. Powiedziałam, że rozumiem, ale czułam się zawiedziona, że nadal nie postrzega mnie jako członka rodziny. Wiem, że to samolubne myślenie, ale nie potrafię inaczej. Marchewka dyndająca przed samym nosem. Teraz jest dla mnie miejsce.

Przyszłaś do mnie w środku nocy, to pierwsza wizyta od tygodni. Powiedziałas, że już czas. Czas na co, spytałam. Nie odpowiedziałas, ale zanim odeszłaś, zrzuciłaś skórę, pod moją poduszką został odcisk łusek, tak realny, że sprawdzam, czy nadal jest.

Nie mogę zasnąć, nie wiedzieć czemu otwieram drzwi pokoju Phoebe. Jej zapach wciąż tu jest, słodki i zapraszający. Zamykam za sobą drzwi. Pokój wygląda tak, jak go zostawiła, szkolna torba i teczki rzucone na podłogę, egzemplarz *Władcy much* na nocnym stoliku. Z czasem Mike i Saskia przejrzą te wszystkie rzeczy, rozmontują jej życie. Otwieram szufladę w biurku, ale laptopa nie ma, sprawdzam na dnie szafy i w torbie. Mogła zostawić go w szkole, ale prawie nigdy go tam nie zabierała. Nie podoba mi się to, że laptopa tu nie ma, nie podoba mi się, jak się w związku z tym czuję.

Mój urodzinowy podwieczorek został odwołany, miał się odbyć w zeszły weekend, ale mieszkaliśmy wtedy w hotelu. A więc wyprawiamy urodziny dzisiaj, w ostatnią sobotę przed zakończeniem semestru, spokojny obiad, bez gości, jak zapowiedział Mike. Tylko nas troje. Kiedy schodzę na dół do kuchni, na stole leży przeznaczony dla mnie prezent. Otwieram go. To zegarek z dedykacją wyrytą na odwrocie: Z OKAZJI 16. URODZIN OD M&S. Poczucie, które mam dzięki temu. Przynależności.

Kiedy Mike przychodzi, zwracam uwagę na to, jak się porusza, nadal o wiele wolniej niż przed wypadkiem Phoebe. Proste zadania, jak napełnienie czajnika, wymagają wiele wysiłku, wyczerpanie z powodu bycia żywym, kiedy ukochana osoba nie żyje. Ma krzywo zapiętą koszulę, ale nie mam serca mu o tym powiedzieć. Wyjmuję czajnik z jego rąk i proszę, by usiadł. Bez protestu stosuje się do polecenia.

Rzadko widuję Saskię, ale kiedy się to zdarza, ma czerwone, opuchnięte powieki. Jakbym żyła w pobliżu jednej z tych matek, którym wykradłś dzieci. Jak się musiały czuć, wiedząc, że już nigdy nie zobaczą ani nie przytulą swoich dzieci. Po zaparzeniu herbaty w imbryku pytam, czy mogę zanieść kubek Saskii.

– Możesz spróbować – mówi. – Ma się postarać dziś wstać.

Zanoszę herbatę do jej pokoju, pukam do drzwi, brak odpowiedzi. Znów pukam, tym razem mówi, proszę. Lampy są pogaszone, odrobina dziennego światła wkrada się przez okno w łazience. Powietrze jest nieruchome. Zatechłe. Saskia wychudła, nie widuje się już z Benjimą, nie widuje się z nikim.

– Zrobiłam ci herbatę.

Kiwa głową, ale nie rusza się ze skraju łóżka, gdzie siedzi.

– Postawić ci ją tutaj?

Znów kiwa głową, stawiam kubek na toaletce, oczy zachodzą jej łzami. Dobroć rani bardziej, kiedy już jest się zranionym.

– Przepraszam, nie powinnam ci przeszkadzać.

Ociera łzy, kręci głową.

– Bez niej dom jest taki cichy. Jakie to głupie, zawsze pragnęłam jedynie spokoju, a teraz, kiedy jej nie ma, chcę tylko, żeby tu była.

Nic nie mówię, jeszcze nie. Czytałam w internecie artykuły o tym, co robić, jak pomagać ludziom w żałobie. Chodzi o podstawowe rzeczy, jak ciepłe jedzenie na stole, wyrzucanie śmieci. O to, by być widzialnym, lecz się nie narzucać, pozwalać im mówić, kiedy chcą.

– Tęsknię za nią, nawet za tymi chwilami, gdy mnie nienawidziła. Nie mów,

że tak nie było, wszyscy wiemy, że nie jestem dobrą matką.

Przesuwa palcami po krawędzi literek z naszyjnika. Złoto. Uśmiecha się lekko, ze smutkiem. Jakby coś sobie uświadomiła. Szarpie mocno łańcuszek, który pęka, dynda na jej palcach, a potem opada na podłogę.

– Nigdy nie postępowałam z Phoebe, jak należy, w ogóle tego nie potrafiłam.

Siadam obok niej na łóżku, ujmuję za rękę, mówię, że moim zdaniem dobrze postępowała, że jest dobrą mamą – przypominam jej o turmalinie, który mi kupiła. Płacze, opiera się na moim ramieniu. Siedzimy tak przez jakiś czas. Czuję, jak jej łzy przesiakają przez bawełnę mojego T-shirtu. Nie podoba mi się to, ale nie ruszam się z miejsca w nadziei, że takie właśnie chwile przypomną sobie wraz z Mikiem, kiedy przyjdzie czas, by podjąć decyzję, co ze mną dalej.

– Powinnaś wziąć prysznic – mówi.

Kiwam głową, a na odchodnym mówię, by nie zapomniła o wypiciu herbaty. Kiedy Mike mnie widzi, pyta, jak Saskia się czuje.

– Wstała, ma wziąć prysznic.

– Dobra robota, miałaś więcej szczęścia ode mnie.

– Staram się pomagać, jak potrafię.

– I pomagasz, dzięki tobie jakoś sobie radzimy. Gdybyśmy byli tylko we dwoje, nie wiem, co by się działo.

Małe trąbki wzniesione na wiwat, tym razem dla mnie.

Kilka godzin później pukanie do moich drzwi. Sas-kia, stara się, jak może. Trzyma kosmetyczkę.

– Chciałabym zrobić ci makijaż, zgodzisz się?

Kiwam głową, siadamy razem na łóżku, mówi do mnie, omiatając mi twarz pędzelkiem. Puder brązujący. Za każdym razem, kiedy jej nadgarstek przesuwa się koło mojego nosa, uderza mnie zapach tak kobiecy, że na mojej twarzy pojawia się rumieniec. Właściwie mnie nie dotyka, ale to, co robi, jest bardzo intymne. Kontakt wzrokowy z tak bliskiej odległości jest dla mnie wciąż trudny do zniesienia.

– Phoebe nigdy nie pozwalała mi się malować, twierdziła, że źle to robię. A czy tobie się to podoba?

Kiwam głową, mówię, oczywiście, świetnie ci to wychodzi, chociaż nie mam pojęcia, czy to prawda.

– Jesteś bardzo piękna, Milly, wydaje mi się, że nie zdajesz sobie z tego sprawy.

Gada i gada, mówi mi, że z Phoebe to była wpadka, bo podczas grypy zapomniła przez kilka dni o tabletkach antykoncepcyjnych. Szok. Trudne dziecko, nie dawało się uspokoić.

Kusi mnie, by spytać ją o Benjiego, ponieważ tajemnice, pieczołowicie chronione, mogą okazać się użyteczne – zapewniają przewagę. Zyskam wpływ, jeśli Saskia uzna, że nawiązałyśmy pewną więź, możemy sobie zwierzać sekrety,

ale tymczasem to ona ma przewagę.

– Chciałabym, żebyśmy spędzały więcej czasu razem, Milly. A ty, chciałybyś?

– Tak, bardzo, ale wkrótce może mnie tu nie być.

– Mike i ja rozmawialiśmy o tym, że dom jest teraz taki pusty.

– Czy to znaczy, że ja...

– Co?

– Nieważne, po prostu bardzo mi się u was podoba.

Kiwa głową i leciutko się uśmiecha, mówi:

– Mike powiedział, że kupiłaś sukienkę, pomóc ci ją zapiąć?

– Nie, dziękuję.

Proszę ją, by przyniosła aparat, chciałabym zrobić sobie z nią zdjęcie, jeśli nie ma nic przeciwko temu.

Moja sukienka. Z czarnego aksamitu, z długimi rękawami, krótka i rozkloszowana, trochę się wydyma, sięga do kolan. Wkładam do niej rajstopy i czarne wysokie buty na obcasach, które kupiłam z kieszonkowego w Topshopie, podobne do tych, jakie noszą inne dziewczyny. Chciałabym jako ostatni akcent stroju założyć swój złoty naszyjnik z imieniem, ale wiem, że to byłoby nie na miejscu, więc zamiast tego zakładam naszyjnik od Morgan i zegarek od Mike'a i Saskii. Nic nie poradzę na to, że czuję się kochana.

Wraca z aparatem, towarzyszy jej Mike. Jest bosa, dziecięca. Bardziej siostra niż matka

– Wyglądasz olśniewająco – mówi Mike.

Obejmuje Saskię w pasie i chociaż ta się od niego odsuwa, wiem, że tej nocy będą się pieprzyć. Nowy początek.

Na urodzinowy obiad jemy chińszczyznę w kuchni. Mike stwierdza, że wyglądam za elegancko jak na jedzenie na wynos, pierwszy raz od śmierci Phoebe słyszę, że próbuje żartować. Przykro mi, że nie wyszliśmy do restauracji, powiedział, ale obecnie naprawdę nie jesteśmy w stanie robić takich rzeczy.

Każdy z nas ma ciastko z wróżbą, ale Mike i Sas-kia nie chcą rozpakowywać swoich. Zachowuję moje na później, by otworzyć je w samotności, jak skończymy. Mike mówi, że dostał mejla od ojca Joe, który pyta, czy Joe mógłby się kiedyś ze mną spotkać. Saskia kiwa głową, mówi, to miły chłopak, poznałam go kiedyś.

– Co ty na to, Milly? Zgadzasz się?

– Tak.

Wyobrażam sobie, że zabiera mnie do kina, jego piegi różowieją, kiedy całuje mnie na dobranoc, ale od razu przypominam sobie, do czego prowadzą pocałunki, i już mi się ta myśl przestaje podobać.

Proponuję, że posprzątam, mówię Mike'owi i Sas-kii, żeby poszli odpocząć w saloniku. Zerkam tam, gdy przechodzę, siedzą na tej samej kanapie. Saskia jest

odwrócona bokiem, opiera się plecami o podłokietnik, stopy wetknęła w szparę między poduchami. Mike siedzi obok, trzyma rękę na jej łydce.

– Wkrótce powinniśmy zacząć palić w kominku, Sas, zwykle tak robimy w grudniu.

– Nie mogę uwierzyć, że to już grudzień – odpowiada ona.

Wpatrują się w zimny kominek, oboje myślą o tym samym, o tej samej osobie. Zostawiam ich tak, idę do swojego pokoju i dzwonię do Morgan. Rzadko ją widywałam od wypadku Phoebe, skupiałam się na Mike’u i Saskii, na wypełnianiu ich pustki i nawiązywaniu przyjaźni w szkole. Nieźle sobie radzę, jak sądzę. Zaproponowałam, że pomogę w zbiórce pieniędzy na remont świetlicy, i to był mądry ruch, od razu moje akcje poszły w górę. Feniks. Brudny i nastroszony. Ale się odradza.

Kiedy Morgan odbiera, mówi, że musi być cicho, bo jej młodsza siostrzyczka śpi obok, pyta, co u mnie słyszała. Nic specjalnego, mówię, szkoła i pomaganie w domu. Tęsknię za tobą, Mil, mówi, czy możesz opowiedzieć mi jakąś historię. Dobrze, ale najpierw zamknij oczy. Wymieniam nazwy gwiazd, planet. Na Marsie jest woda. Opowiadam jej o katakumbach w Paryżu, cmentarzu czaszek pod ziemią. Niesamowite, mówi, chciałabym tam pojechać, może kiedyś nam się uda. Może, tak. Umawiamy się na następny weekend, a kiedy się rozłączam, rozpakowuję ciasteczko z wróżbą. Wiadomość brzmi: JEŚLI MASZ W ŻYCIU COŚ DOBREGO, POSTARAJ SIĘ TEGO NIE STRACIĆ.

Patrzę na zegarek na swoim nadgarstku i myślę, o nie, nie zamierzam, bez względu na cenę.

Nasze przedstawienie *Władcy much* nagrodzono owacją na stojąco. Przejęłam rolę Phoebe, byłam narratorką, pod koniec dziewczyny wypchnęły mnie na scenę. Byłaś niesamowita, ukłonił się jeszcze raz, no, dalej. Patrę na widownię, widzę, że Mike i Saskia klaszczą. Mike dziwnie mi się przygląda, nie odrywa ode mnie oczu. I wcale się nie uśmiecha.

Po przedstawieniu proponuję, że pomogę w uprzątnięciu rekwizytów, Clondine i ja wychodzimy w tym samym czasie. Zatrzymuje się i patrzy w niebo.

– To takie smutne.

– Co?

– W ten piątek jest bal bożonarodzeniowy, Phoebe go uwielbiała. Przepadała za eleganckimi sukniami, wkładała futro Saskii.

Przyznaję, że to smutne, bo tak jest.

W drodze do domu sprawdzam w telefonie stronę z wiadomościami BBC. Od tygodni nie było o tobie żadnej wzmianki, ale tego wieczoru widzę pewną informację. Nasz dom ma zostać zburzony, na tym miejscu powstanie ogród. Dziewięć drzew. Już nie przychodzisz do mnie, kiedy jestem w łóżku, zrzuciłaś skórę. „Już czas”, powiedziałaś. Teraz rozumiem, co miałaś na myśli, że już cię nie potrzebuję. Mieszanka szczęścia i smutku. Przeważnie godzę się z tym, co zrobiłam. Zrobiłam te rzeczy, żeby być dobra, przysięgam, nawet jeśli były złe.

Ćwiczyłam, co ci powiem, gdybyś kiedykolwiek wróciła.

Oto co bym powiedziała.

Nigdy nie prosiłam o matkę, która gwizdże za mną jak facet na ulicy, która śmieje mi się w twarz, kiedy próbuję powiedzieć nie. Powiedziałabym ci, że myliłaś się, kiedy stawałaś za mną przy lustrze w swojej sypialni i mówiłaś, że nikt oprócz ciebie nigdy mnie nie pokocha. Myślę, że Mike i Saskia mogą do tego dojrzeć. Powiedziałabym, że masz rację, moje wnętrzości naprawdę wyglądają inaczej niż u wszystkich.

Są poskręcane w dziwne kształty.

Które ty im nadałaś. Uczę się z tym żyć.

W tę noc, kiedy cię aresztowano, skinęłam do ciebie głową. Wiedziałaś, co miałam na myśli. Powiedziałam, że cię opuszczam. Byłam gotowa. Ale ty nie byłaś, prawda? Nigdy nie lubiłaś, kiedy gra dobiegała końca, zawsze chciałaś grać dalej. Ta gra, do której mnie zmusiłaś, pójdzie do sądu, była bardziej publiczna niż wszystkie nasze poprzednie. Ostatni wystrzał z pistoletu, pokaz tego, jak dobrze mnie wyuczyłaś. To nie była dla mnie bułka z masłem, nie, ani też nie był to szach-mat. To było jak obrócenie twarzy ku słońcu. Oślepiający blask. Żadnej

osłony.

Twój głos dla mnie był jak kroplówka z morfiną. Skażoną, taką, która nie zapewnia ulgi i komfortu, lecz lęk i pokusę. Cieszę się, że już cię nie słyszę ani nie widzę w miejscach, w których, jak wiem, nie może cię być, na przykład na przystanku autobusowym przed szkołą.

Rzeczy, które robiłaś, rzeczy, do których robienia mnie zmuszałaś, złamały mi serce.

Ty złamałaś mi serce.

Ty złamałaś mi.

Ty złamałaś.

Ty.

I ja.

Z tego powodu mam tajemnice, wiele tajemnic.

Nie jestem tą osobą, za którą się podaję.

Folie à deux – obłąd udzielony.

Zaprzeczać.

Manipulować.

Kłamać.

Mamusi, myślałam, że mogę dokonać wyboru.

A okazuje się, że jestem taka sama jak ty.

Tylko lepsza.

Bycie dobrą już mnie nie interesuje.

Byle

Tylko

Nie dać się złapać.

Jak tylko otwieram drzwi, wiem, że coś jest nie w porządku. Chodzi o to, gdzie stoi Mike, dokładnie w miejscu, na które spadła. Dlaczego tam stoi, skoro przez ostatni tydzień nie był nawet w stanie spojrzeć w tamtym kierunku, a co dopiero stanąć.

– Chcę, żebyś przyszła do mojego gabinetu. Natychmiast – mówi.

Nie prosi, żebym usiadła, kiedy tam wchodzimy, staje bliżej mnie niż zazwyczaj, patrzy mi w oczy. Chyba nie podoba mu się to, co zobaczył, bo odchodzi, siada przy biurku, coś do siebie mamrocze. Na blacie stoi butelka whisky, opróżniona w jednej trzeciej, a także szklanka. Wypija już nalaną miarkę, od razu nalewa jeszcze jedną. Siadam cicho na fotelu, który stał się moim w ciągu ostatnich kilku miesięcy. I czekam.

Słowa, które następnie wypowiada Mike, ranią.

– Ostrzegano mnie przed tobą. Ludzie mówili, że jestem głupi. A nawet lekkomyślny. Mówili, że przyjęcie cię tutaj spowoduje same kłopoty, ale ja nie słuchałem, myślałem, że sobie poradzę.

Piranie wracają. A także czerwona rybka przepowiadająca przyszłość, nową rozprawę.

– Myślałem, że wiem o tobie wszystko – no, może nie wszystko, ale większość rzeczy. Myślałem, że mi ufasz. Ja ci ufałem, przecież przyjąłem cię pod swój dach, na litość boską.

– Ale ja ci ufam, Mike.

Jego pięść łąduje z trzaskiem na blacie, podskakuję. To nic w porównaniu z tym, co ty wyprawiałaś, ale coś takiego ze strony łagodnego, wyrozumiałego Mike'a wydaje się dzikim, brutalnym atakiem. Jest na mnie wściekły. Zaczyna mu się przejaśniać w głowie, żal jest mgłą, która wisi nisko, zasłania krajobraz. Zasłania to, co tam w rzeczywistości jest.

– Nie okłamuj mnie – mówi. – Gdybyś mi ufała, powiedziałaśbyś mi.

– Ale co?

Milknie na chwilę, bierze duży łyk whisky, opiera czubki palców na blacie biurka. Bliźniacze tarantule, gotowe do skoku.

– Twoje relacje na sesjach. Pogmatwane. Niespójne. Tak trudno było tobą kierować. Nie znosiłaś, kiedy się dopytywałem, starałaś się nie wymawiać jego imienia, ale ja wiedziałem, że coś związanego z nocą, kiedy umarł Daniel, dręczy cię bardziej, niż powinno. Ale kiedy cię pytałem, wciąż na nowo, opowieść była taka sama i ja ci wierzyłem. Pewnie na jakimś poziomie chciałem ci wierzyć, bądź co bądź tyle przeszłaś, ale teraz nie mam już pewności. Nie jestem niczego pewien.

Jego palce wsparte na blacie się rozluźniają, teraz to raczej palce pianisty, a nie pająki. Whisky to także mgła, która zaćmiewa umysł, aż człowiek sam nie wie, w co ma wierzyć. Wypij jeszcze, Mike, proszę cię.

– Czy to, co powiedziałaś w sądzie o wydarzeniach tamtej nocy, było prawdą, Milly? Czy twoja matka zabiła Daniela? Zrobiła to?

– Dlaczego myślisz, że kłamię?

– Bo tak jest, czyż nie? Przecież mnie okłamałaś. Kiedy powiedziałaś, że między tobą a Phoebe jest wszystko dobrze.

– Bo było.

Strąca gwałtownie szklany przycisk do papieru, który uderza w ścianę, nie tłucze się, ale zostawia wgłębienie w tynku, z łomotem spada na podłogę.

– Przerażasz mnie, Mike.

– A ty mnie, wiesz o tym?

Proszę bardzo. Prawda. Jego. Czuje wobec mnie to samo, co wszyscy. I co ja sama czuję. Spuszczam wzrok.

– Przepraszam, to było niepotrzebne, Milly.

Wypija kolejną porcję whisky, poprawia ramkę ze zdjęciem stojącą po prawej stronie biurka. Poczułam ukłucie zazdrości i samotność, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam zdjęcia w tej ramce. Kolaż fotografii, Phoebe w różnym wieku. Jasnowłosa, doskonała i piękna, nie tak skażona jak ja. Mike kręci głową, uśmiecha się do swojej córki. Nie czule, raczej z żalem. Żalem z jakiego powodu? Odeszła, ale wciąż jest wszędzie obecna, w miejscach i szczelinach, które ja powinnam teraz zajmować.

Dzwoni telefon leżący na biurku, Mike patrzy na niego, ale nie odbiera.

– To pewnie June – mówi. – Próbowałem się z nią skontaktować, kiedy czekałem na ciebie, ale nie odbierała. Ale wie, że coś jest nie tak, zazwyczaj tak późno do niej nie dzwonię.

– A czemu dzwoniłeś?

– Piszę o tobie książkę, wiedziałaś o tym? Nie. No, ale tak, piszę. Tylko o tym byłem w stanie myśleć. Jakie to głupie i aroganckie z mojej strony.

Nie mówi mi, dlaczego dzwonił do June, ale czuję, jak miejsce w tej rodzinie, które rzeźbiłam, mościłam sobie manipulacjami od śmierci Phoebe, zaczyna znikać na moich oczach. Ruchome piaski. Pochłaniają. Mnie.

– Możesz już przestać udawać, Milly. Ja wiem.

I wszyscy konni i wszyscy dworzanie złożyć do kupy nie byli go w stanie.

– To trwało miesiącami, prawda? Facebook, szkolne forum. Esemesy. Policja zwróciła wczoraj telefon Phoebe. Znęcała się nad tobą przez wiele miesięcy, prawda?

Wiem, co myśli. Że wszystkie drogi prowadzą do mnie.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? Jezu, spędzaliśmy ze sobą tyle czasu.

– Nie chciałam cię martwić ani sprawiać kłopotów. Myślałam, że Phoebe i ja możemy zostać przyjaciółkami, a nawet siostrami.

Otwiera jedną z szuflad w swoim biurku, wyjmując coś, patrzy na to, po czym podnosi i kładzie przed sobą.

Laptop Phoebe. A więc był u Mike'a.

– Nie sądziła, że wiem – mówi.

– O czym?

– O Samie.

– Jakim Samie?

– Chcesz powiedzieć, że nie wiedziałas, nie słyszałas o tym w szkole?

– Nie.

Pyta, czy kłamię. Nie odpowiadam, ponieważ rzeczywiście tak jest, ale tylko dlatego, że boję się powiedzieć prawdę. Powstrzymują mnie wyobrażenia o tym, jak mogłoby wyglądać moje nowe życie tutaj, w tym domu. To jest tak blisko. Jeśli tylko zdołam przetrwać te chwile, jeśli zdołam go przekonać.

– Jego tata i ja znamy się od dawna. Studiowaliśmy razem przed laty, pozostaliśmy w kontakcie z nim i jego rodziną, kiedy przenieśli się do Włoch, widzieliśmy się z nimi tego lata. Trochę się podśmiewaliśmy za ich plecami z tego romansu na odległość. Mama Sama widziała niektóre mejle, ale nie wszystkie. Nie te, w których Phoebe dzieliła się z nim podejrzeniami na twój temat.

– Myślałam, że o mnie nie wiedziała?

– No cóż, wiedziała.

Jego pięść się zaciska, rozwiera. Zaciska. Sięga po butelkę z whisky, nalewa sobie miarkę, wypija, ale nie dolewa już drugi raz. Szkoda, bo widzę, że jego złość i zdolność trzeźwego myślenia zaczynają słabnąć wraz z działaniem alkoholu.

– Przyszła do mnie jakiś czas temu, powiedziała, że widziała notatki o tobie w moim gabinecie, kiedy szukała jakiejś książki. Próbowałam wmawiać jej, że to nieprawda, ale bardzo się zdenerwowała, powiedziała, że zawsze stawiam pacjentów na pierwszym miejscu. Nie potrafiłam już dłużej jej okłamywać, nie chciałam, więc jej powiedziałam, ale umówiliśmy się, że nikomu nic nie powie, i nie powiedziała, w każdym razie nikomu w szkole, tylko Samowi.

– Przykro mi, Mike.

– Odkąd cię znam, często to powtarzasz. Z jakiego konkretnie powodu jest ci teraz przykro?

Nie czeka na moją odpowiedź, prowadzi raczej rozmowę z samym sobą, a nie ze mną. Próbuje ułożyć sobie wszystko w głowie. Uporządkować, posegregować. Upewnić, że się nie pomylił, że nie popełnił tak strasznego błędu.

– Zamierzała cię zdemaskować. Jest o tym mowa w mejlu do Sama, ostatnim, który wysłała po szkole tego dnia, kiedy umarła. Kupiła telefon na kartę, zamierzała rozesłać anonimową wiadomość esemesem, powiedzieć wszystkim, kim

jesteś. Cholera, jak mog-łem nie zauważyć, że była taka nieszczęśliwa?

– To nie twoja wina, Mike.

Lekkie potakiwanie głową. Wydaje mi się, że jednak moja, odpowiada. Wpatruje się w laptop Phoebe, znów zerka na zdjęcia w ramce. Zaczynam płakać, boli mnie, jak na to patrzę. Z bliska. Zniszczenia, które spowodowałam, terrorystka w tej rodzinie, za każdym razem przyjmująca inny kształt.

Kiedy zauważa, że płaczę, mówi:

– Zazwyczaj bardzo dobrze potrafisz ukrywać swoje uczucia.

– Co masz na myśli?

– Znęcanie musiało być dla ciebie bardzo bolesne, przygnębiało cię. Wprawiało we wściekłość. Jednak nigdy tego nie okazałaś. Wiedziałem, że nie jesteście blisko z Phoebe, ale nigdy nie dostrzegłem wielkiej animozji, poważnego powodu do obaw.

Sam siebie oszukuje. Zauważył, tak samo jak wcale nie daje się zwieść pozorom stwarzanym przez Saskię. Pijana, na haju, w depresji. Powtórka. Pijana, na haju, w depresji. Jego Szmaragdowe Miasto z krainy Oz w domu diabli wzięli. Gdyby był ze sobą uczciwy, gdyby starczyło mu odwagi, przyznałby, że było mu wygodnie nie dostrzegać napięcia pomiędzy Phoebe a mną, nie przyznawać, że istniało. Chciał, żebym tu była, potrzebował mnie. Dostęp do mojego umysłu, fantastyczna okazja, która się już pewnie nie powtórzy. Morderczynie, jak powiedziałam, zdarzają się rzadko.

– Ukrywałyśmy to przed tobą, obie.

– Powinienem zauważyć. Byłem tak zaabsorbowany cholerną pracą i...

– Pisaniem o mnie.

Kiwa głową, odpowiada, tak, ale za jaką cenę.

– Czy to dlatego czujesz się tak źle, czujesz, że powinienesz być spędzać mniej czasu ze mną, a więcej z Phoebe?

Opada na oparcie krzesła, wciska swe ciało w skórzaną tapicerkę. Wiem, jakie to uczucie, kiedy nie chce się mówić o jakichś rzeczach, ale i tak wciąż cię o nie pytają. Nikt nie chce rozmawiać o rzeczach, z powodu których ma poczucie winy.

– Phoebe tak bardzo cię kochała, Mike. Widziałam to wyraźnie.

Kręci głową, teraz jego kolej na łzy.

– Ależ tak, Clondine powiedziała mi w czasie prywatki u Matty’ego przed feriami, że Phoebe cię ubóstwia, uważa, że jesteś najlepszym tatą na świecie.

– Jak to możliwe, skoro byłem taki zajęty, zbyt zaangażowany w problemy innych ludzi.

– Właśnie to tak w tobie kochała. Że troszczysz się o innych i próbujesz im pomagać.

Moje słowa namaszczają kojącym olejkiem jego stratę, wcierają balsam

w jego poczucie winy. Widzę, jak rozgrywka zaczyna się zmieniać na naszych oczach. Wstaję, podchodzę do jego biurka, nalewam mu kolejną miarkę whisky. Wypij, mówię, to ci dobrze zrobi. Słucha mnie, przyzwyczał się, że mu pomagam. Ostatnio ciężko pracowałam, by doprowadzić do tego, że Saskia i Mike nie będą mogli się beze mnie obyć. Nie zechcą się obyć. Przygląda mi się, kiedy siadam z powrotem na swoje miejsce. Podnoszę niebieską aksamitną poduszkę, którą położył na poręczy fotela podczas naszej pierwszej sesji. Trzymam ją, przyciskam do piersi. To wywoła w nim odpowiednią reakcję, przypomni mu, że jestem jeszcze dzieckiem, kimś, kto potrzebuje miłości i troski. Przewodnika. To pobudzi jego pragnienie, potrzebę bycia potrzebnym. Kompleks bohatera ukryty pod kosztownymi koszulami. Dumę. Jeśli ktoś się pomyli w takiej sprawie jak ja, czeka go upadek z wysoka.

– Powiedziałem pewne rzeczy, których nie powinienem był mówić, Milly. Przepraszam. Myślałem, że wszystkiego się domyśliłem. Sądziłem, że wiem.

Co wie? Dlaczego telefonował do June?

– Pani Kemp powiedziała mi dziś wieczorem, że jest ci bardzo wdzięczna za pomoc w przygotowaniu dekoracji. Mówiła, że na ostatnim spotkaniu ciężko pracowałeś, a nawet wyszłaś, by kupić dla wszystkich słodycze. Nie byłem w stanie myśleć jasno od śmierci Phoebe aż do dziś...

– Jesteś zmęczony, Mike, bo próbujesz się wszystkimi opiekować.

– ...dlatego właśnie zadzwoniłem do June, chciałem z nią o czymś porozmawiać. Wtedy miałem co do tego całkowitą pewność, ale teraz sam już nie wiem. Myślę, że szukałem osoby, którą mógłbym obwinić, i ze wstydem przyznaję, że ty nią byłaś.

Wodzi palcem po obrzeżu szklanki, przerywa, podnosi na mnie wzrok.

– Spytałem panią Kemp, o której wyszłaś po słodycze. Nie była pewna, tyle się działo, ale powiedziała, że wyskoczyłaś na jakieś pięć minut.

Czy taki roztrzepaniec ma w ogóle pojęcie o upływie czasu?

– Czy to prawda? – pyta.

– Co?

Zadaje następne pytanie spokojnie. Powoli.

– Czy wyszłaś tylko na pięć minut?

Zazwyczaj chce usłyszeć prawdę, ale tym razem droga prowadzi nie tylko do mnie, również do niego. Obsesyjnie pochłonięty zastanawianiem się nade mną, pisaniem o mnie. Książka ma teraz inne zakończenie, takie, którego nie chce napisać. Nie zaprosił mnie na podwieczorek, wziął mnie pod swój dach, bym żyła z nim i jego rodziną. Nigdy by się nie pozbierał osobiście ani zawodowo, gdyby poczuł się odpowiedzialny za to, że się na mnie nie poznał, albo gdyby został taką odpowiedzialnością obciążony. Zdaje sobie z tego sprawę równie dobrze jak ja. Tyle do stracenia, a tyle już stracone.

Kiwam głową.

– Tak, zajęło mi to około pięciu minut. Skoczyłam do kiosku, tego po drugiej stronie ulicy, przed szkołą.

– I oprócz tego nigdzie nie poszłaś?

– Nie. Nigdzie, Mike.

Siedzimy w milczeniu. Staram się z całych sił utrzymać kontakt wzrokowy. On pierwszy spuszcza oczy, pochyla się do przodu, zakręca korek na butelce whisky, sygnał, że na teraz wystarczy. Szczegóły dotyczące ludzi, które dostrzegam.

– Późno już, Milly, powinnaś pójść spać. A ja muszę pobyć sam.

Odwracam się przy drzwiach, tuż przed wyjściem z gabinetu. Jedną z jego rąk spoczywa na laptopie Phoe-be, druga na blacie biurka, palce są skierowane, być może podświadomie, w kierunku telefonu.

– Mike, musisz dać mi lekarstwa, Saskii też. Potrzebujemy cię.

Dwadzieścia osiem w górę.

I jeszcze jedno piętro.

Poręcz po prawej.

Gdybym nie zauważyła tekstu, który wyświetlił się na ekranie telefonu Phoebe, zostawionego obok czajnika, kiedy ona siedziała przy stole.

Wszystko potoczyłoby się inaczej.

Wszystko.

„Ty sprytna suko, co to znaczy, że jutro szykujesz sądny dzień dla pokraki?”.

Nadawca: Izzy.

Wyszłam z auli, gdzie malowałam dekoracje, by kupić dla wszystkich słodycze.

Prawda.

Poszłam jedynie do kiosku.

Kłamstwo.

Pędziłam przez całą drogę, pięć minut, jak się spieszysz, mniej, gdy gnasz sprintem.

Wbiegłam na górę, dwadzieścia osiem stopni, i jeszcze jedno piętro, poręcz po prawej. Była tam. Wrzasnęła na mój widok.

Bu!

Weszła do swojego pokoju, kopniakiem zamknęła za sobą drzwi, poszłam za nią. Wynocha, powiedziała. Odejdź ode mnie. Zrobiłam krok w jej stronę. Co robisz, spytała. Kolejny krok. Pchnęła mnie, przecisnęła do wyjścia, dzwonię do taty, powiedziała. Nie goniłam jej, zbiegłaby po schodach, a nie o to mi chodziło.

Wyszłam z jej pokoju. Była na podeście, pół siedząc, opierała się o poręcz.

Jej bezpieczne miejsce, z którego tak lubiła znęcać się nad swoją matką. Odciski palców, jej, widoczne na werniksie. Lęk pod postacią potu drażniący jej pory. Wylewający się. Właśnie miała nacisnąć guzik połączenia.

Rozkojarzona z nerwów.

Ona, nie ja.

Kolejny krok w jej kierunku.

Kiedy ktoś mówi, że zaraz umrzesz. Uwierz mu.

Trwało to tylko sekundę.

Była cicha, kiedy upadła.

Hiszpańskie kafle pomalowane na nowy kolor, jej włosy również.

Biegłam przez całą drogę powrotną, przyniosłam dla wszystkich słodycze z kiosku.

Pytania policjanta później w nocy. To zwykła procedura, powiedział.

Żadne szkolenie nie przygotowuje ich na to, do czego zdolne są dzieci.

Och, Władco Much.

Przyrzekłam.

Być najlepsza, jak tylko potrafię.

Obiecałam, że się postaram.

Mike.

Życzliwy człowiek.

Powiedziałam mu wszystko.

No dobrze.

Prawie wszystko.

Wybacz mi.

Podziękowania

Dziękuję dzieciom i nastolatkom, którymi miałam zaszczyt się opiekować. Byliście niezwykle dzielni i bez was nie powstałyby podwaliny tej książki. Dziękuję personelowi, z którym pracowałam przez wiele lat, za śmiech, zamiast którego tak często mogły pojawić się łzy. Szczególnie zespołowi z YPU w Edynburgu, w moim pierwszym miejscu pracy po zdobyciu specjalizacji. Nie mam pojęcia, jak udało nam się przetrwać te nocne dyżury.

Dziękuję swojej agentce, Juliet Mushens, za to, że dzięki niej zaistniałam. Za to, że jest najszybszą czytelniczką, jaką znam, która potrafi tak pięknie spojrzeć na tekst krytycznym okiem. Jesteś niebywale energiczną osobą i przyjaciółką na całe życie. Jestem szczęściarą, że cię znam.

Brawa dla Sarah Manning – organizacyjnego dynamitu – bez twoich karteczek samoprzylepnych z uwagami byłabym zgubiona. I brawa dla Nathalie Hallam za przejęcie kontroli. Dla #Team-Mushens w całości, dzięki za wsparcie.

Podziękowania dla Jessiki Leeke, mojej redaktorki w Michael Joseph. Cheerleaderka, sokołe oko, kotwica. Popychałaś mnie, jednocześnie przytrzymując. Dawałaś mi odwagę. Ellie Hughes, moja rzeczniczka prasowa, dziękuję, że wiedziałaś dokładnie, co ze mną robić. I że potrafiłaś chłodzić moje rozbuchane emocje. Hattie Adam-Smith dziękuję za to, że była boską, opanowaną, ozdobioną kapeluszem, twórczą siłą stojącą za sprawami związanymi z marketingiem. Wymarzony zespół. Podziękowania dla reszty zespołu w Michael Joseph i Penguin HQ. Tak wielu ludzi robiących tak wiele rzeczy, a do tego z taką serdecznością i entuzjazmem. Cudownie znaleźć się pod waszymi skrzydłami. Dziękuję wszystkim.

Dziękuję także Christine Kopprasch, mojej redaktorce z Flatiron US, za to, że wierzyła nie tylko w tę książkę, ale także we mnie jako pisarkę. I wielkie podziękowania dla pozostałych członków zespołu we Flatiron oraz Sashy Raskin, mojej agentki w USA.

Dziękuję Aleksowi Clarke'owi, który był zaangażowany w zakup tej książki. Karen Whitlock za jej wrażliwe i uspokajające podejście do adiustacji. Richardowi Skinnerowi za to, że powiedział mi: Nie martw się, Ali, po prostu zaufaj swojemu instynktowi. I tak zrobiłam, ta książka to rezultat.

Dziękuję swojej rodzinie, z miłością.

I wreszcie dziękuję swojemu plemieniu! Rozsianemu po całym świecie. Bez was nigdy nie miałabym odwagi ruszyć w tę podróż. Jesteście zbyt liczni i zbyt wiele wam zawdzięczam, bym dała radę wszystkim za wszystko indywidualnie podziękować. Więc wszystkim naraz dziękuję wam za wielobarwność, kreatywność, przygody i magię, którą wprowadzacie codziennie w moje życie. I za to, że kochacie mnie taką, jaka jestem, mimo wszystko. Jesteście niesamowitymi, wyjątkowymi kolesiami, bardzo was kocham. Dziękuję, dziękuję, milion razy.